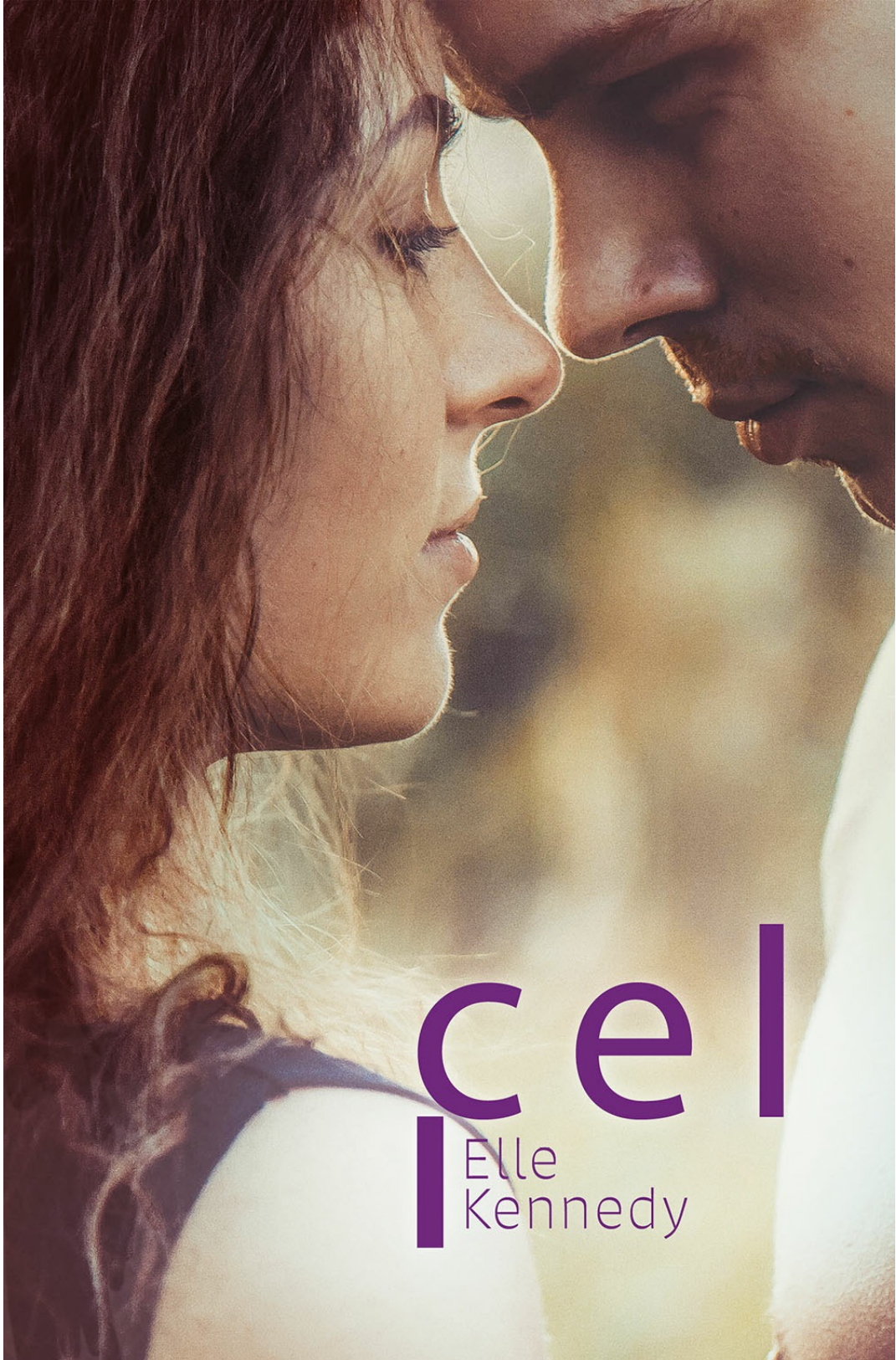




cel

Elle
Kennedy



cel
Elle
Kennedy

cel

Elle
Kennedy

Przełożyła
Anna Mackiewicz

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Elle Kennedy
Cel

Tytuł oryginału
The Goal

ISBN 978-83-8116-218-0

Copyright © 2016 by Elle Kennedy
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation
by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2017

Projekt graficzny okładki
Tobiasz Zysk

Redakcja
Marta Stołowska

Opracowanie graficzne i techniczne
Przemysław Kida

Wydanie I

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Epilog

Od Autorki

Rozdział 1

Sabrina

— Kurde. Kurde. Kurde. Kuuuuurde. Gdzie są moje kluczyki?

Zegar w wąskim przedpokoju pokazuje, że zostały mi pięćdziesiąt dwie minuty na pokonanie sześćdziesięcioośmiominutowej drogi samochodem, jeśli nie chcę się spóźnić na imprezę.

Ponownie sprawdzam torebkę, ale kluczy tam nie ma. Obskakuję strategiczne miejsca. Kredens? Nie. Łazienka? Dopiero co tam byłam. Kuchnia? Może.

Już mam się obrócić, gdy słyszę brzdęk metalu za plecami.

— Szukasz tego?

Pogardliwe prychnięcie melduje się w moim gardle, gdy się obracam i wchodzę do pokoju dziennego, tak małego, że pięć staroświeckich mebli — dwa stoliki, dwuosobowa kanapa, sofa i jedno krzesło — są ściśnięte niczym sardynki w puszcze. Kawał mięcha na sofie macha kluczykami w powietrzu. Na moje zirytowane westchnienie uśmiecha się szeroko i wsuwa je pod dresowe spodnie — pod sam tyłek.

— Chodź i weź je.

Przeciągam sfrustrowana dłonią po rozprostowanych włosach, zanim podchodzę do mojego ojczyrna.

— Oddaj mi kluczyki — żądam.

Ray rzuca mi w odpowiedzi pożądlive spojrzenie.

— Jaaasna cholera, wyglądasz dziś seksownie. Zmieniłaś się w prawdziwą laskę, Rina. Ty i ja powinniśmy iść do łóżka.

Ignoruję mięsistą łapę, która łąduje na jego kroczu. W życiu nie spotkałam faceta z tak desperacką potrzebą dotykania swoich klejnotów. Przy nim Homer Simpson wygląda jak dżentelmen.

— Ty i ja nie istniejemy, więc nawet nie patrz w moim kierunku i przestań nazywać mnie Riną. — Tylko Ray zwraca się do mnie w ten sposób i cholernie tego nie znoszę. — A teraz oddawaj klucze.

— Już ci mówiłem — chodź i weź je sama.

Zaciskając zęby, wsuwam dłoń pod ten otłuszczony tyłek i szukam kluczy. Ray stęka i kręci się niczym obleśny kawał gówna, którym zresztą jest, aż w końcu moja dłoń styka się z metalem.

Wyciągam kluczyki i pędzę do drzwi.

— Z czego tu robić aferę? — woła drwiąco za moimi plecami. — Przecież nie jesteśmy spokrewnieni, więc kazirodztwo nie jest problemem.

Zatrzymuję się i poświęcam trzydzieści sekund swojego cennego czasu, by popatrzeć na niego z niedowierzaniem.

— Jesteś moim ojczymem. Ożeniłeś się z moją matką. I — przełykam falę żółci — obecnie sypiasz z Naną. Nie, nie chodzi o to, czy jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Chodzi o to, że jesteś najbardziej obleśnym człowiekiem na ziemi i twoje miejsce jest w więzieniu.

Jego orzechowe oczy ciemnieją.

— Uważaj na to, co mówisz, panienko, albo pewnego dnia wrócisz do domu i pocałujesz klamkę.

Mam to gdzieś.

— Opłacam jedną trzecią czynszu — przypominam mu.

— Kto wie, może będziesz musiała dołożyć więcej.

Odwraca się z powrotem do telewizora, a mnie kolejne cenne trzydzieści sekund upływa na fantazjach, by walnąć go w łeb torebką. Warto było.

W kuchni Nana siedzi przy stole, pali papierosa i czyta magazyn „People”.

— Widziałaś to? — krzyczy. — Znowu goła Kim K.

— I dobrze. — Chwytam kurtkę z oparcia krzesła i kieruję się ku kuchennym drzwiom.

Przekonałam się, że bezpieczniej opuszczać dom przez tylne drzwi. Uliczne punki zbierają się zazwyczaj na gankach wąskich kamienic na naszej niezbyt zamożnej ulicy, w tej nie bardzo zamożnej części Southie. A poza tym wiata na samochody znajduje się za domem.

— Słyszałam, że Rachel Berkovich zaciążyła — zauważyła Nana. — Powinna usunąć, ale pewnie to wbrew jej religii.

Zaciskam ponownie zęby i odwracam się twarzą do mojej babci. Jak zwykle ma na sobie niechlujny szlafrok i puchate różowe kapcie, ale jej włosy w kolorze wyblakłego blond są perfekcyjnie utapirowane i ma pełen makijaż, mimo że rzadko wychodzi z domu.

— Ona jest żydówką, Nano. Nie sądzę, że to wbrew jej religii, a nawet jeśli, to i tak jest to jej wybór.

— Pewnie chce te ekstraznaczkę na jedzenie — stwierdza Nana, wydmuchując długą chmurę dymu w moją stronę. Kurde. Mam nadzieję, że nie zacznę śmierdzieć jak popielniczka, zanim dotrę do Hastings.

— Przypuszczam, że nie jest to powód, dla którego Rachel zatrzyma dziecko. — Mam już jedną dłoń na drzwiach, przesuвам się niespokojnie i czekam, aż się otworzą, by powiedzieć Nanie „do widzenia”.

— Twoja mamuśka zastanawiała się, czy cię nie usunąć.

No i proszę bardzo.

— Okej, wystarczy już — mamrocę. — Jadę do Hastings. Wrócę wieczorem.

Jej głowa odrywa się od magazynu, a oczy zwężają, gdy przygląda się mojej czarnej dzierganej spódnicy, czarnemu sweterkowi z krótkimi rękawkami i dekoltem w łódkę oraz szpilkom na ośmiocentymetrowym

obcasie. Już słyszę słowa, które układają się w jej głowie, nim jeszcze wychodzą z ust.

— Wyglądasz jak snobka. Wybierasz się na ten swój wysferzony uniwersytet? Macie zajęcia w sobotę wieczorem?

— To przyjęcie koktajlowe — odpowiadam niechętnie.

— Oooh, koktajl-szoktajl. Żeby ci tylko wargi nie spierzchły od całowania tam tych wszystkich tyłków.

— Taak, dzięki, Nano. — Otwieram szarpnięciem tylne drzwi i zmuszam się, by dodać: — Kocham cię.

— Ja też cię kocham, dziecinko.

Faktycznie, kocha mnie, ale czasami ta miłość jest tak skażona, że sama nie wiem, czy bardziej mnie rani, czy pomaga.

Droga do małego miasteczka Hastings nie zabiera mi ani pięćdziesięciu dwóch minut, ani sześćdziesięciu ośmiu. Trwa całe półtorej godziny, ponieważ warunki na cholernych drogach są fatalne. Kolejne pięć minut upływa na szukaniu miejsca do zaparkowania i gdy docieram do domu profesor Gibson, jestem bardziej napięta niż drut fortepianowy, a jednocześnie równie krucha.

— Witam, panie Gibson. Przepraszam za spóźnienie — zwracam się do stojącego w drzwiach mężczyzny w okularach.

Mąż profesor Gibson obrzuca mnie łagodnym uśmiechem.

— Nic się nie martw, Sabrino. Pogoda jest okropna. Pozwól, wezmę twój płaszcz. — Wyciąga dłoń i czeka cierpliwie, podczas gdy ja wyswobadzam się z wełnianego okrycia.

Profesor Gibson pojawia się, gdy jej mąż wiesza mój tani płaszcz między samymi drogimi okryciami w szafie. Moje palto w widoczny sposób odstaje od reszty, zupełnie jak ja. Odsuwam na bok uczucie niedostosowania i przywołuję jasny uśmiech.

— Sabrina! — woła z radością profesor Gibson. W jej obecności natychmiast się koncentruję. — Tak się cieszę, że dotarłaś cała i zdrowa. Pada już śnieg?

— Nie, tylko deszcz.

Na jej twarzy pojawia się grymas i chwyta mnie za ramię.

— Jeszcze gorzej. Mam nadzieję, że nie planujesz jechać z powrotem do miasta dziś wieczorem. Drogi zamienią się w lodowisko.

Ponieważ rano muszę iść do pracy, odbędę tę podróż bez względu na warunki na drogach, ale nie chcę jej niepokoić, więc uśmiecham się uspokajająco.

— Będzie dobrze. Wciąż tu jest?

Profesor Gibson ściska moje ramię.

— Jest i nie może się doczekać, by cię poznać.

Super. Oddycham głęboko, po raz pierwszy, odkąd tu przyszedłam, i pozwalam, by poprowadzono mnie przez pokój w kierunku niskiej siwowłosej kobiety, ubranej w pastelowy żakiet i czarne spodnie. Ten strój jest raczej nijaki, ale diamenty połyskujące w jej uszach są dłuższe niż moje kciuki. A poza tym? Jak na profesor prawa sprawia zbyt miłe wrażenie. Zawsze wyobrażałam sobie, że prawo wykładają posępne, poważne stworzenia. Jak ja.

— Amelio, pozwól, że ci przedstawię Sabrinę James. To studentka, o której ci opowiadałam. Najlepsza w grupie, pracuje w dwóch miejscach, a w LSAT zdobyła sto siedemdziesiąt siedem punktów. — Profesor Gibson odwraca się do mnie. — Sabrino, Amelia Fromm, nadzwyczajny znawca prawa konstytucyjnego.

— Bardzo miło panią poznać — mówię, wyciągając dłoń i modląc się do Boga, by była sucha, a nie wilgotna. Ćwiczyłam potrząsanie własnej dłoni przez godzinę, żeby się przygotować do tej chwili.

Amelia ściska mnie lekko, a potem robi krok do tyłu.

— Matka Włoszka, ojciec Żyd, stąd ta dziwna kombinacja imion. James jest szkocki. Stamtąd pochodzi twoja rodzina? — Jej jasne oczy omiatają mnie i odpieram pragnienie poskubania moich tanich ciuchów z Target.

— Trudno powiedzieć, proszę pani. — Generalnie moja rodzina pochodzi z rynsztoka. Szkocja wydaje się o niebo za ładna i zbyt królewska, by zostać mianowana naszą ojczyzną.

Macha dłonią.

— Nieważne. Po godzinach param się genealogią. A więc złożyłaś podanie do Harvardu? Kelly wspominała o tym.

Kelly? Znam jakąś Kelly?

— Chodzi jej o mnie, moja droga — mówi profesor Gibson, śmiejąc się łagodnie.

Rumienię się.

— A tak, przepraszam. Myślę o pani jako o profesor.

— Tak formalnie, Kelly! — odzywa się profesor Fromm. — Sabrino, gdzie jeszcze złożyłaś podania?

— Na uniwersytety Boston, Suffolk i Yale, ale moim marzeniem jest Harvard.

Amelia unosi brew na tę wyliczankę bostońskich uczelni.

Profesor Gibson spieszy z usprawiedliwieniem.

— Chce zostać blisko domu. I oczywiście, że jej miejsce jest w czymś lepszym niż Yale.

Dwie profesorki wymieniają pogardliwe prychnięcia. Profesor Gibson skończyła Harvard i najwyraźniej potwierdza, że absolwent Harvardu zawsze będzie przeciwnikiem Yale.

— Z tego, co słyszałam od Kelly, wygląda mi na to, że Harvard byłby zaszczycony, gdyby miał cię w gronie studentów.

— To ja byłabym zaszczycona, gdybym została studentką tej uczelni, proszę pani.

— Już wkrótce roześlą listy z informacją o przyjęciu. — Jej oczy błyszczą psotnie. — Z całą pewnością dodam jakieś dobre słowo od siebie.

Amelia obdarowuje mnie kolejnym uśmiechem, a ja prawie mdleję ze szczęścia i ulgi. Wcale nie ściemniałam. Harvard to naprawdę moje marzenie.

— Dziękuję — udaje mi się wydusić z siebie.

Profesor Gibson prowadzi mnie do stolików z jedzeniem.

— Może coś przekąsisz? Amelio, chcę z tobą porozmawiać o tym dokumencie, który, jak słyszałam, ma być opublikowany przez Browna. Miałaś okazję rzucić na to okiem?

Odwracają się obie i zanurzają głęboko w dyskusję o interseksjonalności czarnego feminizmu i teorii rasowej — temat, w którym profesor Gibson jest ekspertem.

Podchodzę do nakrytego białym obrusem stolika z przekąskami, obładowanego serami, krakersami i owocami. Moje dwie najbliższe przyjaciółki — Hope Matthews oraz Carin Thompson — już tam stoją. Jedna ciemna, druga jasna — dwa najpiękniejsze, najmądrzejsze anioły na świecie.

Pędzę do nich i prawie omdleвам w ich ramionach.

— No i? Jak poszło? — pyta niecierpliwie Hope.

— Dobrze, tak mi się wydaje. Powiedziała, że wygląda na to, iż Harvard będzie zaszczycony, mając mnie w szeregach studentów i że lada dzień zaczną rozsyłać pierwsze listy do przyjętych kandydatów.

Chwytam talerz i zaczynam go napełniać, żałując, że kawałki sera są takie małe. Jestem bardzo głodna i mogłabym zjeść cały blok. Umierałam z niepokoju od rana przez to spotkanie i teraz, kiedy jest już po wszystkim, chcę jedynie dorwać się do stołu pełnego jedzenia.

— Przyjęli cię na mur-beton — obwieszcza Carin.

Cała nasza trójka znajduje się pod opiekuńczymi skrzydłami profesor Gibson, która całym sercem wierzy w pomoc młodym kobietom. Na kampusie działają inne sieciowe organizacje, ale ona całkowicie skupia się na rozwoju kobiecych karier i nie mogłabym być jej bardziej wdzięczna.

Dzisiejsze koktajlowe przyjęcie jest zorganizowane dla jej studentek, by poznały członków wydziałów najbardziej konkurencyjnych programów dla absolwentów w kraju. Hope celuje w miejsce na Harvard Medical School, a Carin mierzy w Instytut Technologiczny w Massachusetts.

Tak, tak, to morze estrogenu w domu profesor Gibson. Poza jej mężem obecnych jest zaledwie kilku mężczyzn. Naprawdę będę tęsknić za tym miejscem po skończeniu nauki. To mój drugi dom.

— Trzymajcie kciuki — odpowiadam na słowa Carin. — Jeśli nie dostanę się do Harvardu, zostaje BC albo Suffolk. — To również świetne uniwerki, ale Harvard praktycznie gwarantuje mi posadę, którą chcę otrzymać po zakończeniu studiów — posadę w jednej z topowych kancelarii prawnych w kraju, zwanej potocznie BigLaw.

— Dostaniesz się — mówi z przekonaniem Hope. — I miejmy nadzieję, że jak tylko otrzymasz list akceptacyjny, przestaniesz się zadrećcać, ponieważ, Boże, wyglądasz na spiętą.

Obracam sztywno głową. Taak, jestem spięta.

— Wiem. Grafik ostatnio mnie dobija. Położyłam się wczoraj spać o drugiej nad ranem, bo dziewczyna, która miała zamknąć Boots & Chutes, dała nogę i zostawiła mnie ze wszystkim, a potem musiałam wstać o czwartej, by sortować pocztę. Do domu dotarłam koło południa, padłam i niemal zasnęłam.

— Nadal ciągniesz dwa etaty? — Carin strzepuje rudy kosmyk z twarzy. — Mówiłaś, że zostawisz kelnerowanie.

— Jeszcze nie teraz. Profesor Gibson powiedziała, że nie pozwolą mi pracować na pierwszym roku prawa, więc jedyne, co mogę zrobić, to odłożyć wystarczającą kwotę na jedzenie i mieszkanie przed wrześniem.

Carin odzywa się współczująco.

— Rozumiem cię. Moi rodzice zaciągają taką pożyczkę, że stać by mnie było na jakiś mały kraj.

— Chciałabym, żebyś zamieszkała z nami — mówi Hope płaczącym tonem.

— Naprawdę? Nie miałam pojęcia — żartuję. — Powtarzałaś to tylko dwa razy dziennie od początku semestru.

Marszczy w odpowiedzi swój śliczny nosek.

— Zakochałabyś się w tym domu, który wynajął dla nas tato. Ma okna do sufitu i jest tuż przy metrze. Transport publiczny — rusza kusząco brwiami.

— Jest za drogie.

— Wiesz, że dołożyłabym różnicę, a raczej moi rodzice — poprawia się. Rodzina tej dziewczyny ma więcej kasy niż potentat ropy, ale człowiek w życiu by się tego nie domyślił podczas rozmowy z nią. Jak to mówią, Hope twardo stąpa po ziemi.

— Wiem — mówię między kęsami minikiełbasek. — Ale ja czułabym się winna, a potem poczucie winy zmieniłoby się we frustrację i niechęć, a potem nie byłybyśmy już przyjaciółkami, a niebycie twoją przyjaciółką byłoby do bani.

Potrząsa głową, patrząc na mnie.

— Jeśli w jakimś momencie twoja cholerna duma pozwoli ci poprosić o pomoc, jestem tu.

— My jesteśmy — wtrąca Carin.

— Widzicie? — macham widelcem między nimi. — Właśnie dlatego, dziewczyny, nie mogłabym mieszkać z wami. Znaczą dla mnie za dużo.

A poza tym wszystko się układa. Mam prawie dziesięć miesięcy, by trochę zaoszczędzić przed rozpoczęciem zajęć. Wszystko gra.

— Przynajmniej chodź z nami na drinka, jak się skończy ta imprezka — błaga Carin.

— Muszę jechać do domu. — Robię minę. — Wpisali mnie na poranną zmianę do sortowania paczek.

— W niedzielę? — pyta wyzywająco Hope.

— Półtorej stawki. Nie mogłam odmówić. Właściwie to już niedługo powinnam się zmywać. — Kładę talerz na stole i próbuję rozeznaczyć, co się dzieje za ogromnym oknem w wykuszu. Widzę jedynie ciemność i strugi deszczu na szybie. — Im szybciej wyjadę na drogę, tym lepiej.

— Na pewno nie w taką pogodę. — Profesor Gibson pojawia się przy moim łokciu z kieliszkiem wina. — Słyszałam ostrzeżenia przed gołoledzią — temperatura spada i deszcz zmienia się w lód.

Jedno spojrzenie na twarz mojej doradczyni i wiem, że muszę się poddać. I robię to, ale z wielką niechęcią.

— No dobra — mówię — ale działałam pod przymusem. A ty — celuję widelcem w Carin — lepiej, żebyś miała lody w zamrażarce, jeśli będę musiała u was przenocować, inaczej naprawdę się wścieknę.

Wszystkie trzy się śmieją. Profesor Gibson odmaszerowuje, zostawiając nas w towarzystwie, o jakim trzy studentki ostatniego roku mogłyby pomarzyć. Po godzinie mieszania się z tłumem Hope, Carin i ja chwytamy płaszcze.

— Dokąd idziemy? — pytam dziewczyny.

— D'Andre jest w Malone's i powiedziałam mu, że tam się spotkamy — odpowiada Hope. To jakieś dwie minuty stąd samochodem, więc powinniśmy dać radę.

— Serio? Malone's? To knajpa hokeistów — zawodzę. — Co tam robi

D'Andre?

— Pije i czeka na mnie. Ponadto tobie trzeba seksu, a sportowcy to twój ulubiony typ.

Carin parska śmiechem.

— Jedyne typ.

— Hej, gustuję w sportowcach nie bez powodu — stwierdzam.

— Tak, tak. Słyszałyśmy już. — Przewraca oczyma. — Potrzebujesz odpowiedzi na pytania ze statystyki? Znajdź matematycznego maniaka. Chcesz zaspokoić fizyczne potrzeby? Idź do sportowca. Ciała są narzędziami, którymi dysponują sportowe elity. Dbają o nie, wiedzą, jak z nich korzystać, bla, bla, bla. — Carin robi lewą dłonią gest, jakby ujadła.

Macham jej środkowym palcem.

— Ale seks z kimś, kogo się lubi, jest o niebo lepszy. — Tą mądrością raczy nas Hope, która jest z D'Andre, futbolistą. Kręcą ze sobą od pierwszego roku.

— Ale ja ich lubię — protestuję. — ...używam ich tylko przez godzinę czy coś.

Chichoczymy wspólnie, aż Carin przywołuje imię faceta, który zaniżył średnią.

— A pamiętasz Grega „Dziesięć Sekund”?

Wzdrygam się.

— Po pierwsze, bardzo ci nie dziękuję za odświeżenie tych złych wspomnień, a po drugie, wcale nie zaprzeczam, że i w tej grupie zdarzają się porażki. Generalnie jednak szanse są lepsze ze sportowcem.

— A hokeiści to porażki? — pyta Carin.

Wzruszam ramionami.

— Skąd mam wiedzieć. Nie wykreśliłam ich z listy potencjalnych kandydatów z powodu ich występów w łóżku, ale dlatego, że to

megauprzywilejowane dupki, mogące liczyć na specjalne względy profesorów.

— Sabrino, dziewczyno, odpuść już — zaleca mi Hope.

— O nie. Hokeiści nie przebrną przez eliminacje.

— Boże, ale zobacz tylko, co ci przechodzi koło nosa. — Carin oblizuje wargi z przesadnym pożądanym. — Ten brodac na przykład? Chcę wiedzieć, jak to jest. Brodacze są na mojej liście do zaliczenia przed śmiercią.

— To do dzieła. Mój bojkot hokeistów oznacza po prostu więcej kasek dla ciebie.

— Pełna zgoda, ale... — uśmiecha się złośliwie. — Mam ci przypomnieć, że jednego zaliczyłaś? Pan puszczański Di Laurentis?

Uch! O tym wypadku nie chcę już słyszeć.

— Po pierwsze, byłam totalnie pijana — burczę. — Po drugie, mówimy o sytuacji z drugiego roku. A po trzecie, to przez niego skreśliłam wszystkich hokeistów.

Mimo że Uniwersytet Briar ma mistrzowską drużynę futbolową, znany jest jako uczelnia hokejowa. Chłopaki z łyżwami na nogach są traktowani jak bogowie. Dobry przykład — Dean Heyward Di Laurentis. Ma ten sam co ja wiodący przedmiot, czyli nauki historyczne, więc niektóre zajęcia mieliśmy razem, włączając w to statystykę na drugim roku. Cholernie trudny przedmiot. Wszyscy walczyli o przetrwanie.

Wszyscy oprócz Deana, który pieprzył się z asystentką.

I — uwaga! — ona wstawiła mu piątkę, na co absolutnie nie zasługiwał. Wiem to na pewno, bo zostaliśmy sparowani na ostatnie zadanie i widziałam śmieci, które oddał.

Kiedy się dowiedziałam, że dostał piątkę, chciałam odrąbać mu fiuta. To było nie fair. Wypruwałam sobie żyły na tym przedmiocie. Kurde, wszędzie

wypruwałam sobie żyły. Każde zaliczenie splamiłam krwią, potem i łzami. A tymczasem jakiś pieprzony dupek dostaje cały świat podany na tacy.

Pierdolić. To.

— Znów się wścieka — Hope szepcze teatralnym szeptem do ucha Carin.

— Rozmyśla o tym, jak Di Laurentis dostał piątkę z tamtego jednego przedmiotu — odpowiada Carin scenicznym szeptem. — Naprawdę potrzeba jej rżnięcia. Ile to już czasu minęło?

Zaczynam pokazywać jej środkowy palec, gdy dociera do mnie, że nie pamiętam, kiedy ostatnio się z kimś przespałam.

— To był, ee, Meyer? Chłopak od lacrosse. We wrześniu. A po nim był Beau... — Rozpływam się w uśmiechu. — Ha! Widzisz? Minał ledwie miesiąc. Nie trzeba włączać krajowego alarmu.

— Dziewczyno, ktoś z grafikiem jak twój nie ma pozwolenia na miesiąc bez seksu — odparowuje Hope. — Jesteś chodzącym kłębkim stresu, co oznacza, że potrzebujesz dobrego rypania przynajmniej... raz dziennie — stwierdza.

— Co drugi dzień — kłóci się Carin. — Niech ogródek tej paniarki ma trochę wypoczynku.

Hope potakuje.

— Dobra. Ale dziś wieczorem ta muszelka sobie nie odpocznie.

Parskam śmiechem.

— Słyszałaś, B? Zostałaś nakarmiona, zaliczyłaś popołudniową drzemkę, a teraz czas na seks — oznajmia Carin.

— Ale Malone's? — powtarzam z rezerwą. — Ustaliłyśmy już, że tam się roi od hokeistów.

— Nie tylko. Założę się, że Beau też tam jest. Chcesz, żebym zapytała D'Andre? — Hope chwyta za telefon, ale potrząsam przecząco głową.

— Z Beau schodzi za dużo czasu. Na przykład zachciewa mu się rozmów

podczas seksu. A ja chcę zrobić, co trzeba, i wyjść.

— Oooch, rozmowy! Co za tragedia.

— Zamknij się już.

— Zmuś mnie. — Hope obraca gwałtownie głowę, jej długie warkocze uderzają o mój płaszcz, a potem opuszcza dom profesor Gibson.

Carin wzrusza ramionami i podąża za nią, a po sekundzie wahania dołączam i ja. Płaszcz nam przemakają, zanim dobiegamy do samochodu Hope, ale na głowach mamy kaptury, więc nasze włosy przetrzymują ulewę.

Dziś wieczorem naprawdę nie jestem w nastroju na flirty z jakimiś facetami, ale nie mogę zaprzeczyć, że moje przyjaciółki mają rację. Od tygodni żyję w stresie i przez te ostatnie kilka dni z całą pewnością odczuwałam... swędzenie. Tego rodzaju swędzenie, które można podrapać jedynie twardym, wyrzeźbionym ciałem i, miejmy nadzieję, fiutem w ponadprzeciętnym rozmiarze.

Tyle że jestem bardzo wybredna, jeśli chodzi o facetów, z którymi sypiam, i kiedy pięć minut później wchodzimy z dziewczynami do środka, jest dokładnie tak, jak się obawiałam — w Malone's roi się od hokeistów.

Ale hej, jeśli takie karty dostałam w rozdaniu, no to przecież nie zaszkodzi zagrać i przekonać się, co z tego wyniknie.

Mimo wszystko z zerowymi oczekiwaniami podążam za dziewczynami do lady przy barze.

Rozdział 2

Tucker

— O nie, do cholery! Trzymaj się od niej z daleka, młody. Toksyczna sztuka.

Dean dzieli się swą (zazwyczaj chybioną) wiedzą z naszym nowym lewoskrzydłowym z pierwszego roku, Hunterem Davenportem, gdy chronię się w Malone's przed strugami lejącego deszczu.

Warunki na drogach są do dupy i jakoś szczególnie nie mam ochoty na siedzenie w knajpie, ale Dean uparł się, że musimy się rozerwać. Cały dzień nerwowo kręcił się po domu, upierdliwy jak diabli i wyraźnie wkurzony, ale kiedy zapytałem go o to, wzruszył ramionami i powiedział, że był nabuzowany.

Może i uchodzę za cichego w porównaniu z moimi głośnymi współlokatorami, ale głupi nie jestem. I, rzecz jasna, nie muszę być pieprzonym detektywem, by zebrać wskazówki do kupy.

Allie Hayes, najlepsza przyjaciółka dziewczyny innego współlokatora, spała u nas wczoraj wieczorem.

Dean to kobieciarz.

Laski uwielbiają Deana.

Allie to laska.

A zatem Dean przespał się z Allie.

Dodam, że po całym salonie walały się ciuchy, ponieważ Dean jest fizycznie niezdolny do uprawiania seksu w swojej sypialni.

Jeszcze się do tego nie przyznał, ale jestem pewien, że w końcu pęknie.

I jestem też pewien, że cokolwiek między nimi zaszło ostatniej nocy, Allie nie ma ochoty na powtórkę. Chociaż czemu to akurat miałyby martwić Deana, króla jednego wyskoku, to jeszcze nie rozgryzłem.

— Nie wygląda mi na toksyczną — Hunter przeciąga samogłoski, gdy strząsam wodę z włosów.

— Hej, Fido, weź się osusz gdzie indziej — Dean gdera w moją stronę.

Przewracam oczami i podążam za wzrokiem Huntera, który niczym Super Glue przykleił się do szczupłej brunetki, która siedziała przy długiej ladzie odwrócona do nas twarzą. Widzę krótką spódniczkę, zabójcze nogi i gęste czarne włosy opadające na plecy. Nie wspominając o najokrągłym, najjędrniejszym, najseksowniejszym tyłeczku, jaki kiedykolwiek miałem przyjemność podziwiać.

— Niezła — zauważam, zanim odwracam się, szczerząc do Deana. — Założę się, że już ją zarezerwowałeś?

Jego twarz blednie z przerażenia.

— Zapomnij. To Sabrina, brachu. Wystarczy, że codziennie zawraca mi dupę na zajęciach. Nie mam ochoty, by mi ją zawracała po szkole.

— Czekał, to jest Sabrina? — mówię wolno. To jest dziewczyna, którą Dean uznał za swoją nemezis? — Bez przerwy widuję ją na kampusie, ale nie skapowałem, że to właśnie na nią tak psioczysz.

— To już wiesz.

— Cholerna szkoda. Bo naprawdę miło na nią popatrzeć. — Bardziej niż miło, właściwie. W słowniku obok słówka „wspaniały” znajduje się zdjęcie tyłka Sabriny. Może też być obok słów „zachwycający”, „zajebisty” oraz „petarda”.

— O co wam chodzi? — piszczy Hunter. — To twoja była?

Dean się wzdryga.

— Kurwa, nie.

Pierwszak zaciska usta.

— Więc nie złamię braterskiego kodu, jeśli się do niej przystawię?

— Chcesz do niej startować? Zwariowałeś. Ostrzegam cię, ta dziwka pożre cię żywcem.

Odwracam twarz, żeby ukryć uśmiech. Wygląda na to, że ktoś jednak dał kosza Deanowi. Z całą pewnością między nimi do czegoś doszło, ale nawet gdy Hunter próbuje wycisnąć z Deana coś więcej, ten nie dzieli się żadnymi informacjami wywiadowczymi. A tymczasem Sabrina stojąca po drugiej stronie sali odwraca się. Prawdopodobnie czuje trzy pary oczu świdrujące jej tyłek — z czego dwie są cholernie głodne.

Jej spojrzenie krzyżuje się z moim i zastyga w bezruchu. W oczach dziewczyny pojawia się wyzwanie i mój wewnętrzny zawodnik od razu staje do pionu, by stawić mu czoła.

Wystarczy mi? — wydaje się pytać.

Gdybyś tylko wiedziała, moja droga.

Pożądliva iskra rozpala jej spojrzenie — dopóki nie spada ono na Deana.

Pełne usta Sabriny natychmiast się zaciskają, a w naszym kierunku wędruje środkowy palec.

Hunter jęczy i mruży coś pod nosem o pogrzebanych przez Deana szansach. Ale Hunter to dzieciak, a ta dziewczyna ma w sobie wystarczająco dużo ognia, by podpalić cały świat. Nie potrafię sobie wyobrazić, że chciałaby zabrać osiemnastolatka do łóżka, szczególnie gdy on przy pierwszej przeszkodzie przewiduje porażkę. Ten dzieciak musi popracować nad mięśniami, jeśli chce się bawić z dużymi chłopcami.

Grzebię w kieszeniach w poszukiwaniu gotówki.

— Idę po piwo. Potrzebujecie dolewki?

Obaj potrząsają przecząco głowami. Po spełnieniu przyjacielskiego obowiązku udaję się do baru i Sabriny, w samą porę, gdyż barman podaje jej

drinka.

Kładę dwudziestkę.

— Ja płacę i do tego podaj mi Millera, jeśli znajdziesz minutę.

Barman chwyta banknot i oddala się do kasy, zanim Sabrina zdąży zaoponować. Obdarza mnie kontemplacyjnym spojrzeniem, a potem podnosi piwo do ust.

— Nie prześpię się z tobą, bo kupiłeś mi drinka — mówi znad butelki.

— No myślę — odpowiadam, wzruszając ramionami. — Mam wyższe standardy niż to.

Częstując ją uprzejmym skinieniem i powolnym krokiem wracam do stołu, gdzie zebrało się kilku chłopaków z drużyny. Czuję, jak jej oczy wwiercają się w moje plecy. Ponieważ nie może mnie zobaczyć, pozwalam, by uśmiech satysfakcji rozgościł na mojej twarzy. To dziewczyna przyzwyczajona do tego, że się za nią lata, co oznacza, że w moim pościgu muszę zastosować małą niespodziankę.

Przy stole Hunter mierzy wzrokiem kolejny pakiet dziewczyn, a Dean ślęczy nad telefonem — prawdopodobnie pisze do Allie. Zastanawiam się, czy reszta chłopaków wie, że wczoraj zabalowali. Pewnie nie. Garrett i Logan do jutra są w Bostonie ze swoimi dziewczynami, więc jest szansa, że wciąż nie mają o niczym pojęcia. Ale Garrett stanowczo powiedział Deanowi, by trzymał łapy z dala od Allie. Nie chciał, by jakakolwiek afera zakłóciła jego obecnie perfekcyjne życie z najlepszą przyjaciółką Allie, Hannah.

Biorąc pod uwagę, że nie doszło do żadnych wybuchów ani gorączkowych telefonów, założę się, że Dean i Allie zatrzymają wczorajszy wyskok tylko dla siebie.

Właśnie gdy Hunter otwiera buzię, by zapodać jakiś kiepski tekst do jednej z dziewczyn, która pojawiła się przy stoliku, światła migoczą złowieszczo.

Dean marszczy się.

— To apokalipsa tam na zewnątrz czy coś?

— Faktycznie, leje mocno — mówię.

Dean decyduje się spadać do domu. Ja zostaję, chociaż nie miałem ochoty na przyjście do knajpy dziś wieczorem. Nie wiem dlaczego, ale ta krótka wymiana zdań z Sabriną bardzo mnie nakręciła.

To nie tak, że w moim życiu jest niedobór dziewczyn. Może i nie przechwalam się zdobyczami jak Dean czy Logan albo inni kumple z drużyny, ale mam się z kim zabawić. A nawet pozwalam sobie na jednorazowe przygody, jeśli tego chcę.

I właśnie w tej chwili mam na to ochotę.

Chcę Sabrinę pod sobą. Na sobie. Gdziekolwiek zechce się usadowić, będzie dobrze. I pragnę tego tak bardzo, że muszę przeciągnąć ręką po brodzie, żeby nie ulec pokusie, by opuścić ją niżej i podrapać coś innego.

Wciąż nie jestem pewien, co sędzę na temat brody. Zapuściłem ją w czasie mistrzowskich rozgrywek zeszłej wiosny, ale rozrosła się w niekontrolowany sposób jak u człowieka z gór, więc latem ją zgoliłem. Potem znów odrosła, bo jestem cholernym leniuchem i ścinanie jej na krótko jest o niebo łatwiejsze niż golenie do zera.

— Siadaj, człowieku — zachęca mnie Hunter. Jego oczy aktywnie telegrafują, że one są trzy, a nas dwoje, ale te dziewczyny, choć ładniutkie, wcale mnie nie interesują.

— Wszystkie twoje, mały.

Opróżniam butelkę i wracam do baru, przy którym nadal stoi Sabrina. Zbliżyło się też kilku innych drapieżników. Rzucam im wszystkim ciężkie spojrzenie i wślizguję się w świeżo zwolnioną przestrzeń obok niej.

Opieram łokieć za plecami o bar, dając jej iluzję przestrzeni. Przypomina mi trochę nieujarzmionego źrebaka: dzikie oczy, długie nogi

i niewypowiedziana obietnica najlepszej jazdy w twoim życiu. Ale jeśli za szybko wyciągniesz dłoń, spłoszy się i nie będzie szans, by go złapać.

— Więc jesteś przyjacielem Di Laurentisa?

Słowa są rzucone mimochodem, ale biorąc pod uwagę, że ona i Dean nie przepadają za sobą, prawdopodobnie jest tylko jeden sposób na odpowiedź, czyli zaprzeczanie wszystkiemu.

Tyle że nie zrobię tego kumpłowi, nawet za seks. Mam gdzieś, co Sabrina ma do Deana, podobnie jak opinia Deana o niej nie wpłynie na to, co chcę z nią zrobić. Poza tym głęboko wierzę w powiedzenie, że jak zaczniesz, tak skończysz.

— Jest moim współlokatorem.

Nie wysiła się ani trochę, by ukryć niesmak, i zaczyna mnie spławiać.

— Dzięki za drinka, ale moje przyjaciółki machają do mnie. — Kiwa głową w kierunku grupy dziewczyn.

Badam tłum i ani jedna para oczu nawet nie patrzy w naszym kierunku, więc odwracam się do niej, potrząsając smutno głową.

— Na pewno stać cię na coś lepszego. Jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, powiedz mi to. Wyglądasz na dziewczynę, która wie, czego chce i nie boi się tego powiedzieć.

— Tak ci powiedział Dean? Założę się, że nazwał mnie dziwką, co?

Tym razem decyduję się trzymać język za zębami. A do buzi wlewam łyk piwa.

— Ma rację — kontynuuje. — Jestem i nie jest mi przykro z tego powodu.

Tak słodko wysuwa podbródek. Uszczypnąłbym go, ale myślę, że mógłbym stracić kilka palców, a przecież będę ich potrzebować wieczorem. Planuję wędrować nimi po całym jej ciele.

Bierze kolejny łyk piwa, które jej kupiłem. Obserwuję, jak delikatne mięśnie w jej gardle pracują. Kurwa, ale jest piękna. Dean mógł powiedzieć,

że wysysa życie z małych dzieci, a i tak bym tu wylądował. Ma w sobie coś magnetycznego, co przyciąga nie tylko mnie. Połowa męskiej populacji w barze piorunuje mnie zawistnym wzrokiem. Przesuwam nieznacznie ciało, by ją zasłonić.

— Okej — mówię beztrąsko.

— Okej? — Na jej twarzy widnieje najśłodszy wyraz zakłopotania.

— Aha. To ma mnie odstraszyć?

Jej idealnie ukształtowane brwi zbiegają się.

— Nie wiem, co jeszcze powiedział, ale nie jestem łatwa. Nie mam nic przeciwko przygodnym numerkom, ale jestem wybredna, jeśli chodzi o to, kogo wpuszczam do łóżka.

— O tym nic nie mówił. Tylko że truć mu dupę. Ale oboje wiemy, że *ego* Deana jest odporne na ciosy. Pytanie brzmi: Czy ty nie jesteś w nim zabujana? Biorąc pod uwagę, że potrafisz gadać tylko o nim, to na to mi właśnie wygląda. — Wzruszam ramionami. — Jeśli tak, zmywam się od razu.

Dean wyraził się jasno, że nie żywi uczuć do Sabriny, ale chcę się upewnić, że i po jej stronie nie ma żadnych żywych emocji. Gdy o nim wspominała, jej ton zabarwiał się wściekłością, ale bez goryczy, co biorę za dobrą monetę. Gniew może wynikać z różnych rzeczy. Rozgoryczenie zazwyczaj ze zranionych uczuć.

Kiedy (nie jeśli) wskoczymy razem do łóżka, to dlatego, że ona będzie chciała być ze mną. Nie ma to być sposób na odzyskanie Deana.

Sabrina syczy spojrzeniem nad moim ramieniem, do miejsca, gdzie wciąż siedzi mój kumpel z drużyny, a potem wzrokiem wraca do mnie. Przez chwilę pijemy w milczeniu. Jej czekoladowobrązowe oczy są trudne do odczytania, ale czuję, że ostrożnie waży moje słowa. Może oczekuje, bym to ja zajął się gadaniem, wypełnił ciszę, ale biorę ją na przeczekanie. Daje mi to

czas na przyjrzenie się jej z bliska. I z tej odległości jest jeszcze piękniejsza.

Ma nie tylko tyłek światowej klasy, ale i nieskończenie długie nogi. A cycki są z rodzaju tych, dla których facet jest gotów się nawrócić. Jak w „dzięki ci, Jezu, za stworzenie tej cudownej istoty” oraz „proszę, o Panie, niech nie będzie lesbijką”. Jawne niegapienie się na te cudne krągłości unoszące się pod jej topem to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jaką musiałem zrobić.

W końcu Sabrina odstawia butelkę na bar.

— To, że jesteś śliczny, nie oznacza jeszcze, że jestem zainteresowana.

Uśmiecham się szeroko.

— Od czegoś trzeba zacząć.

W kącikach jej ust pojawia się, choć niechętnie, uśmiech. Wyciera dłoń o spódnicę i wyciąga ją.

— Jestem Sabrina James. Słyszałam już te wszystkie kawały o byciu jędzą, i nie, nie bujam się w Deanie.

Biorę jej dłoń w moją i wykorzystuję ten kontakt, by przyciągnąć ją do siebie o centymetr bliżej. To polityka małych kroków.

— John Tucker. Miło mi to słyszeć, ale powinnaś wiedzieć, że Dean jest dla mnie jak brat. Wspieramy się na lodzie od czterech lat, a od trzech mieszkamy razem, planuję być drużbą na jego ślubie i mam nadzieję, że on zrobi to samo. Jednak to tylko przyjaciel, a nie mój tatuś.

— Czekaj, żenisz się? — pyta zdezorientowana.

To nawet zabawne, że z tego wszystkiego, co powiedziałem, uczepiła się właśnie tego. Przeciągam gładko dłonią po zewnętrznej stronie jej ręki i luźno otaczam palcami jej nadgarstek.

— W przyszłości, moja droga. W przyszłości.

— Och. — Podnosi butelkę piwa i odkłada ją, kiedy widzi, że jest pusta.
— Czekaj. Ty chcesz się ożenić?

— Kiedyś w końcu tak. — Chichoczę, widząc jej zdumienie. — Nie dzisiaj, ale taak, pewnego dnia zechcę się ożenić i mieć dziecko albo nawet i troje. A ty?

Podchodzi barman i macham kolejną dwudziestką w jego kierunku.

Ale Sabrina potrząsa głową.

— Prowadzę. Jedno piwo to mój limit.

Zamawiam dla nas wody i barman szybko wraca z dwoma wysokimi szklankami.

Światła znów migają, skręcając mi kiszki w potrzebie działania. Muszę się streszczać, bo inaczej całkowicie stracę szansę.

— Dzięki — mówi, popijając wodę. — I nie. Nie widzę siebie z dziećmi czy mężem w najbliższej przyszłości. A poza tym, myślałam, że wy, hokeiści, lubicie używać sobie na całego.

— W którymś momencie nawet ci najwspanialszy przechodzą na emeryturę. — Uśmiecham się ironicznie znad szklanki.

Śmieje się.

— No dobra. Niech ci będzie. A więc John, jaki jest twój główny przedmiot?

— Tucker. Wszyscy nazywają mnie Tucker albo Tuck. I zarządzanie.

— Więc potrafisz zagospodarować tę swoją hokejową kasę?

Nadal nie puściłem jej nadgarstka i z każdą wymianą zdań skracam dystans między nami.

— A nie. — Kiwnięciem głowy wskazuję na kolano. — Jestem za wolny na zawodowstwo. W liceum oberwałem. Jestem wystarczająco dobry tutaj, żeby załapać się na stypendium, ale znam swoje możliwości.

— Och, przykro mi. — W jej głosie wybrzmiewa szczyry żal.

Dean to głupek. Ta dziewczyna jest słodka. Nie mogę się doczekać, by przyłożyć do niej usta.

I ręce.

I zęby.

I mojego twardego jak skała fiuta.

— Niech ci nie będzie. Mnie nie jest.

Przesuwam rękę po barze do momentu, aż Sabrina w zasadzie stoi w pierścieniu moich rąk. Jej stopy są wciśnięte między moje i jeśli przesunę biodra nieznacznie do przodu, będę w stanie ją dotknąć, o co błaga moje ciało. Ale jeśli miałbym wymienić jedną rzecz, której nauczyłem się, grając w hokeja przez te wszystkie lata, byłoby to, że cierpliwość się opłaca. Nie oddajesz natychmiastowego strzału, kiedy twój kij dostaje krążek. Czekasz na odpowiedni moment, gdy droga będzie wolna.

— Tak serio, to nigdy tego nie chciałem — dodaję. — A myślę, że to jedna z tych rzeczy, której naprawdę trzeba pragnąć.

I wtedy Sabrina wchodzi do gry. Mogę strzelać.

— A czego pragniesz ostatnimi czasy?

— Ciebie — odpowiadam bez ogródek.

Dzieją się dwie rzeczy. Światła gasną kompletnie i ona prawie upuszcza szklankę. Szafa grająca milknie i nagle bar wydaje się o niebo za cichy. Wokół nas rozlega się kilka piskliwych salw śmiechu oraz parę przerażonych wrzasków.

— Spokojnie, dzieciaki, nie naróbcie w gacie — wrzeszczy jeden z barmanów. Sprawdzimy, co się dzieje. Generatory powinny zadziałać lada sekunda.

Jak na zawołanie w powietrzu rozlega się szum, a potem przyćmione światło rozjaśnia zatłoczoną salę.

— Nadal jesteś spragniona? — pytam, głaszcząc wewnętrzną stronę jej nadgarstka długimi, łagodnymi ruchami. W górę do łokcia i w dół do nadgarstka. Powtarzam. I jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze.

Jej spojrzenie opada na nasze połączone dłonie i rozszerza się, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że dotykamy się od jakichś dziesięciu minut. Pochyliłam się blisko i ocieram nosem o zewnętrzny płatek jej ucha, wypełniając płuca jej pikantnym zapachem.

Mógłbym tu stać cały dzień. Jest coś wspaniałego w przedłużaniu niecierpliwego wyczekiwania aż do chwili, gdy staje się to niemal bolesne. To podsyca eksplozję wytrysku. Coś mi mówi, że seks z Sabriną James to będzie totalny odlot.

Nie mogę się doczekać.

Po wzięciu głębokiego oddechu, takiego, co popycha jej perfekcyjne cycki na moją klatkę, odsuwa się — nie za daleko, ale wystarczająco, by stworzyć szczelinę.

— Związki mnie nie interesują — mówi bez ogródek. — Jeśli to zrobimy.

— Co zrobimy? — Nie mogę się powstrzymać od droczenia.

— To. Przestań się zgrywać, Tucker. Stać cię na więcej.

Parskam śmiechem.

— No dobra. Niech będzie... — Macham ręką. — Kontynuuj...

— Jeśli to zrobimy — powtarza — to chodzi tylko o seks. Żadnych niezręcznych poranków po wszystkim. Żadnych numerów telefonów.

Głaszczę ją jeszcze jeden raz, a potem puszczam i pozwalam, by odczytała z mojego milczenia, co tylko chce. Szczerze wątpię, by jednorazowy numerek okazał się dla nas wystarczający, ale jeśli ona dziś wieczorem musi w to wierzyć, nie mam nic przeciwko.

— No to chodźmy.

Jej usta się wykrzywiają.

— Teraz?

— Teraz. — Oblizuję dolną wargę językiem. — Chyba że chcesz posiedzieć tu trochę dłużej i pokręcić się dookoła faktu, że pragniemy

zdrzeć z siebie ciuchy.

Jej chropawy śmiech trafia prosto w moje jajka.

— Bardzo celne spostrzeżenie, Tucker.

Chryste. Uwielbiam sposób, w jaki moje imię wytacza się z tych pełnych, wydętych warg. Może poproszę, by je wypowiedziała, gdy będę ją doprowadzać do orgazmu.

Pożądanie narastające we mnie jest tak silne, że muszę zacisnąć pośladki i oddychać przez nos, by trochę wyhamować. Chwytam łokieć Sabriny i toruję drogę do drzwi. Kilku ludzi wykrzykuje moje imię albo klepie mnie po plecach, by mi pogratulować meczu. Ignoruję ich wszystkich.

Na zewnątrz wciąż leje. Przyciągam Sabrinę bliżej i unoszę czarno-srebrną kurtkę nad jej głową. Na szczęście mój wóz stoi blisko.

— Tam.

— Niezłe miejsce — komentuje.

— Nie mogę narzekać. — To bonus za bycie rozgrywającym w wygrywającej mistrzostwo drużynie hokejowej na uniwerku.

Pomagam jej włączyć się do mojego pikapa, potem wślizguję się na fotel kierowcy i włączam silnik.

— Dokąd?

Wzdryga się nieznacznie, choć nie jestem pewien, czy to z zimna, czy z innego powodu.

— Mieszkam w Bostonie.

— No to do mnie. — Bo nie ma, kurwa, mowy, że wytrzymam godzinę za kierownicą podczas jazdy do miasta. Mój ptak by eksplodował.

Sabrina kładzie dłoń na moim nadgarstku, zanim zdążę przesunąć dźwignię na bieg wsteczny.

— Mieszkasz z Deanem. Nie będzie to dla ciebie niewygodne?

— Nie, dlaczego miałyby być?

— Sama nie wiem. — Jej palec wskazujący przesuwają się, by pogłaskać moje knykcie.

Zaciskam zęby, bo moja erekcja niemal przebija się przez zamek. Po wyjściu z knajpy nie pocałowałem jej tylko dlatego, że gdybym zaczął, najprawdopodobniej przeleciałbym ją na ścianie budynku. Ale teraz ona mnie dotyka i moja samokontrola jest bardziej ulotna niż chmura dymu.

— Zróbmy to tutaj — mówi stanowczo.

Marszczę się.

— W pikapie?

— A czemu nie? Potrzebujesz świeczek i płatków róży? To tylko seks — upiera się.

— Moja droga, powtórz to jeszcze raz, a zacznę się zastanawiać, czy ty naprawdę chcesz przekonać właśnie mnie. — Wstrzymuję oddech, gdy kciukiem zaczyna zakreślać maleńkie kółka na mojej dłoni. Pierdolić to. Za bardzo jej pożądam. — Ale dobrze. Życzysz sobie w tym wozie, to będzie w wozie.

Bez słowa sięgam pod siedzenie i przesuwał je tak daleko, jak się da. Potem ściągąm kurtkę i rzucam ją na tylne siedzenie.

— Masz jakieś wytyczne na okazje typu tylko seks? — przeciągam samogłoski. — Jak na przykład żadnego całowania w usta czy coś?

— No co ty. Wyglądam jak Julia Roberts?

Marszczę czoło.

— *Pretty woman*? — podpowiada. — Dziwka ze złotym sercem? Żadnego całowania w usta?

Uśmiecham się.

— Więc chcesz powiedzieć, że będziesz całowała te usta? — Klepię się po kłacie, żeby wiedziała, że chodzi jej o mnie i nie mam na myśli, że jest dziwką.

Parska śmiechem.

— Jeśli nie będziemy się całować, to się wkurzę. Potrzebuję całowania. W innym wypadku zostałabym po prostu w domu z moim wibratorem.

Uśmiech pojawia się na mojej twarzy. Z plecami dociśniętymi do okna i butem na desce rozdzielczej robię kołyskę dla jej rozpalonego ciała i zapraszam ją gestem do siebie.

— No to chodź tu i bierz, co ci trzeba.

Rozdział 3

Sabrina

Tucker siedzi z uśmiechem na twarzy i olbrzymią erekcją w spodniach. Mój język wyslizguje się, by zwilżyć wargi, a podniecenie buzuje w żyłach. Boże, ale fajnie będzie poczuć tego potwora w sobie.

Omiotam wzrokiem jego starannie przyciętą brodę i zastanawiam się, czy powinnam pozwolić Carin na skosztowanie tego rudzielca. W końcu brodacze byli na jej liście rzeczy do zaliczenia przed śmiercią. Ale teraz to ja zastanawiam się, jak to będzie czuć między nogami ten kilkudniowy zarost. Delikatnie? Drapiasto? Zaciskam mocno uda z niecierpliwego wyczekiwania.

Hope i Carin naprawdę miały rację. Muszę się z kimś przespać, i hokeista czy nie, wierzę, że Tucker to właściwy facet do tego zadania. Jest pewny siebie, ale bez rozdmuchanego *ego*, co jest największym afrodyzjakiem. Gdy powiedział „ciebie” w odpowiedzi na moje pytanie, czego pragnie, niemal doszłam w gatkach.

I wydaje się opanowany, jakby nawet trzęsienie ziemi nie robiło na nim wrażenia. Sposób, w jaki poparł Deana, również zasługuje na podziw, choć wiem, że źle ulokował tę lojalność. Tucker musiał mieć świadomość, że kłamstwo na temat przyjaźni z Deanem zwiększyłoby jego szanse, ale wybrał szczerość, którą cenię sobie ponad wszystko.

— Potrzebujesz jakichś wskazówek? — Jego głos jest niski i chropawy, a przy tym wydłuża sylaby. Wskaa-zóww-kiiii.

Słodki Jezu, ten akcent.

— Po prostu rozważam opcje. — Strasznie mi się podoba, że on tak siedzi

i instruuje, bym brała, co mi trzeba. Jakby jego wielka pała istniała tylko dla mnie.

Nie mogę się doczekać, ale jednocześnie trudno mi zdecydować, czego chcę najpierw. Ślinię się na myśl o jego penisie ciągnącym się po moim języku, ale jednocześnie odczuwam ból tam na dole z niecierpliwego wyczekiwania na rozciągnięcie mnie i wypełnienie po brzegi.

— Może zaczniesz od całowania, które tak bardzo lubisz? — sugeruje.

Spotykam jego rozpalone spojrzenie.

— A gdzie? — pytam wstydliwie, co jest dziwne, bo ja nigdy nie jestem nieśmiała. Ale coś w jego pewności siebie onieśmiela kobietę we mnie i stwierdzam, że wcale mi to nie przeszkadza.

Klepie palcem dolną wargę.

— Dokładnie tutaj.

Uwodzicielsko, jak to tylko możliwe, przeczołguję się przez deskę na jego kolana, pozwalając szpilkom opaść na podłogę. On rozchyła zapraszająco usta, ale nie przyciskam się natychmiast do jego warg.

Zamiast tego przebiegam opuszkami palców po jego brodzie, z jednej strony szczęki na drugą.

— Miękka — mruczę.

Jego oczy ciemnieją i wypełniają się taką żądzą, że oddycham z trudem. Aż w końcu chwytą mnie, zmęczony tym całym czekaniem i gadaniem.

Nasze usta przywierają do siebie. Zanurza dłoń w moich włosach i nie jestem pewna, czy robi to, by zyskać lepszy ką, czy żeby mieć punkt oparcia podczas tej inwazji. Tak czy siak jego język sprawia, że czuję magiczne rzeczy tam na dole. Zapominam już, dlaczego omal go nie splawiłam.

No bo przecież ten wzrost i seksapil, i ciemne kasztanowe włosy, i zmierzwiona broda. Dlaczego w ogóle się wahałam? A, no tak. Ponieważ to hokeista.

Odrywam usta i dyszę.

— Dla pełnej jasności, nie znoszę hokeistów. To jednorazowa przygoda.

Tucker odgarnia moje włosy na bok, by wyeksponować moją szyję.

— Odnotowane. Nawet ci o tym nie przypomnę, kiedy będziesz błagać o drugą rundę.

Śmiejąc się, chwytam jego głowę i przytrzymuję ją, gdy on toruje sobie językiem drogę wzdłuż mojej szyi do szczytu piersi.

— To się nigdy nie zdarzy.

— Nie ograniczaj siebie tymi absolutnymi prawdami. Bez nich łatwiej się wycofać. Z większą gracją.

Słowa są nieco stłumione, bo zagrzebuje twarz w moim dekolcie. Szorstka dłoń pociąga za moją koszulę i potem słyszę sfrustrowany jęk, gdy dekolt nie obniża się wystarczająco, żeby zapewnić mu dostęp do tego, czego chce.

Dobrze, że nasze potrzeby są dopasowane. Sięgam między nami, zrywam z siebie sweter i jego usta dobierają się do sutka, zanim udaje mi się rozpiąć stanik. Sięgam po zatrzask, by go rozpiąć, ale jego dłonie szybko przepędzają moje.

Śmiech z jego podniecenia zamiera mi w gardle w chwili, gdy zaciska dłoń na jednej nagiej piersi. Wyginam się od szorstkiej pieścizoty. Minęło o niebo, o niebo za dużo czasu. Usta Tuckera zajmują się ssaniem jednego pomarszczonego sutka, a palce tymczasem szczypią i drażnią się z drugim.

Jest w tym dobry. Wie, jak głęboko ssać, jak mocno ugryźć, jak czule całować i, pomimo nabrzmiałej pałki w spodniach, zachowuje się tak, jakby całą noc mógł poprzestać jedynie na tych zabawach z sutkiem.

Zaczynam kołysać ciałem nad jego erekcją, gmerając przy spódnicy, by zeszła mi z drogi, bo chcę naprawdę go poczuć. Muszę się jej pozbyć. Chcę, by jego nagie ciało ocierało się o moje. Chcę go poczuć w sobie.

Chcę wszystkiego.

Sięgam po rąbek jego T-shirta. Nie oferuje mi pomocy, ponieważ jest teraz zbyt skupiony na moich piersiach. Zadzieram T-shirt wysoko w górę. Dopiero wtedy odzepia się ode mnie i chłodne powietrze w samochodzie sprawia, że moje sutki napinają się jeszcze bardziej.

— Nie potrzeba mi więcej gry wstępnej — mówię mu, przeciągając T-shirt przez jego głowę.

O Boże, mięśniowy alarm. Mnóstwo, całe mnóstwo napiętych, gładkich, wyrzeźbionych mięśni ślizga się pod moimi dłońmi. Jak tu nie kochać sportowców.

On wsuwa dłonie pod moją spódnicę.

— Dobrze?

Bez cienia gracji rozchyła palcami moje majtki, a potem, bez jednego ostrzeżenia, wpycha dwa w moją szparkę. To świńskie i bardzo seksowne. Powietrze świszczy między moimi zębami, gdy gwałtownie wciągam powietrze.

— Podoba mi się, a tobie? — pyta szeptem.

— Jest okej — kłamię i natychmiast zostaję ukarana wycofaniem palców.
— Dobrze. Jest mi dobrze.

W odpowiedzi wyciąga je całkowicie i teraz mokrymi palcami delikatnie obrysowuje moją łechtaczkę. Całe moje ciało napina się, zaciska i błaga o więcej.

— Tylko dobrze, tak? — drwi sobie.

Poddaję się.

— Wspaniale. Jest wspaniale.

— Wiem. — Wygląda na zadowolonego z siebie. — Przykro mi to mówić, Sabrino, ale popełniłaś duży błąd.

— Co? Dlaczego?

Ściąga ciasno moje majtki i materiał wżyna się w moje obrzmiałe wargi.

— Ponieważ obrzydę ci twoich wszystkich przyszłych facetów. Z góry przepraszam.

Potem zsuwa szarpnięciem materiał na bok i wpycha trzy palce do środka. Jestem kompletnie zaskoczona. Czuję to — czuję jego — wszędzie. Nawet w palcach u nóg. Fala podniecenia gwałtownie mnie zalewa. Jasna cholera, doprowadzi mnie do orgazmu! Czy to w ogóle możliwe?

Gapię się na niego z rozdziawioną buzią, a on szczyrzy się w odpowiedzi. Białe zęby kontrastują z opaloną skórą i brodą, całkowicie świadomy, że doprowadza mnie do szaleństwa. Jego palce znów się ruszają, dwa z nich pocierają o ten punkt, który potrafię znaleźć chyba tylko ja.

Nie przestaje pocierać tego miejsca. A ja mam orgazm. Pozwalam głowie opaść do tyłu, zaciskam powieki i poddaję się przyjemności, która wznosi się i opada w moim ciele, aż staję się jedną drżącą masą doznania.

Po chwili wracam z powrotem na ziemię, zauważam, że leżę na jego klatce i łapczywie chwytam powietrze. W życiu nie miałam tak silnego orgazmu, a ten facet nawet nie zdążył we mnie wejść. Serce wali mi jak szalone, a rozmiękczony mózg z trudnością ogarnia rzeczywistość.

To tylko facet. Normalny chłopak, przypominam sobie. Jeden fiut plus dwa jajka. Nic wyjątkowego.

— Nie uprawiałam seksu przez jakiś czas — mamroczę, gdy zaczynam oddychać normalnie. — I byłam superzestresowana. Moje ciało naprawdę potrzebowało wyżycia się.

Trzy długie palce poruszają się we mnie.

— Mów sobie, co chcesz, moja droga.

Słyszę samozadowolenie w jego głosie, ale ten facet właśnie wypalcował mi orgazm (co mi się nie zdarza), więc pewnie nie ma się co dziwić. Przeciąga opuszkami po moich wrażliwych nerwach, gdy się wycofuje, wywołując kolejny mimowolny dreszcz.

Unosi dłoń między nami i mokre palce błyszczą nawet w tej ciemnej kabinie pikapa. Nie jestem przygotowana na pełen podniecenia szok, którego doświadczam, gdy przykłada je do ust i wysysa do czysta.

Przełykam ślinę.

Jedno zręczne szarpnięcie za dźwignię i jego fotel rozkłada się na płasko. Tucker leży i znów kiwa na mnie palcem.

— Chodź tu i pieprz się z moją twarzą. Chcę skosztować tego więcej.

O. Mój. Boże! Kim jest ten facet?

Może nie powinnam podciągać spódnicy do pasa i wczołgiwać się wyżej, ale to robię. Zupełnie jakby rzucił na mnie czar i muszę wykonywać jego rozkazy.

— Lepiej się przygotuj — obwieszcza chrapliwie — bo znów doprowadzę cię do orgazmu.

— Cholerny z ciebie zarozumialec.

— Nie. Wiem, co mówię. I ty też. A teraz dawaj mi tę słodką pipkę i przejedź się na moim języku.

Och, seks z Tuckerem jest bardziej świński i gorący, niż się tego spodziewałam. Nie wygląda na takiego, co zachowuje się w ten sposób, ale w końcu cicha woda brzegi rwie, prawda?

Podoba mi się, aż za bardzo.

Jego gorący oddech ogrzewa moją skórę, gdy klękam nad jego twarzą.

— Kurwa, tak — wypowiada ostatnie słowa, zanim jego usta przywierają do mnie.

Używa nie tylko języka. W ruch idą wargi i zęby, by podrapać moją nadwrażliwą łechtaczkę. Jedną dłoń zaciska wokół moich bioder, a palcami drugiej penetruje mnie od środka. A jego język? Liże mnie długimi, omiatającymi ruchami, aż zaczynam tłumić łkanie o nadgarstek. Potem rozszerza mnie dwoma palcami i trzyma otwartą, podczas gdy jego twardy

język wpycha się we mnie.

Ma rację — naprawdę muszę się przygotować. Chwytam się boków siedzenia i przepadam. Zabiera mnie nad samą krawędź klifu i popycha w przepaść.

Drzę, dochodząc do siebie po drugim orgazmie tego wieczoru, a tymczasem Tucker unosi mnie znad twarzy i przeciąga w dół do kolan, gdzie, nie wiadomo jak i kiedy, czeka już uwolniony z dzinsów penis. Sięgam dłonią między nas i chwytam go.

— Czekaj — charczy, ale jest za późno.

Zasysam dolną wargę, gdy szeroka główka penetruje mnie powoli. Wpycham ją chciwie głębiej, chcąc się wypełnić. Jego dłonie odnajdują moje biodra i wypuszczam westchnienie czekającej mnie satysfakcji tylko po to, by krzyknąć z niezadowolenia, bo zostaję zepchnięta na bok.

— Prezerwatywa — mówi ponuro.

Zaskoczona spuszcza wzrok. Nigdy nie popełniam tego błędu. Nigdy. Moja dłoń szybuje do ust.

— Przepraszam. Przestałam kontaktować...

Gmera w swoich dzinsach, odnajduje portfel i rzuca mi go.

— Nie ma sprawy. To był tylko koniuszek.

Filuterne mrugnięcie wydobywa ze mnie spłoszony śmiech. Otwieram przegryzieniem folię i potem umieszczam gumkę na jego penisie.

— Jestem czysta — odczuwam przymus wyjaśnienia. — Przebadałam się po... — milknę, czując, że rozmowa o przygodach z przeszłości jest w złym guście, gdy cała naga szykuję się do usadowienia na czyimś fiucie. — No po. I biorę tabletki.

— U mnie też wszystko gra — mówi. Zamyka na chwilę powieki, gdy obciążam prezerwatywę wzdłuż grubej, rozgrzanej kolumny. Niski jęk uwalnia się z jego ust, a potem przepędza moją dłoń na bok, by się chwycić.

— Gotowa? — pyta, ustawiając główkę przy moim wejściu.

Nie wiem, czy kiwam potakująco, czy skomlę, czy błagam, ale jakikolwiek dźwięk wydobywa się z moich ust, musi wybrzmieć jak zgoda, ponieważ on unosi fotel zręcznym ruchem do siedzącej pozycji.

— Kurwa, ale jesteś ciasna — świszczy przez zaciśnięte zęby.

— A ty cholernie wielki — śmieję się, wiercąc się na nim.

Chwyta mnie za biodra, by przytrzymać mnie bez ruchu, i zaczyna się płytko wpychać.

— Nie ruszaj się.

— Nie mogę się powstrzymać. — Ale mi dobrze z tym tarciem. Jeśli myślałam, że jego palce i język były zaczarowane, to jego fiut posiada nadprzyrodzone moce. Czuję go wszędzie.

Wbijam się kolanami w skórzane siedzenie i opieram dłonie o jego klatkę. Mięśnie naprężają się pod moimi dłońmi i przeczesuję wzrokiem jego twarde brzuch, jasne włosy na kłacie i cienką kreskę, która prowadzi bezpośrednio do raju.

Ten widok jest równie wspaniały, co wrażenia, które zapewnia. Zastanawiam się, jak smakuje, ale na to przyjdzie jeszcze czas. W tej chwili muszę się z nim pieprzyć tak długo, aż wszelki niepokój o Harvard, pieniądze i życie rodzinne ulecą ze mnie kompletnie. Chcę być wypompowana i znalazłam idealnego faceta do tego zadania.

Rzucam się na niego. Dziki wyraz przebiega po jego twarzy, a potem duża dłoń chwyta mój tyłek. Podciąga się wyżej, znajdując gdzieś dźwignię fotela i mimo że to ja jestem na górze, to oczywiste, że on przejął kontrolę. Dokładnie tego chcę.

Ma zaciśnięte zęby i czuję dżganie palców wbitych w mój tyłek. Z każdym pchnięciem spychają mnie w dół. Zaciskam mocno uda dookoła niego i oddaję się, pozwalam, by poprowadził mnie w zapomnienie.

— Dojź dla mnie — mamrocze. — Bierz, co ci trzeba.

Jego penis pulsuje w środku mnie, a palce odnajdują łechtaczkę, głaszczą ją i drażnią, dopóki nie odpalam niczym rakietą, trzęsąc się tak mocno, że z ledwością utrzymuję równowagę.

Tucker unosi się nieznacznie, by przycisnąć mnie do swej klatki piersiowej, waląc we mnie tak mocno, że muszę unieść drżące ręce w stronę dachu furgonetki, żeby uchronić głowę.

Posuwa mnie bez chwili wytchnienia, aż nagle zmienia się w rozedrgany, bezwiedny twór, który z wielkim trudem próbuje utrzymać jakąkolwiek kontrolę. Obniża ponownie oparcie fotela, ciągnąc mnie w dół ze sobą.

Pozwalam sobie na kilka samolubnych chwil, by wyrównać oddech, rozkoszując się podparciem z szerokiej klatki piersiowej. Drżenie ustępuje miejsca zadowoleniu. Część mnie chce przeciągać ten moment w nieskończoność, gdy leżę tak wtulona w jego ciepłe ciało, a on łagodnie przesuwając dłoń wzdłuż mojego kręgosłupa.

— Jesteś pewna, że nie chcesz przenocować u mnie? — pyta.

Przez sekundę o mały włos nie mówię „tak”. Tak, na powrót do niego. Tak, na kolejną seksowną jazdę. Tak, na wspólne śniadanie, olanie pracy i spędzenie z nim całego dnia w łóżku. To pragnienie zaskakuje mnie i przeraża.

Biorę głęboki oddech i zaczynam zbierać do kupy moje opanowanie, rozpieprzone przez niego na drobne kawałki.

— Nie. Muszę wracać do domu.

Tylko seks.

Właśnie. To tylko seks. John Tucker jest dobry w łóżku. Tak dobry, że zasługuje na trofeum. Ale nie jest lepszy niż to, co dotąd przeżyłam. Tak mi się tylko wydaje przez stres, w którym ostatnio żyję. A nawet jeśli do tej pory nie zaliczyłam lepszej jazdy, to jest to jedynie kolejny dowód na moją teorię,

że sportowcy to świetni kochankowie. Wytrzymałość. Palce i język światowej klasy. Fiut, z którego można by robić odlewy dla sex shopów na większe rozmiary.

Szukam bluzki i płaszcza. Zarzucam je na siebie, nie dbając nawet, że najprawdopodobniej lądują na lewej stronie. Muszę się czym prędzej wydostać z tego wozu i wsiąść do mojego samochodu.

— Jestem gotowa — obwieszczam. — Moje auto stoi tylko kilka przecznic stąd.

Jego przystojne rysy łagodnieją.

— Wyglądasz na nieco oszołomioną.

Kręcę się niespokojnie, ale jego mina wyraża jedynie troskę.

— Wszystko dobrze — zapewniam go.

Tucker siada, usuwa prezerwatywę, związuje ją i zanurza w stosie chusteczek. Przez chwilę bawi się kluczykami, a potem odpala silnik.

— Dokąd?

Wypuszczam z ulgą powietrze.

— Forest a Big Victorian.

— Robi się.

Przemierzamy krótki dystans w ciszy. Jak tylko dostrzegam mój samochód, trudno mi zapanować nad pragnieniem ucieczki. Otwieram drzwi, zanim na dobre zatrzymuje wóz.

— Do zobaczenia — mówię beztrąsko.

— Odprowadzę cię do samochodu.

Unosi biodra, by wciągnąć dzinsy i z przerażeniem uświadamiam sobie, że wciąż jest na wpół nagi. Próbuję się nie gapić, gdy chowa swojego znów twardniejącego penisa. Mógłby z łatwością zacząć kolejną rundę.

Moje ciało aż się rwie do kontaktu, ale je ignoruję i wysiadam z pikapa. Tucker dołącza do mnie i zauważam, że ubrał T-shirt tył na przód, dzinsy

zawisły mu na linii bioder, a rozporek jest rozpięty. Przynajmniej buty ma na sobie.

Histeria bulgocze mi w gardle. Pieprzył mnie tak dobrze i nawet nie ściągnął butów?

— Pojadę za tobą do domu — mówi.

— Mówiłam ci, mieszkam w Bostonie.

Wzrusza ramionami.

— I co? Drogi są do dupy, a ja chcę mieć pewność, że dotrzesz tam bezpiecznie.

— Poradzę sobie. Pokonywałam tę drogę już z milion razy.

— To przyślij mi esemesa, gdy dojedziesz na miejsce.

— Żadnych numerów telefonów — przypominam mu, czując się dziwnie spanikowana.

— Albo esemes, albo za tobą pojadę — stanowczość rozlega się w jego głosie.

Coś mi mówi, że zaliczyłam numerka z jedynym dżentelmenem żyjącym jeszcze na tej planecie.

— No dobra. — Wyławiam telefon z kieszeni płaszcza. — Ale zabijasz wszystkie dobre wrażenia.

Jego jasnobrązowe oczy migoczą.

— Przecież to bez znaczenia, skoro więcej tego nie powtórzymy, co?

Ma pieprzoną odpowiedź na wszystko.

— Powinieneś studiować prawo — mruczę. — Dawaj mi swój numer.

Wstukuję cyfry, które recytuje, potem otwieram samochód i praktycznie rzucam się na siedzenie kierowcy. Dzięki Bogu silnik mojej czasami zawodnej hondy odpala natychmiast.

Opuszczam szybę w oknie o kilka centymetrów.

— Dobranoc, Tucker — mamroczę pospiesznie, a on odpowiada szybkim

skinieniem głowy.

Obserwuję go we wstecznym lusterku przez jakiś czas, samotna postać w świetle księżyca, a potem zmuszam wzrok do patrzenia przed siebie. Tu jest miejsce dla mojej uwagi.

Droga do domu upływa jak we mgle, chociaż mózg nieustannie odtwarza sceny z seksownej jazdy. Głupi mózg.

Tyle że... seks był ekstra. Czy faktycznie stałoby się coś wielkiego, gdybyśmy spotkali się jeszcze raz?

Parkuję na popękany asfalcie za domem i siedzę tak po prostu w ciszy jeszcze przez chwilę. Potem przeczesuję dłonią rozwichrzone seksem włosy i sięgam po telefon.

Ja: *Dojechałam*

Odpowiedź jest natychmiastowa.

On: *Dobrze. Cieszę się. Nie krępuj się skorzystać z tego numeru ponownie.*

Czy chcę z niego skorzystać, to znaczy tego faceta, jeszcze raz? Bardzo kuszące. John Tucker jest seksowny jak cholera, pieprzył się jak bóstwo i zachował taki luz, jakby nic nie mogło go zbić z tropu. Nie zadał mi żadnych trudnych pytań i nie wydawał się zainteresowany niczym poza tym, co mogłam mu zaproponować. Jak często można spotkać takiego faceta jak on?

Ja: *Będę o tym pamiętać.*

On: *Świetnie, moja droga.*

Pocieram kciukiem wargę, przypominając sobie, jak dobrze mi było, gdy mnie całował. Ach. Może i skorzystam z tego numeru jeszcze raz.

Wyczerpanie dopada mnie, gdy tylko wysiadam z samochodu. Muszę się trochę przespać, NATYCHMIAST. Jutro zapowiada się równie męcząco i długo co dzisiaj i skłamałabym, mówiąc, że ta perspektywa mnie cieszy.

Mijam drzwi, a Nana wciąż siedzi dokładnie w tym samym miejscu,

w którym ją zostawiłam. Podejrzewam, że przez te cztery czy ileś godzin, kiedy mnie nie było, ruszała się tylko po to, by wysikać dwulitrową butelkę coke stojącą na stole. Pamiętam, że gdy wychodziłam, butelka była pełna. Ale za to przed nosem ma teraz inne czasopismo. Myślę, że to „Enquirer”.

Omiata wzrokiem mój niechlujny wygląd.

— Myślałam, że pojechałaś na koktajl party. — Na jej twarzy ląduje złośliwy uśmiezek. — Wygląda mi na to, że znalazłaś się w menu.

Gorąco zalewa moją twarz. No tak. Jedno słowo Nany i świat wraca na miejsce.

Ignoruję kąśliwą uwagę i kieruję się do drzwi.

— Dobranoc — mruczę.

— Dobranoc — odpowiada, a jej chichot odprowadza mnie do mojego pokoju.

Po zamknięciu drzwi na klucz, wyciągam telefon i wyświetlam numer Tuckera. Przez jeden długi moment gapię się na niego. Kusi mnie, by coś mu napisać. Cokolwiek.

Zamiast tego przełączam się na główny wyświetlacz i wciskam „Blokuj”.

Bo nie ma znaczenia, jak bardzo jest seksowny albo do ilu orgazmów może doprowadzić, w moim życiu nie ma miejsca na powtórkę z Johnem Tuckerem.

Rozdział 4

Tucker

Podskakuję rozbudzony dźwiękiem silnika zwiększającego obroty. Na zewnątrz jest nadal ciemno, ale udaje mi się dostrzec maleńki skrawek światła na horyzoncie, szarawą smugę na ciemnym tle. Podciągam do góry dźwignię fotela i pozwalam, by mechanizm pchnął mnie do pozycji siedzącej w samą porę, by zobaczyć małą hondę civic zjeżdżającą z podjazdu Sabriny James.

Zaspany sprawdzam godzinę na desce rozdzielczej. Czwarta nad ranem. Kiedy mija mnie jej samochód, łapię wzrokiem ciemne włosy i zanim się orientuję, ruszam za nią.

Śledziłem ją do Bostonu wczoraj wieczorem, ponieważ drogi zamieniły się w ślizgawkę i martwiłem się o nią. A nie miałem pewności, że do mnie napisze. Po ostatnim orgazmie kompletnie zamknęła się w sobie. Wyraźnie widziałem, że intymna bliskość jej nie leży. Czułem, że mogłem jej powiedzieć każdą świńską rzecz, na jaką miałem ochotę, i nie miałyby nic przeciwko temu, ale na dźwięk czułego, troskliwego słowa uciekłyby w podskokach.

Prawie wyskoczyła mi z jadącego wozu, by zwać tak szybko jak się da. Ale nie czułem się urażony.

Rozciągam plecy na tyle, na ile to możliwe. Kimnąłem się tylko trochę i moje ciało mi o tym przypomina. Mogłem wybrać między kilkoma chrapnięciami albo ryzykownym powrotem po śliskich drogach. Postanowiłem więc przespać się w wozie.

Samochód Sabriny śmiga przez pomarańczowe światło, a potem ostro skręca w lewo. Gdy ją doganiam, właśnie zatrzymuje się na parkingu dla pracowników południowego oddziału poczty w Bostonie. Sekundę później opuszcza siedzenie kierowcy ubrana w mundurek, długie włosy związała w kitkę.

Uśmiech pojawia się na mojej twarzy. Piekielnie seksowna, bystra jak woda i pracuś? Kurczę. Moja mama zakochałaby się w tej dziewczynie.

*

Jadę z powrotem do Hastings z uśmiechem półgłówka na twarzy, a potem rzucam się na łóżko i śpię przez trzy nędzne godziny. Następnie wskakuję z powrotem do pikap i pędzę na kampus, żeby spotkać się z moją grupą na powtórkę, bo jutro mamy duży test z marketingu. Chociaż nie jestem pewien, czy ta sesja wkuwania o dziewiątej rano cokolwiek mi da w tym przymulonym stanie. Dwie filiżanki kawy dobudziły mnie trochę i czuję się o wiele bardziej sprawny umysłowo, gdy około jedenastej sesja się kończy.

Zamiast uderzać prosto do domu, piję trzecią kawę i wyciągam telefon. Pora powęszyć tu i tam. Raczej wolę to robić w kawiarni niż w domu, gdzie moi wścibscy współlokatorzy mogą zadawać pytania.

Wiem, że Sabrina chodzi z Deanem na te same zajęcia, ale Dean nie jest zbyt wiarygodnym źródłem w sprawie Sabriny, więc kontaktuję się z jedyną znaną mi osobą, która również studiuje nauki polityczne — Sheeną Drake. Moja eks, ale nadal się kumplujemy. Właściwie to nie przypominam sobie, bym z którąkolwiek z moich byłych się nie przyjaźnił.

Ja: *Co wiesz o Sabrinie James?*

Sheena odpisuje natychmiast, co oznacza, że albo nie imprezowała za mocno zeszłej nocy, albo imprezowała tak bardzo, że w ogóle nie trafiła do

łóżka.

Ona: *Uch. Nie cierpię jej.*

Marszczę się do telefonu.

Ja: *Dlaczego?*

Ona: *Bo jest seksowniejsza ode mnie. Jędza.*

Moje głośne parsknięcie ściąga uwagę trzech studentek siedzących przy sąsiednim stoliku. Wyskakuje kolejna wiadomość od Sheeny.

Ona: *Ale ona jest seksowniejsza od WSZYSTKICH, więc chyba nie powinnam się wściekać? Czemu o nią pytasz?*

Ja: *Wpadłem na nią wczoraj wieczorem. Zrobiła fajne wrażenie.*

Ona: *Nie mam pojęcia. Chodzimy na 2 zajęcia, ale nie jest zbyt rozmowna. Za to supermądra. Ponoć spotyka się tylko z mięśniakami.*

Popijam kawę, zastanawiając się nad tym. Coś mi się zdaje, że ma to sens, biorąc pod uwagę, jak spiknęła się ze mną wczoraj wieczorem. Telefon oznajmia brzęczeniem kolejną wiadomość od Sheeny.

Ona: *Zadurzyłeś się w niej?*

Zważywszy, że mój język, usta, palce oraz fiut zdążyły ją całą spenetrować, coś mi się wydaje, że etap zadurzenia mam za sobą. Ale odpisuję: *Może.*

Ona: *Na pewno tak!!! Opowiadaj wszystko!!!*

Ja: *Nie ma nic do opowiadania. Widzimy się jutro na ekon.?*

Ona: *Tak.*

Ja: *OK. Dzięki, słonko.*

Ona: *<3*

Przeglądam całą listę kontaktów w poszukiwaniu kogoś jeszcze, kto mógłby znać Sabrinę, ale przemawia do mnie tylko jedno imię. To tego człowieka powinienem był najpierw zagadnąć. Połykam resztę kawy, potem ruszam do drzwi. Wysyłam szybką wiadomość, ale nie dostaję

natychmiastowej odpowiedzi, więc zamiast czekać, wysyłam kolejną, tym razem do Ollie Jankowitza, współlokatora faceta, z którym próbuję się skontaktować.

Ja: *Jesteś z Beau?*

On: *Nie.*

Ja: *Wiesz gdzie jest?*

On: *Siłownia.*

Cóż, to było łatwe.

Zostawiam wóz na studenckim parkingu i decyduję się iść pieszo, ponieważ kawiarnię i stadion futbolistów dzieli niewielka odległość. Legitymacja hokeisty Briar nie daje mi dostępu do korzystania z tej siłowni, ale na szczęście do drzwi dochodzę w tym samym czasie co liniowy z drugiego roku i to on mnie wpuszcza.

Znajduję Beau w sali z ciężarami, rzeźbi klatkę piersiową i ramiona. Beau jest ukochanym rozgrywającym Briar i z tego, co wiem, ostatnim facetem, któremu udało się przykuć uwagę Sabriny na dłuższy czas.

Przyjaźnimy się z Beau, szczególnie Dean jest mu bliski, ale jako dobry kumpel wolę, żeby o mojej gonitwie za Sabriną usłyszał ode mnie niż z plotkarskiego młyna. Sportowcy spędzają tyle samo czasu co inni na pogaduchach o randkach, dziewczynach i przyszłych dymankach.

— Maxwell — wołam, przechodząc przez salę przesiąkniętą zapachem potu i środków do czyszczenia. — Masz minutę?

Beau nie odrywa wzroku od lustra.

— Pewnie. Będę wyciskał z ławki za sekundę. Możesz mi asystować.

— Nie ma sprawy. — Siadam na ławce obok niego i liczę w myślach liczbę wykonywanych powtórzeń. Przy dziesiątym opuszcza wążący dwadzieścia pięć kilogramów ciężarek i odwraca się do mnie.

— Dzisiaj seria z lekkimi, podwójne powtórki — tłumaczy, czując

potrzebę usprawiedliwienia dwudziestu pięciu kilogramów na sztandze.

— A czy ty w ogóle powinieneś coś podnosić? — Nie wiem za dużo o pozycji rozgrywającego, ale wydaje mi się, że jakiegokolwiek dodatkowe mięśnie mogą wpłynąć na jego rzut.

— Tylko kategoria lekka — powtarza.

Leży na plecach i sięga nad głowę, a ja przesuwam się na czoło ławki. Z tymi ciężarami wątpię, czy byłby w stanie się uszkodzić, więc asekurant jest tak naprawdę zbyteczny. Ale przynajmniej mam coś do roboty podczas tej pogawędki.

— Słyszałem, że kręciłeś z Sabriną James tej jesieni — zaczynam niezręcznie. — Wciąż się nią interesujesz?

Beau podciąga głowę do przodu, żeby móc na mnie spojrzeć. Ma żywo niebieskie oczy, w których, jestem pewien, zatraciła się połowa lasek w Briar. Albo marzyła, żeby się zatracić.

— Nie, żadnego zainteresowania w tym temacie — odpowiada w końcu. — Dlaczego pytasz? Chcesz ją klepnąć?

Już to zrobiłem, stary. Ale powtarzam tekst, który wcześniej sprzedałem Sheenie.

— Może.

— Kumam. Cóż, jeśli szukasz czegoś więcej niż łóżko, to kiepsko mierzysz.

— Taak?

— O tak. Serio, Tuck, ona jest bardziej zamknięta niż małża. Nie ma czasu. — Beau marszczy czoło. — Pracuje w czterech czy pięciu miejscach i człowiek musi wpasować się w jej grafik. Jak lekarz na dyżurze.

— Dobrze wiedzieć.

Dokańcza swoje powtórki w ciszy. Wreszcie siada, a ja rzucam mu butelkę wody, którą znajduję obok ławki.

— Przydam ci się jeszcze jako wsparcie? — pytam.

— Nie, koniec już.

— To do zobaczenia. — Robię krok, a potem znów na niego spoglądam.

— Zrób mi przysługę i zatrzymaj to dla siebie, co?

Potakuje.

— Spoko.

Jestem przy wyjściu, gdy woła mnie Beau.

— Hej, a co jeślibym powiedział, że nadal jestem zainteresowany?

Odwracam się, by spojrzeć mu w oczy.

— Byłoby kiepsko.

Beau chichocze.

— Tak myślałem. Niech ci będzie, stary, ale ostrzegam cię — są łatwiejsze kobiety niż Sabrina.

— A czemu miałbym chcieć łatwiejszą? — Rzucam mu uśmiech. — To nie brzmi jak dobra zabawa.

Rozdział 5

Sabrina

Mam jeden z tych dni. Czyli moje życie zmienia się w kreskówkę, a ja staję się Strusiem Pędziwiatrem śmigającym z jednego miejsca w drugie, bez szans na odpoczynek i złapanie oddechu.

Co prawda z technicznego punktu widzenia zaliczam sporo siedzenia na porannych zajęciach, ale to wcale nie jest odprężające, ponieważ przygotowujemy się do prac zaliczeniowych z prawa konstytucyjnego, które składają się na moją ocenę, a ja głupkowato wybrałam jeden z najtrudniejszych tematów — „Zróżnicowanie prawnych standardów stosowanych do badania konstytucyjności praw”.

Moje śniadanie składa się z serowego croissanta, który pałaszuję w drodze na zajęcia z zaawansowanej politycznej teorii dla mediów i rządu. I nawet nie udaje mi się go dokończyć, ponieważ w tym całym pośpiechu potykam się na wybrukowanej ścieżce, która wije się po kampusie, a croissant ląduje w błocie.

Mój żołądek mruczy ze złości podczas wykładu z mediów, potem w trakcie spotkania z konsultantem w sprawie finansów staję się jeszcze głośniejszy i wścieklejszy. Rano w skrzynce pocztowej nie znalazłam żadnego listu, ale muszę wierzyć, że dostałam się przynajmniej na jeden z wydziałów, na które złożyłam podanie. Nawet uniwerki z drugiego miejsca będą sownie kosztowały, a więc potrzebuję stypendium. Jeśli nie dostanę się na najlepszą uczelnię prawa, nie będzie ofert pracy w BigLaw z BigLaw pensją, a to oznacza przytłaczający, demoralizujący, nieskończony dług.

Po spotkaniu mam godzinny wykład na zajęciach z teorii gier. Prowadzi go asystent, chudy gość z włosami *à la* Albert Einstein i tym wkurzającym, pretensjonalnym nawykiem wciskania NAPRAWDĘ WIELKICH SŁÓW w każde zdanie, które wypowiada.

Jestem inteligentną osobą, ale za każdym razem, gdy mam styczność z tym facetem, ukradkiem sprawdzam znaczenie wyrazu na słownikowej aplikacji w telefonie. Naprawdę nie ma uzasadnienia dla użycia słowa *starowny*, kiedy można po prostu powiedzieć *zaradny* — no, chyba że jest się totalnym dupkiem, oczywiście. Ale Steve uważa siebie za szycę. Chociaż jeśli wierzyć plotkom, wciąż jest asystentem, bo oblał — dwukrotnie — obronę pracy doktorskiej i nie może się nigdzie zaczepić jako profesor nadzwyczajny.

Gdy tylko wykład dobiega końca, wpycham laptopa i zeszyt do mojej torby listonoszki i rzucam się w kierunku drzwi.

Jestem tak głodna, że czuję zawroty głowy. Na szczęście na korytarzu w tym budynku jest stoisko z kanapkami. Wybiegam przez drzwi tylko po to, by zaryć w miejscu na widok znajomej twarzy.

Moje serce podskakuje tak mocno, że aż wstyd. Ostatni dzień i pół spędziłam na zmuszaniu się, by nie myśleć o tym chłopaku, a teraz on stoi tutaj, we własnej osobie.

Pożeram go skwapliwie wzrokiem. Znów ma na sobie hokejową kurtkę. Kasztanowe włosy są rozwiane, policzki zarumienione, jakby na dworze było zimno. Wyblakłe niebieskie dzinsy opinają jego niemożliwie długie nogi, a dłonie są beztróska zahaczone o kieszenie.

— Tucker — piszczę.

Jego usta wykrzywiają się w górę.

— Sabrina.

— C-co tu robisz? — O mój Boże. Jąkam się. Co ze mną nie tak?

Ktoś popycha mnie od tyłu. Pospiesznie odsuwam się z przejścia, żeby wypuścić innych studentów. Nie jestem pewna, co powiedzieć, ale wiem, co chcę zrobić. Chcę się rzucić na tego faceta, owinać ręce dookoła jego karku, nogi wokół talii i pokieraszować go ustami.

Ale nie robię tego.

— Olewasz moje esemesy — mówi szczerze.

Poczucie winy łaskocze mi gardło. Nie olewam jego esemesów — nie dostałam ich. Bo zablokowałam jego numer.

A moje serce fika kolejnego koziołka na wieść, że do mnie pisał. Nagle żałuję, że nie wiem, co miał mi do powiedzenia, ale nie zamierzam go pytać. Tylko bym się prosiła o kłopoty.

Jednak z jakiegoś głupiego powodu postanawiam wyznać prawdę.

— Zablokowałam cię.

Zamiast urażonej miny słyszę jego chichot.

— Tak sobie właśnie pomyślałem. Dlatego cię wyśledziłem.

Mrużę oczy.

— I jak to dokładnie zrobiłeś? Skąd wiedziałeś, że tu będę?

— Zwróciłem się w tej sprawie do mojego opiekuna.

Opada mi szczęka.

— Dostałeś mój plan od swojej opiekunki?

— Opiekuna, dla ścisłości. No tak, dał mi go z przyjemnością.

Przepełniają mnie uczucia niedowierzania i oburzenie. Co jest, u diabła? Wykładowcy nie mogą tak po prostu rozdawać planów innym studentom, gdy zostaną o to poproszeni przez nie wiadomo kogo, prawda? To naruszenie prywatności. Zaciskam zęby i postanawiam, że gdy zdam egzamin adwokacki, w pierwszej kolejności pozwę do sądu ten głupi uniwersytet.

— Mój indeks też dostałeś? — mamroczę.

— Nie. I nie martw się, jestem pewien, że twój plan nie jest rozdawany na

kampusie w postaci ulotek. Dał mi go tylko dlatego, że gram w hokeja.

— To ma mnie pocieszyć? Przypomnienie, że jesteś uprzywilejowanym osłem, który ma wyjątkowe względy, bo jeździ na łyżwach po lodzie i zdobywa trofea?

Zaczynam maszerować żwawym tempem, ale on jest na tyle duży, że jego zamaszyste kroki pochłaniają ziemię i jest przy mnie w okamgnieniu.

— Przepraszam. — Jego żal brzmi szczerze. — Jeśli to pomoże, normalnie nie szastam kartami sportowca, żeby prosić o przysługę. Kurde, mogłem poprosić Deana o twój plan, ale pomyślałem, że to by ci się spodobało jeszcze mniej.

Tu ma rację. Sama myśl, że Tucker rozmawia z Deanem Di Laurentisem, przyprawia mnie o gęsią skórkę.

— Świetnie. No to mnie wytropiłeś. Czego chcesz, Tucker? — przyspieszam kroku.

— Po co ten pośpiech, moja droga?

— Moje życie — mamroczę.

— Co?

— Zawsze się spieszę — wyjaśniam. — Mam dwadzieścia minut, żeby wepchnąć w siebie trochę jedzenia, zanim rozpoczną się kolejne zajęcia.

Dochodzimy do korytarza, gdzie natychmiast ustawiam się w kolejce do stoiska z kanapkami, skanując wzrokiem menu na ścianie. Student stojący przed nami odchodzi od lady, zanim Tucker zdąży się odezwać. Pospiesznie robię krok do przodu, żeby złożyć zamówienie. Kiedy sięgam do torby po portmonetkę, dłoń Tuckera przykrywa moją.

— Płacę — mówi, wyciągając jednocześnie dwudziestodolarowy banknot z brązowego skózanego portfela.

Nie wiem dlaczego, ale to wkurza mnie jeszcze bardziej.

— Najpierw drinki w Malone's, a teraz lunch? Próbujesz się popisywać

czy co? Upewnić, że nie umknęło mojej uwadze, że możesz szastać kasą?

Po spojrzeniu jego brązowych oczu widzę, że go zraniłam.

Kurde. Nie wiem, dlaczego zrażam go do siebie. Po prostu... to jego pojawienie się tutaj, przyznanie, że prosił o przysługę, by mnie znaleźć, płacenie za lunch...

To miała być jednorazowa przygoda, a on stoi tu w najlepszą twarzą w twarz i nie podoba mi się to.

Nie, nieprawda. Cudownie jest mieć go obok. Jest taki seksowny i pięknie pachnie — drzewem sandałowym i cytrusami. Mam ochotę zagrzebać nos w jego szyi i wdychać zapach, aż mi się zakręci w głowie.

Ale nie ma na to czasu. Czas to pojęcie, które nie istnieje w moim życiu, a John Tucker za bardzo absorbuje moją uwagę.

— Płacę za twój lunch, bo w taki sposób wychowała mnie mama — mówi cicho. — Możesz mnie nazwać staroświeckim, jeśli chcesz, ale tak właśnie działałam.

Przełykam kolejną porcję poczucia winy.

— Przepraszam. — Mój głos nieznacznie drży. — Dziękuję za lunch. Doceniam to.

Przesuwamy się na drugi koniec lady, czekając w ciszy, podczas gdy dziewczyna o kręconych włosach przygotowuje moją kanapkę z szynką i szwajcarskim serem. Zawija ją, a ja upycham ją pod ramię i otwieram zamówioną diet cokie. Potem znów maszerujemy. Tucker podąża za mną przez drzwi, obserwując w rozbawieniu, jak próbuję zonglować jednocześnie puszką, torbą listonoszką oraz nierozpakowaną kanapką.

— Pozwól, przytrzymam to. — Bierze butelkę z mojej ręki. Na jego twarzy maluje się łagodność, gdy patrzy, jak wbijam zęby w lekko przyrumieniony żytni chleb.

Ledwo zdążyłam przeżuć jeden kęs, a już biorę następny, co go

rozśmiesza.

— Głodna? — odzywa się żartobliwie.

— Jak wilk — przyznaję i nie dbam nawet o to, że jestem niegrzeczna, mówiąc z pełną buzią.

Szybko zbiegam po szerokich schodach. I znów on dotrzymuje mi tempa.

— Nie powinnaś jeść w trakcie chodzenia — radzi.

— Nie mam czasu. Następne zajęcia są po drugiej stronie kampusu, więc — hej! — krzyczę, gdy chwyta mnie za ramię i odciąga ze ścieżki. — Co ty wyprawiasz?

Ignorując moje sprzeciwy, prowadzi mnie do jednej z tych wykutych ławek stojących na trawniku. Tej zimy jeszcze nie padał śnieg, ale trawa pokryta jest srebrną warstwą szronu. Tucker zmusza mnie, bym usiadła, potem opada obok mnie i kładzie jedną dłoń na moim kolanie, jakby się bał, że mogę rzucić się do ucieczki. Co zresztą faktycznie rozważałam, zanim ta wielka łapa mnie dotknęła. Jej gorąco przenika moje uda i rozpala mnie tam na dole.

— Jedz — mówi łagodnie. — Wolno ci dać sobie dwie minuty na podładowanie baterii, moja droga.

Zauważam, że stosuję się do jego poleceń, zupełnie jak tamtego wieczoru, gdy rozkazał mi przejechać się na swoim języku i mieć orgazm. Dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. Boże, dlaczego nie mogę sobie wybić tego chłopaka z głowy?

— Co mi napisałeś? — pytam bez zastanowienia.

Uśmiecha się tajemniczo.

— Pewnie już nigdy się nie dowiesz.

Wbrew sobie odpowiadam uśmiechem.

— Pewnie coś seksownego, co?

Gwiżdże niewinnie.

— Było tak! — odzywam się wyzywająco, a potem doświadczam samooskarżenia, ponieważ, do jasnej cholery, założę się, że napisał coś świńskiego, smakowitego i cudownego.

— Słuchaj, nie zamierzam zabierać ci dużo czasu — mówi. — Wiem, że jesteś zajęta. Wiem, że dojeżdżasz z Bostonu. Wiem, że pracujesz w kilku miejscach...

— ...dwóch — poprawiam go. Moja głowa przechyla się wyzywająco. — A skąd to wszystko wiesz?

Wzrusza ramionami.

— Popytałem trochę.

Naprawdę? No to kiepsko. Sytuacja może i pochlebna, ale trochę obawiam się dowiedzieć, kogo pytał i co usłyszał. Poza Hope i Carin nie spędzam za wiele czasu z rówieśnikami. Wiem, że czasami jestem postrzegana jako powściągliwa.

Dobra, wychodzę na jędzę. Powściągliwa to miłe określenie jędzy. I choć nie zachwyca mnie fakt, że mam opinię jędzy, nie za wiele mogę z tym zrobić. Nie mam czasu czy energii na gadki szmatki albo pójście na kawę po zajęciach, albo udawanie, że mam cokolwiek wspólnego z bogatymi dziećmi z elity, które stanowią większość tej uniwersyteckiej społeczności.

— Chodzi o to — kończy — że to rozumiem, okej? Jesteś zavalona robotą i nie proszę, żebyś paradowała w kurtce mojej drużyny, z moim sygnetem na palcu i była moją stałą dziewczyną.

Muszę się roześmiać na ten obrazek z *Miasteczka Pleasantville*, który mi namalował.

— To o co mnie prosisz?

— O randkę — mówi po prostu. — Jedną randkę. Może na koniec się bzykniemy.

Moje ciało śpiewa z zachwytu.

— A może nie. W każdym razie chcę się z tobą spotkać.

Obserwuję, jak przeczesuje dłonią rudawe włosy. Jasna cholera, kto by pomyślał, że rudzielce mogą być tacy seksowni?

— Nieważne kiedy. Chcesz coś przekąsić późnym wieczorem, może być. Z samego rana, też w porządku, jeśli nie mam treningu. Jestem skłonny dostosować się do twojego planu.

Wewnątrz mnie rozgrywa się pojedynek — przyjemność walczy z podejrzliwością, ale wygrywa to drugie.

— Dlaczego? To znaczy, wiem, że zaliczyliśmy odlot, ale dlaczego tak się zawzięłaś, żeby znów się ze mną umówić?

Przełykam ślinę, kiedy wbija we mnie intensywne spojrzenie. A potem poraża mnie jeszcze bardziej pytaniem:

— Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

O ja pierdolę.

Zrywam się na równe nogi.

Ściąga mnie z powrotem na ławkę z gromkim śmiechem.

— Wyluzuj, Sabrino. Nie mówię, że jestem w tobie zakochany.

Lepiej, żeby tak było! Biorę uspokajający oddech, kładę zjedzoną do połowy kanapkę na kolanach i próbuję zdobyć się na ton, który nie zdradzi szalejącego we mnie cholernego przerażenia.

— No to co mówisz?

— Widywałem cię na kampusie, już zanim spotkaliśmy się w Malone's — przyznaje. — I tak, myślałem sobie, że jesteś seksowna, ale nie czułem desperackiej potrzeby, by się dowiedzieć, kim byłaś.

— Dzięki wielkie.

— Zdecyduj się, moja droga. Chcesz, żebym był w tobie zadurzony, czy chcesz, żebym miał wszystko w dupie?

Jedno i drugie! Chcę jednego i drugiego — na tym polega problem, jasna cholera.

— W każdym razie widywałem cię już wcześniej. Ale tamtego wieczoru w knajpie, kiedy na mnie spojrzełaś, stało się coś magicznego — mówi bez ogródek. — Wiem, że ty też to poczułaś.

Podnoszę kanapkę i biorę mały kęs, żuję bardzo powoli, żeby opóźnić odpowiedź. Znów mnie przeraża — to jego pewne siebie spojrzenie i rzeczowy ton. W życiu nie spotkałam faceta, który potrafi rzucać hasłami typu „miłość od pierwszego spojrzenia” i „stało się coś magicznego” bez przynajmniej cienia zażenowania czy zawstydzonego spojrzenia.

W końcu zmuszam się do odpowiedzi.

— Jediną magiczną rzeczą, która tam się wydarzyła, było to, że spodobało nam się to, co zobaczyliśmy. Feromony, Tucker. Nic więcej.

— Częściowo tak — zgadza się. — Ale jeszcze coś i wiesz o tym. W chwili, gdy spojrzeliśmy na siebie, coś zaiskrzyło.

Unoszę diet coke do ust i wypijam duszkiem niemal połowę.

— Chcę to zgłębić. Myślę, że głupotą byłoby tego nie zrobić.

— A ja myślę... — szukam gorączkowo słów. — Myślę...

Myślę, że jesteś najbardziej fascynującym facetem, jakiego poznałam w życiu.

Myślę, że jesteś niesamowity w łóżku i znów chcę się z tobą pieprzyć.

Myślę, że gdyby można było złamać mi serce, ty byłbyś w stanie to zrobić.

— Myślę, że tamtej nocy wyraziłam się jasno — kończę zdanie. — Nie interesują mnie stałe związki ani nawet koledzy do łóżka. Chciałam seksu. Dałeś mi go. To wszystko.

Widzę rozczarowanie, które zalewa jego oczy. Czuję ścisk z żalu, a mój żołądek wykręca się boleśnie, ale już obrałam kurs i muszę się go trzymać do końca. Jestem bardzo dobra w dokańczaniu tego, co zaczęłam.

— Wiem, że wy, sportowcy, jesteście uparci jak diabli i nie poddajecie się, kiedy czegoś chcecie, ale... — wstrzymuję oddech. — Proszę cię, żebyś dał spokój.

Jego szczęka się zaciska.

— Sabrino...

— Proszę. — Wzdrygam się od desperackiej nuty w moim głosie. — Po prostu daj spokój, dobrze? Nie chcę niczego zaczynać. Nie chcę iść na randkę. Chcę... — Podnoszę się na chwiejnych nogach. — Chcę po prostu już iść na zajęcia.

Po nieskończeniu długiej ciszy on też się podnosi.

— Pewnie, moja droga. Jeśli tego właśnie chcesz.

Nie jest to szyderczy docinek. Ale nie ma też w sobie choćby krztyny obietnicy, w stylu: *Pewnie, moja droga, dam spokój — na tę chwilę. Ale spodziewaj się, że będę tak długo za tobą latał, aż zmięknieś.*

Nie, w jego słowach brzmi nieodwołalność, która mnie zasmuca. Oczywiście, że John Tucker dotrzymuje słowa i podczas gdy powinnam to podziwiać, nagle staję się hipokrytką, bo teraz to ja jestem tą, która czuje rozczarowanie.

— No to do zobaczenia — mówi szorstko.

A potem odchodzi bez słowa, zostawiając mnie gapiącą się za nim w konsternacji.

Dobrze zrobiłam. Wiem, że tak. Nawet gdybym miała furę wolnego czasu, żeby z nim gonić za czymś, w moim życiu nie ma miejsca dla kogoś takiego jak Tucker. On jest słodki, szczery i najwyraźniej ma pieniądze, a ja jestem jędzowata, zestresowana i mieszkam w rynsztoku. Może mówić, co chce o iskrach od pierwszego wejrzenia, ale to nie zmieni rzeczywistości.

Nie jestem dziewczyną dla Johna Tuckera i nigdy nie będę.

Rozdział 6

Tucker

Trening jest do dupy. Drużyna po prostu nie klei się w tym sezonie i trener Jensen ujeżdża teraz po nas niemiłosiernie. Zaliczyliśmy kilka przegranych, co odbiło się na naszej punktacji. Wczorajsza porażka dała nam popalić naprawdę mocno — graliśmy z drużyną z drugiej ligi, która nie powinna była spuścić nam takiego manta na lodzie.

Nowy trener defensywy, Frank O'Shea, tylko wszystko pogarsza. Dziękuję moim szczęśliwym gwiazdom, że nie gram w obronie. Wydaje się, że O'Shea ma jakieś ale do Deana, bez przerwy przywołuje go do siebie i truje mu o błędach.

Policzki Deana są czerwone bardziej niż buraki za każdym razem, gdy O'Shea otwiera buzię. Według Logana facet był kiedyś głównym trenerem w liceum Deana. Na sto procent coś między nimi zaszło, ale cokolwiek to było, Dean nie puścił pary z ust. Ale szczęśliwy też nie jest. Nie dość, że cała obrona musi zostawać po treningach, to jeszcze Dean dostał propozycję nie do odrzucenia — trenowanie drużyny dzieciaków w mieście.

Jadę na ławkę po mojej zmianie i opieram się o ścianę, potem wlewam trochę wody do buzi i obserwuję, jak linia Garetta przelatuje przez niebieską linię. Dzisiejszy wynik jest bezbramkowy. Serio, spadliśmy do tak beznadziejnego poziomu. Nie potrafimy nawet strzelić gola jeden drugiemu podczas treningu i to nie dlatego, że nasi bramkarze są w szczytowej formie — po prostu żaden z rozgrywających nie może zebrać się do kupy, łącznie ze mną.

Rozlega się gwizdek. Trener zaczyna się wydzierać na jednego z naszych obrońców za przetrzymanie krążka.

— Co to było, do diabła, Kelvin! Miałeś cztery okazje do podania, a ty zdecydowałeś się na przetrzymanie tego dziadostwa! — Trener wygląda, jakby był gotowy wyrwać mu włosy.

Wcale się nie dziwię.

— Zrobiłbym to podanie, gdybym tam był — burczy Dean obok mnie.

Spoglądam na niego ze współczuciem. Jednym z pierwszych zarządzeń O'Shea w interesie była reorganizacja linii. Sparował Deana z Brodowskim, a Logana z Kelvinem, choć wszyscy wiemy, że to tandem Logan z Deanem jest nie do zatrzymania.

— Jestem pewien, że O'Shea wkrótce zrozumie swój błąd.

— Tak, pewnie. To kara. Ten skurwiel mnie nie znosi.

Moja ciekawość rośnie po raz kolejny.

— Dlaczego?

Mina Deana pochmurnieje.

— Nie zwracaj sobie tym głowy.

— Nie jestem pewien, czy o tym wiesz — mówię miło — ale sekrety zabijają przyjaźń.

Parska na te słowa.

— Naprawdę chcesz gadać o sekretach? To gdzie się, kurwa, szwendałeś cały weekend?

Natychmiast się zamykam. Nie mam nic przeciwko zwierzeniu się kumplom, ale nie chcę dyskutować o Sabrinie z Deanem, szczególnie gdy znam jego opinię na jej temat. Poza tym, o czym tu, kurwa, opowiadać, tak przy okazji? Dała mi kosza. Zaprosiłem ją na randkę, a ona rzuciła mi prosto w twarz, że to się nigdy nie zdarzy.

Gdybym wiedział, że istnieje choćby cień szansy na to, żeby chciała, bym

za nią polatał, pewnie nie przyjąłbym odpowiedzi odmownej. Może pojawiłbym się po jej zajęciach jeszcze kilka razy, kupił parę kanapek więcej, uwodził ją swoimi wdziękami i włączał południowy akcent za każdym razem, gdybym tylko wyczuł, że mi się wymyka.

Ale dostrzegłem to w jej oczach. Powiedziała dokładnie to, co myślała — nie chce się ze mną ponownie umówić. I chociaż nie mam problemu z lataniem za dziewczynami, nie zamierzam uganiać się za kimś, kto nie jest zainteresowany.

Do dupy z tym wszystkim! Kiedy siedzieliśmy na ławce tamtego dnia, jedyne, czego chciałem, to posadzić ją sobie na kolanach i bzyknąć tam na miejscu, i miałbym gdzieś wszystkich przechodzących obok. Dean we własnej osobie mógłby tam stać, pukając w zegarek, a ja i tak bym nie przestał. Zużyłem całą silną wolę, by zapanować nad pierwotnymi popędami, ale coś w tej dziewczynie...

Nie chodzi tylko o jej urodę, choć nie powiem, że mam coś przeciwko. Chodzi o... o... jasna cholera, nawet nie potrafię tego ująć w słowa. Nosi taki twardy pancerz, ale w środku jest miękka jak maselko. Widzę przebłyски wrażliwości w jej bezdennych, ciemnych oczach i po prostu chcę... się nią zaopiekować.

Chłopaki pękłyby ze śmiechu, gdyby wiedzieli, o czym teraz myślę. A może wcale nie. Już codziennie nabijają się w chacie z mojej „opiekuńczej” natury. Robię za nadwornego kucharza, ogarniam większość sprzątnia, upewniam się, że całe gówno dookoła domu działa bez zarzutu.

Tak mnie wychowała mama. Taty nie było. Zmarł, gdy miałem trzy lata i ledwo go pamiętam. Mama stawiała na głowie, by zrekompensować mi brak taty. Do tego trenerzy hokeja zastępowali mi nieżyjącego ojca.

Teksas to futbolowy stan. Najprawdopodobniej podążyłbym tą drogą, gdyby nie wakacje w Wisconsin, na które pojechaliśmy, gdy miałem pięć lat.

Raz w roku mama i ja odwiedzaliśmy siostrę taty w Green Bay. Albo przynajmniej próbowaliśmy. Czasami brak pieniędzy na to nie pozwalał, ale zawsze się staraliśmy.

Podczas takiej wizyty ciocia Nancy ubrała mnie ciepło i zabrała na łyżwy. W Green Bay jest cholernie zimno — wyobrażam sobie, że dla większości ludzi to koszmar, ale ja uwielbiałem chłód na policzkach i zimne powietrze szumiące za uszami, gdy sunąłem na łyżwach po tym stawie. Kilkoro starszych dzieciaków rozgrywało mecz w hokeja i przyglądałem się ich wyczynom z wielką ekscytacją. Wyglądało mi to na świetną zabawę. Po powrocie do Teksasu w następnym tygodniu ogłosiłem, że chcę grać w hokeja. Mama roześmiała się pobłaźliwie, ale ustąpiła, znajdując całoroczne lodowisko godzinę jazdy samochodem od domu.

Była pewna, że z tego wyrosnę. Tymczasem moja miłość do hokeja rosła.

Teraz jestem tutaj, na uniwersytecie Ivy League Wschodniego Wybrzeża, grając w hokeja dla drużyny, która trzykrotnie wygrała krajowe mistrzostwa — pod rząd. Ale mam przeczucie, że czwartej korony nie będzie, nie z tym, co ostatnio prezentujemy.

— Hej, zapomniałeś języka w gębie?

Odwracam wzrok i widzę, jak Dean przygląda mi się ostrożnie. Co? A tak, chce wiedzieć, co porabiałem w weekend.

— Spotkałem się ze znajomymi — odpowiadam enigmatycznie.

— Jakimi znajomymi? Wszyscy twoi znajomi są tutaj — macha dłonią dookoła lodowiska. — I tak się składa, że wiem, że nie bawiłeś się z żadnym z nich.

Wzruszam ramionami.

— Nie znasz ich. — Potem przenoszę wzrok z powrotem na lód, a Dean psioczy dalej.

— Kurwa mać, jesteś gorszy niż Antoine i Marie-Thérèse.

Przekręcąm z powrotem głowę.

— Co proszę?

— Zapomnij — mruczy.

Kim, do cholery, są Antoine i Marie-Thérèse? Tak jak Dean zna wszystkich moich przyjaciół, ja znam jego i jestem pewny, że w towarzystwie nie kręci się nikt o takich imionach. Ale co tam. Nie chcę, żeby ze mnie wyciskał odpowiedzi, więc i ja dam mu spokój.

— Kurwa, tak! — wrzeszczy głos z drugiego końca ławki.

Koncentruję się ponownie na lodzie w samą porę, by zobaczyć, jak Garrett z dużą siłą posyła pocisk obok Patricka, naszego bramkarza z ostatniego roku. To pierwszy i jedyny gol na tym treningu, i wszystkie chłopaki na ławce świgają z radości rękawicami o ścianę.

Trener dmucha w gwizdek, więc kończymy trening, pozostawiając dobre wrażenie. Tak jakby. Obrońcy muszą oczywiście zostać i zauważam frustrację w oczach Deana i Logana. O’Shea będzie musiał spuścić z tonu, jeśli chce zaskarbić sobie szacunek tej drużyny.

W szatni ściągąm przepoconą bluzę i ochraniacze, zrzucam hokejowe spodnie na lśniąca podłogę. Mamy tutaj supernowoczesne udogodnienia. Sala jest ogromna, szafki wyściełane skórą, a system wentylacyjny jest pierwszorzędny. Tylko trochę śmierdzi starymi skarpetkami.

Garrett sadowi się obok mnie i szybkim ruchem ściąga kask. Jego ciemne, wilgotne od potu włosy przykleiły się do czoła. Kiedy sięga dłonią, by je przygładzić, zerkam na zajebiste płomienie wytatuowane na jego bicepsie. Jak na nie patrzę, zawsze zastanawiam się, czy chcę sobie coś wydziergać, ale potem przypominam sobie karykaturę na nodze Hollisa, którą sobie zafundował po pierwszym zwycięstwie Frozen Four. Nadal przez większość czasu nosi długie skarpety, żeby zakryć to badziewie.

— Myślisz, że kiedykolwiek przypomnimy sobie, jak się gra w hokeja? —

pyta cierpko.

Parskam śmiechem.

— Sezon dopiero się zaczął. Ogarniemy się.

Nie wygląda na przekonanego. Hunter Davenport, który przyczłapał do nas ciężkim krokiem z kwaśną miną, również nie.

— Idzie nam coraz gorzej — mruczy pierwszak, a potem, w stylu osiemnastolatka, ciska jedną rękawicą o ścianę.

Szybko rozglądam się dookoła i oddycham z ulgą, kiedy nie dostrzegam nigdzie trenera. Facet zesrałby się w gacie, gdyby przyłapał jednego z nas na odstawianiu humorów w szatni.

— Wyluzuj, młody — mówi Hunterowi Mike Hollis, student trzeciego roku. Ma goły tors i jest w trakcie rozpinania spodni. — Kogo to obchodzi, że przegramy potyczkę na treningu?

— Nie chodzi o ten mecz — odwarkuje Hunter. — Chodzi o to, że dajemy dupy.

Hollis przechyla głowę.

— Bzykałeś się wczoraj, prawda, młody?

Ciemnowłosa pierwszak ściąga brwi.

— Co ma piernik do wiatraka?

— Wszystko. Graliśmy kiepsko w tamtym meczu, daliśmy sobie skopać tyłki, a mimo to laski ustawiały się w kolejce, żeby ci possać pałkę. Nie ma znaczenia, czy przegrywamy, czy wygrywamy — jesteśmy hokeistami. Rządzimy tą szkołą, kolo.

— Przemówił facet z ambicjami — mówi Garrett, a jego usta drżą.

Hollis wzrusza ramionami.

— Hej, nie wszystkim z nas staje na myśl o zawodowstwie tak jak tobie. Niektórym wystarczy robić to dla cipek.

Ciężkie westchnienie rozbrzmiewa na końcu długiej ławki obejmującej

nasze szafki. Colin „Fitzy” Fitzgerald, potężny student z trzeciego roku z rozczochranymi włosami i większą liczbą tatuaży niż motocyklista, przechodzi obok i daje Hollisowi klapsa w tyłek.

— Czy ty kiedykolwiek nie nawijasz o cipkach? — pyta Fitzy.

— A czemu niby miałbym gadać o czymś innym? Cipki są wspaniałe.

Pełna zgoda w tym temacie. Niestety, nie doświadczę żadnej wspaniałej cipki przez przynajmniej... och, miesiąc? Dwa? Nie jestem pewien, ile czasu potrzebuje mój fiut na zapomnienie o Sabrinie James. Każdą potencjalną laskę w łóżku porównywałbym teraz z Sabriną, a to nie fair.

— Och, hej — Hollis odzywa się nagle. — Skoro mowa o cipkach...

Garrett przewraca oczyma. Mocno.

— Uderzam do Bostonu w ten weekend — kontynuuje Hollis. — Śpię u brata. Chcecie jechać ze mną? Poskaczemy po knajpach, zaliczymy parę klubów, seksowne dziewczyny. Będzie fajnie.

Nasz kapitan drużyny marszczy czoło.

— W sobotę mamy mecz.

Hollis macha dłonią.

— Wrócimy na czas.

— Lepiej, żeby tak było. — Garrett wzrusza ramionami. — Ja i tak nie mogę. Mam plany z moją dziewczyną na ten weekend. — Na jego twarzy maluje się nieobecny wyraz, mieszanka zachwyту i czystej rozkoszy, zanim czmycha pod prysznic.

Przełykam zawiść dławiącą mi gardło. Garrett jest z Hannah już od roku i wcale nie wygląda na to, żeby ten nowy blask miłości miał się kiedykolwiek wyczerpać. Jest tak zakochany w swojej dziewczynie, że to niemal obrzydliwe. Podobnie jak Logan, który niedawno wrócił do swojej dziewczyny Grace i wyznał jej miłość w radiu.

To trochę jakby... się nie klei, że dwóch największych graczy, których

znam, ustatkowało się. Z naszej czwórki to ja rokuję najbardziej na te wszystkie historie z zaangażowaniem. Kiedy tylko przyjechałem do Briar, myślałem, że spotkam kobietę z moich snów podczas zjazdu zapoznawczego pierwszaków, będę z nią chodził przez kolejne cztery lata i oświadczę się po ukończeniu studiów. Ale nic nie ułożyło się w ten sposób. Umawiałem się z wieloma dziewczynami i z wieloma spałem, ale żadna z nich nie okazała się tą jedyną.

Tymczasem Garrett i Logan znaleźli swoje połówki, a nawet ich nie szukali. Pieprzeni fuksiarze.

— Tuck? — zachęca Hollis. — Boston? Męski weekend? Wchodzisz?

W pierwszym odruchu chcę powiedzieć, że nie, ale mój mózg potyka się o słowo „Boston”. Sabrina powiedziała, że nie chce się ze mną więcej spotykać, ale... czy naprawdę kazałaby mi spadać na drzewo, gdybyśmy przypadkiem na siebie wpadli w mieście? Przecież tam mieszka, a ja przypadkiem znam jej adres, więc... kto wie, prawda? Może zajebisty serwis Yelp zaprowadzi nas do jakiejś niesamowitej knajpy w jej sąsiedztwie. Może wpadniemy na siebie. Może...

Może zamieniasz się w stalkera?

Tłumię westchnienie. Dobra, mój umysł z całą pewnością wkracza na grząski teren. Ale nawet całkowicie tego świadomy nie mogę się powstrzymać i mówię:

— Pewnie, jadę z wami. Chętnie obejrzę mecz Bruinsów w jakiejś knajpie czy coś.

— Ja też — decyduje się Fitzy. — Chcę wpaść do tego sklepu z grami w centrum. Mają tam taką grę fabularną, której nigdzie nie mogę znaleźć online. Z bólem serca, ale będę musiał wydać prawdziwe pieniądze.

Prerażone spojrzenie Hollisa wędruje ode mnie do Fitzy’ego.

— Mecz Bruinsów? Gra komputerowa? Jak to się stało, że my w ogóle

jesteśmy kumplami?

Wyginam brwi.

— Wołałbyś, żebyśmy puścili cię samego?

— Nie. — Wzdycha. — Ale przynajmniej spróbowali udawać, że wchodzicie w to dla cipek.

Chichoczę i klepię go po ramieniu.

— Jeśli to cię uszczęśliwi, to pewnie. Fitzy i ja... — spoglądam na Fitzy'ego i zachęcam go dłonią.

— ...wchodzimy w to dla cipek — kończymy jednym głosem.

Rozdział 7

Sabrina

Po powrocie do domu z Briar ledwo stoję na nogach.

Już sama nie wiem, czego nienawidzę bardziej — weekendów, kiedy jestem w klubie do drugiej czy trzeciej nad ranem, a potem muszę sortować listy i paczki od czwartej do jedenastej. Czy raczej dni w tygodniu, gdy albo mam zajęcia rano i pocztę po wszystkim, albo zaczynam karygodnie wcześniej od poczty, a potem zasuвам na zajęcia. Dzisiaj było to drugie, więc śmiertelnie zmęczona porzucam plecak w korytarzu.

Nawet gdybym chciała spotkać się ponownie z Tuckerem (a większość moich części ciała jest za zjednoczeniem), jestem zbyt wykończona, by robić cokolwiek innego poza leżeniem na plecach.

Chociaż... tak też byłoby fajnie. Mógłby popieścić mnie na dole, pieprzyć wolno, a ja bym sobie tylko leżała na plecach i czerpała przyjemność.

Daję sobie w myślach pstryczka w nos. Tucker i jego wielki pyton to ostatnia rzecz, o której powinnam myśleć.

W kuchni Nana — ubrana w obcisłe dżinsy, top z lycry, który traci swoją elastyczność, i zawsze obecne puchate różowe laczki — miesza w garnku stojącym na kuchence.

— Ale ładnie pachnie — mówię.

Gotowany na wolnym ogniu czerwony sos wypełnia kuchnię niebiańskim zapachem. Mój żołądek burczy i przypomina mi, że ostatnią rzeczą, którą dziś zjadłam, był bajgiel połknięty na śniadanie przed pracą.

— Dziewczyno, wyglądasz, jakbyś za chwilę miała się przewrócić. Idź

i siadaj przy stole. Wszystko będzie gotowe za sekundę.

Nie trzeba mi powtarzać dwa razy, ale na widok nienakrytego stołu zawracam, chwytam talerze i sztucce. Przez drzwi zauważam czubek głowy Raya wpatrzonego w telewizor. Najpewniej się pieści. Wzdrygam się, wyciągając talerze z kredensu.

— Chcesz mleko czy wodę? — pytam, nakrywając do stołu.

— Wodę, kochanie. Coś mnie wzdęło. Wiedziałaś, że Anne Hathaway ma nietolerancję na laktozę? Nie je żadnego nabiału. Może powinnaś pomyśleć o zredukowaniu produktów mlecznych z twojej diety.

— To oznacza zero sera i lodów. Póki lekarz mi nie powie, że nabiał mnie zabije, jestem za krowami.

— Chodzi mi tylko o to, że może przez ten nabiał jesteś ciągle zmęczona.
— Potrząsa łyżką w moim kierunku.

— Nie, jestem całkiem pewna, że to z powodu dwóch etatów i dziennych studiów — odpowiadam oschle.

— A jeśli przestanie wcinać nabiał, będzie mniej sukowatym dzieckiem?
— pyta Ray, włączając do kuchni. Ma na sobie te same dresy co zawsze. Materiał jest tak wytarty w okolicach krocza, że przysięgam, widzę kawałek przebijającej przez niego różowej skóry.

Prawie wymiotuję, odwracając głowę, zanim zdąży zabić mój apetyt.

— Ray, tylko nie zaczynaj — narzeka Nana. — Kochanie, podasz mi durszlak?

Ojczym szturcha mnie, gdy przechodzę obok.

— Mówi do ciebie.

— Ale odkrycie. Dobrze wie, że gadanie do ciebie to jak gadanie do obrazu. Ten sam efekt.

Stawiam szklanę wody obok talerza Nany, a potem spieszę do zlewu, by wyciągnąć durszlak. Nana przelewa sos do miski, a ja ogarniam makaron.

Tymczasem Ray opiera się o lodówkę niczym leniwy ropuch, obserwując naszą krzątanicę po kuchni.

Nienawidzę tego faceta z całego serca. Od pierwszej chwili, gdy mama przyprowadziła go do domu, a miałam wtedy osiem lat, wiedziałam, że będą z nim kłopoty. Mówiłam mamie, ale słuchanie córki nigdy jej specjalnie nie wychodziło. Zresztą mieszkanie z nią również, jak pokazuje życie. Mama zwiła z jakąś inną gnidą, gdy miałam szesnaście lat, i od tego czasu jej nie widzieliśmy. Dzwoni kilka razy w roku, by się „zameldować”, ale z tego, co widzę, nie planuje powrotu do Bostonu.

Nawet nie wiem, gdzie mieszka. Wiem natomiast, że nie ma najmniejszego powodu, by Ray nadal mieszkał z nami. Nie jest moim ojcem — ten tytuł jest zarezerwowany dla zera, które zostawiło mamę po zmaistrowaniu jej dziecka, i z całą pewnością nie jest częścią rodziny. Myślę, że Nana trzyma Raya jedynie ze względu na wypłatę z jego ubezpieczenia pracowniczego, która pokrywa jedną trzecią czynszu. Przypuszczam, że sypia z nim z tego samego powodu. Praktyczne rozwiązanie.

Boże, to taki bezwartościowy typ, że nawet robaki kręciłyby na niego nosem. Jeśli robaki mają nosy, oczywiście.

Dopiero gdy stół jest nakryty, a parujący makaron gotowy do podania, Ray siada przy stole.

— Gdzie chleb? — pyta.

Nana zrywa się z krzesła.

— O cholera. W piekarniku.

— Wyjmę go — oferuję. — Nie ruszaj się. — Mimo że bezceremonialne teksty Nany mogą ranić, ta kobieta wychowała mnie, ubierała i karmiła, podczas gdy Ray siedział na swoim grubym tyłku, palił zielsko i masturbował się, oglądając wydarzenia sportowe.

Rzucam gniewne spojrzenie jego plecom i zauważam, po raz pierwszy,

białą kopertę wepchniętą w jego spodnie. To pewnie rachunek. Ostatnim razem, gdy ukrył przed nami rachunek (bo obejrzał całą masę płatnych pornoli), dostaliśmy karę za trzymiesięczną zwłokę. Nasz budżet styka tylko wtedy, gdy nie pojawiają się żadne niespodzianki w tym stylu.

Wyjmuję bułki z piekarnika, wsypuję je do koszyka i zanoszę do stołu. Kiedy się pochylam, wyszarpuję kopertę zza spodni Raya.

— Co to jest? — pytam, machając nią w powietrzu. — Jakiś rachunek?

— Chyba nie znowu te świńskie programy, powiedz mi, Ray? — kąciki ust Nany wykrzywają się w podkówkę.

Oburza się.

— Oczywiście, że nie. Mówiłem ci przecież, że nie oglądam już tych gówien. — Okręca się na krześle i częstuje mnie przymilnym uśmiechem. — To do ciebie. — Wrywa mi kopertę z dłoni i przeciąga ją pod nosem. — Pachnie mi jak nerwowa suka.

Kątem oka dostrzegam coś szkarłatnego na krawędziach koperty i moje serce bije szybciej. Rzucam się w kierunku koperty, ale Ray wyciąga rękę wysoko i z dala ode mnie, zmuszając mnie, bym się o niego oparła. Boże, nienawidzę go.

— Daj jej ten list — rozkazuje ostro Nana. — Jedzenie stygnie.

— Tylko żartowałem — mówi, upuszczając kopertę przy moim talerzu.

Zatrzymuję wzrok na szkarłatnej tarczy w górnym lewym rogu.

— Otwórz — ponagla Nana.

W jej tonie słychać ton przejęcia. Może drwić z mojej bezużytecznej edukacji i absurdalnych marzeń, ale myślę, że głęboko w środku jest cholernie podekscytowana. Przynajmniej będzie miała czym tyranizować inne panie w salonie fryzjerskim, których wnuczki rodzą dzieci, zamiast studiować na Harvardzie.

Tyle że... koperta jest cienka jak opłatek. Wszystkie dotychczasowe listy

z wiadomością o przyjęciu przychodziły w gigantycznych kopertach i pękały od ładnych broszur i katalogów wepchniętych do środka.

— Boi się. Pewnie się nie dostała. — Słowa Raya są zabarwione zarówno pogardą, jak i satysfakcją.

Chwytam za kopertę i otwieram ją nożem Raya. Wypada pojedyncza kartka papieru. Składa się z kilku paragrafów, żadnego nie czytam w całości, gdy wychwytyję wzrokiem najważniejsze słowa.

Serdecznie gratulujemy przyjęcia w poczet studentów Harvard Law School! Mamy nadzieję, że dołączy Pani do klasy...

— No i? — dopytuje się Nana.

Największy uśmiech znany w historii człowieka rozchmurza moją twarz. A głód, wykończenie, irytacja Rayem — wszystko znika.

— Dostałam się. — Słowa wypadają na jednym oddechu. Powtarzam się, ale tym razem krzyczę. — Dostałam się! O mój Boże! Dostałam się!

Macham listem w powietrzu, tańcząc dziko po kuchni. Zazwyczaj nie pozwalam sobie na spontaniczność w towarzystwie Raya, ale teraz ten łajdak dla mnie nie istnieje. Ekscytacja pulsuje w mojej krwi, wraz z uczuciem ulgi tak wielkiej, że nie mogę już dłużej utrzymać się na nogach. Opadam na ramiona Nany i mocno się do niej przytulam.

— Coś mi się zdaje, że teraz to dopiero zaczniesz zadzierać nosa — jęczy, ale w ogóle się nie przejmuję.

— E tam, to wcale nie znaczy, że jest wyjątkowa czy coś — cedzi słowa Ray. — Ma dwie dziury jak każda jedna suka. Trzy, jeśli liczyć buzię.

Czekam na obronę ze strony Nany, ale najwyraźniej zazdrość wygrywa teraz z jej dumą. Śmieje się z tego obleśnego komentarza i to by było na tyle, jeśli chodzi o świętowanie z tymi ludźmi. Jeszcze trochę i wyrwę się z tej dziury.

Mimo wszystko nie pozwolę, by cokolwiek wpłynęło w tej chwili na moje

szczęście. Obracam się na piętach i tanecznym krokiem wypadam na korytarz, by zadzwonić do dziewczyn.

— A co z kolacją? — krzyczy Nana za moimi plecami.

Ignoruję ją i idę dalej. W pokoju rzucam się na łóżko i piszę do przyjaciółek.

Dostałam się.

Hope bije Carin o milisekundę.

OMG! GRATKI!!!!!!!

Carin odpowiada: *FOTA! FOTA! FOTA!*

Robię zdjęcie listu i wysyłam je. Czekając na odpowiedzi, zbiegam na dół, napełniam talerz makaronem, wpycham bułkę do buzi i biegnę pędem z powrotem do pokoju. Nana i Ray coś tam mruczą, ale nic do mnie nie trafia. W uszach wybrzmiewa jedynie czysta radość.

W pokoju czeka na mnie tuzin odpowiedzi.

Hope: <3

Carin: *LOVE! LOVE! LOVE! Jesteś niesamowita!*

Hope: *Jestem z Ciebie taka dumna. Będziesz najlepszą prawniczką na świecie. Proszę, obiecaj, że będziesz mnie reprezentować, jeśli zostanę pozwana za pomyłkę lekarską.*

Carin: *NAJPIĘKNIEJSZA RZECZ NA ŚWIECIE!*

Hope: *Kiedy to oblewamy? I zapomnij o odmownej odp.*

Odpisuję, przeżuując bułkę.

Ja: *A) Obu wam udzielam dożywotniej gwarancji na darmowe usługi prawnicze.*

B) Świętujmy jutro. Przysięgam, że zamówię tyle, że wasze karty zaczną pisać.

Hope: *To się nie zdarzy. Robię rezerwację w Santino's.*

Carin: *Tam trzeba robić rezerwację?!*

Hope: *Nie wiem! Przenośnia. Ale możemy powtórzyć Malone's, jeśli chcesz uczcić to seksem.*

Ja: *Wciąż mam numer tego chłopaka z ostatniej soboty. A co z tobą? Ktoś kopał w ogródku panienki?*

Obie wybrały się beze mnie na imprezę do Beau Maxwella. Zastanawiam się, czy Tucker też tam był. A jeśli tak, ciekawe, kogo tym razem zabrał do swojego wozu. Myśl, że przesuwał swoje duże, szorstkie dłonie po piersiach jakiejś innej dziewczyny, sprawia, że zaciskam zęby z zazdrości, ale nie mam prawa być zazdrosna. W końcu sama zablokowałam jego numer. I powiedziałam mu jasno i bez ogródek, że ponowne spotkanie mnie nie interesuje.

No to dlaczego go odblokowałaś, hmmm?

Zagryzam wargę, słysząc szyderczy głos w głowie. Dobra, odblokowałam jego numer. Ale nie dlatego, że chcę się z nim umówić. Po prostu pomyślałam sobie, że może się przydać na wypadek... sytuacji awaryjnej.

Boże, ale jestem żalosna.

Z myśli wyrywa mnie brzęczący telefon.

Carin: *Nie. Zachowywałam się jak aniołek.*

Hope: *Kłamczucha! OMG, co za kłamczucha. Zeszła na dół z seksszopą większą niż Cher. Niech ci przyśle fotę jego klaty. W tej chwili albo sama to zrobię.*

Carin: *Świetnie. Nienawidzę cię.*

Czasami naprawdę żałuję, że z nimi nie mieszkam. Wcinam kolejną porcję makaronu w oczekiwaniu na zdjęcie od Carin. Gdy fotka przechodzi, niemal dławię się makaronem.

Ja: *Zabawiałaś się wczoraj z nastoletnim wilkołakiem?*

Carin: *Nie. Brad Allen.*

Przeszukuję bank pamięci i wyświetla mi się facet metr dziewięćdziesiąt

z okrągłą, słodką twarzą.

Ja: *Obrońca liniowy? Wygląda jak cherubinek!*

Carin: *Prawda. I okazuje się, że ma fetysz ssania. Dobrze, że jest zimno, bo koszulki bez rękawków nie wchodziłyby w grę.*

Ja: *Oprócz tego, że próbował ci wyssać krew z sutków, podobało ci się?*

Carin: *Nie było źle. Wiedział, jak używać sprzętu.*

Ja: *Ha! Moja teoria ze sportowcami dobrze się trzyma!*

Hope: *Tucker i Brad Allen potwierdzają hipotezę B.*

Carin: *Obie wiecie, że naukowe metody nie działają w taki sposób, prawda?*

Ja: *Tak, ale mamy to gdzieś.*

Hope: *Czy to oznacza, że Tucker może liczyć na powtórkę?*

Ja: *Wątpię. Jest dobry, ale kiedy znajdę czas?*

Piszemy do siebie przez kilka kolejnych minut, ale mój przyływ adrenaliny opada. Odstawiam w połowie pusty talerz na nocny stoliczek i przytulam list z Harvardu do klatki piersiowej. To wszystko dzieje się naprawdę. Marzenia, na które tak ciężko pracowałam, urzeczywistniają się. Nic mnie teraz nie powstrzyma.

Zasypiam z dużym, szczęśliwym uśmiechem na twarzy.

*

Innym razem, sikoreczki, piszę do moich dziewczyn następnego dnia, po tym, jak Hope przysłała mi wiadomość z pytaniem, czy chcę zjeść z nimi lunch.

Hope: *Ech, dlaczego??*

Ja: *Profesor Fromm zaprosiła mnie na wizytę na kampusie. Jestem z powrotem w Bostonie, urwałam się z ostatnich zajęć. Dla twojej*

wiadomości: jestem oficjalnie za dobra dla ciebie.

Hope: Buziaki! Daj znać, jak idzie. Nie mogę się doczekać przyszłego roku, gdy wszystkie wylądujemy w Bostonie jako absolwentki!!!

Carin jest na zajęciach, ale wiem, że mi odpisze, jak tylko wyjdzie z klasy.

Na Harvard Square docieram czerwoną linią metra. Przysięgam, że tutaj nawet stacja ładnie pachnie — w przeciwieństwie do innych przystanków po drodze, które cuchną śmieciami, stęchłym moczem i niedomytymi ciałami. Kampus jest wspaniały. Mam ochotę rozpostrzeć szeroko ramiona i kręcić się w nieprzyzwoicie szczęśliwych kółkach.

Według mojej mapy osiemnaście czy ileś budynków, które składają się na wydział prawa, znajduje się po drugiej stronie kampusu. Ale nie ma pośpiechu, więc idę powoli, podziwiając masywne budynki z cegły, całe mnóstwo drzew z resztkami liści w koronach i hektary trawników, tu i ówdzie z nadal zieloną trawą. To Briar na steroidach. Nawet studenci prezentują się mądrzej, bogaciej, ważniej.

Większość z nich ma na sobie coś, co lubię nazywać mundurkiem bogatej dziewczynki: mokasyny Sperry, Rag & Bone, džinsy i bluzka Joie — z rodzaju tych, co wyglądają, jakby zostały wyciągnięte psu z gardła, a tak naprawdę kosztują kilka setek dolców. Wiem, bo znam szafę Hope.

Ale to, że moja czarna spódnica i biały top pochodzą z outletu, nie oznacza, że tu nie pasuję. Może i nie mam tyle pieniędzy co tutejsi studenci, ale biję mózgiem na głowę każdego z nich.

Pcham drzwi do budynku Everett, w którym znajduje się gabinet profesor Fromm. W recepcji się przedstawiam. Recepcjonistka zapisuje moje imię w księdze gości, a potem gestem zaprasza mnie do zajęcia miejsca na fotelu.

Nie siedzę dłużej niż minutę, gdy młody człowiek ubrany w koszulę w niebiesko-białą kratkę i ciemnoniebieski krawat wychodzi spokojnym krokiem z boku korytarza, którego nawet nie dostrzegłam.

— Dzień dobry. Jestem Kale Delacroix. — Wyciąga do mnie dłoń.

Potrząsam nią automatycznie, nie będąc pewna, po co się zjawił i zastanawiając się jednocześnie, dlaczego ktokolwiek chciał nazwać swoje dziecko Kale.

— Sabrina James.

— Świetnie. Witamy w Harvard Legal Aid. Oto formularz wniosku. Proszę dać znać, gdyby potrzebna była pomoc.

Wyciąga w moim kierunku podkładkę do pisania. Skanuję wzrokiem dokument, nie do końca pewna, dlaczego mam wypełnić formularz, by spotkać się z profesorem Fromm. Chwytam załączony długopis i zaczynam pisać moje imię. Potem zatrzymuję się. Ponieważ nie należę do fanek idiotycznego wyrazu twarzy, dochodzę do wniosku, że lepiej będzie zapytać, o co tu, do cholery, chodzi.

— Czy to Legal Aid? W zasadzie nie jestem pewna...

Przerywa mi.

— Proszę się nie przejmować. Od tego właśnie jest pomoc prawna. Dla ubogich. — Ostatnie słowo aż ocieka protekcjonalnością.

Czuje, jak włosy jeżą mi się na głowie.

— Wiem, co to...

— Nie czytasz po angielsku? *Hablo español?* — Wyrywa mi podkładkę z dłoni, odwraca formularz i potem pakuje mi go z powrotem w dłoń. Formularz jest teraz po hiszpańsku.

— Mówię po angielsku — warczę przez zaciśnięte zęby.

— Och, okej. Mogę wypełnić za ciebie formularz, jeśli nie potrafisz czytać czy pisać. Jest tu wiele osób z podobnym problemem. Chodzi o domowe sprawy? Najemca/lokator? Nie zajmujemy się czynami niedozwolonymi. — Ponownie obdarza mnie protekcjonalnym uśmiechem.

— Jestem studentką — tłumaczę. — To znaczy, będę studentką.

Gapimy się na siebie przez chwilę i czekam, aż dotrą do niego moje słowa. Widzę moment, gdy tak się dzieje, ponieważ ten blady facet robi się jeszcze bledszy.

— Naprawdę? Chryste, myślałem...

Wiem, co myślał. Rzucił jedno spojrzenie na mój wytarty płaszcz i wziął mnie za biedaczną, która potrzebuje darmowej porady prawnej. A najbardziej poniżające jest to, że się nie pomylił. Gdybym potrzebowała prawnika, nie byłabym w stanie mu zapłacić.

— Mamy jakiś problem? — przerywa nowy głos. Żyrafa w kobiecej osobie pojawia się za Kalem, trzymając dłonie splecione za plecami.

— Nie, nie ma żadnego problemu, profesor Stein. — Kale posyła mi pseudouśmiech, ale w jego oczach miga ostrzeżenie, jakby chciał powiedzieć, żebym czasem nie zrobiła czegoś durnego.

Odpowiadam mu uśmiechem pełnym zębów.

— Dale wziął mnie za klientkę, ale ja przyszedłam na spotkanie z profesorem Fromm.

Profesorka przygląda mi się, szybko dokonując oceny sytuacji. Uwalnia mnie w końcu od formularza i przechyla głowę w kierunku schodów.

— Drugie piętro, pierwsze drzwi na lewo. — Oddaje formularz chłopakowi.

— Moje imię to Kale — syczy, zanim odmaszerowuje sztywnym krokiem.

Profesorka potrząsa głową.

— Ci nowi studenci — rzuca jako marne przeprosiny, a następnie oddala się w przeciwnym kierunku.

Gdy Kale znika gdzieś w korytarzu, słyszę, jak wita go przenikliwy głos.

— O mój Boże, myślałam, że skonam ze śmiechu. Naprawdę pomyliłeś tę dziewczynę z imigrantką mówiącą po hiszpańsku?

Powinnam się ruszyć, ale moje stopy wrosły w ziemię. Recepcjonistka

rzuca mi zbolące spojrzenie.

— Widziałaś, co miała na sobie? — Kale protestuje w korytarzu. — Wyglądała, jakby się ubrała w rzeczy ze zbiórek dla ofiar przemocy domowej, które organizujemy co roku.

Włącza się nowy głos.

— Z czego tak się śmiejecie?

— Kale pomylił studentkę, która przyszła do profesor Fromm, z bezdomną.

Z palącymi policzkami spoglądam w oczy recepcjonistki.

— Musielibyście coś zrobić z tą akustyką.

Wzrusza ramionami.

— Jeśli wydaje ci się, że to najgorsza rzecz, którą tu słyszę każdego dnia, to się przygotuj na bolesną niespodziankę.

Co za wesoła myśl. Pomysł, żeby pokręcić się po budynku, nie wydaje się już tak kuszący, więc udaję się na piętro, przeskakując po dwa stopnie. Drzwi profesor Fromm są na szczycie schodów. Rozmawia przez telefon, ale dostrzega mnie natychmiast.

— Sabrino, wejdz, proszę. — Kładzie dłoń na słuchawce i, gestykulując, zaprasza mnie do środka. — Daj mi minutę. — Do osoby w telefonie mówi: — Muszę kończyć. Przyszła studentka. Nie zapomnij zdjąć prania, jeśli wyszło.

Gabinet jest wyłożony książkami, większość z nich to publikacje prawnicze z charakterystyczną oliwkową okładką i wydrukowanym na grzbiecie napisem złotymi literami *North Eastern Reporter*.

Siadam na obitym czarną skórą krześle przed jej biurkiem i zastanawiam się, jak by to było siedzieć po drugiej stronie. Oznaczałoby to, że dotarłam do celu i już nigdy w życiu nikt nie pomylił mnie z ubogim petentem.

— Gratulacje! — Rozpływa się w uśmiechu. — Miałam ochotę

powiedzieć ci już wtedy, ale nie chciałam psuć niespodzianki.

— Dziękuję pani. Nie potrafię oddać słowami, jak bardzo jestem podekscytowana.

— Twoje kredencjały są nienagane, ale... — przerywa, a moje serce zaczyna wchodzić na przyspieszone obroty.

Nie może cofnąć mojego przyjęcia, tak czy nie? Decyzja została podjęta, nie można jej unieważnić, tak?

— Kelly wspomniała, że pracujesz w dwóch miejscach? — kończy.

— Tak. Jestem kelnerką i sortuję pocztę. — Profesor Gibson wie dokładnie, w jakim lokalu obsługuję stoliki, ale stwierdziła, że Harvard niekoniecznie musi być uświadomiony w tej kwestii, więc tę posadę utrzymałam w tajemnicy. — Ale planuję zrezygnować z obu etatów przed rozpoczęciem zajęć tej jesieni.

Profesor Fromm jest wyraźnie uszczęśliwiona.

— To dobrze. Miałam nadzieję, że to powiesz. Co prawda stare porzekadło „spójrz w lewo i prawo, a jeden z was nie będzie tu siedział w przyszłym roku” już nie obowiązuje, ale co roku paru studentów odpada po pierwszym roku. Nie chcę, żebyś była jednym z nich. Twoja uwaga ma być całkowicie skupiona na studiach zaczynających się jesienią. Będzie się od ciebie oczekiwać, że przyswoisz więcej informacji w ciągu jednej nocy, niż większość studentów robi to w semestrze.

Wyciąga dwie książki ze sterty leżącej na podłodze i przesuwa je po biurku. Według tytułów jedna to prawo administracyjne, a druga dotyczy sztuki pisania.

— W wolnym czasie, i sugerowałabym, byś go znalazła, poćwicz pisanie. Pióro to tutaj najsilniejsza broń. Jeśli potrafisz dobrze pisać, odniesiesz sukces. Druga rzecz to prawo administracyjne. Wielu ludzi polegnie na pytaniach z praktyki regulacyjnej *versus* przepisy prawa spółek i deliktów.

Dobrze być krok do przodu. — Ponownie przesuwa książki w moją stronę.

— Bardzo dziękuję — mówię z wdzięcznością, zbieram książki i kładę je na kolanach.

— Nie ma za co. Pozdrów ode mnie Kelly w Briar.

Najwyraźniej audyencja dobiegła końca.

— Dziękuję — powtarzam niezręcznie, a potem biorę książki i podnoszę się.

Urwałam się z zajęć, jechałam metrem, przeżyłam upokarzające spotkanie z palantem o imieniu Kale i po co? Dla pięciominutowej rozmowy i rekomendacji dwóch książek?

Dochodzę do drzwi, gdy profesor Fromm ponownie przywołuje moje imię.

— Sabrino, pozwól, że udzielę ci rady. Przeznacz trochę z pożyczki na nową garderobę. Pomoże ci to poczuć się tutaj jak w domu, a w rozgrywkach warunki przestaną wydawać się nierówne. Ubierasz się dla pracy, którą chcesz, a nie tej, którą wykonujesz.

Kiwam głową, mając nadzieję, że moje policzki nie są całkowicie czerwone. I jeszcze pomyślałam sobie, że w tym momencie odcinek „Upokorzenie Sabriny” dobiegł końca.

W trakcie powrotnego spaceru przez kampus rzeczywistość prezentuje się jakoś mniej ciekawie. Tym razem zauważam, że spore połacie trawników są w większości brązowe i górują nad nimi nagie drzewa. Tylko studenci wyglądają bezlitośnie tak samo — bogaci i uprzywilejowani.

Po powrocie do domu rzucam książki na komodę i kładę się na łóżko. W narożniku obok okna pęka i żółknie tynk. Woda sączy się tam, odkąd tylko pamiętam, ale gdy wspomniałam o tym Nanie, dostałam w odpowiedzi puste spojrzenie, więc dałam spokój.

Przekręcam się na plecy i gapię w sufit. Tutaj straszy popękany tynk wzbogacony w brązowawe plamy, nad którymi zawsze się zastanawiałam.

Może dach przecieka?

Zalewa mnie fala wstydu, ale nie jestem pewna, dlaczego czuję się zawstydzona. Przez ten ohydny, zniszczony dom? Tanie ubrania? Siebie ogólnie?

Później będziesz się nad sobą użalać. Czas opłacić rachunki.

Boże. Ostatnia rzecz, na którą mam teraz ochotę, to opuszczenie jednego miejsca hańby i udanie się do drugiego, ale właściwie nie mam wyboru. Moja zmiana w Boots & Chutes zaczyna się za godzinę.

Zmuszam się do wstania i chwytam obcisłe spodenki i stanik, czyli mój pracowniczy mundurek. Jeszcze tylko dziesięć miesięcy, przypominam sobie, gdy wskakuję w strój i nakładam makijaż. Zakładam striptizerskie buty na piętnastocentymetrowej platformie, narzucam znoszony wełniany płaszcz i ruszam do lokalu ze striptizem. Miejsca, które, tak się smutnie składa, pasuje do mnie idealnie.

Jestem tandeciarą. Mieszkam z tandetnymi ludźmi. Należę do tandetnego świata.

Pytanie brzmi, czy kiedykolwiek będę w stanie zetrzeć smród mojej przeszłości i należeć do Harvardu? Myślałam, że tak.

Ale dziś wieczorem, z ręką na sercu, to już sama nie wiem.

Rozdział 8

Tucker

— Dajemy dupy — ubolewa Hollis.

— Fakt. Nie wymiatamy — przyznaję mu rację.

Dzisiejszy trening okazał się kolejną porażką, co nie wróży dobrze przed jutrzejszym meczem z Yale. Miałem nadzieję, że jazda do Bostonu odciągnie naszą uwagę od fatalnej gry, ale siedzimy w tej knajpie od prawie godziny i jak dotąd nawijamy jedynie o hokeju. Mecz Bruinsów wyświetlany na monitorach rozsiansych dookoła wcale nie pomaga — oglądanie dobrej drużyny grającej w hokeja to jedynie lukier na torcie z gówna.

Spoglądam na pustą butelkę piwa, a potem macham w powietrzu, by przywołać kelnerkę. Będę potrzebował jeszcze z pięciu dolewek, jeśli mam poprawić sobie ten ponury nastrój.

Hollis nadal marudzi u mojego boku.

— Jeśli nie zaczniemy grać w obronie, możemy się pożegnać z szansami na kolejne Frozen Four.

— To długi sezon. Nie stawiajmy jeszcze krzyżyka — stwierdza Fitzysiedzący po przeciwnej stronie stołu. Popija colę, bo dziś wieczorem robi za naszego kierowcę.

— Chłopaki, będziecie truć o hokeju przez całą noc? — narzeka Brody, brat Hollisa. Facet ma dwadzieścia pięć lat, ale z gładko ogoloną twarzą i czapką Red Sox założoną tył na przód wygląda o wiele młodziej.

— A o czym innym mielibyśmy tu gadać? Trafiliśmy na zjazd penisów. — Hollis rzuca serwetką w brata.

Fakt. W całej knajpie urzędują tylko dwie kobiety. Są w naszym wieku, seksowne jak cholera, ale tak się składa, że siedzą w boksie i liżą się jak szalone. Dziewięćdziesiąt pięć procent mężczyzn obecnych na sali, mnie nie wyłączając, zdążyło rzucić niejedno ukradkowe spojrzenie na te przyssane do siebie laski. A pozostałe pięć procent przyssane jest do siebie.

— Dobra, frajerzy. — Brody wzdycha z przesadą. — Nie podoba się wam to miejsce? To spadamy.

— Gdzie? — dopytuje braciszek.

— Tam, gdzie są dziewczyny.

— Pełna zgoda.

Trzy minuty później wskakujemy do samochodu Fitzy'ego i podążamy przez miasto za audi Brody'ego.

— Niezła bryka — zauważam, wskazując na błyszczący srebrny samochód przed nami.

— Wynajęta — informuje mnie Hollis. — Mój braciszek lubi się zgrywać na wielką szycę, którą tak naprawdę nie jest.

— Reeetyyy — siedzący na miejscu kierowcy Fitzy przeciąga samogłoski. — Skąd ja to znam?

W odpowiedzi od kumpla z drużyny widzi środkowy palec.

— Koleś. Większa ze mnie szycha niż twój pedziowaty tyłek. Nawet się nie bzyknałeś w swoje urodziny w tym tygodniu.

— Wcale nie szukałem okazji do bzykania. Możesz mi wierzyć, że gdyby tak było, to byś mnie nawet nie zobaczył tamtego wieczoru.

— I tak prawie cię nie widzieliśmy! Szybko zmyłeś się do chaty, by grać w gry wideo!

— By przetestować grę, którą sam zaprojektowałem — poprawia go. — Jakoś nie zauważyłem, byś sam robił cokolwiek produktywnego z czasem.

— A właśnie, że machanie moim berłem jest niezwykle produktywne,

dziękuję ci bardzo.

Skrywam uśmiech. Nie bardzo ogarniam, jak tych dwóch koleś może się tak przyjaźnić. Hollis to pyskaty gościu z jedną tylko rzeczą w głowie — laski. Fitzy zaś jest poważny i zasadniczy z jedną tylko rzeczą w głowie — granie. A właściwie może i z dwoma rzeczami, biorąc pod uwagę, jak bardzo lubi się tatuować. Jakoś udaje im się żyć w przyjacielskiej komitywie, choć wydaje się, że głównie dzięki nieustannym spięciom i machaniu środkowym palcem.

Wjeżdżamy na żwirkowy podjazd i parkujemy obok Brody'ego. Jego samochód nie odstaje od innych wozów, ale do baru też nie pasuje. Neonowy znak nad nijakim budynkiem oznajmia świetliście nazwę Boots & Chutes, umiejscowioną pod półnągą dziewczyną ujeżdżającą byka.

Hollis gapi się na znak.

— Serio? Striptizerski bar *à la* Dziki Zachód w Bostonie? Przecież to totalna kłapa. — Wygląda tak, jakby chciał przyłożyć bratu.

— Ale z ciebie miss Mary Sunshine. — Brody zarzuca ramię na plecy Hollisa i macha, byśmy podeszli bliżej. — Dzieci chciały cipek, to proszę bardzo.

— Czy właśnie tak wygląda życie po uniwerku? Za cipki trzeba płacić? — Hollis zwiesza głowę. — Nigdy nie opuszczę Briar, brachu. Nigdy.

Chichoczę.

— Hej, pomyśl tylko o tych wszystkich resztkach w hokejowych fanklubach, do których będziesz miał dostęp, kiedy Garrett albo Logan przejdą na zawodowstwo.

Natychmiast się ożywia.

— Słuszna uwaga. I zobacz — wskazuje na znak — teraz i ty możesz zostać w Bostonie. Po cholere wracać do Teksasu, skoro masz tu kowbojki pod nosem?

— Kuszące — odpowiadam oschle — ale myślę, że będę się trzymał pierwotnego planu.

Po absolutorium wracam do Patterson. Chyba że mamie nagle zachce się przeprowadzki na Wschodnie Wybrzeże. Nie jestem pewien, czy nasze małe miasteczko jest dobrym miejscem na rozkręcenie biznesu, ale zawsze mógłbym spróbować otworzyć coś w Dallas i wracać do domu na weekendy. Mama poświęciła mnóstwo, bym dotarł tu, gdzie jestem, i nie zostawię jej samej.

Striptizerski klub cuchnie potem, dymem i desperacją. Na czele naszej grupy brat Hollisa wciska coś w dłonie bramkarza i odbywają krótką rozmowę.

— Żadnego dotykania. Prywatne tańce zaczynają się od pięciu dolców. — Przywołuje kelnerkę. — Pierwszy rząd, stolik przed sceną — oznajmia jej.

Wszyscy zaczynają się ruszać.

Wszyscy oprócz mnie.

— Jakiś problem?

Ostry głos bramkarza wprawia mnie w ruch.

— Nie — odpowiadam beztrąsko.

Ale w pewnym sensie tak. Bo faktycznie mam duży problem. Kurewsko wielgachny problem.

Ponieważ pod grubą kreską eyelinera i utapirowanymi włosami rozpoznaję kelnerkę. Do diabła, moje dłonie i usta wędrowały wszędzie po tej wyeksponowanej skórze.

Zaskoczony spojrzem Sabrinę krzyżując się z moim. Widzę, nagle blednie i wszelkie kolory znikają z jej twarzy, co mówi wiele, ponieważ nie szczędziła sobie różu przy nakładaniu makijażu.

— Tędy proszę — mamrocze. Okręca się ze świstem ciemnych włosów, ale udaje mi się dostrzec błysk ostrzeżenia w jej oczach. Zrozumiałem. Nie

chce, żebym powiedział chłopakom, że się znamy. Trudno się dziwić. Ta sytuacja musi być dla niej cholernie niezręczna.

— Co za laski tu pracują? — mówi Hollis, obrzucając pożądlivym spojrzeniem niesamowity tyłek Sabriny, ledwie przykryty maleńkimi szortami.

— Seksowne — odpowiada oschle Fitzy.

To delikatne ujęcie tematu. Dziewczyny są bardziej niż seksowne. Są zajebiste. Źródło: moje oczy.

Wysokie, niskie, o bujnych kształtach. Jasne, ciemne i wszystko pomiędzy. Ale moje spojrzenie nieustannie wraca do Sabriny, jakby było przymocowane do niewidzialnego sznurka kontrolowanego jej perfekcyjnym tyłkiem.

— Odwołuję każdą jedną niefajną rzecz, którą powiedziałem o kowbojkach na parkingu. Każda z tych lasek może się na mnie przejechać.

Krew krzepnie mi w żyłach. Nie podoba mi się wizja Hollisa — albo któregośkolwiek z tych koleśi tutaj — bycia ujeżdżanym przez Sabrinę. Ona jest moja.

— Wszystko okej? — pyta Fitzy. — Wyglądasz na wkurzonego.

Wciągam powietrze.

— Tak, przepraszam. Myślałem o drużynie.

Kupuje to.

— Jest o co się wkurzać. Chodź. Napijmy się i zapomnijmy o hokeju.

Potakuję w zamyśleniu, zbyt zauroczony widokiem Sabriny od tyłu. Jej plecy są niemal nagie z wyjątkiem jednego marnego paska, który wygląda tak, jakby miał się rozwiązać, gdybym tylko dmuchnął. Moje spojrzenie opada niżej, chłonę idealne wgłębienie jej kręgosłupa kończące się na szczycie czarnych satynowych spodenek.

Nim docieramy do sceny, mój fiut staje do połowy, co jest kurewsko

żenujące. Wzwód od samego widoku tyłka dziewczyny nie zdarzył mi się od czasów liceum.

Podnoszę wzrok w ostatniej chwili, by nie zderzyć się ze stolikiem pełnym chłopaków należących do braterstwa. Jeden z nich sięga dłonią, by klepnąć Sabrinę w tyłek, gdy przechodzi obok.

Przeszywa mnie uczucie wściekłości. Pcham się do przodu, ale ochroniarz siedzący przy scenie dopada gnojka, zanim ja to robię.

— Żadnego dotykania, dupku. — Stawia ubranego w koszulkę polo dzieciaka na nogi. — Idziemy.

— Hej, przepraszam — protestuje dupek. — To był odruch.

Ale ochroniarz go nie słucha i chłopak zostaje wyprowadzony. Jego kumple tylko odprowadzają go wzrokiem.

Hollis się szczyrzy.

— Surowe jebaki na pokładzie.

— Potrzebujemy tego kolesia w drużynie — zauważa Fizzy.

— Święta prawda.

Sabrina wyciąga dłoń.

— Co wam podać, chłopcy? — Jej głos z ledwością przebija się przez głośny taneczny beat ryczący w klubie.

— Jakiegokolwiek piwo z beczki. — Utrzymuję wzrok nad jej brodą, co jest wielkim wyczynem.

Widzę nieszczęście zalewające jej twarz. Nie trzeba być żadnym geniuszem, by zreflektować się, że jest zawstydzona i nie wiem, jak jej powiedzieć, że to, gdzie pracuje, nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Brody zwała się na krzesło obok mojego. Opiera przedramiona na stole i pochyla do przodu, by pogapić się na półnagą kobietę tańczącą półtora metra od nas. Wysoka rudowłosa tancerka jest w trakcie strząsania z siebie stringów i zostaje jedynie w skórzanym pasie dookoła talii i dwoma

falszywymi pistoletami.

— A dla ciebie?

Brat Hollisa odrywa spojrzenie od nagiej kowbojki i spogląda na Sabrinę.

— Whisky, czysta.

— Zaraz wracam.

— Dzięki, dziecinko.

Sabrina znika z wymuszonym uśmiechem i jakoś udaje mi się nie rzucić na Brody'ego. Ona nie jest jego dziecinką. Jeśli nazwie ją tak jeszcze raz, nie jestem pewien, czy będę w stanie powstrzymać się przed stłuczeniem go na kwaśne jabłko.

— Wygląda znajomo — Hollis wydziera mi się do ucha. — Ta kelnerka. Prawda?

Wzruszam ramionami.

— Nie wiem.

Fitzy odwraca się, by się jej przyjrzeć, gdy pochyla się nad pobliskim stolikiem, przyjmując zamówienia.

— Podobna trochę do Olivii Munn?

— Ale gdzie tam. Jest milion razy seksowniejsza — obwieszcza Hollis. Potem wzrusza ramionami. — Nieważne, może wcale jej nie znam.

Jego brat się szczerzy.

— Zapytam ją później, czemu wygląda ci znajomo. Wiesz, jak już wyląduje przede mną na kolanach.

Zaciskam pięści na udach. Muszę, bo inaczej przerobię brata Hollisa na mielone mięso, a wtedy Hollis się wkurzy. Lubię Hollisa.

Na szczęście Brody decyduje się przestać być mendą, jakby na jakimś poziomie podświadomości dotarło do niego, że byłem o krok od zamordowania go. Odwraca się do mnie.

— Mikey wspominał, że planujesz otworzyć własny biznes?

Potakuję.

— Taki mam plan.

— Coś konkretnego?

— Na razie analizuję kilka opcji, ale jeszcze na nic się nie zdecydowałem.

Byłem skupiony na hokeju.

— No tak, rozumie się.

— Ale jak tylko skończę naukę, ocenię moje plany.

— Jeśli będziesz potrzebował pomocy, daj znać. Mam kilka polis z nowymi możliwościami zawodowymi. Na zupełny początek działalności. Nie wiem, ile masz kasy, ale te możliwości inwestycji nie są powszechnie dostępne. Jednego dnia pakujesz w interes parę stówek, a trzy lata później jesteś bilionerem, gdy twoje udziały wykupuje Facebook. — Strzela palcami, jakby to było aż tak łatwe.

— Brzmi interesująco. Może zadzwonię do ciebie, kiedy będę gotów na podjęcie konkretnych decyzji. — Ponownie kiwam głową, ale tak naprawdę nie mam zamiaru dzwonić do Brody'ego Hollisa, żeby się radzić w sprawie inwestycji. Nie dam się wciągnąć w żadne piramidy, dziękuję bardzo.

Sabrina wraca z tacą w dłoni i cała moja uwaga natychmiast skupia się na niej. Stawia nasze drinki na stół. Jest tuż koło mojego ramienia. Domyślam się, że to dlatego, że jestem najmniej skłonny chwycić ją za tyłek, a nie, że chce potrzeć cyckami o mój policzek.

— Zajrzę do was za jakiś czas — mruczy, zanim się zmywa.

Jezus. Gapię się na nią w zachwycie, żałując, że nie mogę za nią pobiec i przytulić do siebie. Obsługiwanie bandy chłopaków z Briar — nie wspominając nawet, że z jednym spała — na pewno jest dla niej niezręczne. Mogła poprosić szefa o przeniesienie do innej sekcji, ale nie skorzystała z takiej opcji. Robi dalej, co do niej należy, jakby nasza obecność nie miała najmniejszego znaczenia.

Przez kolejne pół godziny chłopaki i ja patrzymy, jak striptizerki robią swoje. To znaczy chłopaki patrzą. Ja zaś jestem całkowicie skupiony na Sabrinie. Rzucam jej ukradkowe spojrzenia co sekundę, ledwo zwracając uwagę na to, co się dzieje dookoła mnie. Jak przez mgłę rejestruję śmiech, gwizdy i strzępy rozmów, bo cały mój świat został zredukowany do Sabriny James. To zmysłowe kołysanie bioder, gdy się porusza. Wysokie obcasy, dzięki którym jej nogi wydają się niemożliwie długie. Za każdym razem, gdy przechodzi obok naszego stolika, walczę z pokusą, by przyciągnąć ją na swoje kolana i całować nieprzytomnie.

— Ile kosztuje taka dziewczyna jak ty? — bełkocze donośny głos za moimi plecami.

— Nie jestem tancerką.

Czuję, jak sztywnieją mi ramiona, gdy rozpoznaję głos Sabriny. Kobieta na scenie właśnie skończyła wygibasy i ściszone nieco muzykę, podczas gdy kolejna tancerka szykuje się do wyjścia. Odwracam się na krzesło i okazuje się, że to znowu te parszywe typy z bractwa szukają guza.

— Ale byłabyś za odpowiednią cenę — zawodzi jeden z dupków.

— Nie. Ja tylko serwuję drinki. — Z mojego miejsca widzę napięcie jej szczupłych ramion.

— A co jeśli chciałbym więcej niż drinka — kpi dupek.

— Serio, szkoda kasy. Fatalnie tańczę. — Jej ton jest łagodny z wierzchu, ale tnie jak żyłeta od środka. — Potrzeba wam czegoś jeszcze?

— Słoneczko, nie proszę o broadwayowskie show. Chcę tylko, żebyś mi przed nosem pomachała cyckami i tyłkiem. Może trochę się o mnie pocięła.

Koniec. Miarka się przebrała.

Dostrzegam zmieszane spojrzenie Fitzy'ego, gdy odsuwam krzesło i podchodzę do stolika dupków.

— Powiedziała nie — warczę.

Głównodowodzący dupek uśmiecha się złośliwie.

— To pieprzona striptizerka, kolo.

Krzyżuję ramiona na klatce piersiowej.

— Powiedziała nie — powtarzam.

Kącikiem oka dostrzegam, jak Sabrina się wycofuje.

— Do czego pijesz? — chce wiedzieć dupek. — Pilnuj swoich spraw, bo jak nie, to...

Nogi od krzesła za moimi plecami szurają o podłogę i dupek kurczy się na swoim siedzeniu, podczas gdy dwieście siedemdziesiąt kilogramów wściekłych hokeistów patrzy na niego z góry. Szczególnie Fitzy z dwoma rękawami z tatuaży i rozcięciem nad łukiem brwiowym, które zaliczył podczas ostatniego meczu, sieje postrach.

— To co? — dopytuję, unosząc brew.

— Nic — chłopak z bractwa odburkuje obrażonym tonem.

— Tak właśnie myślałem. — Szczerzę kły do tych warchołów, a chłopaki i ja sadowimy się z powrotem na krzesłach.

Mija sekunda, nim uświadamiam sobie, że Sabrina zdążyła czmychnąć na salę. Odwraca się na krótko, by zerknąć na nasz stół. Gdy nasze spojrzenia się spotykają, dostrzegam wyraźny smutek w jej oczach.

Nim zdołam się powstrzymać, wyciągam telefon i wysyłam jej szybką wiadomość. Nie wiem, czy nadal blokuje mój numer, ale nie zaszkodzi spróbować.

Przepraszam za to.

Nie oczekuję odpowiedzi, więc gdy mój telefon brzęczy trzy minuty później, jestem szczerze zaskoczony. Ale potem wkurzony, gdy czytam odpowiedź:

Śledziłeś mnie tutaj?

Zebranie myśli zabiera mi jakąś minutę. Popijam piwo, biorę oddech, a potem odpowiadam jej: *Spotkamy się w toalecie?*

Tym razem odpisuje od razu.

5 min.

Przez kolejne cztery minuty zmuszam się, by nie gapić się na telefon. Albo nie nastawić minutnika. Zniecierpliwienie nasila się z każdą mijającą sekundą. Aż się gotuję w środku. Gdy w końcu wstaję z krzesła, jestem spięty jak cholera.

— Idę opróżnić pęcherz — mruczę, ale chłopaki nie zwracają na mnie uwagi. Hollis i Brody są zbyt zajęci wpychaniem dolarówek za stringi striptizerki, z kolei Fitzy przygląda się im ze znudzonym wyrazem twarzy.

Przedzieram się przez tłum składający się głównie z facetów w kierunku drzwi po drugiej stronie ciemnej sali. Boots & Chutes zaszalało z wystrojem w stylu Dzikiego Zachodu — drzwiczki rodem z westernu oddzielają toalety od głównej sali, a na drewnianych znakach na toaletach umieszczono napisy: „Uzbrojeni bandyci” oraz „Dzierlatki”.

Zza drzwi „Dzierlatek” dobiegają stłumione dźwięki damskich jęków wymieszanych z męskimi pomrukami. Ale klasa.

— Tak czy nie?

Odwracam się na dźwięk głosu Sabriny. Podchodzi do mnie sztywnym krokiem, z ramionami zaciśniętymi na klatce w ten sposób, że rowek między jej piersiami niemal wypada ze stanika.

— Pytasz, czy cię śledziłem? — Zaciskam usta. — Nie, moja droga, nie śledziłem cię.

Wpatruje się we mnie przez kolejne kilka sekund, a potem kiwa głową.

— Okej. Wierzę ci. — I odwraca się, żeby odejść.

Co to, to nie, do diabła.

— Sabrino — mówię cicho.

Zatrzymuje się.

— C-co?

Coś w środku mnie topnieje, gdy słyszę, jak łamie jej się głos. Stoi plecami do mnie, jej kręgosłup napięty niczym metalowy pręt. Zanim do niej podchodzę, ulatuje ze mnie wszelkie oburzenie, które się we mnie zebrało po jej niesprawiedliwym oskarżeniu. Delikatnie dotykam jej ramienia, by ją odwrócić i teraz stoimy twarzą w twarz.

— Sabrino? — Przemawiam łagodnym, spokojnym głosem.

Przełyka ślinę w widoczny sposób.

— Tutaj pracuję.

Kiwam wolno głową.

— Tutaj pracujesz.

— I to wszystko? Nie masz nic więcej do powiedzenia w tej kwestii?

Głaszczę jej nagie ramię opuszkami kciuka; w nagrodę czuję, jak drży.

— To twoje miejsce zatrudnienia. Dostajesz wynagrodzenie za tę pracę. Wypłatą opłacasz rachunki, jak przypuszczam. Co jeszcze chcesz, żebym powiedział?

Wiem, czego się po mnie spodziewała. Osądu. Pogardy. Może wulgarnego komentarza albo dwóch.

Ale ja nie jestem taki.

Nie spuszcza ze mnie oczu, aż w końcu małe uśmiech pojawia się na jej olśniewających ustach.

— Czekam na tekst w stylu, że nigdy nie chodzisz w takie miejsca, twoi kumple cię tu zaciągnęli wbrew twojej woli, ble, ble, ble.

— Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że nigdy nie byłem w klubie ze striptizem. Ale w pewnym sensie zostałem tu zaciągnięty — głosowałem za sportową knajpą. A do Bostonu przyjechałem tylko dlatego, że... — milknę, ponieważ ostatnia rzecz, którą chcę teraz zrobić, to znów ją spłoszyć.

— Że co?

Kurwa. Wzruszam ramionami i mówię:

— Miałem nadzieję, że może wpadnę na ciebie.

Sabrina się śmieje.

— Boston to duże miasto — naprawdę spodziewałeś się, że przypadkowo na mnie wpadniesz?

— Spodziewałem się, nie. Miałem nadzieję? Abso-choleśnie-tak.

Znów się śmieje.

Gapimy się na siebie przez chwilę. Mój głos brzmi chropawo, gdy mruczę:

— Odblokowałeś mój numer.

— Odblokowałam twój numer — potwierdza.

Potem zwilża dolną wargę koniuszkiem języka, a ja połykam jęk. Kurwa, chcę ją pocałować.

— Powinam... wracać do pracy.

W jej słowach jest tylko skrawek niechęci, ale ten skrawek to wszystko, czego potrzebuję.

— Kiedy kończysz?

— O drugiej.

— Chcesz się spotkać po pracy?

Nie odpowiada natychmiast. Stoję tam, wstrzymując oddech, mając nadzieję, że to surowe, zniewalające pożądanie, które czuję w stosunku do niej, nie maluje się teraz na mojej twarzy i modłę się, by powiedziała...

— Tak.

Rozdział 9

Tucker

Czekam na Sabrinę na parkingu. Prawie wszystkie samochody zniknęły oprócz tych kilku, które należą pewnie do pracowników. Chłopaki wróciły do mieszkania Brody'ego kilka godzin temu, gdzie pewnie będą pić do rana. Powiedziałem im, że spotykam się z dziewczyną na późnej kolacji, czym zasłużyłem sobie na przybicie piątki z Hollisem mimo biadolenia, że jestem kiepskim kumplem, skoro nie upewniłem się, czy nie ma koleżanki.

Podrzucili mnie do całodobowej restauracji kilka przecznic od klubu, miejsca mojej rzekomej randki. Spędziłem tam godzinę, pałaszując burgera i połykając kawę, by nie zasnąć w trakcie pierwszych pięciu minut spotkania z Sabriną. Potem pieszo poszedłem do Boots & Chutes i teraz stoję oparty o hondę Sabriny, monitorując główne wejście w niecierpliwym oczekiwaniu.

Wreszcie się pojawia i moja ekscytacja wzrasta. Ma na sobie wełniany płaszcz sięgający kolan. Pod spodem jej nogi są nagie.

Zastanawiam się, czy wciąż ma na sobie te zajebiste spodenki i mój fiut odpowiada drżeniem. Potem daję sobie w myślach kopniaka, bo widziałem przecież, jak bardzo wstydziła się tego kusego stroju.

— Hej — mówi, gdy do mnie dochodzi.

— Hej.

Chcę ją pocałować, ale nie wysyła mi żadnych „chodź do mnie” sygnałów. Muszę jednak ją dotknąć, więc robię krok do przodu i odgarniam kosmyk jej włosów za ucho.

Wahając się, zagryza wargę.

— Gdzie idziemy?

— A gdzie byś chciała? — Zostawiam decyzję jej.

— Jesteś głodny?

— Nie. Właśnie jadłem. A ty?

— Podczas ostatniej przerwy zjadłam batona energetycznego.

Mrugam do niej.

— Pomyślałaś, że przyda ci się energia? A na co?

Jej policzki słodko różowieją. Widzę, jak walczy z uśmiechem i kiedy się poddaje, przybijam sobie w myślach piątkę. Jest najcudowniejsza, gdy się uśmiecha. Szkoda, że robi to tak rzadko.

Rozgląda się dookoła.

— Nie ma twojego wozu.

— Został w Hastings. Przyjechaliśmy samochodem Fitzy'ego.

Kiwa głową i ponownie przygryza wargę.

— Ja... co robimy w takim razie?

— Zero presji. — Przybliżam się do niej jeszcze bardziej, kładę swobodnie dłoń na jej biodrze, a drugą błędzę po linii jej podbródka. Czuję, jak przyspiesza mi puls, gdy nie wzbrania się przed moim dotykiem.

— Możemy się przejść. Albo posiedzieć w samochodzie i pogadać. Cokolwiek chcesz.

Sabrina wypuszcza oddech, który zostawia białą chmurkę w zimnym wieczornym powietrzu.

— Nie mam ochoty na spacer. Jest zimno, a mnie bolą stopy od biegania cały wieczór. A mój samochód jest o wiele za mały dla ciebie. Byłoby ci niewygodnie.

— Chcesz wrócić do siebie?

Napina się.

— Nie za bardzo. — Wymyka się kolejny oddech. — Nie chcę, żebyś...

— Żeby co?

— Żebyś zobaczył, gdzie mieszkam. — Brzmi defensywnie. — To gówniana nora, okej?

Czuję ucisk w sercu. Nie odpowiadam, ponieważ nie jestem pewien, co powiedzieć.

— To znaczy, mój pokój nie — łagodnieje. — To akurat nie jest gówniana nora.

Sabrina milknie, jakby toczyła wewnętrzną walkę.

— Mówiłem już — mówię łagodnym głosem. — Zero presji. Jeśli martwisz się, że będę cię oceniał po tym, gdzie mieszkasz, to przestań natychmiast. Mam gdzieś, czy mieszkasz w rezydencji, czy szopie. Chcę po prostu spędzić z tobą czas, kiedykolwiek i gdziekolwiek.

Pocieram kciukiem jej wargi i widzę, jak jej ramiona się rozluźniają.

— Dobra — odzywa się w końcu szeptem. — Jedźmy do mnie.

Przyglądam się jej badawczo.

— Jesteś pewna?

— Tak, w porządku. Wolę być teraz w jakimś ciepłym i przytulnym miejscu. Nie, że mój dom jest ciepły i przytulny, ale z pewnością jest tam cieplej niż tutaj.

Po podjęciu decyzji otwiera samochód i siada za kierownicą. Ja zajmuję miejsce po stronie pasażera. I miała rację — moje nogi są za długie na ten samochód. Nawet gdy popycham fotel do samego końca, nadal nie mam miejsca, żeby je wyprostować.

Odpala silnik i wycofuje się z parkingu.

— Mieszkam niedaleko stąd.

A potem przez resztę drogi nie mówi już za wiele. Nie wiem, czy jest zdenerwowana albo czy żałuje, że zgodziła się ze mną umówić, ale mam piekielną nadzieję, że nie chodzi o to drugie.

Nie naciskam na rozmowę, bo wiem, jak łatwo ją spłoszyć. Cierpliwość, tak nazywa się ta gra, a za cierpliwość wobec Sabriny James czeka nagroda. Ona ma w sobie tyle namiętności, że trzeba tylko pomóc jej dotrzeć do strefy komfortu, by pozwoliła sobie na jej uwolnienie.

Skrećamy w ulicę, przy której mieszka, a ja udaję, że jestem tu po raz pierwszy. Że nie rozpoznaję wąskich, rozklekotanych szeregowców. Że nie spałem tu w samochodzie przy tym nierównym krawężniku tamtej nocy, gdy jechałem za nią do domu, żeby upewnić się, iż dotarła bezpiecznie.

Sabrina skręca na podjazd z boku domu, kierując się pod niewielką wiatę na tyłach. Wyłącza silnik i wysiada z samochodu w milczeniu.

— Tędy — mruczy, gdy obchodzę pojazd.

Nie bierze mnie za rękę, ale sprawdza, czy podążam za nią, gdy pokonuje trzy niskie stopnie na werandzie. Jej klucze pobrzękują łagodnie w nocnej ciszy, gdy przekręca zamek w drzwiach.

Chwilę później wchodzimy do maleńkiej kuchni. Na ścianach ohydna tapeta w żółtoróżowy deseń, a na środku stoi kwadratowy drewniany stół otoczony czterema krzesłami. Urządzenia wyglądają na stare, ale muszą działać, ponieważ brudne garnki i patelnie piętrzą się na palnikach kuchenki.

Sabrina blednie na widok bałaganu.

— Moja babcia zawsze zapomina posprzątać po sobie — mówi, nie patrząc mi w oczy.

Rozglądam się po ciasnym wnętrzu.

— Mieszkacie tu tylko we dwie?

— Nie. Mój ojczym też tu mieszka. — Nie rozwodzi się, a ja nie pytam o szczegóły. — Ale nie martw się. Piątek to pokerowa noc, zazwyczaj nocuje poza domem, a potem wraca chwiejnym krokiem koło południa następnego dnia. A Nana zażywa ambien każdej nocy przed położeniem się spać. Śpi jak zabita.

Nie martwiłem się, ale mam wrażenie, że ona nie próbuje uspokoić mnie, tylko siebie.

— Do mojego pokoju tędy. — Nurkuje w korytarz, zanim zdołam powiedzieć słowo.

Podążam za nią. Rejestruję wąski korytarz, brudny dywan i brak rodzinnych fotografii na ścianach. Serce mnie boli, ponieważ skulone ramiona Sabriny mówią mi, że wstydzi się tego miejsca.

Kurwa. Dobija mnie to, że widzę ją tak przybitą. Chcę jej powiedzieć o łuszczącej się farbie w moim domu w Teksasie, o tym, jak przez cały okres liceum spałem w najmniejszej sypialni w domu, tak by mama mogła przerobić większy pokój na domowy zakład fryzjerski, który uzupełniał przychody z jej fryzjerskiej pracy w mieście.

Ale nie odzywam się. Robię to, co ona.

Sypialnia Sabriny jest mała, uporządkowana i bez wątpienia jest jej schronieniem. Podwójne łóżko jest perfekcyjnie zasłane jasnobłękitną narzutą. Na nieskazitelnie czystym biurku stoi rząd porządnie ustawionych podręczników. W powietrzu unosi się zapach czystości i świeżości, jakby sosna zmieszana z cytryną i czymś uzależniająco kobiecym.

Sabrina rozpina płaszcz, ściąga go i wiesza na oparciu krzesła.

Ślinię się. Na skąpy biustonosz, reprezentujący „strój pracowniczy”, narzuciła T-shirt, ale nadal ma na sobie te maleńkie szorty. I szpilki. Ja pierdołę, te szpilki.

— Więc — zaczyna.

Rozpinam kurtkę.

— Więc — powtarzam.

Jej ciemne oczy podążają za ruchem moich dłoni, gdy rzucam kurtkę na bok. Potem gwałtownie potrząsa głową, jakby próbowała otrząsnąć się ze... sprawdzenia mnie, jak mi się wydaje? Skrywam uśmiech.

— Mówiłam prawdę, gdy ci powiedziałam, że nie chcę się angażować.

— Wiem. Dlatego nie dzwoniłem. Podchodzę do biurka, skanuję tytuły książek, stoi ich tam cała masa.

Na ścianie wisi mała korkowa tablica z przyczepionymi zdjęciami. Uśmiecham się na widok Sabriny wciśniętej między dwie dziewczyny. Ta po jej lewej stronie ma jasnorude włosy i wystawia język, ściskając tyłek Sabriny w przesadny sposób. Ta z prawej, z długimi cienkimi warkoczami, zostawia całusa na policzku Sabriny. Nie ma wątpliwości, że obie ją uwielbiają i czują iskierkę aprobaty, że ma przynajmniej dwie osoby, na których wsparcie może liczyć.

— Moje dziewczyny — tłumaczy Sabrina, podchodząc do mnie. Wskazuje na prawo. — To Hope. — Wskazuje na lewo — i Karin. Moje anioły zesłane z niebios. Serio.

— Wydają się fajne. — Skaczę wzrokiem po innych zdjęciach, a potem zatrzymuję się na białej kartce papieru z emblematem Harvardu w rogu. — Jasna cholera — dyszę. — Czy to jest to, co mi się wydaje?

Cała twarz Sabriny rozjaśnia się.

— Yhm. Dostałam się na Harvard Law.

— Ja pierdołę! — Okręcam się i przyciągam ją do siebie. — Gratki, moja droga. Jestem z ciebie dumny.

— Ja też jestem z siebie dumna. — Jej głos jest stłumiony, bo twarz ma wciśniętą w moją szyję.

O kurczę. Te przytulanki to nie był dobry pomysł. Teraz jedyne, na czym mogę się skupić, to sposób, w jaki jej okrągłe, pełne piersi przyciskają się do mojej klatki. Przysięgam, że jej sutki już są twarde.

Sabrina zadziera głowę w momencie, gdy czuję zmiany, które zaszły w moim ciele.

— Sorry — mówię, z żalem odsuwając biodra. — Mój fiut zgłupiał.

Odpowiada mi jej śmiech. Odchyła głowę, by na mnie spojrzeć z rozbawieniem w oczach. I pożądaniem. Z całą pewnością widzę isierkę pożądania.

— Biedny chłopiec — mruży. — Naprawdę muszę mu wytłumaczyć różnicę między przytulaniem a pieprzeniem?

Nie. Tej dziewczynie nie wolno wymawiać słowa „pieprzenie”. Brzmi ono za bardzo obiecująco, gdy opuszcza te wydęte wargi.

— Niezły pomysł — odpowiadam poważnie. — Chociaż ten chłopiec do bystrzaków nie należy. Być może będziesz musiała udzielić mu praktycznej lekcji.

Unosi brew.

— A gdzie się podziało „zero presji”?

— Ach, tak się tylko bawię. Zero presji, słonko. — Oprócz presji za moim rozporkiem, rzecz jasna.

Na chwilę milknie. Już się nie przytulamy, ale wciąż stoimy kilka centymetrów od siebie.

— Szczerze? — mówi. — Funkcjonuję lepiej pod presją. Czasem potrzebuję... małego pchnięcia.

Słyszę niewypowiedzianą prośbę, ale choć mój fiut twardnieje, zmuszam się, by wykazać się opanowaniem.

— Nie będę naciskać. Nie, dopóki nie będę pewien na sto procent, że sama tego chcesz. — Przypatruję się jej. — Chcesz tego?

Zwilża usta.

— ...tak.

— Za mało. Powiedz mi dokładnie, czego pragniesz.

— Ciebie. Pragnę ciebie.

— A konkretniej? — Kurwa, jestem masochistą, bez dwóch zdań. Ale ta dziewczyna zdążyła dwukrotnie mnie spławić od chwili, gdy się

przespaliśmy. Muszę mieć pewność, że chcemy tego samego.

— Chcę ciebie. Chcę tego. — Kładzie dłoń na moich jajkach i erekcja niemal wybija sobie drogę na wolność.

— A gdzie tego chcesz? — Mój głos to czysty żwir.

— W ustach.

Żegnaj, opanowanie. Sabrina James dosłownie rozbiła je stalową kulą w tych dwóch ociekających pożądaniem słowach.

Całuję ją, zanim którekolwiek z nas zdąży mrugnąć. I to ten rodzaj pocałunku, który w ciągu sekundy z iskry zmienia się w ogień. Mój język chciwie wślizguje się przez jej rozchylone wargi. Ona wzdycha z rozkoszą i oddaje pocałunek, jej język splata się z moim przez kilka roztopiających mózg sekund, a potem zaczyna wyciąłowywać drogę w kierunku mojej szyi. Jej klatka piersiowa unosi się, gdy głęboko wciąga powietrze, a cichy jęk, który z siebie wydaje, trafia prosto w moje jajka.

— Pachniesz tak dobrze — szepcze i potem jej usta są już wszędzie. Podróżują wzdłuż ścięgien na mojej szyi, pocierają o obojczyk, łaskoczą brodę. Generalnie doprowadzają mnie do szaleństwa.

Zsuwa jedną dłoń między nas i pociera mnie przez spodnie. Nie rozpina ich. Nie sięga do środka. Nie wiem, czy to dlatego, że się ze mną drażni, czy czeka na pchnięcie, którego rzekomo potrzebuje. Ponieważ brakuje mi cierpliwości na pierwszy wariant, optuję za drugim.

— Wyjmuj fiuta — mówię szorstko.

Jej wargi wykrzywają się przekornie.

— Dlaczego miałabym to zrobić?

— Powiedziałaś, że chcesz mnie w ustach. — Zaciskam pięści. — Więc wsadzaj mnie do buzi.

Wydaje z siebie słodki dźwięk, skrzyżowanie łkania, jęku i westchnienia. Czuję jej drżące palce, gdy odpina guzik moich džinsów, ale wiem, że to nie

z nerwów, bo jej twarz aż płonie z podniecenia.

— Chciałam to zrobić tamtej nocy w twoim wozie — wyznaje. — Ale byłam zbyt niecierpliwa, by poczuć cię w sobie.

Delikatnie wyciąga z bokserek sztywnego kutasa i owija go palcami. Wyskakuję z butów, potem szarpię w dół dżinsy i bieliznę. Wszystko posyłam na bok kopniakiem.

— Koszula — rozkazuje, a ton jej głosu wskazuje, że dobrze się bawi. — Chcę widzieć twoją klatkę.

Ta dziewczyna mnie zabije. Zdzieram koszulę i stoję przed nią zupełnie nagi. Ona nadal jest całkowicie ubrana, jeśli te skąpe szorty i cieniusieńki T-shirt zasługują na miano ubrań.

Dosłownie pożera mnie rozgorączkowanym spojrzeniem, a ja posyłam szybkie podziękowanie hokejowym bogom za wymyślenie tak wymagającego sportu. Hokej to twarda, niebezpieczna gra, której trzeba poświęcić wiele godzin treningu. Dzięki temu mam mięśnie w miejscach, po których nie spodziewałem się nawet, że mogą być umięśnione. Teraz ta cała ciężka praca opłaca mi się podwójnie, gdy spoglądam na minę Sabriny.

— Twoje ciało jest niezemskie — informuje mnie.

Chichoczę.

— Przyganiał kocioł garnkowi — odpowiadam i dobieram się do jej cycków pod bluzką.

Przegania moje dłonie.

— Nie przeszkadzaj. Mam coś do zrobienia.

Rzucam jej wyzywające spojrzenie.

— Pomyślałem, że sprawdzisz się w wielozadaniowości. Biorąc pod uwagę, że jesteś zawsze taka zajęta.

— Och, wielozadaniowość ogarniam jak zawodowiec. Tyle że w tym momencie nie chcę w ten sposób działać. Chcę się rozkoszować tylko tym.

— Wymawia uwodzicielsko obietnicę i wolno opada na kolana.

Jej włosy opadają przez jedno ramię, gdy na mnie zerka. W życiu nie widziałem seksowniejszego widoku. Sięgam dłonią i pocieram jej wargi kciukiem. Pragnę widzieć te usta otaczające moją główkę. Pragnę widzieć, jak jej gardło pracuje, by mnie ugościć.

— Ssij — chrypię, gdy klęka, nie dotykając mnie.

Musi słyszeć udręczoną nutę w moim głosie, bo lituje się nade mną i pochyla się do przodu, by ucałować koniuszek mojego penisa. Ofiarowuje mi najdelikatniejsze machnięcie językiem, ale to wystarcza, by posłać prąd aż do mojego kręgosłupa. O kurde, nie wytrzymam zbyt długo.

Obejmuję tył jej głowy i popycham ją bliżej. Jak na rozkaz otwiera usta i połowa mojej długości wślizguje się do środka. Jęczę otoczony ciepłem. Jest zajebiście, a jeszcze nie zaczęła pracować językiem.

— O kurwa — wykrztuszam, gdy oblizuje wrażliwą część pod spodem.

Sabrina śmieje się; ten dźwięk przeszywa penisa i pulsuje w jajkach. Torturuje mnie wolnymi, leniwymi pociągnięciami dłoni. Głębokimi, mokrymi pociągnięciami ust. Słodkimi, delikatnymi liźnięciami języka. I przez cały czas wydaje z siebie najseksowniejsze dźwięki, jakie słyszałem w życiu. Słysząc skomlenie pożądania i chrapliwe jęki, które potwierdzają, że jest równie bliska zatrącenia co ja.

Głaszczę jej włosy. Są tak cholernie jedwabiście miękkie, gdy przesuwają się między moimi placami. Kołyszę biodrami, ale powoli, bo chcę przedłużyć tę chwilę. Ale gdy jej usta nagle ślizgają się do przodu, tak że wargi owijają ciasno moją podstawę, nie ma szans na powstrzymanie orgazmu.

Zatopiony w jej gardle odpalam niczym fajerwerk. To się dzieje tak szybko, że nawet nie mam czasu, by ją ostrzec.

— Sabrina — kwękam, próbując się wycofać.

Ona tylko jęczy i ssie jeszcze mocniej, pochłaniając wszystko, co mam do

zaoferowania.

Przyjemność jest tak intensywna, że niemal tracę równowagę. Uginają mi się kolana. Mózg przestał produkować spójne myśli w chwili, gdy wzięła mnie do ust.

W końcu odnotowuję delikatną pieśczość jej dłoni na udzie, łaskotanie palców na kutasie, gdy głaszcze go po raz ostatni, zanim podnosi się na nogi.

— To było fajne — obwieszcza.

Wybucham śmiechem. Fajne? Ktoś tu chyba jest powściągliwy w słowach.

— To było kurewsko zajebiste — nazywam rzeczy po imieniu i przyciągam ją do siebie.

Całuję ją do utraty tchu. Nadal drżą mi nogi, ale dłonie są niewzruszone jak kamień, gdy metodycznie ściągam z niej T-shirt, a potem ciągnę za sznurek, który utrzymuje stanik w jednym miejscu. Nasze usta są wciąż połączone, popycham ją w kierunku łóżka, napieram na nią, aż nie ma wyjścia — opada na łokcie i rozciąga się na plecach.

Ściągam szpilki, jedną po drugiej, nie szcędząc czasu na wycalowanie kształtnych kostek. Potem pozbywam się seksownych szortów, posyłam je w głąb pokoju i ponownie sięgam po szpilki.

Sabrina podnosi brwi.

— Znowu mi je zakładasz?

— O tak, do diabła. Nie masz nawet pojęcia, jak seksownie wyglądasz w tych szpilach.

Wsuwam jedną małą stopę w szpilkę, potem drugą. Po tym zadaniu gapię się na nią przez długą, długą chwilę i zastanawiam się, jakim cudem tak mi się poszczęściło. Długie kończyny, słodkie krągłości i gładka oliwkowa skóra. Ciemne włosy rozsypane w wachlarz za jej głową, czerwone usta błyszczą w rozchyleniu. I te „pieprz mnie” szpilki... Chryste. Ona jest zwieńczeniem nocnej zmazy.

Unoszę się na kolanach i przysuwam bliżej. Mój fiut znów się budzi, ale ignoruję go. Ma pięciominutową przerwę, podczas gdy ja się trochę pobawię.

— Nie mogę uwierzyć, że jesteś tak piękna — chrypię, przysuwając dłoń między nogi Sabriny.

Pocieram kciukiem łechtaczkę, a jej biodra unoszą się nad łóżkiem w odpowiedzi.

Uśmiecham się. Jeden marny ruch, a ona już jest rozpalona. A może rozgrzała się podczas robienia mi loda jakiegoś lata świetlne temu.

Błądząc palcem po jej wargach sromowych, aż docieram do szparki, jęcząc, gdy odkrywam, jak jest mokra.

— To moje dzieło? — mruczę.

Figlarny błysk tańczy w jej oczach.

— Przykro mi, ale nie. Udawałam, że jesteś Tomem Hardym przez cały czas, gdy cię lizałam.

— Gównu. Prawda. — Wpycham jeden palec do środka niej, a ona piszczy głośno. — Wiedziałaś dokładnie, czyjego fiuta miałaś w buzi.

Sabrina wije się na moim palcu. Dodaję kolejny, podwijam je i przesuвам nimi w jej wnętrzu, podczas gdy kciukiem zakreślam drażniące kółka na łechtaczce.

— Dobra, dobra, wiedziałam — wyrzuca jednym tchem. — Na co komu marzenia o gwiazdzie filmowej, skoro ty jesteś ucieleśnieniem snów?

Niech mnie diabli, jeśli moje ego nie lubi takich słów. A już z całą pewnością fiutowi podoba się, w jaki sposób jej cipka zaciska się wokół palców. Pamiętam, jaka ciasna była ostatnim razem, jak mi z tym było dobrze i po raz kolejny zapominam, że próbuję być cierpliwy.

Jęcząc, rozszerzam jej uda wolną dłonią i pochylam się, by ukryć twarz tam, gdzie teraz chce być mój fiut. Dotykam ją językiem, a ona jęczy wystarczająco głośno, by obudzić zmarłego. Miejmy nadzieję, że ta tabletk

nasenna, którą łyka jej babcia, robi swoje, w przeciwnym razie czeka nas niewątpliwie arcy niezręczne spotkanie.

Całuję, liżę, ssę i bawię się do momentu, gdy moje ciało nie może znieść ani sekundy dłużej. Do czasu, gdy mózg znowu się wyłącza, pozostawiając jeden komunikat: natychmiast wejdź do środka.

Odrywam od niej usta, co Sabrina kwituje rozczarowanym pomrukiem. Moja broda rozsiała na jej udach różowe plamki, ale wydaje się, że nie ma to dla niej znaczenia. Wije się i krzyżuje nogi, a na twarzy gości rumieniec.

— Tucker — błaga.

— Poczekaj, moja droga. — Przechyliłam się przez krawędź łóżka, by sięgnąć po spodnie i wyciągnąć prezerwatywę z portfela.

Obserwuje, jak się uzbrajam. Jej spojrzenie nie jest już zachmurzone frustracją. Płonie, bucha ogniem niecierpliwego wyczekiwania.

— Wchodź we mnie — rozkazuje.

— Tak jest, pani.

Z uśmiechem na twarzy wczołguję się na nią, jedną ręką obejmując fiuta, by wprowadzić go do środka. Oboje jęczymy, gdy wchodzę głęboko. Ale najwyraźniej nie wystarczająco głęboko. Jej długie, jedwabiste i obłądne nogi natychmiast owijają się dookoła mojej talii. Wpija się szpilkami w mój tyłek i unosi biodra, by pogłębić kontakt i to najlepsze pieprzone uczucie na świecie.

Opadam, aż moje łokcie spoczywają po obu stronach jej głowy.

— Piękna — mruczę, wpatrując się w jej rozpaloną twarz. Pochyliłam głowę i znów ją całuję, podczas gdy mój fiut pulsuje w rozgrzanej ciasnocie jej ciała.

Próbuję rozegrać to powoli. Próbuję ze wszystkich kurewskich sił. Ale Sabrina ma inne pomysły.

Zagrzebuje dłoń w moich włosach i odchyła ją, aż nasze usta się

rozłączają.

— Potrzebuję więcej. — Brzmi równie desperacko, jak ja się czuję.

— Powiedz, czego chcesz.

— Tego. — Chwyta moją dłoń i wpycha ją tam, gdzie jesteśmy połączeni. Jej palce przykrywają moje kłykcie, gdy ponagła mnie, bym pieścił jej łechtaczkę. — I tego. — Wypina się w górę i sama zaczyna się ze mną pieprzyć.

I to jest dopiero zabawa, panie i panowie.

Powolne, wyliczone tempo trafia szlag. W zamian przechodzimy w czysto zwierzęce rżnięcie. Wpycham w nią wszystko, co mam. Środek dłoni przyklejam do obrzmiałej łechtaczki i pocieram ją w rytm gorączkowych pchnięć. W ciągu kilku sekund stajemy się spoconą, zadyszaną masą. Materac trzeszczy od naszego rżnięcia. Zagłówek wali o ścianę w rytmicznym pach, pach, pach, co współgra z dzikim biciem mojego serca.

Ona dochodzi przede mną. Ścisną moje ramiona i cała drży, leżąc przede mną. Ssanie pałki zdjęło mi nóż z gardła, więc wytrzymuję dłużej. Cholernie dłużej, niż chcę, bo pragnę wytrysnąć. Każdy mięsień mojego ciała jest ciasno zwinięty, krzycząc o wytrysk, który jeszcze nie nadchodzi.

— Puść — szepcze Sabrina.

A potem jej palce wbijają się w moje pośladki, jeden przeciąga się powoli wzdłuż krawędzi i...

To jest dopiero zabawa.

Wytryskuję z chrapliwym krzykiem. Zapominam, jak mam na imię. Najprawdopodobniej omdleam na minutę. Jestem oszołomiony i wniebowzięty, w jajkach wciąż mam ciary. Ponieważ wydaje mi się, że jestem w stanie ją zmiażdżyć, zmuszam osłabione ciało do przesunięcia się z niej i zwalam się na plecy.

— Ja pierdolę — mamrocę, gapiąc się na sufit. — To było...

Przerywa mi pukanie do drzwi.

— Dobrze się tam bawicie? — słyszę niewyraźny męski bełkot. — Bo tak to słycać, do diaska.

Sabrina zamiera jak jeleń na środku drogi za miastem. Seksowny blask, który roztaczała, natychmiast gaśnie. Jej twarz zmienia się w popiel, a palce zaciskają na narzucie.

— Odejdź — warczy w stronę drzwi.

— Nie przedstawiśz mnie swojemu przyjacielowi? Nie bądź taka niegrzeczna, Rina.

— Odejdź, Ray.

Ale ten sukinsyn nigdzie nie odchodzi. Zaczyna ponownie dobijać się do drzwi, a pijacki śmiech odbija się echem po korytarzu.

— Poznaaaaj mnie z kolegaaa! No dalej, będę grzeczny.

Sabrina wyskakuje z łóżka i zaczyna zbierać fragmenty ubrania. Szybko robię to samo, ponieważ to jasne, że leżenie tu nago nie jest nam dziś pisane.

Narzuca na siebie koszulkę bez rękawków i bawełniane szorty, potem podchodzi do drzwi i otwiera je szeroko.

— Spierdalaj stąd, Ray. Mówię serio.

Facet w drzwiach przepycha się obok niej, wyciąga szyję, by mi się dobrze przyjrzeć. Kiedy krzyżujemy spojrzenia, znów wybucha śmiechem.

— Ojej, przygruchałaś sobie małego mięśniaka! Ciekawe, czy te bicki są nadmuchane! — Tłuste włosy opadają mu na czoło, gdy przekrzywia głowę w kierunku Sabriny. — Lubisz mięśnie, co? Taaa, z całą pewnością tak. Słyszałem cię aż na dole, piszczałaś jak suka w rui.

— Wynoś się — warczy Sabrina.

— Nieźle brzmisz, gdy szczytujesz.

Pierdolić to. Złość aż się we mnie gotuje, gdy przesuвам się do przodu. Mam kompletnie w dupie, że ten facet jest ojczymem Sabriny. Chory

pierdolec nie ma prawa mówić do niej w ten sposób.

— Wystarczy — przemawiam niskim głosem. — Poprosiła, żebyś wyszedł.

Jego brwi szybują.

— Kim ty, kurwa, jesteś, żeby mi rozkazywać? To mój dom, chłoptasiu.

— A to jest jej pokój — odparowuję.

— Tucker — zaczyna Sabrina, ale Ray jej przerywa.

— Rina, powiedz swojemu mięśniakowi, żeby zamknął jadaczkę. Inaczej sam ją zamknę.

Tak, pewnie. Mógłbym zwalić z nóg tego popaprańca jednym ruchem. Jest tak pijany, że ledwie stoi na nogach.

— Ray. — Głos Sabriny jest zwodniczo spokojny. — Proszę, żebyś stąd wyszedł.

Między naszą trójką zapada cisza. W końcu Ray przewraca oczyma w dramatyczny sposób i przesuwa się do drzwi.

— Naprawdę z ciebie nadęta suka, co? Tylko się wygłupiałem.

— Wygłupiaj się gdzie indziej — mówię zimno.

— Zamknij się, mięśniaczku. — Ale nie ociąga się z wyjściem.

Słyszymy jego chwiejne kroki na korytarzu. Moment później zatraskują się drzwi.

Odwracam się powoli do Sabriny. Czuję, jak niepokój skręca mi żołądek. A do tego dochodzi strach, bo dobija mnie świadomość, że ten kretyn śpi piętro niżej.

Sabrina odgarnia włosy za uszy i mówi:

— Jestem naprawdę zmęczona. Powinieneś już iść.

Moje spojrzenie szybuje na korytarz.

— On zostawi mnie w spokoju — odzywa się szeptem, jakby czytała w moich myślach. — Na noc zamykam się na klucz.

Nie jestem pewien, czy zakluczone drzwi powstrzymają tego zasańca. Ray nie jest tak wysoki czy potężnie zbudowany jak ja, ale do cherlaków nie należy. Kupa mięcha, o tak, mizeria, nie.

— Poradzę sobie — upiera się, a mina na jej twarzy mówi mi, że równie mocno zależy jej, bym poszedł, jak mnie, by zostać.

— Jesteś pewna, że wszystko będzie dobrze? — pytam w końcu.

Potakuje.

— Okej. W takim razie... pewnie pójdę. — Wyciągam telefon z kieszeni i włączam aplikację Uber. Potem spędzam nad nią niepotrzebnie nieskończenie długi czas, mając nadzieję, że zmieni zdanie.

Ale nie robi tego. Czeka w milczeniu, aż wyśledzę samochód, potem odprowadza mnie do kuchni i otwiera drzwi.

— Dobranoc — odzywa się szeptem.

Nie całuje mnie na pożegnanie.

Rozdział 10

Sabrina

Nie jestem pewien, czy aby znów mnie nie zablokowałaś. Na wypadek gdybyś tego nie zrobiła, chcę, żebyś wiedziała, że jesteś zajebista w łóżku. Twoje seksowne ciało prawie przyćmiewa twój intelekt. Prawie. Znów chcę się z tobą zobaczyć. W łóżku, poza łóżkiem. Nieważne.

Lubię udawać, że jestem odporna na takie zwyczajne rzeczy, jak uczucia. Że centrum moich zainteresowań jest dokładne i precyzyjne jak laser i nic nie może zepchnąć mnie ze ścieżki obranej jeszcze w szóstej klasie. Ale gdy mój wzrok ląduje na jakiejś dziewczynie ocierającej się o Tuckera po drugiej stronie dziedzińca, myśli o Harvardzie i idealnych stopniach, którymi mogę pomachać wszystkim hejterom, są zepchnięte na bok przez falę zazdrości.

Chcę tam pomaszerować, wyciągnąć telefon i wyświetlić sekswiadomość od Tuckera tuż przed jej nosem. Widzisz, on jest mój, warknęłabym, a potem odciągnęła go daleko. A może przewróciłabym go na plecy i ujeżdżała na oczach całego Briar.

— S, wyglądasz tak, jakbyś nie wiedziała, czy chcesz zabić Amber Pivalis, czy pieprzyć się z Tuckerem. Jedno i drugie jest nielegalne na terenie szkoły.
— Hope śmieje mi się do ucha.

Amber? To imię znajdzie się w mojej „Księdze Spalonych”.

— Nie mam na to czasu — mruczę, przesuwając książki wyżej pod ramię. Nie jestem pewna, czy mówię do siebie, czy do Hope. Może do nas obu w tym momencie.

— A jak mamy rozumieć „to”? Twoją nagłą obsesję Tuckerem czy

irytującą odmowę przyzwolenia sobie na cieszenie się życiem?

— Jeśli uniesiesz brwi choć trochę wyżej, to uwierz mi, że staną się częścią twojej linii włosów — brzmi moja nie-odpowiedź na jej pytanie.

— Przebywanie w twoim towarzystwie wywołuje te dziwne tiki. — Hope rusza teraz dwoma brwiami.

— Robisz takie miny w łóżku z D'Andre? To jakiś dziwny fetysz?

— Dobrze wiesz, jaki fetysz ma D'Andre i to nie są moje brwi.

— O Boże. Racja. Przepraszam, że poruszyłam tę kwestię. — Tyłkowe preferencje D'Andre nie umknęły uwadze przyjaciółkom Hope, ale nie jest to temat, nad którym lubię się rozwodzić, nawet jeśli ma mi posłużyć jako odciążenie jej uwagi od Amber.

Panna Puszczalska w chwili obecnej jeździ palcami wzdłuż ramienia Tuckera, podczas gdy on wsłuchuje się w każdą jedną głupią rzecz, która wychodzi z jej głupich ust. To znaczy, mogłaby mu opowiadać o teoriach Nietzschego na temat nihilizmu, ale to wciąż byłoby głupie, ponieważ Tucker jest oczarowany.

— Będziemy tak stać cały dzień i obserwować Amber/Tucker show czy idziemy coś zjeść?

Nawet zestawienie ich imion nie brzmi dobrze. Celebrycka ksywka brzmiałaby Tamber albo Aucker i obie wersje są idiotyczne.

Natomiast z Sabriny i Tuckera wyszłoby Sucker, co mogłoby odnosić się zarówno do seksu, jak i mojego stanu ducha w chwili obecnej — czyli ostatnia frajerka. Dlaczego, do cholery, Tucker najpierw wysyła mi seksesemesa, a potem flirtuje w najlepsze z jakąś panienką?

— Zjeść — odpowiadam gburowato, ale moje nogi rwą się w kierunku zachodnim, który wcale nie prowadzi do stołówki.

— Wiesz, że Carver jest na lewo? — Hope brzmi tak, jakby próbowała nie wypruć sobie flaków.

Staję w miejscu, ale za późno. Głowa Tuckera podnosi się i zauważa mnie. Ciepło jego uśmiechu dochodzi aż tutaj.

O kurde, to był błąd. Trzy noce temu to był błąd. Tydzień temu to był błąd. Przemierzanie dziedzińca ciężkim krokiem jak jakaś zazdrosna dziewczyna z całą pewnością również jest błędem.

Chwytam ramię Hope i maszeruję bardzo szybko w przeciwną stronę.

— Umieram z głodu. Chodźmy coś zjeść.

— Masz świadomość, że biegam tylko na bieżni ubrana w stosowny strój i trampki, zgadza się? — Truchta obok mnie, próbując dotrzymać mi kroku na stopach odzianych w drogie zamszowe buty z obcasem tak wysokim, jak długa jest moja dłoń.

Maszeruję jeszcze szybciej.

— Nie słyszę ciebie. Wstyd powoduje zwarcie w moim układzie nerwowym.

— Jeśli wstyd jest przyczyną obecnej niesprawności twojego układu nerwowego, chciałabym wiedzieć, dlaczego zaczęłaś biec przez dziedziniec.

Jakby nie wiedziała. Ale zanim zdążę odpowiedzieć, z mojej prawej strony wyrasta Tucker.

— Gdzie się pali? — pyta, przeciągając samogłoski.

Hope hamuje.

— Dzięki Bogu, że nas dogoniłeś. — Przesuwa teatralnie dłonią po czole.

— Nie zostałam stworzona do wysiłku na świeżym powietrzu.

— Przymknij się, Hopeless — świszczę przez zęby.

A ta szczyrzy się bez skruchy.

— Wchodzę do środka, by zająć nam jakieś miejsce. Jak skończysz, przyjdź i znajdź mnie. — Podchodzi do Tuckera, by ścisnąć jego biceps. — Oczywiście czuj się zaproszony, by do nas dołączyć, przystojniaku.

Ktoś burczy. Mam nadzieję, że wszyscy myślą, że to mój żołądek, ale

sądząc po szerokim uśmiechu Hope i uśmieszkach Tuckera, wiem, że zostałam przyłapana. Tucker ma przynajmniej tyle przyzwoitości, by poczekać, aż Hope znajdzie się poza zasięgiem słuchu i dopiero wtedy się odzywa.

— Znów ignorujesz moje esemesy?

— Jedną wiadomość i minęły zaledwie trzy dni. — Gapię się uparcie przed siebie, a nie na jego cudowną twarz czy brązowe oczy.

— Kto by liczył, co?

Nawet nie muszę na niego patrzeć, by wiedzieć, że się uśmiecha. Uśmiech jest w każdym jego słowie.

Stoimy tam przez chwilę w milczeniu. Przypuszczam, że on wpatruje się we mnie, podczas gdy ja patrzę na wszystko, tylko nie na niego. W końcu znajduję swoje jajniki i odwracam się, by spojrzeć mu w oczy.

Uśmiech zgasł. Teraz na jego twarzy maluje się nieco pytająca zmarszczka, jakby stwierdził, że jestem zagadką, którą próbuje rozwiązać. Tuzin pytań wiruje mi w głowie i przez chwilę je sortuję, aż dojdę do tego nurtującego najbardziej — czyli okropnej sceny z Rayem, zanim Tucker opuścił mój dom w piątek w nocy.

— Tamtego dnia pojechałam na Harvard — zaczynam ni stąd, ni zowąd. — Siedziałam na korytarzu i jakiś student wziął mnie omyłkowo za biedną osobę w potrzebie skorzystania z darmowego wsparcia prawniczego.

— Kurde.

Ignoruję współczucie w jego głosie.

— Po tym, jak mu powiedziałam, że od przyszłej jesieni będę z nim uczęszczać na Harvard, poszłam na spotkanie z profesorką, która przyjaźni się z moją opiekunką. Usłyszałam, że mam sobie kupić nowe ubrania. Do minionego weekendu było to prawdopodobnie jedno z najbardziej poniżających zdarzeń w moim życiu. No, może jeśli nie liczyć tego dnia

w gimnazjum, gdy nagle podczas lekcji wuefu dostałam okres. W trakcie wspinania się po linie.

Tucker chichocze.

— Oj.

— Ale... ta historia z moim ojczymem? Te wszystkie bzdury, których musiałeś słuchać? — Przerywam, by się wzdrygnąć. — Tę scenę chciałabym wymazać ze swojego życia.

— Sabrino...

Przerywam mu.

— Moje życie to pasmo beznadziejnych odcinków w stylu „Prawdziwe żony z południowego Bostonu: Życie w slumsach” i jeśli przestanę dostawać idealne stopnie, jeśli nie stanę do rywalizacji... — łamie mi się nieznacznie głos i muszę przerwać.

Tucker nie odzywa się ani słowem. Wpatruje się we mnie z nieodgadnioną miną.

Odchrząkuję.

— Jeśli nie stanę do rywalizacji, wtedy nie wyrwę się stamtąd, co, jeśli mam być szczerą, jest dla mnie nie do zaakceptowania. Więc choć seks z tobą jest cholernie odjazdowy, to odciąga moją uwagę. Ty odciągasz moją uwagę — wyznaję.

Tucker wypuszcza powolny, równy oddech.

— Słonko. Myślisz, że jako jedyna na świecie masz w rodzinie osobę, za którą trzeba się wstydzić? Mój wujek Jim jest jednym z tych odrażających typów, którym zawdzięczamy stereotypowe postacie wujaszków. Zawsze dotyka członków rodziny w dziwnych miejscach. Żadna z moich kuzynek nie chce przebywać w jego towarzystwie. Gdybym zabrał cię na rodzinny zjazd, sypałby sprośnymi żartami i próbował cię łapać za tyłek. Nie sądzę, że miałabyś to za złe mnie, prawda?

— Nie, ale... — chcę powiedzieć, że to nie to samo, ale oboje wiemy, że nie miałabym racji. To jest to samo. Ray nie jest moim ojcem. To jakiś tam dupek, z którym ochajtała się moja mama, a potem porzuciła go jak niechciany bagaż. Zupełnie jak mnie.

— I wbrew temu, co uważasz, wcale nie jestem bogolem. Studiuję tutaj dzięki pełnemu stypendium dla hokeistów. Gdyby Briar tego nie zaproponował, byłbym w szkole państwowej w Teksasie. — Wzrusza ramionami. — Mam jakieś oszczędności i planuję je zainwestować w start po studiach, ale nie jestem palantem, za którego mnie uważasz.

— Nie uważam cię za palanta — mamroczę pod nosem, ale nie zaprzeczam, że faceci z kasą nie wzbudzają mojego zaufania.

Przygląda mi się przez chwilę.

— Pozwól, że cię o coś zapytam. Fundusz powierniczy Deana zarabia więcej w przeciągu kwartału niż wartość całego mojego spadku. Czy jego fiut wydawał się inny, gdy z nim byłaś?

Wzdrygam się przez chwilę, ponieważ nie lubię się rozwodzić na temat tamtego pijackiego wysokoku z Deanem Di Laurentisem. Jednocześnie myśl, że grubość portfela Deana miałyby się przekładać na jego fiuta, jest tak głupia, że nie mogę się powstrzymać przed parsknięciem.

— Nie pamiętam. Byłam kompletnie pijana, zresztą on też.

— A następnego dnia czułaś się jak milion dolarów?

— Boże, nie.

— Zatem pieniądze nie mają znaczenia, jakby się nad tym zastanowić. Nieważne, ile masz zer na koncie. Każdy z nas cierpi. I każdy kocha. Jesteśmy tacy sami. A twoja przeszłość, to, z kim mieszkasz, skąd pochodzisz, też nie musi mieć znaczenia. Sama tworzysz własną przyszłość i chciałbym zobaczyć, dokąd prowadzi twoja droga. — Tucker wsuwa palec pod pas mojej torby listonoszki. — Powinniśmy wcisnąć w ciebie trochę

jedzenia. Może poniosę torbę, odprowadzając cię do stołówki?

Najwyraźniej wykład z filozofii się skończył, z czego się cieszę, bo nie jestem przygotowana na to, by ustosunkować się do tego, co mi właśnie powiedział.

W zamian pozwalam mu wziąć torbę. Maszerujemy w ciszy kilka kroków, ale potem nie wytrzymuję i pytam.

— Ciebie nic nie rusza?

Potakuje uroczyście głową i podciąga torbę na ramieniu. Każdy inny człowiek wyglądałby trochę idiotycznie z plecakiem przytwierdzonym do pleców i torbą listonoszką zwisającą na ramieniu, ale on, pewnie dzięki masywnej klatce piersiowej i wzrostowi, daje radę.

— Oczywiście, że mnie rusza. Całe mnóstwo różnych rzeczy, ale nie pozwalam, by mnie dołowały. Szkoda energii.

— Nazwij tylko jedną — błagam. — Jedno żenujące zdarzenie. Jedną wadę. Jedną rzecz, która cię uwiera.

— To, że nie oddzwoniasz, mnie uwiera.

— E tam. To skromność, a nie żenada.

— Dwukrotnie dałaś mi kosza. Dwa razy — przypomina. — Co ma wspólnego przyznanie się, że to mnie uwiera, ze skromnością?

— Bo zaliczyliśmy dobry seks, więc wiesz, że przespałabym się z tobą ponownie w innych okolicznościach — argumentuję.

Gdzieś z tyłu głowy przyznaję, że ta rozmowa osiąga absurdalny poziom. Klóczę się z facetem, z którym się przespałam, że nie prześpię się z nim ponownie, bo jest za dobry w łóżku. Moje życie oficjalnie zmieniło się w farsę.

— Czym są dla ciebie normalne okoliczności? — pyta z zaciekawieniem, dopasowując długi krok do mojego, krótszego.

— Nie wiem. Nie potrafię przewidywać tak daleko.

Zatrzymuje się tuż przed wejściem do Carver Hall.

— Gówno prawda.

— Co?

— Gówno prawda. Dokładnie wiesz, gdzie chcesz być za choćby pięćdziesiąt lat, a nie tylko następne pięć.

Moje policzki robią się cieplejsze, bo ma rację.

— Posłuchaj. Wygląda to tak. — Tucker sięga dłonią i chwyta zabłąkany pukiel moich włosów, obraca go w palcach i wtyka za moje ucho. — Spanie z tobą to była frajda. Słuchanie tych wszystkich seksownych pojękiwań, gdy ssalem twoją łechtaczkę, to była frajda. I czucie pod sobą twojego rozdygotanego ciała, gdy miałaś orgazm, to była frajda. — Te świńskie słowa kontrastują z jego rzeczowym tonem i zrównoważonym spojrzeniem, które utkwiał we mnie. — Nie podobało mi się zaś, jak twój ojciec...

— Ojczym — poprawiam go.

— ...ojczym cię potraktował. Tak naprawdę nie mogłem tego znieść. Dobija mnie świadomość, że musisz z tym żyć i cieszyć się, że robisz swoje, by coś zmienić, ponieważ właśnie to robisz, prawda? Wypruwasz żyły, by dostać idealne oceny, najlepszą punktację, walczysz o przyjęcie do najlepszych szkół. Wszystko po to, by się stamtąd wyrwać.

Przesuwa kciuk wzdłuż mojej kości policzkowej.

— Nie chcę ci przeszkadzać, ale chcę ciebie. Myślę, że chodzi o coś więcej, ale jestem cierpliwym facetem i wezmę to, co możesz dać mi teraz. Nie jestem tu po to, by wywierać na tobie presję czy utrudniać ci życie. Chcę cię trochę odciążyć.

Moje serce wali głośno w przestrzeni między nami, przestrzeni, którą on zamyka jednym krokiem.

— Mój ojciec zmarł, gdy miałem trzy lata — mówi szorstko. — Wypadek samochodowy. Prawie go nie pamiętam. Ale pamiętam, jak się budziłem

w nocy i słyszałem płacz mamy. Pamiętam jej minę, gdy nie mogła kupić mi nowej pary łyżew albo gry wideo. Pamiętam, jak się na mnie zezłościła, gdy rozrabiałem raz w dużym pokoju i rozbiłem lampę o telewizor. Opieprzyła mnie za to nieziemsko. — Jego mina jest raczej smutna niż rozzłoszczona. — Pracowała na dwa etaty, żebym nie musiał rezygnować z hokeja i kiedy wiosną ukończę naukę, zamierzam oderwać ją od tej ciężkiej pracy. Ale wiem też, że chcę z kimś dzielić życie. Moja mama jest samotna. Nie chcę tego dla siebie. Dla ciebie też tego nie chcę.

Całuje mnie, ale jego pocałunek w niczym nie przypomina wcześniejszych zbliżeń. Tamte pocałunki były szorstkie, gorące i naładowane seksem. Ten zaś jest delikatny jak płatek i słodki jak syrop, którym wypełnił słowa. Mam wrażenie, jakby wylał litry czułości na moją głowę. Za każdym razem, gdy przyciska usta do moich, powtarza obietnicę, że da mi tylko to, o co poproszę.

I to właśnie ten pocałunek. Ten słodki, czuły, troskliwy pocałunek przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Rozdział 11

Tucker

Kilka dni po rozmowie z Sabriną na dziedzińcu zwlekam się z kanapy Fitzy’ego i szykuję na brutalnie wczesny trening. Nie planowałem zostać u niego na noc, ale nasza sesja z grami wideo trwała do drugiej nad ranem i nie było sensu wracać do chaty, skoro musieliśmy wstać o piątej trzydzieści, by pojawić się na treningu o szóstej rano.

Fitzy mieszka sam w Hastings, w apartamencie wielkości buta. Jego „sypialnia” jest oddzielona od pokoju dziennego zasłoną, którą przyczepił do sufitu. Dostanie się do maleńkiej łazienki wymaga ode mnie dosłownie wspinaczki przez jego łóżko.

Wielki wytatuowany hokeista leży rozwalony na brzuchu; śpi jak zabity, więc częstuję go niezbyt delikatnym klapssem w tyłek w drodze do łazienki.

— Pobudka, stary. Trening — burczę.

Mruczy coś niezrozumiałego i obraca się na plecy.

Znajduję zapasową szczoteczkę do zębów w szufladzie obok umywalki i wyjmuję ją z opakowania. Podczas szorowania zębów sprawdzam telefon, czy Sabrina wysłała mi jakąś wiadomość, gdy miałem w nocy wyciszony telefon.

Zero kontaktu. Cholera. Miałem nadzieję, że moje przemówienie — i ten zajebiście niesamowity pocałunek — zmienił jej nastawienie do randki ze mną, ale wygląda na to, że nie.

W telefonie znajduję za to najbardziej zakręconą dyskusję na grupowym czacie, który dzielę z moimi współlokatorami. Wszystkie wiadomości są

z zeszłej nocy i są... odjechane.

Garrett: *Psiakrew, D?!*

Dean: *Nie jest tak, jak myślisz!!*

Logan: *Trudno pomylić romant. kąpiel z tym wielgachnym różowym czymś! W twoim tyłku!*

Dean: *Nie było w moim tyłku!*

Garrett: *Nawet nie będę pytać, gdzie to było.*

Dean: *Miałem tu dziewczynę!*

Garrett: *Jaaaaasneeeee.*

Logan: *Jaaaaasneeeee.*

Dean: *Nie znoszę was.*

Garrett: <3

Logan: <3

Przepłukuję buzię, wypluwam wodę i wrzucam szczoteczkę do małego kubka na zlewie. Potem szybko piszę wiadomość.

Ja: *Czekajcie... co straciłem?*

Ponieważ mamy trening za dwadzieścia minut, chłopaki są już na nogach i najwyraźniej przy telefonach. Na wyświetlaczu pojawiają się jednocześnie dwa zdjęcia. Garrett i Logan przysłali mi po fotce z różowym sztucznym penisem. Czuję się jeszcze bardziej skołowany.

Dean natychmiast pisze: *Dlaczego chłopaki trzymacie zdjęcia sztucznych penisów pod ręką?*

Logan: *PNWT.*

Dean: *??*

Ja: *??*

Garrett: *Przynajmniej Nie W Tyłku.*

Parskam do siebie, bo zaczynam zbierać to wszystko do kupy.

Logan: *Nieźle, G.! Trafiałeś za pierwszym razem!*

Garrett: *Spędzamy razem za dużo czasu.*

Ja: *PROSZĘ powiedzcie, że przyłapaliście D na zabawach ze sztucznym penisem.*

Logan: *Ma sie rozumieć.*

Dean znów szybko zaprzecza.

MIAŁEM NA NOC DZIEWCZYNE!

Lejemy z niego z chłopakami jeszcze przez kilka minut, ale muszę przestać, gdy Fitzy wtacza się do łazienki i odsuwa mnie na bok. Ma szaloną fryzurę na głowie i jest na golasa.

— Muszę się wysikać — mamrocze.

— Dzień dobry, słoneczko — szczebioczę. — Mam ci zrobić kawę?

— Boże. Tak. Proszę.

Chichocząc, wyskakuję z łazienki i przemierzam cztery czy pięć kroków do aneksu kuchennego. Kiedy w końcu wynurza się z łazienki, wsuwam filiżankę kawy w jego dłonie, popijam moją i mówię:

— Dean wepchnął sobie do tyłka sztucznego penisa wczoraj wieczorem.

Fitzy kiwa głową.

— Ma to sens.

Parskam śmiechem w połowie łyka. Kawa wylewa się przez brzeg filiżanki.

— Naprawdę ma.

Odpowiada mi kolejnym kiwnięciem i połyka resztę kawy. Jestem już ubrany i gotowy do wyjścia, więc kończę ze spokojem kawę, podczas gdy Fitzy lata po mieszkaniu w poszukiwaniu jakichś ubrań.

Pięć minut później wychodzimy na rześkie poranne powietrze i rozchodzimy się do naszych samochodów. Na szczęście cały ekwipunek mam w bagażniku, więc nie muszę wjeżdżać do chaty. I chociaż to idiotyczne, Fitzy i ja ścigamy się w drodze na kampus jak jakaś para

demonów szybkości. On wygrywa, ponieważ mój wóz jest stary i wolniejszy niż mucha w smole.

Na arenę docieramy dziesięć minut przed czasem, a to się dobrze składa, bo mój telefon wykorzystuje tę chwilę i dzwoni. Od razu czuję przyspieszony puls na myśl o tym, że to może być Sabrina.

To nie ona. Jestem nieco rozczarowany na widok numeru mamy, a potem zalewa mnie poczucie winy, bo przecież kocham moją mamę.

— Spotkamy się w środku — wołam do Fitzy’ego, który wyskakuje z samochodu. Kiwa głową i odchodzi spokojnym krokiem, a ja odbieram telefon. — Hej, mamó. Zaraz zaczynamy trening, więc nie mam za dużo czasu.

— Och, no to nie będę cię zatrzymywać. Tak tylko dzwonię, żeby cię usłyszeć.

Na dźwięk jej znajomego głosu coś we mnie mięknie. Przysięgam, mama zawsze działa na mnie w ten sposób. Mógłbym być spięty jak cholera i wystarczy jedno słowo z jej ust, by rozluźnić wszystkie moje mięśnie. Przypuszczam, że jestem syneczkiem mamusi, ale nie bardzo wiem, kim innym miałbym być, skoro wychowywałem się bez taty.

— Wstałaś skoro świt — zauważam. — W Teksasie jest dopiero piąta rano, a to wcześnie, nawet jak na nią.

— Nie mogłam spać — przyznaje. — Dziś rano stylizuję całą imprezę panny młodej. Denerwuję się.

— Oj tam, nie ma się czym denerwować. Jesteś zaklinaczką włosów, pamiętasz?

Mama się śmieje.

— Włosów tak. Ale makijażu to już nie bardzo. Te kursy, które zrobiłam w zeszłym roku, pomogły, ale dziecko ty moje, normalnie świruję ze strachu! Jak mogłabym żyć ze świadomością, że jestem kobietą, która zrujnowała

wielki dzień pannie młodej, malując jej twarz na klauna!

— Poradzisz sobie — zapewniam ją. — Gwarantuję to.

— Oooh, gwarancja? Nawet nie stara dobra obietnica? Masz dużo wiary w swoją mamę, John.

— Oczywiście, że tak. Bo moja mama to gwiazda.

— Naprawdę wychowałam czarusa, co?

— No. — Uśmiecham się, przyciskając telefon ramieniem i wychodzę z samochodu.

— Okej, a teraz poproszę o szybkie sprawozdanie, co u ciebie — rozkazuje.

Maszeruję w kierunku masywnych schodów wejściowych na hokejową arenę Briar.

— Nie za dużo — wyznaję. — Hokej, szkoła, kumple — to co zawsze.

— Nadal brak dziewczyny? — W jej głosie słychać żartobliwy ton.

— Brak. — Waham się. — Ale poznałem kogoś.

— Oooh! Opowiadaj mi wszystko!

Śmiejąc się, sięgam do kieszeni po legitymację studencką, by otworzyć drzwi. Zabezpieczenia są tu mocne.

— Na razie nie ma o czym opowiadać. Jak będę znał więcej szczegółów, dowiesz się pierwsza. W każdym razie muszę lecieć. Wchodzę na lód.

— No dobra. Zadzwon do mnie, kiedy będziesz miał więcej czasu na pogawędkę. Kocham cię.

— Ja też cię kocham.

Rozłączam się i przesuвам legitymację przez czytnik, potem pędzę przez wymuskany, klimatyzowany korytarz, gdzie na ścianach wiszą oprawione koszulki, a kolorowe, mistrzowskie proporce pną się aż po sufit.

Szkoda, że nie miałem więcej czasu, by pogadać z mamą, ale gdy chodzi o hokej w Briar, luz nie istnieje. Trener Jensen prowadzi pierwszorzędną

program, który szczyli się doskonałością i ciężką pracą. A to, że ostatnio dajemy dupy, wcale nie oznacza, że te podstawy zostały pogrzebane.

Idąc żywym krokiem, docieram do szatni. Wciąż mam telefon w dłoni i po chwili wahania ulegam pokusie napisania do Sabriny.

Ja: *Dzień dobry, moja droga. Myślałaś o naszej rozmowie? Mam tu pierwszą propozycję randki z twoim imieniem...*

Potem chowam telefon i idę na trening.

Sabrina

Już jestem spóźniona na spotkanie z dziewczynami, ale gdy wybiegam na zewnątrz po wieczornym wykładzie, wiem natychmiast, że spóźnię się jeszcze bardziej.

Beau Maxwell i kilku jego kumpli zebrali się na stopniach. Otoczyła ich gromadka futbolowych fanek. Stąd, gdzie stoję, nie mam wątpliwości, że chłopaki czerpią przyjemność z poświęcanej im uwagi. Mimo że Briar to głównie hokejowy uniwersytet, futboliści również skupiają na sobie sporo uwagi.

— Sabrina!

Beau odrywa się od grupy, gdy zauważa mnie na stopniach. Jego niebieskie oczy rozjaśniają się, co wywołuje ohydne grymasy niezadowolenia na twarzach otaczających go wianuszkami dziewczyn. Najwyraźniej nie w smak im, że zmiatam potencjalną randkę z rozgrywającym sprzed ich nosów, ale nie powiem, że bym się tym szczególnie przejmowała. Nie rozmawiałam z Beau od tygodni i skłamałabym, mówiąc, że nie cieszy mnie jego widok.

Schodzę po schodach, a on się po nich wspina, więc spotykamy się w połowie drogi i ściskamy serdecznie. Silne, umięśnione ramiona obejmują

mnie i odrywają od ziemi. Śmieję się, ignorując fanki, które zabijają mnie wzrokiem.

— Hej — mówię, gdy ląduję z powrotem na ziemi. — Co u ciebie?

— Niezbyt fajnie, tak naprawdę. Wcale a wcale. Moje łóżko jest zimne i samotne, kiedy ciebie w nim nie ma.

Od razu widzę, że żartuje, bo wykrzywia buzię w przesadny sposób. Ale nawet z tą głupią miną nadal wygląda przystojnie. Z tymi ciemnymi włosami i wyrzeźbionymi rysami Beau jest seksowny jak cholera. Poznaliśmy się na przyjęciu zeszłej wiosny; w kilka sekund omotał mnie uśmiechem z dołeczkami i luzackim wdziękiem. Myślę, że wylądowaliśmy w łóżku dziesięć minut później i to jeden z tych niewielu facetów, z którym pozwoliłam sobie na kolejne randki.

Tyle że stoimy teraz twarzą w twarz, a on wcale na mnie nie działa. Żadnych dreszczy. Żadnego gorąca. Żadnego „znów chcę to zaliczyć”. O ile Beau jest zachwycający, to ostatnimi czasy nie z nim chcę być nago.

Ten zaszczyt przypada Johnowi Tuckerowi. Znanemu również jako najśłodszy, najseksowniejszy, najcierpliwszy mężczyzna na ziemi. A także facet, który przysłał mi dziś zaproszenie na randkę, na które do tej pory nie odpisałam.

— Serio, złotko, czym sobie zasłużyłem na taką karę? — Ściska się za serce, udając ból, a fanki z pomarszczonymi czołami i kipiącą złością marszczą się i kipią jeszcze bardziej.

— Aha. Jestem pewna, że twoje łóżko jest żałośnie puste, odkąd je opuściłam. Założę się, że wiesz teraz smutne i pustelnicze życie.

— Niezupełnie. — Mruga okiem. — Ale mogłabyś przynajmniej udawać, że tęsknisz za bzykaniem się z tym wszystkim. — Omiata dłonią swoją figurę od głowy po palce u nóg.

„To wszystko” jest nieziemsko kuszące. Mówię tu o szerokiej klacie,

wyrzeźbionych ramionach, długich nogach i mnóstwie mięśni.

Ale Tucker też to ma.

— Widzę, że twoje *ego* jest masywne jak zawsze — mówię pogodnie.

Beau gorączkowo potakuje głową.

— Tak jest. Nie tak duże jak mój kutas, oczywiście.

— Oczywiście.

— Ale nie narzekam.

— A poza twoim wielkim kutasem i *ego*, jak życie? Co u Joanny? —
Poznałam Joannę, starszą siostrę Beau, na jednym z jego przyjęć
i obserwowanie, jak tych dwoje się przekomarza, było bardzo rozrywkowe.

— U niej świetnie. Wciąż gra w tym *show* na Broadwayu i generalnie
wymiała. — Wzdycha. — W kółko o ciebie pyta.

— Naprawdę?

— O tak. Uważa, że jestem idiotą, że nie zmusiłem cię do bycia moją
dziewczyną.

— Zmusić mnie? — powtarzam sucho.

— Próbowałem jej powiedzieć, że przytłaczam cię swoją męskością, ale Jo
upiera się, że to ty przytłaczasz mnie. Na mur-beton nie ma racji.

Moje rozbawione usta drżą.

— Na mur-beton. I co jeszcze? Jak sezon?

Jego wyluzowana mina trochę rzędzie.

— Drużyna zaliczyła już dwie przegrane w tym sezonie.

Współczucie kłuje mnie w piersiach. Wiem, jak ważny jest dla niego
futbol.

— Jestem pewna, że jeszcze wszystko obrócicie na dobre — zapewniam
go, choć nie mam pojęcia, czy to w ogóle jest możliwe.

Najwyraźniej nie.

— Nieee, mamy przejebane — stwierdza ponuro. Te dwie klęski

praktycznie gwarantują, że nie przejdziemy do play-offów.

Ach, no to kiepsko. I na dodatek to ostatni rok Beau na uczelni.

— Hej, ale przynajmniej poprowadziłeś drużynę do jednego mistrzostwa podczas swoich studiów — przypominam mu. — To przecież coś znaczy, prawda?

— Pewnie. — Ale w jego głosie nie słychać przekonania. Odchrząkuje i częstuje mnie uśmiechem, w którym brakuje poprzedniego błysku. — W każdym razie cieszę się, że na ciebie wpadłem. Obiecałem, że nie pisnę słowa, ale skoro to za tobą to całe latanie...

Marszczę czoło.

— Za mną?

Uśmiecha się szeroko i tym razem uśmiech odbija się w oczach.

— Tucker za tobą lata.

O Boże.

— O czym ty mówisz? — piszczę.

— Ha. Tylko nie udawaj głupiej, złotko. Dopadł mnie w siłowni tydzień temu, a że znam gościa, to nie ma mowy, żeby nie dopadł i ciebie.

Niepokój kłuje mnie w żołądku. Moja historia z Beau może i zakończyła się na fantastycznych warunkach, ale to nie oznacza, że czuję się komfortowo w dyskusjach z nim o innych chłopakach.

Łagodzi ton, jakby wyczuł, co mnie uwiera.

— Wszystko gra, B. Nie musisz mi się zwierzać z żadnych szczegółów, jeśli nie chcesz. — Wzrusza ramionami. — Chciałem się tylko upewnić, czy wiesz, że to przyzwoity facet.

Czekaj, że co?

— Czekaj, że co? — pytam na głos.

Beau śmieje się.

— Tucker — wyjaśnia, jakbym nie wiedziała, o kim rozmawiamy. —

Wiem, że masz swoje ale do hokeistów...

— Wcale nie! — protestuję.

— Oczywiście, że masz — śmieje się głośniej. — Czy mam ci wymienić te wszystkie razy, gdy musiałem siedzieć i wysłuchiwać, jak wylewasz pomyje na Di Laurentisa? Właściwie to nie byłbym w stanie ich wymienić. Tak często to robiłaś.

— Może i zdarzyło się parę razy — przyznaję ponuro.

— Kilka czy sto, co za różnica, nie? Nawet nie zamierzam bronić Deana — który jest zajebisty tak przy okazji. Wiem, że nie zmienisz zdania na jego temat. Ale Tucker jest spoko. To jeden z najmiłszych gości, jakich spotkałem w życiu.

Uważam tak samo, myślę cierpko. A głośno pytam:

— Dlaczego mi to mówisz?

— Bo cię znam. — Wyciąga dłoń i chwyta kosmyk moich włosów. Słyszę oburzone sapanie fanek. — Prawdopodobnie już wymyśliłaś z milion powodów, by spławić Tucka. Jeśli jednym z powodów jest fakt, że nie jesteś nim zainteresowana, no to super, nie umawiaj się z nim. Ale jeśli ten facet ci się podoba, to nie pozwól, by ten twój duży mózg — delikatnie klepie mnie po głowie — odwiódł cię od tego, dobra?

— Powinieneś przestać mnie dotykać. Twoje fanki dostają szału.

Parska śmiechem.

— Naprawdę myślisz, że dotykanie ciebie powstrzyma jedną czy dwie albo i wszystkie przed zrobieniem mi dziś wieczorem loda?

Bledną.

— Oblecha, Beau.

— Czysta prawda, Sabrino. — Macha brwiami. — Jestem tu bogiem. Jestem ideałem.

Ha. To musi być miłe — żyć w świecie, gdzie wszystko jest ci podane na

srebrnej tacy, gdzie twoje błędy nic nie znaczą.

Zatrzymuję te cyniczne myśli dla siebie.

— A więc co dokładnie powiedział ci Tucker?

— Że mu się podobasz. — Beau znów wzrusza ramionami. — Chciał wiedzieć, czy nasza historia może stanowić dla niego jakiś problem. Powiedziałem, że nie.

Opada mi szczęka.

— W zasadzie poprosił cię o pozwolenie na randkę ze mną?

— Pozwolenie? — Beau parska na tyle głośno, że wszyscy jego kumple zerkają na nas. — Taaak, racja. Raczej wydał orzeczenie, że ciebie chce i że gdybym miał z tym problem, to przykro mi, stary.

Walczę z uśmiechem, który próbuje wypłynąć na powierzchnię. Pomimo tych wszystkich słodkich słów Tucker to rasowy samiec alfa. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mnie to ekscytuje, ale tak jest.

— W każdym razie nie bądź głupia w tej kwestii — mówi stanowczo Beau. — Ktoś taki jak Tuck może być dla ciebie dobry. Może cię odciągnąć od tego zauczenia się na śmierć.

— Och! — krzyczę. — Zanim zapomnę, dostałam się na Harvard!

— Serio? — Jego twarz rozpływa się w największym, najszerszym uśmiechu. — Gratu-kurwa-lacje!

A potem ponownie zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku, podczas gdy jego fanki zabijają mnie wzrokiem.

Rozdział 12

Sabrina

Beemka Hope czeka na mnie na parkingu. Ładuję się na tylną kanapę, a tymczasem Hope i Corin wtórują jakiejś okropnej popowej piosence i od razu przestają mieć wyrzuty sumienia, że musiały na mnie czekać. Z tego, co słychać, miały ubaw na całego.

— Co to za nowe miejsce, do którego się wybieramy? — pytam, gdy tylko kończy się piosenka.

— Zobaczysz — świergocze Hope z fotela kierowcy.

Moje przyjaciółki wymieniają rozbawione spojrzenia, co natychmiast wzbudza moje podejrzenia.

— Jeśli to ta dziwna hipisowska knajpa, do której zaciągnęłyście mnie w Bostonie, gdzie serwują szoty z perzu, wyskakuję od razu. Nie żartuję.

— To miejsce ci się spodoba — zapewnia mnie. — Ma w sobie wszystko, co lubisz najbardziej.

Nie muszę widzieć ich twarzy, by wiedzieć, że obie uśmiechają się ironicznie.

— Ufam wam — ostrzegam. — Nie łamcie kodeksu przyjaźni.

Carin odwraca głowę.

— Zapomnij o kodeksie przyjaźni. O czym gadałaś z Beau?

Pochyliłam się i zdaję im relację z rozmowy, którą właśnie odbyłam z rozgrywającą gwiazdą Briar.

— Kurde, ten chłopak jest poważny — stwierdza Hope.

— Beau czy Tucker?

— Tucker, głupolu. Rozmawiał z jednym z twoich byłych i wyjawiał swoje intencje. Dziewczyno, on stawia wszystko na jedną kartę.

— To dziwne, prawda? To znaczy, on najnormalniej mnie nagabuje. To naprawdę dziwne. — Zwracam się głównie do Carin. Hope to romantyczka. Wierzy, że wszyscy uczestnicy programu *Kawaler do wzięcia* biorą w nim udział, by znaleźć prawdziwą miłość, podczas gdy cała reszta publiczności doskonale wie, że to program o bezimiennych ludziach szukających sławy.

Ale Carin mnie rozczarowuje.

— To nie jest dziwne — to jest niesamowite. Znaczy się, zaliczyłam przecież kilka jednorazowych przygód. Spojrzeliśmy sobie w oczy albo po prostu zagadałam gościa, ale nikt nigdy za mną nie latał.

— To samo — mówi Hope, zerkając na mnie we wstecznym lusterku. — D'Andre zaprosił mnie na randkę, gdy chodziłam po bieżni. Powiedział, że w życiu nie widział ładniej upoconej dziewczyny ode mnie. — Wzdycha z rozmarzeniem. — Natychmiast powiedziałam tak. Więc jeśli szukać w tym jakiegoś latania, to trwało może całe pięć minut. A na drugiej randce zaproponowałam swoje wdzięki, pamiętasz?

— Jak to jest? — Carin gapi się na mnie, jakbym była jakimś fascynującym odkryciem, które właśnie rozsmarowała na szkiełku i bada przez mikroskop.

— Gdy Hope proponuje swoje wdzięki? No cóż, całuje dobrze, ale nad resztą technik musi jeszcze popracować. — Żart jest kiepski, ale nie jestem gotowa przyznać się, że to nieustanne, zdeterminowane latanie Tuckera za mną sprawia, że czuję się jak roztrzepany dzieciak.

Hope wystawia środkowy palec.

— Jestem świetna w łóżku. Techniki opanowałam do perfekcji. Gdybym była choć ciut lepsza, D'Andre nie byłby w stanie wyjść z łóżka. A w obecnej sytuacji i tak muszę go z niego wykopywać.

— Święta prawda — potwierdza Carin. — D’Andre zawsze lamentuje jak biedne dziecko, gdy rano dostaje nakaz opuszczenia łóżka.

— Z Tuckerem też tak jest? — przekomarza się Hope.

— Naprawdę chcecie wiedzieć, jak się z tym czuję? — wzdycham ciężko, decydując się być szczerą z moimi przyjaciółkami — i ze sobą. — Czuję się głupkowato i słabo, i wcale mi się to nie podoba. Powinnam być odporna na takie rzeczy. Przecież to tylko facet. Spałam już z wieloma facetami i jestem pewna, że z wieloma się jeszcze prześpię. No to dlaczego, gdy akurat ten pojawia się na horyzoncie, uginają mi się kolana i cała drzę?

— Dlaczego uczucia względem drugiej osoby nazywasz słabością? — karci mnie Hope. — Wiem, że nie uważasz mnie za słabą.

— Boże, oczywiście, że nie. Ale ty jesteś...

Ty jesteś bogata i piękna, i mądra, a ja muszę o wszystko walczyć.

Sfrustrowana wbijam kłykcie kciuka w skroń.

— Ty jesteś bardziej pozbierana niż ja. Ja zawsze czuję się tak, jakbym była o krok od katastrofy. Jednej nocy miałam sen, że profesor Fromm weszła do Boots & Chutes, podczas gdy ja tańczyłam na scenie ubrana jedynie w brokat i stringi. Obudziłam się spanikowana, ponieważ byłam cholernie pewna, że w skrzynce meilowej czeka na mnie list z informacją o anulowaniu mojego przyjęcia na Harvard.

Hope potrząsa tylko warkoczami.

— Kochana, sama do tego doszłaś. Twój grafik jest straszny. Jesteś tak zestresowana, ponieważ dajesz sobie tylko godzinę czy dwie tygodniowo na relaks.

— Racja — wtóruje jej Carin. — I słuchaj, myślę, że fajnie, iż wyskakujemy razem raz na tydzień, ale w takim tempie przekręcisz się, zanim w ogóle zaczniesz naukę na Harvardzie. Właśnie to mówi ci twój sen.

— W Briar roi się od świetnych studentów. Wyścig szczurów na prawie

nie będzie ostrzejszy niż to, co przeżyłaś do tej pory. — Mierzy mnie poważnym spojrzeniem w lusterku. — Zwolnij, S. Zwolnij, póki wciąż możesz to zrobić.

— Nie musisz się chajtać z tym gościem — dorzuca swoje Carin. — Pójście na randkę czy superseks do niczego nie zobowiązują. On też jest studentem, co oznacza, że musi się uczyć. Gra w hokeja, więc ma treningi i mecze. Gdybyś miała się z kimś spotykać, to musiałby to być facet z własnym życiem, prawda?

Hope unosi brew.

— Dziś wieczorem ma mecz...

Gapię się na nią.

— Śledzisz go? Skąd wiesz, że ma mecz?

— Sprawdziłam grafik drużyny na ich stronie.

Carin entuzjastycznie kiwa głową.

— Kim wy jesteście i gdzie są moje przyjaciółki? — pytam. — Wy nawet nie lubicie hokeja.

— Ja lubię — protestuje Carin. — Mój tata co roku organizuje imprezę Stanley Cup.

Patrzę na Hope, a ta wzrusza ramionami.

— A ja ani lubię, ani nie lubię. I nie mam nic przeciwko pójściu na mecz, jeśli to oznacza, że moja psiapsi w końcu się trochę rozerwie.

— Nie musimy zostać na cały mecz — naciska Carin. Trochę popatrzymy, a może po wszystkim podejdziesz do Tuckera i powiesz mu, jak wspaniale grał i jak seksownie wyglądał w kombinezonie. Właściwie... — Macha dłonią przez okno. — Jesteśmy na miejscu.

— Tutaj mamy zjeść kolację? — gapię się na arenę sportową wartą miliony dolców i wszystkich studentów sunących ciurkiem do środka.

Carin się szczerzy.

— Uwielbiasz dobrego hot-doga, prawda?

— D'Andre czeka na nas w środku — dodaje Hope.

Wzdycham.

— Więc i on maczał palce w tym waszym szatańskim planie?

— Oczywiście. To mój współnik zbrodni. — Hope gasi silnik i wraz z Carin odpinają pasy. — Dalej, robimy ten szajs. Czas ucieka, S.

Ponownie zerkam na arenę, czując się dziwnie zdenerwowana.

— Sama nie wiem.

— Oj tam, wysiadka — namawia Carin. — To miejsce jest pełne twoich ulubionych sportowców.

Pokazuję jej język, ale ona tylko się śmieje.

— Hej, jeśli nie chcesz Tucka, to ja sprawdzę, czy będę mogła odhaczyć brodacza z mojej listy do zaliczenia przed śmiercią. — Mruga niewinnie. — Oczywiście przyjmując, że naprawdę nie jesteś zainteresowana tym seksownym, umięśnionym facetem, który zafundował ci najlepszy seks w życiu, to całym sercem powinnaś poprzeć moje figle-migle z Tuckiem.

Obraz drobnej Carin pod masywnym Tuckerem mąci mi w głowie.

— To Tucker. Nie Tuck. — Czerwienię się, gdy słyszę sztywność w swoim głosie.

Hope dusi się ze śmiechu.

— Boże, gdybyś tylko mogła zobaczyć tę wściekłą minę na twojej twarzy... — Carin chichocze. — Kotku, jesteś bardzo zakochana.

Hope wyciąga piersiówkę z torebki.

— Jeśli mecz będzie do bani, po prostu upijemy się, oglądając bandę białych chłopaków ślizgających się po lodzie z nożami na stopach.

Definicja hokeja według Hope sprawia, że ja i Carin wybuchamy śmiechem. I gdy moje przyjaciółki wyskakują z samochodu, zauważam, że i ja z niego wychodzę i podążam za nimi do wejścia na arenę.

Mają rację w wielu kwestiach. Naprawdę potrzebuję przerwy i może, co prawda tylko może, potrzebuję Tuckera.

*

Nie oglądam zbyt często widowisk sportowych. I nie chodzi o to, że ich nie lubię. Po prostu nigdy nie miałam czasu, by się na nie wybrać. Coś tam wiem o futbolu dzięki Beau. I trochę o baseballu, bo wiosną Ray w kółko ogląda ten sport.

Jeśli chodzi o hokej, kiepsko.

Ale muszę przyznać, że oglądanie drużyny Briar na lodzie jest bardziej ekscytujące, niż się spodziewałam.

Siedzę wgnieciona między Hope i Carin. D'Andre usadowił się z drugiej strony Hope. Nie wiem, czy mamy dobre miejsca, czy nie. Carin mówi, że tak, ale ja wolałabym siedzieć tuż za ławką gospodarzy, bo mogłabym się gapić na Tuckera cały wieczór. Tutaj muszę się zadowolić oglądaniem go na lodzie.

Hope poinformowała mnie, że ma koszulkę z numerem 46. Przypuszczam, że tę informację również znalazła na stronie drużyny, więc przyklejam wzrok do czarno-srebrnej koszulki z numerem 46, zachwycając się, z jaką pewnością włada kijem. Nie sądzę, bym była w stanie choćby utrzymać w dłoni kij do hokeja, mając na sobie te wielgachne bokserskie rękawice.

Kiedy wspominam o tym przyjaciółkom, D'Andre pęka ze śmiechu.

— To są rękawice do hokeja, dziewczyno. A nie rękawice bokserskie.

— Aha. — Czuję się jak głupek.

Na moją obronę, nigdy wcześniej nie byłam na meczu hokeja, więc skąd miałabym wiedzieć, jak się nazywa ten cały osprzęt? Wiem, że są kije, krążki i siatki. Wiem, że niektórzy zawodnicy to napastnicy, bo Tucker powiedział

mi, że nim jest. I wiem, że inni to obrońcy, bo Beau mówił, że na tej pozycji gra Dean.

Jestem kompletną ignorantką, jeśli chodzi o hokej. Jak dotąd nie miałam w życiu powodu, by zagłębić się w ten temat, skoro hokeiści znajdowali się na mojej liście rzeczy zakazanych.

Zresztą stałe związki również.

Kurde. Nie mogę uwierzyć, że dałam się na to namówić moim przyjaciółkom. Nie mam czasu na stałego chłopaka. A nawet gdybym miała, Tucker nie jest facetem dla mnie. Jest za miły. Słodki. Niesamowity.

Wstyd, którego się najadłam, gdy Ray przerwał nasz seks, wciąż przyprawia mnie o mdłości za każdym razem, kiedy o tym pomyślę. Co za poniżające doświadczenie. I choć Tucker zapewniał, że w żaden sposób o mnie źle nie myślał, część mnie w dalszym ciągu jest zawstydzona.

Nienawidzę mojego domu. Nienawidzę Raya. Czasami nienawidzę nawet własnej matki. Wiem, że powinnam ją kochać, bo mnie urodziła, ale ta kobieta mnie porzuciła. Po prostu zostawiła.

— Macie to, chłopaki! — krzyczy jakiś pełen entuzjazmu fan, wyrywając mnie z tych smętnych myśli.

Spoglądam na lód, by ponownie popatrzeć na Tuckera śmigającego na łyżwach. Tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, przyznał, że z powodu starej kontuzji kolana nie jeździ szybko, ale jasna cholera, nie wygląda na powolniaka. Przemieszcza się z jednego końca lodowiska na drugi z taką szybkością, że ledwo zdążę mrugnąć.

Pozostali zawodnicy z jego drużyny są równie szybcy i nie nadążam wzrokiem za krążkiem. Myślałam, że miał go Tucker, ale właśnie wtedy tłum ryczy z rozczarowania; gdy obracam głowę, okazuje się, że czarny dysk już odbija się o jeden ze słupków siatki. Przypuszczam, że miał go ktoś inny, ale Tucker zgarnia odbicie. Podaje do jednego z zawodników. Kiedy tamten

mierzy z powrotem do Tucka, zauważam, że zrywam się na równe nogi, by mieć lepszy widok, jak oddaje strzał.

Pudłuje. Jęczę sfrustrowana. Carin śmieje się, gdy z powrotem opadam na moje siedzenie, ale powstrzymuje się od komentowania mojej nagłej przemiany w hokejową fankę.

Mecz pozostaje bezbramkowy przez cały czas do trzeciej tercji. Nie mogę uwierzyć, że oglądamy hokej od trzydziestu minut i nikt jeszcze nie zdobył gola. Człowiek pomyślałby, że to nuda, a ja tymczasem siedzę na skraju krzesła, zastanawiając się gorączkowo, która drużyna pierwsza zada krwawy cios.

To Briar.

Lampa nad siatką rozświetla się, rockowy hymn ryczy z głośników i cały tłum gospodarzy wrzeszczy z radości. Prezenter ogłasza, że gola zdobył jakiś Mike Hollis przy asyście... Johna Tuckera.

Znów zrywam się nogi, wiwatując głośno. Tym razem moi przyjaciele postanawiają coś powiedzieć.

— Jest bardzo zakochana — zauważa D'Andre.

— Mówiłam ci — mówi Hope swojemu chłopakowi.

— Co? — mruczę defensywnie. — To był bardzo ładny strzelecki manewr.

Carin składa się wpół.

— Strzelecki manewr? — powtarza między salwami śmiechu. — Boże, S, ogarnij temat. To się nazywa gol.

— Sama nazywasz się gol — odparowuję dziecinnie.

D'Andre parska śmiechem.

— No pięknie.

Siadam i z zapartym tchem oglądam dalej mecz rozgrywany w zawrotnym tempie. Ku mojej uldze Briar odpiera atak przeciwnej drużyny i wygrywamy

1–0, gdy odzywa się finałowy dzwonek. Wszyscy opuszczają arenę w dobrych humorach, mnie nie wyłączając.

Cieszę się, że przyszedłam tu dziś wieczorem. I mimo niepewności, czy angażować się w związek z Tuckerem, nie mogę zaprzeczyć, że wizja spotkania go, uściskania i pogratulowania wspaniałego meczu ekscytuje mnie. On też mnie uściska. Podziękuje mi. Może zaproponuje, byśmy uczcili jego sukces baraszkowaniem w samochodzie...

Przysięgam, że jeśli tak zrobi, tym razem nie odmówię.

— Na bank wszystkie króliczki oblegają wejścia do szatni — szepcze mi do ucha Carin, gdy wylewamy się z tłumem na główny korytarz. — Poczekajmy na niego na dworze. Nie będzie takiego tłoku.

— Króliczki?

— Krążkowe króliczki. Hokejowe fanki. Nazywaj je, jak chcesz. — Wzrusza ramionami. — No wiesz, laski, które mają ochotę na bara-bara z hokeistami.

— A. Rozumiem. — Odpowiadam wzruszeniem ramion ponieważ nie mam nic do dziewczyn, które tego chcą. Jakby nie było, moje własne wymagania, jeśli chodzi o randki, brzmi „tylko sportowcy”.

Tyle że, gdy sportowiec, na którego czekam, w końcu wyłania się z budynku, okazuje się, iż nie jest sam.

Czuję napięcie w kręgosłupie na widok Tuckerka zatrzymującego się na schodach z rękoma owiniętymi dookoła niskiej blondyny. On jest w hokejowej kurtce, a ona zakutana w jasnoczerwoną parkę, ale biorąc pod uwagę, w jaki sposób mój żołądek skręca się z zazdrości, człowiek pomyślałby, że oboje są nagusieńcy i pieprzą się na całego na stopniach.

— Idziemy — syczę do przyjaciół.

Stanowcza dłoń obejmuje mój nadgarstek.

— Oni tylko rozmawiają — mówi cicho Hope. Zgrzytam zębami, a moje

policzki się zapadają.

— Obejmuje ją.

Nie zamierzam oszukiwać się w temacie jakiegoś hokeisty, szczególnie takiego, który nawija, jak bardzo chce się ze mną umówić, a chwilę później idzie świętować wygrany mecz z jakąś laską w objęciach.

Rzucam w ich stronę ponowne spojrzenie. Taak. Wciąż ją obejmuje. I śmieje się z czegoś, co mówi blondi.

Ścieram w pył trzonowce, ale z jakichś powodów nie potrafię oderwać od nich wzroku. Blondi obejmuje Tuckera w pasie i mocno go przytula. Zadziera głowę, by na niego spojrzeć. On się do niej uśmiecha.

A potem moje serce pęka na kawałki, ponieważ Tucker pochyla głowę w jej kierunku. Jego usta schodzą niżej i niżej, aż w końcu całuje ją...

Rozdział 13

Sabrina

...w czoło.

Tucker całuje Blondi w czoło.

I jeszcze mierzwi jej włosy, jakby była jakimś szkrabem.

— O kurde. Dostała buzi w czółko? — mruczy D'Andre. — Słabo.

Nieważne. To wciąż pocałunek! i nawet nie chcę wiedzieć, kim jest ta laska. Czuję się jak głupol, że w ogóle tu przyszedłam.

Tucker to Pan Popularny, ze stadkiem wielbicielek na ogonie. Dzięki nienagannym manierom i tym rudawym włosom wygląda, jakby się urwał z któregoś ze starych sitcomów, w których życie jest idealnie idealne.

Za to ja jestem przesadnie ambitna, jędzowata, wypruwam sobie żyły i pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę, by wygrzebać się z rynsztoka, w którym się urodziłam, tak bym mogła stać obok tych wszystkich dzieciaków z Briar bez poczucia, że jestem gorsza.

— Chodźmy — powtarzam.

Moi przyjaciele muszą uświadomić sobie, jak bardzo jestem poważna, ponieważ wszyscy robią krok do przodu. Jesteśmy jakieś pół metra od podstawy schodów, gdy słyszę swoje imię.

— Sabrino!

No pięknie. Zostałam zauważona.

— Zaczekaj. — Jego głos brzmi teraz bliżej.

Odwracam się do Carin w niemym błaganiu o pomoc, ale ona tylko się uśmiecha. Patrzę na Hope i D'Andre, ale oni udają, że sprawdzają coś

w telefonie. Zdrajcy.

Wzdychając, odwracam się i widzę Tuckera w połowie drogi.

Jest podekscytowany na mój widok, jego oczy skrzą radośnie, a seksowne usta zdobi uśmiech.

— Co ty tutaj robisz?

Rzucam pierwszą kiepską wymówkę, która przychodzi mi do głowy.

— Byłam w sąsiedztwie.

— Naprawdę? — jego uśmiech się rozszerza. — A czy przypadkiem udało ci się zobaczyć jakiś fragment meczu w trakcie wizyty w sąsiedztwie?

— Cały mecz, tak się składa. Ładna asysta.

— Myślałem, że nie znasz się na hokeju.

— Nie znam się. Po prostu powtarzam, co spiker ogłosił w czasie meczu.

— Tuck! — krzyczy ktoś z grupy zawodników. — Idziesz?

Obraca się, żeby odkrzyknąć:

— Spotkamy się na miejscu! — Potem znów uśmiecha się do mnie. — Chcesz jechać do mnie, by uczyć z nami zwycięstwo?

Potrząsam przecząco głową.

— Muszę wracać do domu. Jutro pracuję. Poza tym — *Morda w kubek...*

— Nie bardzo mam ochotę — *Morda w kubek, Sabrina!* — na bycie trzecim kołem — dokańczam i mam ochotę się walnąć.

Ciemnokasztanowe oczy powiększają się.

— O czym ty mówisz?

Zaciskam zęby.

— No, moja droga? — zachęca mnie.

— Ten tam Czerwony Kapturek — mamroczę, machając głową w kierunku Blondi, która gawędzi teraz z jednym z kumpli Tuckera. — Wyglądaliście, jakbyście byli na randce.

— Randce? Eee, no raczej nie. — Zaczyna się śmiać. — To Sheena, moja

przyjaciółka. — Przerywa. — No, moja eks.

Uczepiam się tego natychmiast.

— Widzisz!

— Co widzę? Jest moją eks oraz przyjaciółką. Z wieloma byłymi się przyjaźnię.

No, oczywiście, że tak. Żadna dziewczyna na tej cholernej planecie w życiu nie potraktowałaby go jak Carrie Underwood, nie porysowała kluczem karoserii jego samochodu ani nie zniszczyła go kijem bejsbolowym. Bo Tucker jest cholernie miły. Nie można go nienawidzić.

— Jesteś zazdrosna — droczy się.

— Nie — kłamię.

— Bardzo zazdrosna. — Zachwył tańczy na jego twarzy. — Podobam się tobie.

— Nie — kłamię ponownie. — Powiedziałam ci — byłam w sąsiedztwie. Pomyślałam, że wpadnę się przywitać.

— Stać cię na więcej, moja droga. Dlaczego nie skrócisz naszego cierpienia i nie powiesz „tak”?

— Tak na co?

— Na randkę. Po prostu powiedz „tak”.

Moja buzia otwiera się, by sformułować słowa. A raczej jedno słowo. Tak. Chcę to powiedzieć, naprawdę, naprawdę chcę, ale nie lubię być wprawiana w zakłopotanie trudnym pytaniem. Czuję na nas rozbawione spojrzenia moich przyjaciół, a teraz jeszcze niektórzy z jego kumpli również zerkają w naszym kierunku. Tyle że Tucker jest za dobry i za słodki, a ja jestem kiczowata i zdystansowana, mój ojczym z kolei to totalna menda i to wszystko jest cholernie przytłaczające.

Kiedy w końcu odpowiadam, to nie słowem, które on chce usłyszeć.

— Twoi kumple czekają na ciebie — mamrocę, a potem spieszę

z powrotem do mojej ekipy, zanim on zdąży zaproponować.

Carin rzuca jedno spojrzenie na moją twarz i prowadzi mnie w kierunku parkingu, gdzie D'Andre zaparkował swój samochód.

— Uch! — Jęczę, kiedy jesteśmy poza zasięgiem wzroku Tuckera. — Ale ze mnie pieprzony głupol!

— Nie jesteś głupia — protestuje Hope.

— Jeśli coś, to jesteś zbyt mądra — mówi Carin. — Twój mózg jest twoim największym wrogiem.

— Co to ma niby znaczyć?

— To znaczy, że za dużo myślisz. Wszyscy widzieliśmy twoją twarz przed chwilą — podoba ci się ten facet. On naprawdę ci się podoba.

— Raczej mnie przeraża — chlapię bez zastanowienia.

Trzy pary oczu mrugają w zaskoczeniu.

— On jest zbyt idealny. — Znów jęczę. — A mnie się generalnie wszystko wali. Boję się, że jeśli pozna mnie lepiej, sam się o tym przekona.

— No i co z tego? — ripostuje Hope.

Moje zęby zagryzają dolną wargę.

Carin dotyka mojego ramienia.

— Musisz się z nim umówić. Serio, Sabrino, będziesz żałować, jeśli tego nie zrobisz. A wiem, że nienawidzisz przepuszczania okazji.

Ma rację. Zawsze daję sobie kopniaka, jeśli pozwolę, by jakaś szansa przeszła mi koło nosa.

— Mam pomysł — oznajmia, gdy zastanawiam się za długo. — Zróbmy podwójną randkę.

— Podwójną randkę? — Powtarzam słabym echem.

— Oooh, trójkącik. — Hope rusza brwiami. — Perwersja.

— Uspokój swoje cycki, Hopeless — rozkazuje Carin. — Mówię o normalnej, zdrowej podwójnej randce.

Zastanawiam się nad tym. Faktycznie, w takim układzie ciśnienie bardzo spada.

— Okej, mogę to zrobić.

Carin się rozpromienia.

— Dobrze. Napisz zaraz do niego, bo za chwilę zmienisz zdanie. Och, i z kimkolwiek mnie sparujecie, lepiej, żeby wybrał przystojniaka. Niech się upewni, że facet wie, jak używać języka.

— Stoję tuż obok, wiesz. — D'Andre macha jedną muskularną ręką w powietrzu. — A może, lubieżne panienki, przestałybyście traktować przedmiotowo klan facetów?

Hope chichocze.

— Kto traktuje przedmiotowo? — odpowiada Carin. — Po prostu mówię, że chcę faceta, który wie, co robić z językiem. Tę umiejętność powinien opanować każdy członek twojego „męskiego klanu”. Wiesz, w gimnazjum powinni uczyć czytania, pisania i naprawdę dobrego poruszania językiem.

— Dziewczyno, myślę, że za takie pomysły w oświacie mogą cię zamknąć — ostrzega.

Hope chichocze w niekontrolowany sposób przez kolejną minutę, a potem uspokaja się na tyle, by ścisnąć moje ramię.

— To będzie dla ciebie dobre.

— Jeśli wyjdzie z tego wielka kłapa, wiecie, że powiem, „a nie mówiłam”, tak?

— Sama napiszę to sobie na czole czarnym magicznym markerem dla ciebie — przysięga.

Moi przyjaciele ruszają do samochodu Hope, a ja zbieram w sobie całą odwagę i piszę do Tuckera, zanim zdołam sobie wybić z głowy ten pomysł.

Jeśli się zgodzę, to nie myśl, że to coś znaczy.

Odpowiedź przychodzi natychmiast.

On: *Znaczy jedynie, że się zgadzasz.*

Ja: *I nie zobowiązuję się do niczego więcej poza tą randką.*

On: *Ej, czy nie za dużo się spodziewasz? Poprosiłem tylko o jedną randkę.*

Gapię się na wyświetlacz. Nie zrozumiałam czegoś? Facet gadał o miłości od pierwszego wejrzenia, o tym, że chce się ożenić i mieć dzieci, a teraz pisze bez ogródek, że chce mnie jedynie jeszcze raz przelecieć?

On: *Żartuję, moja droga. Z oświadczynami poczekam do trzeciej randki. Kiedy?*

Ja: *Przyjdę z przyjaciółką Carin, a ty załatw najseksowniejszego faceta, jakiego znasz.*

On: *Ja jestem najseksowniejszym facetem, jakiego znam. Poszukam drugiego najseksowniejszego na kampusie. Jakies szczególne preferencje?*

Ja: *Ma wiedzieć, jak używać języka.*

On: *To znowu ja. Nie do końca wiem, jak mam się rozeznąć, na ile dobrzy są pozostali faceci. Nieczęsto wypływa ten temat.*

Ja: *Taka cena za mój czas.*

On: *Zrobi się.*

Następuje krótka cisza, a potem wyskakuje kolejna wiadomość.

On: *Nie będziesz żałować.*

*

Mam pomysł na idealną randkę, pisze Carin godzinę później. Jest jedenasta, a ja kładę się spać, bo wstaję o czwartej, by sortować pocztę. Po wiadomości wyskakuje trochę rozmazane zdjęcie. Przytrzymuję je palcem i powiększam. Teraz jestem w stanie odczytać kilka słów.

Ja: *Malowany wieczór? Nie mam zdolności plastycznych. Nawet moje ludziki wyglądają okropnie. Wiesz o tym. Wyśmiałaś kiedyś mojego wisielca.*

Ona: *To NIE był wisielec. To było... to znaczy, ramiona wychodziły z boków, a nie z szyi. W każdym razie to jest prościzna. Jak malowanki z numerkami. Pijemy/malujemy/bawimy się. Jeśli randka jest do bani, to ty i ja upijemy się na umór.*

Ja: *Dobra. Kiedy? Jestem dostępna tylko w niedz., pon., wt., czw.*

Ona: *Przecież wiem. Dlatego to wybrałam, głupolu. Można przyjść w co drugą niedzielę, czyli jutro wieczorem.*

Skąd miałabym wiedzieć? Przysłane zdjęcie jest małe, nieostre i równie dobrze mogłoby zawiadamiać o parafialnym spotkaniu w sobotę rano.

Ja: *Sprawdzę, czy T pasuje.*

Ona: *Założę się, że tak.*

Nie wchodzę w ten zakład. Zamiast tego, piszę do Tuckera.

Ja: *Zainteresowany malowankami po numerkach?*

Telefon sygnalizuje przyjście odpowiedzi w chwili, gdy naciągam koszulkę do spania i bokserki.

On: *Czy to jak nagi Twister?*

Ja: *Nie mam pojęcia.*

Przesyłam mu zdjęcie. Może on da radę rozkminić, o co w tym chodzi, bo ja z całą pewnością nie.

On: *To zdjęcie zostało zrobione prawdziwym aparatem czy narysowały je maleńkie leprechauny?*

Ja: *Carin jest naukowcem, a nie artystką. A przy okazji, znalazłeś kogoś?*

On: *Tak. Przyjdzie mój kumpel Fitzy i, zanim zapytasz, nic nie wiem o jego oralnych zdolnościach. Ale jest cholernie mądry, ma rewelacyjny refleks i nigdy nie słyszałem żadnych reklamacji pod jego adresem.*

Robię screenshota z tej wiadomości i przesyłam go Carin.

Ja: *Okej?*

Ona: *Jakaś fotka?*

Piszę do Tucka: *Jakaś fotka?*

On: *Czego?*

Dobry Boże. Gramy w absurdalną grę w telefony czy coś.

Ja: *Tucker pyta: czego?*

Ona: *Twarz, abs, tyłek. Bez fiuta*

Robię kolejnego screenshota i wysyłam go do Tuckera. Podczas gdy on rozważa to życzenie, myję twarz i szoruję zęby. Nie zdążyłam wdrapać się na łóżko, a już czeka na mnie wiadomość. Zdjęcie obłądnego ciemnowłosego faceta pokazującego środkowy palec Tuckerowi wypełnia mój ekran.

Wow. Niesamowite, jak seksowni są ci hokeiści Briar. Może dobry wygląd jest warunkiem dostania się do drużyny? Umiejętność walnięcia w krążek z siłą stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę plus warunki na gwiazdorzanie w kalendarzu?

Przesyłam zdjęcie Carin. Odpowiada mi emotikonką z uniesionym w górę kciukiem. Potem znów piszę do Tuckera.

Ja: *Jesteśmy gotowe na wyjście.*

On: *Czas/miejsce? Serio, nie mogę tego odczytać.*

Ja: *Jutro, 20.00. Carin mówi, że na miejscu jest alkohol.*

On: *Okej.*

Już mam odłożyć telefon, gdy pojawiają się trzy kropki. A potem znikają. A potem pojawiają na nowo. W końcu przychodzi wiadomość.

On: *Fotki fiuta nie przejdą?*

Tłumię śmiech. To jego pytanie?

Ja: *A czemu? Wysyłasz mi jedną?*

On: *Coś mi się zdaje, że to pytanie to podpucha. A chciałabyś?*

Ja: *Zależy od kontekstu. Przypadkowe foty penisów = nie. W innych wypadkach? Nie wiem. Nie mam żadnego, które by mi się naprawdę podobało. Wysłałeś jedno? Czy kilka?*

On: *Mam zmęczone kciuki. Zaczekaj.*

Sekundę później w mojej dłoni wibruje telefon.

— Halo — odpowiadam.

— Hej. — Milknie. — Dlaczego zmieniłaś zdanie na temat randki?

— Przyjaciółki stwierdziły, że jedna dobrze mi zrobi — przyznaję.

— Twoje przyjaciółki mają rację. — Słyszę uśmiech w jego głosie. —

W każdym razie czuję, że tę rozmowę powinniśmy odbyć osobiście, tak bym mógł widzieć twoją twarz. Emotikonki bakłazana nie mają wystarczająco dużo niuansów.

Rozśmiesza mnie.

— Prawda.

— Ale ty jesteś w Bostonie, a ja w Hastings, więc rozmowa telefoniczna musi wystarczyć. Może i wysłałem zdjęcie raz, ale było wyproszone. Ona wysłała swoje pierwsza.

— Naprawdę? Nie popieram takich rzeczy. W Internecie krąży za dużo mściwych zdjęć. — Poza tym tak naprawdę nigdy nie chodziłam z facetem na tyle długo, by chcieć wysłać mu zdjęcie, ale nie dzielę się tym z Tuckerem. — Więc istnieją foty ogromnego pytona Tuckera w Internecie?

— Jeszcze nie zostałem oznakowany na Instagramie, więc miejmy nadzieję, że nie wyciekły. Ale dzięki za nazwanie mojego fiuta wielgachnym. Doceniamy to. — Rozbawienie zabarwia jego słowa.

— My? To znaczy ty i twój penis?

— Dokładnie — szczebiocze.

Zagrzebuje się głębiej pod kołdrę.

— Twój penis ma imię?

— Chyba każdy ma? Faceci nadają imiona wszystkiemu, co dla nich ważne — samochodom, kutasom. Jeden z kumpli z drużyny hokejowej w podstawówce nazwał swój kij, totalna głupota, bo kije bez przerwy się

łamią. Przez jego ręce przeszło dwanaście kijów do końca sezonu.

— Jakie były ich imiona?

— W tym sęk. Po prostu zmieniał tylko liczbę przy nazwie, tak jak iPhone 6, iPhone 7, tyle że w jego przypadku to była Henrietta 1, Henrietta 2, et cetera.

Śmieję się.

— Powinien był skorzystać z konwencji nadawania imion huraganom.

— Moja droga, on nie był wystarczająco kumaty, by wymyślić dwa imiona, a co dopiero dwanaście.

Moja droga. Serce potyka się o te czułe słówka. Gdy używał ich wcześniej, wydawały się rzucone od niechcienia. Ale teraz? Po tym, jak właśnie wyznał, że faceci nadają imiona rzeczom, które są dla nich ważne?

Tłumię te fantastyczne interpretacje, zanim doprowadzą mnie do niebezpiecznego końca. *Flirtujemy. Zachowaj lekki ton.*

— Jak się nazywa twój fiut?

— Hejże, hejże — strofuje mnie. — Tylko do wiadomości żony. Powiem ci dopiero w podróży poślubnej.

Czekam na nieuchronne uczucie dyskomfortu, by zaczęło uwierać mnie w gardle, ale nic się nie pojawia. Najwyraźniej rzucone z marszu żarty o ślubie już mnie nie ruszają.

— Co czyni fotę fiuta dobrą? — pyta. — Nie, żebym ci jakąś wysłał.

— Zachowujesz tylko na użytek małżonki?

— Raczej na etap zaręczyn.

Odsuwam tę myśl na bok i zastanawiam się nad jego pytaniem.

— Nie podobają mi się takie dosłowne. Potrzebuję kontekstu, jak mówiłam wcześniej. Twoja zaciśnięta na nim pięść byłaby seksi. Masz dobre dłonie.

Słyszę jakieś szuranie, kroki, a potem kliknięcie zamykających się drzwi.

Zaszył się w jakimś ustronnym miejscu i ta wiedza sprawia, że pewne części mojego ciała zaczynają pulsować z podniecenia.

— Musiałem wyjść z salonu. Po chacie kręcą się dziś ludzie, a twoje rozmyślenia o moim fiucie są kurewsko podniecające. Tak mi stanął, że muszę się ewakuować.

Piersi ciążą mi tak bardzo, że oddycham z trudem. Wiercę się pod kołdrą i słyszę, jak wstrzymuje oddech.

— O czym myślisz? — pyta szeptem.

Wciągam trochę powietrza, by napęłnić nagle puste płuca. Wiem, dokąd to zmierza. Jeśli nie skończymy tej rozmowy, podniecimy się nawzajem do tego stopnia, że będę musiała się masturbować. Tucker nadal milczy, zostawiając decyzję mnie. Zanurzam dłoń między nogi, jakby ucisk mógł zdusić ból, ale ten kontakt tylko nasila pragnienie.

Mój głos jest ochrypły, gdy zaczynam mówić.

— Wyobrażam sobie, jak trzymasz swojego fiuta. Właśnie teraz poruszasz dłonią, głaszczesz się.

Nie ma natychmiastowej odpowiedzi, więc czerwienię się, myśląc, że przegięłam. Ale jego następne słowa mówią mi, że nadaża za mną.

— Dobijasz mnie.

Zagryzam wargę i pocieram się mocniej.

— Ja też się rozgrzewam.

— To w niczym nie pomaga, bo teraz widzę ciebie całą nagrzaną. Jesteś mokra, Sabrino?

Ślizgam się palcami tam na dole.

— Bardzo.

— Ja pierdolę. Co bym robił, gdybym tam teraz był?

— Lizał mnie — odpowiadam natychmiast. Język Tuckera jest boski.

Słyszę więcej szurania, a potem chropawe:

— Potrzebujesz zabawki?

— Tak, daj mi chwilkę. — Grzebię w szufladzie komody i znajduję pudełko od tamponów, gdzie chowam rzeczy przed Rayem — trochę gotówki zrolowanej w pustym opakowaniu po tamponie i mój wibrator. Wyławiam go szybko i włączam.

— Gotowa — oznajmiam, przykładając drżącą zabawkę do łechtaczki. Moje biodra wyginają się w łuk i wymyka mi się mały jęk.

— Jasna cholera — jęczy. — Wsuń go do środka, powoli i miarowo. To ja trzymam wibrator i liżę twoją łechtaczkę.

On wydaje rozkazy i maluje erotyczne obrazy, a ja posuwam zabawkę w górę i dół. Co za ulga nie musieć myśleć, oddać się mu całkowicie. Nie mówię już nic więcej. Nie mogę, naprawdę. Jestem zbyt skupiona na wsłuchiwaniu się, pozwalaniu, by ten jego południowy akcent rozlał się po mnie jak ciepły syrop. Zatracam się w ochrypłych, sprośnych instrukcjach, by pompować wibrator energiczniej, wyobrażać sobie, co robi jego język na cipce. Powtarza, jak bardzo jestem cudowna, seksowna i że w życiu nie był tak twardy.

Dochodzę, gdy dźwięki jego pracy nad własnym ciałem mieszają się z moim sapaniem z przyjemności. Jego głos wypełnia mój świat.

— Dobranoc, moja droga — mówi, gdy mój oddech zwalnia.

— Dobranoc — wykrztuszam. A potem zasypiam, głęboko, na długo i całkowicie usatysfakcjonowana.

Rozdział 14

Sabrina

— Malowanie nago? — Zalewa mnie fala podejrzliwości, gdy otwieram drzwi do lokalu o nazwie Wine and Brush. Afisz bezceremonialnie pokazuje parę artystycznych lalek ułożonych w wyuzdanym uścisku. Oto pomysł na winiarnię w miasteczku uniwersyteckim.

— Specjalnie wysłałaś mi takie niewyraźne zdjęcie — oskarżam przyjaciółkę.

— Oczywiście, że tak — odpowiada zadowolona z siebie Carin. — Nie chciałam ci dać szansy na wymówki lub odpowiedź odmowną. — Ładuje się do środka, a potem zatrzymuje dwa stopnie od progu. Spojrzenie utkwiła przy barze po przeciwnej stronie sali.

— Ładnie. — Gwiżdże pod nosem. — Dobrze się spisałaś, S.

Szczerzę się.

— Upomnę się o swoje w stosownym czasie.

Każda z nas chwyta za kieliszek wina z tacki przy stole, zanim ruszamy naprzód. Nasi randkownicze opierają się o bar i rozmawiają ze sobą. Nawet garbiąc się, są o głowę wyżsi niż większość osób obecnych na sali. Zauważam inne dziewczyny lustrujące wzrokiem swoich partnerów, a potem rzucające pożądlive spojrzenia w kierunku Tuckera i Fitzy'ego.

To te spojrzenia pchają mnie do przodu i każą stawać na palcach, by dać Tuckerowi całusa w usta.

Kąciki jego seksownych ust uciekają w górę, jakby dokładnie wiedział, co robię.

— Dobrze cię widzieć, moja droga. Dobrze spałaś wczoraj?

— O tak. A ty?

— Jak dziecko.

Uwadze Carin nie umknęło jedno słowo.

— Spałaś wczoraj w Bostonie? — żartuje.

On potrząsa głową.

— Usłyszałem dobrą bajkę na dobranoc.

Używam kieliszka z winem, by ukryć uśmiech, a Tucker zajmuje się przedstawianiem sobie nawzajem naszych przyjaciół.

— Carin, to jest Colin, ale wszyscy nazywają go Fitzy.

— Tak mi się bardziej podoba — oświadcza moja przyjaciółka. — Carin i Colin brzmią razem zbyt słodko.

Chłopak metr osiemdziesiąt z kawałkiem uśmiecha się nieśmiało i ujmuje dłoń Carin, potrząsa nią ostrożnie, jakby się bał, że może ją zranić. Ale bez obaw. Ona jest mała, ale twarda.

— Mieszkacie razem? — pyta Carin i wcale się nie kryje z podziwianiem Fitzy'ego od stóp do głów.

Nie mogę zaprzeczyć, że w pewnym sensie robię to samo. Fitzy jest niewiarygodnie pociągający. Ma potargane ciemne włosy, w które człowiek najchętniej zanurzyłby palce. I te tatuaże... mniem. T-shirt, który ma na sobie, prezentuje wytatuowane rękawy pokryte misternymi wzorami i obrazami ze świata fantasy — zauważam kilka smoków i przynajmniej jeden miecz. A spod kołnierza koszuli również wygląda tatuaż. Zazwyczaj Carin nie interesuje się wytatuowanymi gośćmi, ale od tego nie może oderwać oczu.

— Nie. Mieszkam sam — odpowiada Fitzy. — Tuck mieszka wśród gwiazd.

— Wśród gwiazd? — powtarzam jak echo, ale podejrzewam, że znam odpowiedź.

Mina Tuckera wyraża rozbawienie.

— Garrett i Logan to gwiazdy. Oboje przejdą na zawodowstwo. A Deana znacie.

Marszczę nos na dźwięk jego imienia.

— Lepiej zmieńmy temat — ostrzega Carin.

Fitzy uśmiecha się krzywo.

— Dziewczyna, która nie kocha Deana? Nie wiedziałem, że takie istnieją.

— Dostał piątkę, bo przespał się z asystentką! — zrzędzę.

— Ostrzegałam cię. Chodź, Fitzy. — Opuszcza dłoń i kiwa palcem w kierunku potężnego hokeisty. — Znajdźmy jakieś miejsce. Słyszałam już tę historię i nie jest ciekawa. — Nuci kilka taktów z *Krainy lodu*, gdy go od nas odciąga.

Z tyłu mojego gardła wydobywa się sfrustrowany dźwięk, ale skoro połowa publiczności się zmyła, zwracam się do jedynej osoby, która została.

— Też mi powiesz, żebym dała temu spokój?

— E tam, trzymaj się tego, ile chcesz. Nie moja w tym rola, by ci dyktować, o co masz się wściekać. — Obejmuje tył mojego karku wielką dłonią i pochyla się, by szepnąć mi do ucha. — Ale później wieczorem z przyjemnością powiem ci, co masz robić.

Natychmiast reaguję napięciem w ciele. Seks z Tuckerem jest najmniej stresującą, najprzyjemniejszą rzeczą w moim życiu i gdy zapadam się w jego mocnym uścisku, uświadamiam sobie, że nie jestem już dłużej zainteresowana zwalczaniem pociągu między nami. Moje przyjaciółki mają rację — naprawdę tego potrzebuję. Nie tylko seksu, ale i towarzystwa. Spędzenia czasu z mądrym, słodkim chłopakiem, który pragnie jedynie być ze mną w każdy możliwy sposób.

Myślę, że po prostu popłynę z prądem i zobaczę, co się wydarzy.

— Umowa stoi.

Mruga okiem.

— Mam już kilka pomysłów.

— Jakbyś nie miał ich wcześniej — drwię.

— Mam więcej pomysłów. Jesteś bardzo inspirująca.

Patrzy na mnie tak seksownie, że robię krok do przodu i unoszę dłoń na jego klatkę piersiową — tę bardzo wyrzeźbioną, bardzo smakowitą, bardzo zachwycającą klatkę piersiową. Czuję pod ręką napinające się mięśnie i przyspieszone bicie serca. Staję na palcach, by...

Głośny śmiech za naszymi plecami ściąga mnie na ziemię.

— Tak? — Tucker zwraca się do Fitzy'ego, nie odrywając ode mnie oczu.

— Może łaskawie usiądziecie. Wszyscy na was czekają.

Kręcę się dookoła i widzę, że większość osób obecnych na sali obróciła głowy i wpatruje się w nas wyczekująco. Liczą pewnie, że albo w końcu usiądziemy na miejsca, albo zaczniemy się lizać na ich oczach. Długie stoły są ułożone w kształt litery C i w samym centrum stoi mały podnózek, który, jak sędzę, zajmie modelka. Każdy z nas dostaje własną sztalugę, płótno oraz pędzle i farby akrylowe. Jest całkiem fajnie.

— Jeśli nie chcecie się rozbierać i posłużyć nam za modele, chodźcie tu i siadajcie — rozkazuje Carin.

Ręka Tuckera przesuwa się w dół i w drodze po moją dłoń zostawia hektary gęszej skórki. Chwytam się i prowadzę go do krzeseł obok Carin.

— Z bzykaniem miałaś się wstrzymać do końca randki — szepcze, gdy siadam.

Odsuwam na bok kieliszek wina i podnoszę pędzel.

— Zasady są dla frajerów i nudziarzy, więc uważaj.

Przebiega pędzlem po moim nosie, udając obrzydzenie, ale potem instruktorka zaczyna mówić i od razu się zamykamy.

— Witam wszystkich! Jestem Aria i dziś wieczorem będę waszą

przewodniczką! Ale mnie cieszy tak duża frekwencja!

Nasza nauczycielka to jedna wielka piłka energii, zwraca się do publiczności i skacze dookoła. Na jej głowie kłębi się szalony zwój dredów, które wiją się jak węże w rytm jej ekspresyjnej przemocy.

— Po pierwsze, przedstawię was naszemu modelowi! Oto Spector.

Spector?

Tucker huśta się na krześle i gdy się obracam, widzę, że walczy z falami śmiechu. Kładę dłoń na jego kolanie, by go uspokoić.

— Bądź miły — mówię przez zęby.

— Staram się. — Krztusi się ze śmiechu, mrużąc pod nosem „Spector”.

Wysoki facet w białym szlafroku wychodzi na środek i macha do grupy. Jego czarne włosy są dłuższe niż moje. Ma skośne oczy jak James Franco, dzięki którym wygląda na nieustannie narąbanego.

— Hej — to wszystko, co mówi.

Potem zdejmuję szlafrok.

Normalnie mnie zatyka, ponieważ, o mój Boże, jego penis jest dokładnie tam. I robi wrażenie.

Obok mnie Carin również nie marnuje czasu na ocenę wystawionego towaru.

— No, o tym właśnie mówię! Witamy, witamy, Manaconda! — woła do modela, zanim omiata wzrokiem damską część widowni. — Drogie panie, uważam, że Spector zasługuje już na pierwsze oklaski, co?

Teraz to ja walczę ze śmiechem, ponieważ niech mnie diabli, jeśli wszystkie kobiety nie zrywają się do bicia braw, które kończą się wybuchem aplauzu okraszonego gwizdami i okrzykami. Czerwień na twarzy biednego Spector'a jest tak intensywna jak ta, którą mam na palecie przed nosem.

Tucker głośno parska śmiechem, a Fitzy przechyla się za plecami Carin i pyta mnie:

— Ona zawsze jest taka?

— Zazwyczaj znacznie gorsza — odpowiadam wesoło.

Nie wydaje się, by działało to na niego odpychająco. Tymczasem nasza instruktorka zaczyna tracić cierpliwość.

— Proszę państwa! — Uderza w dłonie. — Proszę o skupienie! Zaraz zaczniemy tworzyć piękną sztukę! — Jej surowa mina znika, a w jej miejsce pojawia się szeroki uśmiech. — Czym oczywiście jest i wyposażenie Spectora.

W życiu nie byłam na bardziej zakręconej randce.

Aria pokrótce wyjaśnia, na czym polega zabawa. Zasady nie są zbyt skomplikowane. Pijemy wino i malujemy penisa Spectora. O dziwo Tuck, Fitz i inni mężczyźni na sali od razu zabierają się do pracy. W ruch idą zakrętki od farb, pędzle i zaczynamy tworzyć piękną sztukę.

Tak jakby.

Niezgrabnie przeciągam pędzlem po płótnie. Spróbowałam pomieszać żółty, biały i brązowy, by oddać brzoskwiniowy odcień skóry Spectora, ale wygląda to tak, jakby mój model zafundował sobie okropny odcień samoopalacza.

Tucker przebiega jednym z suchych pędzli po kłykcium, na którym prezentuje się siniak.

— Mam mnóstwo pomysłów, jak dobrze go wykorzystać. Może zabiorę go do domu.

Przewracam oczyma.

— Pędzle do farb nie są sekszabawkami.

— I kto to mówi?

Przez kolejną godzinę pracujemy w skupieniu. Carin radzi sobie niesamowicie. I Fitz, który, według Tucka, projektuje własne gry wideo, również. Tucker daje radę na zaskakująco przyzwoitym poziomie, chociaż

wydaje się, że unika obszaru z penisem na swoim płótnie.

— W końcu i tak będziesz musiał namalować jego klejnoty — drwię.

Mruga.

— Najlepsze zachowuję na deser.

Z drugiego kąta sali odzywa się chłopak z opadającymi blond włosami i T-shircie Red Sox.

— Proszę pani, nie potrafię namalować włosów łonowych! Wyglądają jak małe mrówki!

Salwa śmiechu przetacza się przez salę. Myślę, że Red Sox też jest na podwójnej randce, ponieważ on i jego partnerka siedzą obok innej pary, która zanosi się śmiechem.

— Serio, Spec — krzyczy przyjaciel Red Sox. — Nie mogłeś zafundować sobie delikatnej męskiej depilacji, zanim tu dziś przyszedłeś?

— Nie — odpowiada Spector ze swojego stołka, brzmi na znudzonego. — Mój kontrakt na to nie pozwala.

On ma kontrakt? Na pozowanie nago w studenckim barze z wieczornym malowaniem?

— Włosy łonowe dodają obrazowi faktury — tłumaczy Aria grupie. — Ale sztuka to interpretacja, pamiętacie? Malujcie to, co widzicie tutaj — klepie się dłonią po sercu — a nie to, co tu — wskazuje na oczy.

— Co to u diabła w ogóle znaczy? — szepczę do Tuckera, którego cała twarz jest czerwona, bo pęka ze śmiechu.

— Proszę! — obwieszcza nagle Aria. — To jest interpretacja!

Odwracam się i widzę, jak zdejmuje płótno Fitzy'ego z jego sztalugi. Potężny chłopak burczy w proteście, ale ona go ignoruje i unosi obraz w efektownym geście.

Szczęka mi opada, gdy widzę, co namalował przyjaciel Tuckera. To Spector, ale w wersji twardziela w hełmie i z tarczą w dłoniach. W miejscu

szeroko omówionego penisa Fitzy namalował misternie prezentujący się miecz. Normalnie miecz godny *Gry o tron*.

— Brachu — krzyczy pod wielkim wrażeniem Tucker.

— Niesamowite! — Carin „Wielkie Oczy” zwraca się do swojego randkowicza.

On zaś tylko wzrusza ramionami.

— Jest okej.

Jego skromność wywołuje u mnie uśmiech. Uśmiecham się szerzej, gdy Aria oddaje mu płótno, błagając, by zostawił jej obraz i nie zabierał go do domu.

Kontynuujemy malowanie, sypiemy wspaniałymi żartami, pijemy wino. Co jakiś czas Tucker pochyla się nad starszym panem siedzącym obok niego i pomaga biedakowi.

— Dobrze, teraz cień trzeba by namalować tutaj — radzi. — Wyobraźmy sobie, że światło pada na jego ramię stąd, więc cień powędrowałby tutaj.

Starszy mężczyzna głośno odchrząkuje.

— Ta cała zabawa to strata czasu.

— Hiram! — strofuje go żona.

— Co? To prawda — zrzędzi mężczyzna, potem częstuje mnie i Tuckera gburowatym spojrzeniem. — To był jej pomysł.

— Pomyślałam, że będziesz się dobrze bawił — protestuje siwowłosa kobieta. — Zawsze powtarzałeś, jak bardzo zazdrościsz mi artystycznych umiejętności.

Para wydaje się pod siedemdziesiątkę. Albo i pod osiemdziesiątkę. Nigdy nie byłam dobra w odgadywaniu wieku. Poza tym, seniorzy wyglądają tak młodo w dzisiejszych czasach. Nana mogłaby uchodzić za moją starszą siostrę.

— O rety, bardzo przepraszam, Doris, ale nigdy nie nauczyłem się

malować nagich ludzi, gdy do mnie strzelano w ‘Nam!

Doris ciska pędzlem o stół.

— Rozmawialiśmy już o tym! Doktor Phillips powiedział, że nie wolno ci poruszać tematu Wietnamu. To wpływa destrukcyjnie na nasz związek.

— To był najtrudniejszy czas w moim życiu — odpowiada uparcie.

— A myślisz, że mnie było łatwo? — pyta wyzywająco. — Bycie w domu, wychowywanie dwójki dzieci w pieluchach, podczas gdy ty wybyłeś, żeby polować na wroga?

Mężczyzna wybucha złością.

— Ty podcierałaś tyłki! A ja zabijałem ludzi!

Przygryzam wargę, by powstrzymać śmiech, mimo że to nieszczególnie zabawna rozmowa. Może to wino uderzyło mi do głowy.

— Dobrze już, dobrze — Tucker przeciąga samogłoski. — Hiram, mój przyjacielu, twoja żona jest cudowna i najwyraźniej tobie oddana. Doris, ten oto Hiram walczył dla swojego kraju, by zapewnić bezpieczeństwo tobie i dzieciom — pomyśl tylko, jak bardzo musi cię kochać, by zrobić coś takiego. Więc nie kłóćmy się już, co? Może skupmy się po prostu na malowaniu tego miłego gościa i zaprezentujmy jego osprzęt tak, jak na to zasługuje.

Fitzy siedzący z boku Carin parska śmiechem.

Podobnie jak Hiram, którego głos staje się szorstki, gdy zwraca się do żony.

— Przepraszam, Dorrie. Masz rację, miałaś świetny pomysł.

— A ty byłeś bardzo odważny na wojnie — odpowiada jego żona wielkodusznie.

Hiram przechyla się i klepie Tuckera po ramieniu.

— No dobrze. Pokaż mi tę sztuczkę z cieniem.

Moje serce topnieje, gdy obserwuję, jak Tucker pomaga starszemu

mężczyźnie. Doris tymczasem zalewa się ślicznym rumieńcem, prawdopodobnie rozmyślając o tym, jak została nazwana cudowną.

— Fajny z ciebie gość — mówi Hiram do mojego partnera. — Lubię cię. Nooo. Ja też go lubię.

Tucker

Wytaczamy się całą gromadą z winiarni w beztroskich i głupkowatych nastrojach. Pod pachami dzierzymy zwinięte w rulon płótna z naszymi obrazami. To znaczy wszyscy oprócz Fitzy’ego — instruktorka zmusiła go do pozostawienia dzieła, żeby mogła je pokazywać na kolejnych zajęciach.

Na dworze otacza nas mroźne powietrze, ale to nie powstrzymuje Hiram, by powiedzieć:

— Na końcu ulicy widziałem lodziarnię. Sprawdźmy, czy nadal jest otwarta.

I tak nasza podwójna randka zmieniła się w potrójną i nagle idziemy na lody ze starym weteranem wojennym i jego słodką jak melasa żoną.

Trzymam dłoń Sabriny, gdy spokojnym krokiem maszerujemy po chodniku. Z ręką na sercu nie spodziewałem się, że dzisiejszy wieczór okaże się taką frajdą. No bo zajęcia z malowania? Jest milion bardziej świńskich rzeczy, które wolałbym robić, ale to całe malowanie nie wyszło źle. Nawet Fitzy śmiał się dziś wieczorem częściej niż kiedykolwiek wcześniej.

Docieramy do lodziarni w chwili, gdy ją zamykają. Chłopak, który ma właśnie przekręcić klucz w drzwiach, lituje się nad nami i otwiera kasę. Dziękując mu wylewnie, zamawiamy lody w waflach i wracamy na parking przy barze.

Teraz, gdy już przestali się kłócić, Hiram i Doris raczą nas opowieściami z ich czterdziestosześcioletniego małżeństwa. Przeżyli kilka trudnych chwil,

ale bardziej interesują mnie szczęśliwe wspomnienia, które opisują.

Czterdzieści sześć lat. Myśl, że można z kimś być tak długo, wydaje się kurewsko surrealistyczna. Czy fakt, że pragnę tego samego, znaczy, że jestem kompletnym świrem?

Sabrina wydaje się równie oczarowana ich historiami i gdy starsza para wsiada do swojego małego samochodu i odjeżdża, mam wrażenie, że jest szczerze rozczarowana.

— My skończymy lody w moim samochodzie — obwieszcza Carin, nie próbując nawet ukryć intencji. Z figlarnym uśmiechem chwyta dłoń Fitzy’ego i ciągnie go w kierunku niebieskiego hatchbacka zaparkowanego po przeciwnej stronie parkingu.

Fitzy odwraca się przez ramię i szczerzy do mnie.

— Będzie się działo — stwierdza Sabrina.

— No tak.

Ciągnę ją do mojego wozu. Kiedy już usadowiliśmy się na przednich fotelach, odpalam silnik i włączam ogrzewanie. Lody najprawdopodobniej nie były dobrym pomysłem — Sabrina wyraźnie się trzęsie, gdy czekamy, aż mój wóz się nagrzej.

— Więc — mówię.

— Więc.

— To było zabawne.

— W którym momencie? Kiedy Red Sox namalował mrówki w miejscu włosów łonowych? Czy gdy Hiram i Doris opisywali, jak przeżyli szal na powiększanie piersi w latach osiemdziesiątych?

— Ja pierdolę. Kiedy powiedziała, że rozważała „zrobienie biustu”?

— O Boże. Padłam! — Sabrina trzęsie się ze śmiechu, a dźwięk jej wysokiego chichotu przywołuje falę ciepła w mojej klatce piersiowej.

A niech to. Naprawdę podoba mi się ta dziewczyna. Ona jest...

niesamowita. Wcale nie jest Królową Śniegu, za jaką uważa ją Dean, ani trochę. Jest mądra, zabawna, opiekuńcza i...

I może się w niej zakochuję.

Mój śmiech zamiera.

— Co się stało? — pyta Sabrina natychmiast.

— Nic — kłamię. Mogę wywinąć się taką odpowiedzią albo powiedzieć, o czym faktycznie myślę, ale jestem przekonany, że nie chciałyby tego usłyszeć.

Nawet nie chcę sobie wyobrazić, jaka byłaby jej odpowiedź, gdybym przyznał, że się w niej zakochuję. Pieprzyliśmy się ze sobą dwa razy i zaliczyliśmy jedną randkę. O wiele za wcześnie, by wyjeżdżać ze słowem na K w rozmowie.

— Na pewno? — wydaje się zaniepokojona. — Masz naprawdę głęboką zmarszczkę... tutaj. — Dwoma palcami wygładza moje czoło.

— Nie, wszystko gra. — Kręcę się w fotelu i przybliżam do niej. — Świetnie spędzam czas.

— Ja też. — Jej dolna warga wysuwa się trochę do przodu. Szkoda, że...

— Szkoda, że co?

Wzdycha.

— Szkoda, że nie możemy jechać do mnie, ale o czwartej muszę wstać do pracy. Nie za bardzo mogę zarwać tę noc.

— To samo. Mam trening o siódmej.

— Więc nici z seksu — mówi ponuro.

— Chyba że znów chcesz to zrobić w moim wozie.

W jej ciemnych oczach migocze zainteresowanie, zanim gasi je rezygnacja.

— Kuszące, ale dziwnie bym się czuła, uprawiając seks z Carin o trzy metry dalej.

— Jestem pewien, że Carin nie zwraca teraz na nas uwagi.

Sabrina potrząsa głową.

— Możesz mi wierzyć, że nie posiedzą tam długo. Ona ma surową zasadę: „żadnego seksu na pierwszej randce”. Fitzy zaliczy jedynie sesję z lizaniem — parska śmiechem — i opuchnięte jajka.

— A co ze mną? Moje jajka też mnie znienawidzą po powrocie do domu?

— Nie wiem. To ty mi powiedz. — Potem przechyla się przez konsolę i całuje mnie.

Jej język zaczyna uwodzić mój, posyłając strumień pożądania prosto w moje jajka. Jęczę na jej miękkich wargach.

— O tak — charczę. — Z całą pewnością dam dziś wycisk chłopakom.

— Oj. Biedne maleństwo — odpowiada szeptem, a potem kontynuuje tortury głodnymi pocałunkami i leniwym przeciągnięciem dłoni po moim kroczu.

Całujemy się przez jakiś czas, żadne z nas nie napiera, by posunąć się dalej. Ale i tak to seksowne jak cholera. Okna mojego wozu zaparowują, i gdy przychodzi czas rozstania, jestem twardy jak słupek bramki.

— Powinnam wracać do domu — mówi z żalem.

Kiwam głową, oferując drwiący uśmiech.

— Gramy w papier, kamień, nożyce, żeby ustalić, kto zapuka w ich okno?

Okazuje się, że to zbyteczne, ponieważ nagle rozlega się pukanie w moje okno. Opuszczam je, by zobaczyć zarumienioną twarz Carin zerkającą na mnie. Jej usta są opuchnięte, a włosy to plątanina rudych loków.

— Przepraszam — mówi, wzruszając ze zmieszaniem ramionami. — Ale S powiedziała, że musi wyjść przed 22.30. I tak już po czasie.

Bardzo, bardzo niechętnie, wysiadam z pikapa i spieszę do drzwi Sabriny, by je dla niej otworzyć. Jej twarz tak jak i moja wyraża rozczarowanie.

Fitzy z wytarמושoną czupryną opiera się z boku mojego samochodu,

a Carin daje mu klapsa w tyłek, gdy wraca do swojego auta.

— Znów to zrobimy? — pytam szeptem Sabrinę.

— Nagie malowanki? Nie wiem. Chyba raz mi wystarczy.

— Kolejna randka — prostuję pytanie. — Zadzwonisz do mnie, kiedy będziesz miała trochę wolnego czasu?

W połowie jestem przygotowany na kłótnię, ale ona po prostu unosi się na palcach, całuje mnie w usta i odchyła się, by powiedzieć:

— Oczywiście.

Rozdział 15

Tucker

Grudzień

Ja: *Tęsknię za tobą*

Ona: *Ja za tobą też*

Ja: *Jakaś szansa, że możemy to zmienić przez spotkanie? Przyprowadzę mojego penisa...*

Ona: *Ha, ha, ha. To się rozumie samo przez się, co nie? Ty + on zawsze w pakiecie.*

Ja: *Pakiet to właściwe słowo. Naprawdę duży pakiet ;)*

Okej, może i przesadzam, ale jasna cholera, tęsknię za tą dziewczyną. Nie widziałem jej cały tydzień, co jest o jakieś, och, siedem dni za dużo. Od chwili naszej podwójnej randki w zeszłym miesiącu postaraliśmy się spotkać przynajmniej dwa czy trzy razy w tygodniu. Z naszymi napiętymi grafikami to cud, że znaleźliśmy czas i udało nam się pogodzić plany.

Przez ostatnie dwa tygodnie oboje byliśmy bardzo zajęci nauką. Ja miałem kilka okrutnych treningów i meczów, a potem nadeszło Święto Dziękczynienia, które już wcześniej zobowiązałem się spędzić z Hollisem i jego rodziną. Kusilo mnie, żeby się wywinąć i spotkać z Sabriną, ale ona pracowała i przyznała, że wolała, żebym nie kręcił się po striptizerskim klubie, gdy obsługuje stoliki. Wygląda na to, że Boots & Chutes robi za główny park rozrywki podczas świąt.

Tak bardzo pragnę ją zobaczyć, że czytając kolejną wiadomość od niej,

przybijam sobie w myślach piątkę.

Ona: *Co byś powiedział na przejażdżkę do Bostonu? Ślęcę nad pracą z prawa konst., ale mogę sobie zrobić kilka przerw, jeśli będziesz chciał mi towarzyszyć.*

Nawet się nie waham.

Ja: *Wsiadam do samochodu.*

Zdążyłem już wcześniej wziąć prysznic i przebrać się w nadziei, że może uda nam się spotkać wieczorem. Pospiesznie zbiegam po schodach, licząc na to, że wymknę się z domu niezauważony.

— Tuck, chodź tu! Potrzebujemy opinii dorosłego człowieka.

Kurde. A było tak blisko.

Podążam za głosem Garretta do dużego pokoju, gdzie znajduję go z Hannah na fotelu. Ona siedzi na jego kolanach, on obejmuje ją rękoma i wyglądają na tak szczęśliwych, że czuję ukłucie zazdrości. Ale nie są sami. Logan, Fitzy i kumpel Logana, Morris, siedzą na kanapie ze sterownikami gier wideo w dłoniach. Na płaskim ekranie widzę strzelarkę, w którą grają, zatrzymaną na pauzie.

— Co tam? — próbuję ukryć zniecierpliwienie. — Wychodzę.

Logan wygina brew na kanapie.

— Ostatnio coś często wychodzisz.

Wzruszam ramionami.

— Miejsca do zobaczenia, ludzie do spotkania.

— A czy kiedykolwiek dowiemy się, jak ona ma na imię? — pyta Hannah radosnym głosem.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — odpowiadam niewinnie.

Garrett macha dłonią.

— Nie obchodzi mnie teraz tajemnicza dziewczyna Tucka. Potrzebuję wsparcia — tu i teraz.

Uśmiecham się szeroko.

— Wsparcia w czym?

— W temacie Deana i Allie.

Ech. Zastanawiałem się, kiedy odbędziemy tę naradę plemienną. Po powrocie do chaty z wypadów na Święto Dziękczynienia odkryliśmy, że Dean i Allie oficjalnie są parą.

Wcale mnie to nie zdziwiło, ponieważ podejrzewałem wcześniej, że się spotykali, ale jestem nieco zaszokowany, że faktycznie ze sobą chodzą. Dean nie miał stałej dziewczyny, odkąd go znam.

— Okazuje się, że jestem jedynym człowiekiem, który uważa, że to najbardziej pojebany pomysł od czasów koni — obwieszcza z irytacją Garrett.

— Koni? — Logan i Fitzy powtarzają echem równocześnie.

— Koni? W sensie ogólnym? — pyta zdezorientowany Morris.

— W sensie oswojenia ich — zrzędzi. — To dzikie zwierzęta. Koniec pieśni.

— Kochanie — wtrąca się Hannah — czy twierdzisz tak tylko dlatego, że boisz się koni?

Jego szczęka opada.

— Wcale nie boję się koni.

Ona ignoruje jego zaprzeczenie.

— O mój Boże, wszystko mi się teraz układa w całość. To dlatego nie chciałeś jechać na jarmark z okazji Święta Dziękczynienia do Philly. — Spogląda na nas wszystkich. — Moja ciocia i wujek chcieli nas zabrać na festyn z tymi wszystkimi fajnymi straganami i zwierzątkami do głaskania... I jazdą konną. Garrett powiedział, że boli go brzuch.

Wszyscy widzimy, jak Garrett zaciska zęby.

— Naprawdę bolał mnie brzuch. Zjadłem za dużo cholernego indyka,

Wellsy. W każdym razie cały ten pomysł mi się nie podoba. Będę miał przerąbane, kiedy zerwą.

— Może nie zerwą — zauważa Wellsy.

Marszczę brwi.

— I jak to w ogóle dotknie ciebie?

Ponieważ nie ogarniam jego logiki, Garrett wyjaśnia mi drukowanymi literami.

— Strony, brachu. Ludzie zrywają, ich przyjaciele opowiadają się po stronach. Dean jest moim kumplem, więc oczywiście kodeks braterski mówi, że muszę stanąć po jego stronie. Ale ta tu — celuje w Hannah kciukiem — jest moją dziewczyną. Dziewczyny przebijają kumpli. Wellsy opowie się po stronie Allie, a ja muszę opowiedzieć się po stronie Wellsy, vis-à-vis, wychodzi na to, że staję po stronie Allie.

— Wydaje mi się, że nie używasz vis-à-vis prawidłowo — wyskakuje Morris.

— Myślę, że chodziło ci o wyrażenie „dlatego więc”. — Usta Logana drżą jak szalone.

— Nie oczekiwałabym, byś stanął po stronie Allie ze względu na mnie — protestuje Hannah. — Zresztą strasznie jesteś upierdliwy w tym temacie. Jesteśmy dorośli. Jeśli nawet oni ze sobą zerwą, wciąż będziemy w stanie koegzystować w pokoju.

— Ross i Rachel koegzystowali — zgadza się Logan.

Fitzy parska śmiechem.

Garrett jest zbyt zajęty mrożeniem wzrokiem Hannah.

— Nie wierzę, że tak po prostu odpuszczasz temat. To twoja najlepsza przyjaciółka. A on to wszystko rozwali — wiesz o tym.

Jego dziewczyna wzrusza ramionami.

— Jedyne, co wiem, to, to że Allie jest szczęśliwa. A jeśli Allie jest

szczęśliwa, to ja też jestem szczęśliwa.

— Tuck? — Garrett wywołuje mnie do odpowiedzi.

Waham się. Z jednej strony wydaje się, że Dean jest szczerze zainteresowany Allie, tak przynajmniej wnioskuję na podstawie tych kilku interakcji między nimi, których byłem świadkiem. Z drugiej strony ten facet niczego nie traktuje poważnie. Allie to miła dziewczyna. Nie chcę widzieć, że cierpi.

Tak czy siak, to nie moja sprawa.

— Wellsy ma rację. Są dorośli. Jeśli chcą być razem, to co to kogo obchodzi?

Garrett patrzy na mnie wilkiem.

— Zdrajca.

— Stary, ta dziewczyna go wczoraj znokautowała — mówi Logan z uśmiechem. — Wiesz, jakie rozdmuchane jest jego ego. Jeśli dało radę wytrzymać takie uderzenie i on nadal chce z nią być, to sprawa jest poważna.

Wbrew sobie zaczynam się śmiać. Kurwa. Szkoda, że inni nie widzieli całego tego zamieszania. Po meczu wyjazdowym do Scranton Dean i ja wróciliśmy do chaty tonącej w ciemnościach. Allie i siostra Deana oglądały horror. Jak wchodziliśmy do środka, dziewczyny spanikowały i Allie przypadkowo znokautowała Deana, waląc w niego przyciskiem do papieru. Mam teraz wystarczającą ilość amunicji, by torturować go do końca życia.

— O, a właśnie, skoro mowa o wczorajszym wieczorze — mówi Hannah. — Czy siostra Deana dotarła cało do Brown? Tak żałuję, że jej nie poznałam.

— Uwierz mi — Fitzy mamrocze z kanapy. — Masz szczęście, że cię to ominęło.

Logan chichocze.

— Ty biedaczku — seksowna blondyna rzuciła się na ciebie. Jak śmiała! Fitzy czerwienieje.

— Chciała zobaczyć mojego kutasa!

— A to problem, ponieważ...?

Morris i Garrett pękają ze śmiechu, a Fitzy tylko wzrusza ramionami.

— Agresywne laski mnie nie kręcą. Wolę posuwać się z własną prędkością, tak?

Kusi mnie, by powiedzieć, że to gówno prawda, bo z całą pewnością nie miał nic przeciwko, gdy Carin zaciągnęła go do swojego samochodu. Ale Fitzy i ja nie rozmawialiśmy o tamtym wieczorze, więc siedzę cicho. Jeśli wspomnę o podwójnej randce, wszyscy będą się domagać, bym zdradził, z kim na niej byłem.

Ostatnim razem, gdy się spotkaliśmy, Sabrina drwiła ze mnie, że nie opowiadam ludziom o nas, bo się jej wstydzę. Wcale nie o to chodzi. Moi przyjaciele mają zły nawyk wścibiania nosów w życie miłosne innych. Dobry przykład — obsesja Garretta na temat Deana i Allie. Dlatego wolałbym, żeby mój związek z Sabriną nie był roztrząsany przez wszystkich, bo przecież to nadal taka świeżynka.

Wiem, że w głębi serca Sabrina czuje ulgę, że utrzymujemy wszystko w sekrecie. Gdy raz użyłem słowa „związek”, by nas opisać, od razu się spięła i zaczęła się dziwnie zachowywać.

— Dobra, muszę spadać — obwieszczam. — Jakież inne dorosłe tematy, które musimy omówić, czy mogę odmaszerować?

— Odmaszerować — gdera Garrett, strzelając do mnie z pistoletu z dłoni.
— I tak w niczym nie pomogłeś.

Sabrina

Język Tuckera ląduje w moich ustach, zanim w ogóle zdążę zamknąć drzwi wejściowe. Pomimo pulsujących fal pożądania, zmuszam się, by

przerwać ten pocałunek. Nana jest w kuchni i wcale mi nie zależy, żeby tu wparowała i stała się naocznym świadkiem naszych przytulank.

— Babcia jest w domu — mówię szeptem.

Spodziewam się rozczarowania, ale on po prostu kiwa głową.

— Fajnie. Chcesz mnie przedstawić?

Jedna rzecz, której nauczyłam się z randek z Tuckerem w zeszłym miesiącu, jest ta, to że tego faceta absolutnie nic nie zbija z tropu. Przyjmuje wszystko ze stoickim spokojem, dopasowując się i adaptując do zaistniałej sytuacji. Nie wiem, jak wygląda, kiedy jest rozzłoszczony.

— Jedno ostrzeżenie: Nana... lubi mówić otwarcie. — To mój taktowny zamiennik określenia na „bezczelna suka”. Kierujemy się do kuchni, a ja modłę się, by babcia nie zachowała się jak idiotka.

Nana siedzi przy stole, gdy wchodzimy do kuchni, i przegląda numer „US Weekly”.

— Ray znów zapomniał kluczy? — pyta, nie podnosząc wzroku.

— Eee. Nie. — Przesuwam się niezręcznie. — Nano, to jest Tucker.

Jej głowa szybuje w górę. Zainteresowanie natychmiast wypełnia jej spojrzenie. Lustruje Tuckera od stóp do głów, tak rażąco bezceremonialna w tej wzrokowej uczcie, że czuję wykwit rumieńca na policzkach.

— Nano — besztam ją. Otrząsa się.

— Bardzo miło mi ciebie poznać, Tucker. — Podkreśla słowo „bardzo”.

Świetnie. Moja babcia przystawia się do mojego... no właśnie, sama nie jestem pewna, kim on jest. Ale mimo wszystko uwodzicielski ton Nany nie jest fajny.

— Jestem Joy, babcia Sabriny.

— Miło mi panią poznać. — Wyciąga dłoń na przywitanie, a ona przytrzymuje ją odrobinę za długo. Wystarczająco długo, że gdy robi krok w tył, na jego twarzy maluje się speszenie.

— Sabrina nie wspominała, że ma chłopaka.

— Jesteśmy przyjaciółmi — odpowiadam.

Ramiona Tuckera napinają się.

O kurde. Nie chciałam zranić jego uczuć. Po prostu nie chcę, by Nana zaczęła węszyć wokół tematu i wypytywać o datę ślubu czy inne bzdety.

— Myślałam, że nie miałaś czasu na przyjaciół. — Unosi szyderczo brew. Zgrzytam zębami.

— Mam czas na przyjaciół. Wychodzę z Hope i Carin, prawda?

Zamiast mi odpowiedzieć, zwraca się do Tuckera.

— Co więc przyjaciele planują na dzisiejszy wieczór?

Odpowiadam, zanim on zdąży otworzyć buzię.

— Posiedzimy trochę w moim pokoju. Może obejrzymy film czy coś.

Znaczący uśmiezek wygina jej wargi.

— No dobrze. Ale postarajcie się zachować umiarkowaną głośność, hmmm?

I wszyscy wiemy, że nie chodzi jej o głośność w telewizorze.

Z palącymi policzkami wyciągam Tuckera z kuchni.

— Przepraszam — mówię na korytarzu. — Babcia potrafi zachować się niestosownie.

Jego spokojny wzrok odnajduje mój.

— Co jest niestosownego w jej pytaniu, kim dla siebie jesteśmy?

Uciekam wzrokiem. I tu mnie ma.

Prawda jest taka, że nie chcę, by Nana zadawała jakiegokolwiek pytania, bo nie mam na nie odpowiedzi. Nie wiem, kim jesteśmy dla siebie. Jedyne co wiem, to że tęsknię za nim, gdy nie ma go w pobliżu. Że za każdym razem, gdy w telefonie wyskakuje wiadomość od niego, moje serce wyrywa się w górę jak cały pęk balonów napęcznionych helem. Że kiedy patrzy na mnie tymi brązowymi oczyma spod ciężko opadających powiek, zapominam, jak

mam na imię.

Idziemy do mojej sypialni, gdzie on siada na krawędzi łóżka, podczas gdy ja zamykam drzwi na klucz. Mija kilka sekund. Potem on klepie się po kolanach i mówi:

— Chodź tu, moja droga.

Natychmiast ląduję na nim, nogi oplatom wokół jego talii, a palce nurkują w jego włosach.

— Naprawdę tęskniłam za tobą — szepczę, przyciskając usta do jego ust.

Całowanie Tuckera jest jak zanurzanie się w gorącej wannie. Sprawia, że mrowi mnie cała skóra, a kończyny zmieniają się w galaretkę, otaczając mnie kokonem ciepła, z którego nie chcę wyjść. Jego język ciągnie się po mojej dolnej wardze, następnie wsuwa się z namysłem w rozchylone usta. Ciepłe dłonie pewnie wślizgują się pod moją koszulkę bez rękawków i głaszczą nagie biodra.

Zanim się spostrzegam, leżymy splątani na moim łóżku i zrywamy z siebie ubrania, podczas gdy nasze usta nie odrywają się od siebie. Kiedy już jesteśmy nadszy, moje ciało napina się, gorąco pragnie uwolnienia. Tucker jest równie mocno rozgorączkowany. Nie ma żadnej gry wstępnej, żadnych słów. Chwytam za prezerwatywę leżącą na nocnym stoliku, rzucam mu ją, a on nakłada ją bez chwili zwłoki.

To najcichszy seks, jaki dotąd zaliczyliśmy. Musi taki być, bo Nana siedzi na końcu korytarza. A w tym bezgłośnym pieprzeniu się jest coś niezwykle ekscytującego i świńskiego. Tucker wypełnia mnie całkowicie, wsuwając się i wysuwając z mojego pulsującego centrum w powolnym, słodkim tempie, które doprowadza mnie do szaleństwa.

— Zaraz wytrysnę — szepcze mi do ucha.

Otwieram oczy i widzę, że jego przystojne rysy są mocno napięte, zęby wbił w dolną wargę, próbując zachować ciszę.

Ten cudowny widok doprowadza do rozpadu budujące się we mnie napięcia. Orgazm wybija się na powierzchnię, a ja sapię i wpijam się w jego szerokie ramiona i trzymam go w ciasnym objęciu, gdy drży na mnie.

Po wszystkim obraca się i przyciąga mnie do siebie. Jego palce bawią się moimi włosami, a ja obejmuję go jedną nogą. Leżymy tak przytuleni bez słowa przez jakiś czas, aż w końcu Tuck przerywa ciszę, opowiadając mi, co ostatnio porabiał. Piszemy do siebie regularnie, więc znam większość historii, ale głos tego faceta jest tak seksowny, że mógłby recytować kartę menu, a ja i tak siedziałabym zasłuchana, byleby tylko ten południowy akcent i przeciąganie samogłosek wypełniały mi uszy.

Dławię dłonią chichot podczas relacji, jak dziewczyna Deana (ktoś to rozumie?) zwała go z nóg przyciskiem do papieru wczoraj wieczorem. Całuję jego ramię, gdy wyznaje, jak bardzo nie może się doczekać spotkania z mamą na zbliżające się święta. A potem przyznaję się, jak bardzo stresują mnie zaliczenia na semestr, a on głaszcze moje plecy i zapewnia, że pójdzie mi świetnie.

W końcu narzucamy na siebie ubrania i nastawiamy film, ale ogląda tylko on. Ja otwieram podręcznik i zaczynam podkreślać fragmenty, do których chcę się odnieść w pracy. Tuck chichocze cicho do sprośnej komedii na małym telewizorze przymocowanym do mojej ściany.

Co jakiś czas pochyla się do przodu i całuje moje skronie, pociera policzek, szczypie mój sutek.

Co jakiś czas ja się pochylam i ssę jego szyję, głaszczę brodę, szczypię go w tyłek.

To najbardziej idealny wieczór, jaki mogłabym sobie wyobrazić. A w tyle głowy słyszę nieustanny, cichy szept: *Mogłabym się do tego przyzwyczać...*

Rozdział 16

Tucker

Wychodzę z samolotu w Dallas, a mama czeka na mnie u podnóża ruchomych schodów z trzema balonami. Człowiek pomyślałby, że wracam do domu z pola bitwy, a nie wypasionego uniwersytetu na Wschodnim Wybrzeżu.

— Proszę, proszę. Popatrz tylko na siebie! — krzyczy.

Unoszę ją i okręcam dookoła, a potem znów stawiam na nogi. Pochyla się. Znajomy zapach lakieru do włosów i amoniaku unosi się w powietrzu.

— A na co tu patrzeć? — żartuję.

Częstuje mnie cklwym, mamusynym uśmiechem, a potem owija jedno szczupłe ramię dookoła mojej talii i ściska mnie.

— Jaki jesteś przystojny. Wyglądasz wspaniale.

Wzruszam ramionami, gdy posuwamy się w kierunku wyjścia.

— Czuję się nieźle.

— Dzięki Bogu. Myślałam, że będziesz przybity waszymi wynikami w tym sezonie. — Nasze mecze nie są za często pokazywane w telewizji, ale mama na bieżąco śledzi wyniki w Internecie.

— To z tej okazji te balony?

— Myślałeś, że balony są dla ciebie? A wcale nie.

— To dlatego na tym srebrnym jest napis „Witaj w domu, synu”?

— Ten był na wyprzedaży. Kupiłabym „Jestem najlepszą mamą na świecie”, ale kosztował pięć dolarów więcej.

— O, patriarchat rujnuje nawet wyprzedaże balonów?

Wpychając mi w dłonie powiązane wstążki, śmieje się.

— Świat jest okropny, dlatego potrzeba nam balonów.

— Coś mi tu podejrzenie pachnie, jak numer z różowym fartuchem — mówię w udawanym proteście, ale biorę balony i pochylam się, by zostawić buziaka na czubku jej głowy. Podobnie jak różowy fartuch, który dostałem od współlokatorów, dzierżenie w dłoni kilku balonów w drodze przez lotnisko nie zaszkodzi mojemu *ego*.

— Na twoim miejscu obdarowałabym ich wszystkich czymś różowym.

Zastanawiam się nad różowym penisem, ulubioną zabawką Deana w kąpieli.

— To wcale nie jest zły pomysł. Muszę kupić parę prezentów, zanim wrócę. Postaram się, by wszystko było albo różowe, albo brokatowe. Albo i takie, i takie, jeśli to możliwe. — Garrett i Logan umrą ze śmiechu na myśl o podarowaniu Deanowi różowego, brokatowego penisa. Odnotowuję w myślach, by napisać później do chłopaków.

— Nie odprawiłeś bagażu? — pyta, gdy mijamy taśmę z walizkami.

— Nie, proszę pani. — Nie muszę patrzeć na jej twarz, żeby wiedzieć, iż jest rozczarowana. — Wiesz, że mam obowiązek wrócić na trening. Mimo że kiepsko nam idzie w tym sezonie, nadal muszę trenować na sto procent. To cena za moje stypendium.

Napięty grafik podczas świąt od zawsze stanowił źródło rozgoryczenia dla mojej mamy, która całą sobą angażuje się w przygotowanie świąt. Żyje dla Bożego Narodzenia i dlatego właśnie odbywam podróż do domu, mimo że wielu chłopaków zostało w Briar.

— Myślałam, że może skoro to twój ostatni rok i nie szło wam za dobrze, pozwolą ci spędzić całą przerwę ze mną.

— To tak nie działa. Poza tym już wkrótce będę się tobie plątał pod nogami przez cały czas i będziesz mnie błagała, żebym wyjechał —

ostrzegam ją.

Wypowiadam te słowa, ale moje myśli szybują ku Sabrinie. Ona zostanie w Bostonie przez następne trzy lata. Zastanawiam się, jak to ogarniemy.

Zastanawiam się, czy ona w ogóle chce, żebyśmy to ogarnęli.

Byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy spiknęli się w zeszłym roku. Albo kurde, chociaż w ostatnim semestrze, a tymczasem zostaje nam zaledwie kilka miesięcy na dzielenie tego samego kodu. Nie bardzo jestem gotów, szczególnie z mamą u boku, zgłębiać powody, dlaczego ta zbliżająca się rozłąka cholernie mi doskwiera.

Zwalczam potrzebę wdrapania się do samolotu i powrotu do Bostonu. Będę się musiał zadowolić pisaniem esemesów, telefonami i może, jeśli mi się poszczęści, krótką wideorozmową. Chciałbym zobaczyć, jak się zabawia swoją zabawką, kiedy nie ma mnie w pobliżu.

Prawie wpadam na SUV-a mamy pogrążony w myślach o Sabrinie i jej wibratorze. Odchrząkuję.

— Mogę prowadzić?

Rzuca mi kluczyki.

— Nigdy w życiu nie narzekałabym, że mi się płączesz pod nogami. Wiesz, że bardzo chcę, żebyś wrócił i zamieszkał ze mną.

— O tym to akurat zapomnij. Żadna kobieta na świecie nie chce się umawiać z facetem, który mieszka z własną matką — mówię, przytrzymując dla niej drzwi.

Wsiada ze zmarszczonym czołem.

— A co jest nie tak w mieszkaniu z własną matką?

— Wszystko i dobrze o tym wiesz. — Potem pochylam się i zostawiam kolejnego buziaka na jej czole, by zatrzeć uszczypliwość.

Podczas czterogodzinnej jazdy z Dallas mama streszcza mi wszystkie lokalne plotki z Patterson.

— Córka Marii Solis wróciła do domu z Uniwersytetu Tekszańskiego. Do fryzjera jeździ teraz do Austin, ale nadal zachowuje najlepsze maniery. Wpadła któregoś dnia, by się przywitać.

Kiwam nieobecnie głową, zastanawiając się, czy gdybym zaprosił Sabrinę na święta, to zgodziłaby się przyjechać tu ze mną? Doszedłem do wniosku, że zaproszenie nie byłoby mile widziane — nie tylko dlatego, że uznałaby to za znak, że posuwamy się za szybko, ale ponieważ musi pracować. Przed moim wyjazdem nie posiadała się ze szczęścia, że stawka, którą dostanie, będzie półtora razy większa.

— Powinieneś się z nią umówić. — Głos mamy przenika ponownie moje rozmyślenia.

— Z kim? — pytam.

— Z córką Marii Solis — odpowiada zniecierpliwiona.

Odwracam wzrok od drogi, by spojrzeć na nią z niedowierzaniem.

— Chcesz, żebym umówił się na randkę z Danielą Solis?

— A czemu nie? Jest piękna i mądra. — Mama opiera plecy i krzyżuje ramiona.

— A do tego jest homo.

Otwiera szeroko buzię.

— Dani Solis jest homo?

— Odpowiednie określenie to lesbijka, jak mi się wydaje — mówię, przypominając sobie zajęcia z odmienności płci.

— O nie — protestuje mama. — Jest o niebo za piękna.

— Mamo, piękne kobiety mogą być lesbijkami.

— Jesteś pewien? Może jest bi. Wiem, mówi się, że na uniwersytetach dzieciaki lubią eksperymentować.

— Na bal przyszła z Cassie Carter! Czesłaś je zresztą obie.

— Myślałam, że były przyjaciółkami.

— Oficjalnie pojawiły się jako przyjaciółki, ponieważ organizatorzy balu nie zgodziliby się, żeby przyszły jako para.

Małe miasteczko w zachodnim Teksasie, w którym dorastałem, jest nieco konserwatywne. Dani i Cassie były przyjaciółkami — całowały się i obmacywały na korytarzu. I doprowadzały każdego nastolatka w zasięgu wzroku do czystego szaleństwa. Spędziłem wiele młodzięcych nocy, fantazjując o tym, co te dwie dziewczyny robiły na osobności. To było prawdopodobnie niestosowne, ale większość moich myśli od dziesiątego do siedemnastego roku życia kwalifikowała się do kategorii „niestosowne”.

Mama zapada się w fotelu. Najwyraźniej opracowała misterny plan w swojej głowie, jak sparować mnie z Dani.

— Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że poznałem dziewczynę? — mówię wolno, decydując, że lepiej wyłożę karty teraz, nim zaczniesz parować mnie z każdą dziewczyną do wzięcia w Patterson.

— Och? — Jej głos jest ostrożny. — Myślałam, że to nic poważnego?

— Teraz już jest. Słuchaj, lubię ją. Ma idealne stopnie, pracuje na dwa etaty i właśnie dostała się na studia prawnicze na Harvardzie.

— Harvard? Czy to nie w Bostonie?

Słysząc zmartwienie w jej głosie. Rozumiem. Martwi się, że jeśli zabujam się w dziewczynie z Bostonu, nie przeprowadzę się z powrotem do domu i dlatego wyskoczyła z tą Dani Solis, zanim w ogóle dojechaliśmy na miejsce.

— Tak. Cambridge. — Nie mogę jej nawet uspokoić w żaden sposób, bo na tym etapie sam nie mam pojęcia, co zrobię w kwestii Bostonu, Patterson czy innego miejsca. Jedyne, czego jestem pewien, jest to, że chcę być z Sabriną.

— Ile trwają studia prawnicze?

— Trzy lata. — Czyli o wiele za długo na rozłąkę.

— Ale twój plan wciąż zakłada powrót do domu i kupno biznesu, tak? Rozmawiałam ze Stewartem Randolphem któregoś dnia. Pamiętasz go? Prowadzi firmę z nieruchomościami w Pleasant. Myśli o przejściu na emeryturę, a jego syn nie chce się przeprowadzić z Austin. Wygląda na to, że Randy byłby zainteresowany rozważeniem ofert.

Zaciskam mocniej dłonie na kierownicy. Sabrina zapytała mnie, czy cokolwiek wyprowadzało mnie z równowagi. Cóż, unieszczęśliwianie mojej mamy jest na szczycie listy. Ale pomysł odkupienia od Stewarta Randolpha firmy zajmującej się handlem nieruchomościami może zająć drugie miejsce. W zasadzie wizja siedzenia w biurze Randolpha i noszenia krawata każdego dnia sprawia, że zaczyna mnie swędzieć skóra. Mam kilka pomysłów na życie po skończeniu studiów, ale zostanie agentem nieruchomości z całą pewnością nie jest jednym z nich, szczególnie w Patterson, gdzie populacja wynosi dziesięć tysięcy.

— Porozmawiam z nim — słyszę swój głos.

— To dobrze. — Przynajmniej ktoś jest zadowolony. — Och, i przy okazji. Solisowie przychodzą dziś na kolację.

— Jezu Chryste, mamó.

— Nie przeklinaj, John.

Wciągam głęboki wdech i modlę się o cierpliwość, zastanawiając się jednocześnie, kiedy będę mógł napisać do Sabriny.

*

— Moja mama oficjalnie nazwała ciebie „dobrą partią”. — Dani siada koło mnie na stopniach z tyłu małego dwupiętrowego domu, w którym mieszkałem całe życie.

Stukam kieliszkiem sangrii o jej kieliszek.

— Świetnie. Zamieszczę tę opinię na moim profilu na Tinderze.

— Mówi też, że ukrywasz pewną sumkę, którą mnie obsypiesz, gdy urodzę ci pożądanego pierworodnego. — Uśmiech Dani rozciąga się od ucha do ucha. Bez dwóch zdań świetnie się bawi.

— Mama powiedziała mi, że jesteś piękna i mądra. — Dławię westchnienie, myśląc o innej pięknej i mądrej dziewczynie, z którą nie miałem kontaktu od chwili, gdy wysłałem jej: *Wylądowałem* ileś godzin temu.

Odpowiedź: *Dobrze wiedzieć* nie zapewnia mi niezbędnej dziennej dawki Sabriny. Przypuszczam, że rozłąka naprawdę sprawia, że kocha się mocniej, bo tęsknię za nią nieprzeciętnie.

— A co ty na to?

Kieruję uwagę z powrotem na moją przyjaciółkę.

— Że uważam, że jesteś lesbijką, a mama stwierdziła, że może raczej bi.

Dani wybucha. Zgina się w pół i śmieje tak mocno, że sangria wylewa się z jej kieliszka.

Odbieram kieliszek z jej dłoni, by uniknąć prysznicą z drinka, i odstawiam go na bok. Zabiera to chwilę. Wreszcie Dani zbiera się do kupy, a ja tymczasem kończę swojego drinka, a potem opróżniam jej kieliszek.

— Tuck, przepraszam — sapie, wycierając umoczoną w winie dłoń o twarz. — Ale mama Tuckera mająca nadzieję, że jestem biseksualna, by mogła nas wyswatać, po prostu mnie rozwaliła.

— Dobrze, że nie mam wątpliwości co do swojej atrakcyjności — mówię oschle. — Albo od tego całego rehotu zwiędłyby mi jajka.

Dani natychmiast trzeźwieje.

— O kurde, obraziłam ciebie? Czy ty... czujesz coś do mnie?

— Nie i nie mówię, że nie jesteś laską, bo jesteś, ale wiem, że jeszcze w liceum obrałaś inną drogę.

— No, wiedziałam od zawsze. — Przygryza wargę. — Twoja mama się zdenerwowała?

— Nie przestała cię lubić, jeśli o to pytasz. Jest tylko rozczarowana.

Dani kiwa głową z namysłem.

— Patterson to takie zacofane miasteczko, wiesz? Mogę tu wpadać z wizytą, ale nigdy nie mogłabym tu zamieszkać. — Podkreśla swoją deklarację wzdrygnięciem z obrzydzenia. — Dziwię się, że ty myślisz o powrocie.

— Dlaczego?

— Tuck, grasz w hokeja. — Ostatnie słowo wymawia, jakby miało jakieś dodatkowe znaczenie, ale ja jestem głupi, więc muszę zapytać o wyjaśnienie.

— W Dallas mają drużynę hokejową — przypominam jej. — Ten sport nie jest tu aż taką rzadkością.

— Właśnie, że jest. To futbolowy stan, ale nie, ty, chłopak z Teksasu, uwielbiasz lód i zimno. Dziwię się, że nie zostajesz w Bostonie.

Wysuwam nogi do przodu i spoglądam na ciemniejące niebo. Patterson to jedno z tych miasteczek z minionej epoki — kiedyś było samowystarczalne, ale niemal wszystkie małe lokalne interesy zostały wyparte przez regionalne markety, które oferowały niższe ceny i większy wybór. Większość mieszkańców albo uprawia ziemię, albo pracuje na traktorach dwa miasteczka dalej. Myślałem o pozostaniu w Bostonie, ale za każdym razem, gdy napomykałem o tym mamie przez ostatnie cztery lata, odrzucała ten pomysł.

— Moja mama kocha to miejsce. Ten dom tata kupił po ich ślubie. — Klepię stopnie. — Nie chcę go zostawić.

— Nie poznałeś nikogo w Briar? Spędziłeś tam cztery lata i po prostu wracasz do domu, by się tu osiedlić i zostać agentem nieruchomości numer jeden w Patterson? — Unosi palec wskazujący i obniża tembr głosu.

Muszę przyznać, że nie brzmi to dobrze.

— Ty też wiesz o tych planach?

— Tak, stanowiły jeden z chwytów marketingowych. Wraz z twoim zacnym kontem bankowym byłbyś w stanie zapewnić mi luksus do końca naszego życia, sprzedając tu domy. Dobra wiadomość dla twojej mamy jest taka, że każda dziewczyna w Patterson da sobie obciąć cycki, by zostać kobietą Johna Tuckera.

Istnieje tylko jedna dziewczyna, której chcę przykleić tę etykietę, ale nie mam całkowitej pewności, że ona też tego pragnie.

— Mam dziewczynę w Briar — wyznaję. Mówienie o Sabrinie sprawia, że czuję ją choć trochę bliżej. Chyba stałem się sentymentalny. Ale wydaje mi się, że w ogóle się tym nie przejmuję, bo wyciągam telefon. — Chcesz zobaczyć?

Dani skwapliwie kiwa głową.

Przytrzymuję kciukiem zdjęcie, które zrobiłem Sabrinie w pubie. Wybraliśmy się tam na kolację podczas mojej ostatniej wizyty w mieście. Jej ciemne włosy są rozpuszczone i opadają kaskadami na ramiona, a oczy błyszczą figlarnie, bo właśnie dała mi klapsa w tyłek.

— Boże, obłędna! — Dani chwyta mój telefon, by powiększyć zdjęcie, najpierw twarz Sabriny, a potem resztę ciała. — Jesteś pewien, że nie jest bi? Bo to przestępstwo, że musi cierpieć przez całe życie z mężczyzną.

— Hej, świetnie władam językiem.

Dani rzuca mi nieco pogardliwe spojrzenie.

— Żaden mężczyzna nie jest tak dobry w oralu, jak lesbijka. To udowodnione naukowo.

— Serio? To podziel się swoimi sekretami, Solis. To nie dla mnie, tylko dla biednej Sabriny.

Na ustach Dani wykwita seksowny uśmiech.

— A wiesz co? Właśnie to zrobię.

A następnie przystępuje do udzielenia mi bardzo obrazowej lekcji, na czym polega dobry oral.

Rozdział 17

Sabrina

Wpadłem na kumpelę z liceum. Jest l. Powiedziała, że żaden facet nie jest w stanie dać lasce tego, co potrafi kobieta. Upiłem ją sangrią i zmusiłem do wyjawienia sekretów. Przygotuj się. Przepadniesz.

Wiadomość Tuckera wyskakuje podczas mojej przerwy w klubie. Ściągam szpilki na piętnastocentymetrowym obcasie i wystukuję odpowiedź:

Obiecanki cacanki.

Gdy nie nadchodzi natychmiastowa odpowiedź, odkładam telefon i próbuję nie być rozczarowana. Pewnie jest zajęty mamą i starymi przyjaciółmi.

Kamień, który usadowił się w moim żołądku zaraz po wyjeździe Tuckera, trochę się dziś powiększył. Tęsknię za nim. I jeśli mam być szczerą sama ze sobą, myślę, że się w nim zakochuję. John Tucker zgrabnie wślizgnął się w moje życie, wypełniając przestrzenie, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Nie odciąga mojej uwagi tak, jak się spodziewałam. Kiedy potrzebuję ciszy, daje mi ją. Kiedy potrzebuję zabawy, pojawia się z gotowym uśmiechem. A gdy w potrzebie jest moje ciało, nie ma problemu z pieprzeniem mnie tak długo, aż staję się bezkształtną masą. Lubi być ze mną. A ja lubię być z nim.

Ściskam kark. Czy już weszłam w to za głęboko? Powinam się teraz ewakuować? Mogę kontynuować tę znajomość bez obaw, że jedno z nas będzie cierpieć?

Tucker słusznie odgadł, że zaplanowałam sobie całe życie. Najpierw cztery lata na uniwersytecie, następnie studia prawnicze, po których miały przyjść dobrze płatne praktyki letnie, czyli wstęp do idealnej pracy w jednej z czołowych kancelarii prawnych. Na koniec emerytura w jakimś słonecznym miejscu, gdzieś na plaży... ten plan nigdy nie uwzględniał mężczyzny. Nie wiem dlaczego. Po prostu nie.

Mężczyźni są dla... seksu. A to łatwo dostać i łatwo odpuścić. Albo przynajmniej było łatwo odpuścić. Teraz już nie za bardzo, ponieważ myśl, że miałabym się obejść bez Tuckera, sprawia, że kamień w moim brzuchu ciąży niczym wielki głaz. A właściwie ten kamień przyprawia mnie o mdłości. Wciągam kilka oddechów i próbuję przypomnieć sobie, kiedy jadłam coś po raz ostatni.

— Dobrze się czujesz, skarbie? — Kitty Thompson pyta z troską. Kitty jest jedną z właściolek Boots & Chutes. Ona i trzy inne były striptizerki prowadzą klub i to jedno z najlepszych miejsc, w jakim kiedykolwiek pracowałam.

Pocieram skronie i odpowiadam.

— Jestem tylko wykończona.

— Jeszcze parę godzin. — Wzdycha ze współczuciem. — A dziś jest spokojnie. Pewnie puszcę cię do domu wcześniej.

Obie spoglądamy na kilka zajętych stolików.

Kiwając zdecydowanie głową, mówi:

— Tak, właściwie już możesz się zmywać. Nie zarobisz więcej niż dwadzieścia dolców. Idź do domu i odpocznij.

Nie musi mi tego powtarzać dwa razy. Kilka dodatkowych godzin snu przed pobudką o czwartej nad ranem, by sortować listy, brzmi jak marzenie. Pospiesznie jadę do domu i padam na łóżko bez sprawdzania ponownie telefonu. Tam wciąż będzie rano.

O trzeciej trzydzieści dzwoni budzik. Podciągam się do pozycji siedzącej i prawie mdleję od zawrotów głowy. Zawartość szybko połkniętej kolacji w klubie zagraża ponownym wyjściem na świat.

Zamykam oczy i biorę kilka głębokich wdechów. Gdy tylko czuję, że mogę stanąć bez wymiotowania na własne nogi, pochylam się i chwytam za telefon.

Co jest ogromnym błędem.

Żołądek się buntuje. Wymiociny mam w ustach, zanim zdążę dobiec do łazienki, i rzygam jeszcze przed podniesieniem klapy sedesowej. Padam na kolana, a wszystko, co zjadłam, jak się wydaje z całego tygodnia, wylatuje i i ląduje w porcelanowej misie.

O Boże. Czuję się strasznie.

Wymiotuję tak długo, aż zostaje jedynie blada wodnista żółć. Nie podnosząc się z kolan, sięgam po ręcznik i wycieram twarz. Uświadamiam sobie, że się pocę. Drżąca, spocona i rzygająca jak kot. Słaba spuszczam wodę w toalecie dwa razy, zanim podciągam się na drżących nogach.

Przy umywalce opłukuję usta wodą i wpatruję się w swoje blade odbicie. Muszę iść do pracy. Okres świąteczny zawsze wiąże się z brakiem pracowników i ci, którzy zostają na pełen wymiar, dostają półtorej stawki więcej. Nie mogę sobie pozwolić na siedzenie w domu.

Chwiejnym krokiem wracam do sypialni tylko po to, by się zatrzymać przy drzwiach. Oj, oj. Połknięta woda chyba nie osiadła dobrze. Pot zalewa mi czoło i zmusza do powrotu do toalety.

Gdy spłukuję cały bałagan, uświadamiam to sobie.

Będę musiała zgłosić chorobę w pracy. Nie ma mowy, żebym w takim stanie wyszła z domu.

Zegar obok łóżka pokazuje pięć po czwartej. Już jestem spóźniona. Podnoszę telefon i wykręcam numer. Mój przełożony, Kam, odbiera

natychmiast.

— Kam, mówi Sabrina. Wymiotuję.

— Masz zwolnienie lekarskie? — pyta krótko.

— Nie, ale...

— Przykro mi, Sabrino, musisz tu przyjechać. Wszyscy na pokład. Sama prosiłaś o tę zmianę.

— Wiem, ale...

— Żadnych „ale”.

— Wymiotuję cały...

— Słuchaj, muszę lecieć, ale jako przysługę odbiję twoją kartę, więc nie będziesz miała potrącone za spóźnienie. Ale musisz tu przyjechać. Jest tyle pieprzonych pudeł do posortowania, że nie widzę nawet drugiego końca pokoju. Czy już nikt nie robi zakupów w centrach?

To retoryczne pytanie, najwyraźniej, bo rozłącza się natychmiast po jego zadaniu.

Gapię się na telefon i staję na nogi. Okazuje się, że jadę do pracy.

— Strasznie wyglądasz — komentuje jedna z tymczasowych pracownic, gdy chwiejnym krokiem wchodzę do biura dwadzieścia minut później. — Nie zbliżaj się. Nie chcę się zarazić.

Mierzę ją wzrokiem przez zmrużone oczy i kusi mnie, by zarzygać jej cały wykrochmalony mundurek.

— Ja też nie — odpowiadam krótko.

Kam pojawia się ze zmarszczonym czołem i nieodłącznym iPadem.

— Weź się za stanowisko czwarte i zacznij sortować. Jesteśmy tak cholernie do tyłu, że to nawet nie jest śmieszne.

Opieram się pokusie, by zasalutować. Ale zgadzam się z nim — w tej sytuacji nie ma nic śmiesznego. Czuję się okropnie.

Cały ranek ciągnie się niemiłosiernie. Mam wrażenie, że zostałam pokryta

smołą, a każdy ruch mojego ciała wymaga ogromnego wysiłku. Musiałam złapać grypę. Wykończyłam się, tak jak ostrzegła Hope, przez te dwa etaty, pełne obciążenie, martwienie się o Harvard. Za dużo wzięłam sobie na głowę w tym semestrze i teraz za to płacę.

Po skończonej pracy zostaje mi resztkę sił, by wejść do samochodu i wyjechać z parkingu. Udaje mi się dojechać do domu, ale gdy tylko wchodzę do kuchni, dopada mnie kolejna fala mdłości. Przykładam dłoń do ust i pędzę do łazienki.

— Co z wami nie tak? — zrzędzi Ray, który staje w otwartych drzwiach. Ma na sobie jeden z tych poplamionych podkoszulków wypuszczonych luźno na szary dres. A w dłoni piwo.

Ty. Ty jesteś nie tak.

Potem dociera do mnie znaczenie jego słów.

— Co masz na myśli, mówiąc w liczbie mnogiej? Nana jest chora?

— Tak mówi. Nie dokończyła robić mi śniadania. Zaczęło ją mdlić i musiała lecieć do kibla. — Macha głową w kierunku pokoju Nany.

Zwlekam się i kuśtykam do jej pokoju.

— Nano, jesteś chora? — pytam.

W pokoju panuje mrok, a ona leży na łóżku z maską na oczy.

— Chyba mam grypę.

— Kurde. Ja też.

— Słyszałam, jak rzygałaś rano.

— Przepraszam.

Klepie łóżko.

— Chodź tutaj i połóż się obok mnie, kochana. Skończyłaś pracę?

Kiwam głową, mimo że ona nie może mnie zobaczyć.

— Tak, mam wolne do jutra rana. Dziś wieczór bez klubu.

— To dobrze. Za dużo pracujesz.

Wczołguję się na miejsce, które dla mnie zrobiła. Gdy byłam mała, często spałam z Naną. Bałam się, a ona znajdowała mnie zagrzebaną pod kołdrą, płaczącą w poduszkę. Mamy nie było, wybyła z domu gdzieś z Rayem albo jednym z wielu facetów, których miała przed nim. Nana zanosila mnie do swojego pokoju i powtarzała, że potwory mnie nie dopadną, póki będziemy się trzymać razem.

Znajduję dłoń babci i splatam palce z jej palcami.

— Jeszcze tylko kilka miesięcy.

— Tylko się nie wykończ do tego czasu.

— Spokojna głowa.

Ściska moje palce.

— Przepraszam za to, co ci powiedziałam.

— Że co?

— Że jesteś snobką. Że twoja mama zastanawiała się, czy cię nie usunąć.

Cieszę się, że tego nie zrobiła. Kocham cię, dziewczynko.

Łzy pieką mnie w oczy.

— Ja też cię kocham.

— Przepraszam, że nie jestem dla ciebie lepszym rodzicem.

— Dobrze się spisałaś — protestuję. — Będę studiować na Harvardzie, pamiętasz?

— Tak. Harvard. — Słowo jest wypełnione niedowierzaniem i zachwytem.

— A co ze mną? — Ray zawodzi w drzwiach. — Nie dokończyłaś mojego śniadania, a teraz, kurwa, już czas na lunch.

Czuję, jak obok drobne ciało Nany zaczyna się trząść i nie wiem, czy to ze względu na złość, czy chorobę. Zmuszam się do pozycji siedzącej.

— Ty zostań tutaj, Nano. Załatwię to.

Odwraca głowę od drzwi, od Raya, ale także ode mnie. Pewnie w głębi duszy chciałam, żeby powiedziała Rayowi, by się odpieprzył.

Burczy, gdy mijam go w drodze do kuchni.

— Co chcesz? — otwieram lodówkę i odkrywam, że jest zaskakująco pusta. Zastanawiam się. Może Nana jest chora od jakiegoś czasu, a ja nawet tego nie zauważyłam?

— Grillowany ser i zupa pomidorowa — mówi. Odsuwa krzesło od kuchennego stołu i zwala na nie swój tyłek.

— Idź oglądać telewizję — warczę, wyciągając kawałek sera cheddar, masło i mleko.

— E tam, lubię oglądać, jak kręcisz się z tyłkiem po kuchni. To równie dobre co każdy program. — Splata ręce za głową i odchyła się do tyłu. Czuję jego świdrujące oczy podążające za każdym moim ociężałym ruchem.

Chleb wygląda zaskakująco smakowicie i odrywam mały kawałek, przeżuwając powoli, by się przekonać, czy utrzymam go w brzuchu. Żołądek nie odpowiada natychmiastowym buntem, więc zjadam kolejny kęs. Po kilku chwilach zawroty głowy i mdłości słabną.

Żeliwna patelnia już jest na kuchence i kanapka grilluje się błyskawicznie.

— Nie zapomnij o zupie, panienko.

Pocieram się z boku szyi środkowym palcem i przechodzę przez kuchnię, by sięgnąć po puszkę zupy z kredensu.

— Dlaczego z ciebie taki dupek? — pytam swobodnym tonem, gdy szukam w szufladzie otwieracza do puszek. — Dlatego, że jesteś bezwartościowym workiem gówna i nie możesz znieść swojego widoku w lustrze? A może dlatego, że jedyna kobieta, którą ostatnio posuwasz, jest członkiem koła emerytów?

— Nie narzekam na brak cipek, nie musisz się o mnie martwić. Jednego dnia spadniesz ze swojego wysokiego konia i przyjdiesz do mnie na kolanach. — Cmoka ohydnie. — I może zgodzę się ciebie przelecieć, a może pozwolę ci tylko mi obciągnąć, jeśli będę miał na to ochotę.

Raczej bym się zabiła.

Nie, poprawka, najpierw zabiłabym jego.

Gdy operuję otwieraczem do puszek, fantazjuję o ostrej pokrywce, która odpada, leci przez kuchnię i odcina kutasa Raya. A potem kwaśność zupy uderza mnie w nozdrza i ogarnia mnie przytłaczająca potrzeba wymiotowania.

Zostawiam wszystko i pędzę do ubikacji, gdzie rzygam po raz trzeci tego dnia.

Rozdział 18

Tucker

Nowy Rok

Kwadrans po drugiej Sabrina ukazuje się w wejściu do klubu. Brązowe włosy spięła w wysoką kitkę, a skąpy mundurek kelnerki przykryła długim płaszczem. Starsza kobieta wychodzi za nią. Chwilę rozmawiają, stając pod słabo oświetlonym wejściem.

Moje serce zaczyna walić jak szalone. Nie udało mi się ucałować jej o północy, by świętować Nowy Rok, ale w ramach rekompensaty planuję nadrabiać to całą noc. Tęskniłem za nią jak szalony w Teksasie i mimo że mama postarała się, bym uwijał się jak mrówka, nie przestawałem myśleć o Sabrinie.

Naprawiłem poręcz na werandzie, pomogłem mamie przesadzić do większych doniczek parę wieloletnich roślin, które trzymała w garażu, wymieniłem kilka żarówek oraz baterie w wykrywaczach dymu, wyczyściłem piec i załatwiałem różne sprawy od chwili otwarcia oczu rano do momentu położenia się w łóżku. Spotkałem się również z Panem Agentem Nieruchomości numer 1 i powiedziałem to, co należy, ale choć bardzo starałem się wyobrazić sobie Sabrinę w Patterson, ten obraz nigdy się nie wyostrzył.

— Cześć, przystojniaku — wita mnie. — Nie wiedziałam, że się tu wybierasz. Myślałam, że spotykamy się jutro.

— Nie mogłem dłużej czekać — mówię zgodnie z prawdą. —

Szczęśliwego Nowego Roku, moja droga.

— Szczęśliwego Nowego Roku, Tuck.

Przyciągam ją do siebie i zagrzebuję twarz w jej odsłoniętej szyi. Ona drży w odpowiedzi na tę delikatną pieśczość, półtwardy fiut natychmiast staje na baczność.

Niechętnie odsuwam ją na bok i otwieram drzwi samochodu.

— Lepiej się zbierajmy albo moje intencje szlag trafi.

— Myślałam, że twoje intencje zakładały pieprzenie mnie do rana — żartuje, odnosząc się do jednego z esemesów wysłanych naprędce między obowiązkami, do których zagoniła mnie mama.

Omam nie powalam Sabriny na ziemię, ale pomimo beztroskich słów widzę wykończenie w każdym rysie jej olśniewającej twarzy.

Zamiast tego kiwam w stronę innych ludzi brnących w kierunku samochodów.

— A niby czemu mamy dawać tym ludziom kino za darmo?

— Trafna uwaga. — Kręci kluczem dookoła palca. — Mały problem. Mój ojczym jest w domu i nie wiem, czy mamy ochotę na powtórkę tamtej ostatniej sceny.

A dlaczego by nie. Ten pieprzony zboczony skurczybyk potrzebuje pięści w twarz i kopa w dupę, ale nie chcę uwzględniać go w dzisiejszych poczynaniach. Zaplanowałem cały ciąg zdarzeń i nie ma miejsca, by poświęcić temu palantowi choćby sekundę.

— Mam w dupie twojego ojczyma — przyznaję — ale pomyślałem, że skoro są święta, a ja nie dałem ci prezentu, to jest okazja, by zrobić coś innego. Może wsiądziesz?

Znów macha kluczykami, a potem rzuca je w moją stronę.

— Ty prowadzisz. Jestem zmęczona.

Łapię je z łatwością i otwieram drzwi. Sięgam do przodu i odsuwam fotel

tak, bym nie musiał prowadzić z kolanami przy szyi.

Sabrina opada na fotel pasażera.

— Dokąd jedziemy?

— Samo centrum.

— Oooh, brzmi tajemniczo. Lubię tajemnice.

A ja chciałbym cię zjeść. Gapię się na jej usta o wiele za długo, daję więc sobie w myślach w łeb i kieruję samochód na podjazd.

— Jak ci minęły święta? Czujesz się lepiej?

— Jest okej. Raz lepiej, raz gorzej. Nanie dojście do formy zajęło trochę czasu, więc pewnie muszę się pomęczyć jeszcze kilka dni, ale też wytępię wirusa.

Prostuję rękę i sięgam nią za jej głowę. Minęło sporo czasu, odkąd dotknąłem ją ostatni raz i potrzebuję tego małego kontaktu.

— Mam cię zawieźć do lekarza? — proponuję.

— Wyglądam aż tak strasznie?

— Nie, wyglądasz bosko, ale powiedziałaś, że byłaś chora — *i gdy cię dotykam, wydajesz się krucha jak szkło* — więc chcę się tobą zaopiekować.

— Nie, nie chcę jechać do lekarza.

— Chodzi o pieniądze? Bo jeśli nie życzysz sobie, bym pokrył koszt wizyty, możemy jechać do Hastings, do przychodni na kampusie.

Potrzęsa głową, powolny ruch w przód i w tył na mojej dłoni. Przesuwam objęcie niżej, by pomasować jej kark i ona jęczy. Dźwięk trafia prosto do zaniedbanego fiuta.

— Mam ubezpieczenie. Muszę po prostu odpocząć — upiera się. — A jutro jest niedziela, co oznacza, że spędzę cały dzień na nicnierobieniu.

Postanawiam posunąć sprawy do przodu.

— Co za zbieg okoliczności. Mam dokładnie taki sam plan.

Tym razem, gdy nasze oczy się spotykają, jej spojrzenie jest równie

rozpalone jak moje. Naciskam gaz trochę mocniej, niż zamierzałem.

— Hotel? — piszczy, gdy zatrzymuję się przed budynkiem Fairmont dziesięć minut później.

Szczerzę się szeroko.

— Wesołych spóźnionych świąt.

Lokaj podchodzi od strony Sabriny i otwiera drzwi. Wyskakuję z samochodu i okrążam przedni zderzak, rzucam mu kluczyki i dziękuję. Cała ta akcja kosztuje mnie niezłą kasę, ale mam to gdzieś. Mam też gdzieś, że portier uśmiecha się złośliwie, widząc strój Sabriny i nasz samochód. Najprawdopodobniej myśli, że zostanę oskubany do zera, bo przyprowadziłem dziwkę do pokoju.

— Twój prezent jest u mnie w domu — mówi żałośnie, gdy dołączam do niej na chodniku.

Obejmując ręką jej plecy, pcham ją delikatnie do przodu.

— Dasz mi go jutro podczas naszego nicnierobienia.

— Zgoda.

Prowadzę ją bezpośrednio do wind, a potem gapię się na cyfrowy wyświetlacz, bo to jedyny sposób, by nie dobrać się do niej na korytarzu tego eleganckiego hotelu.

— Jestem pewna, że wszyscy biorą mnie za prostytutkę — mówi sucho.

— Jeśli tak jest, to tylko dlatego, że inaczej nie potrafią zrozumieć, że ktoś tak seksowny jak ty pozwala mi na dotykanie brudnymi paluchami całego twojego ciała.

— Gówno prawda, ale komplement miły.

— Pocałowałbym cię od razu, ale ponieważ nie widziałem cię od dziesięciu dni, najprawdopodobniej straciłbym panowanie nad sobą i próbował przelecieć cię na korytarzu.

— Zaczekam. — Gapi się znacząco na wypukłość w moich dżinsach. —

Chociaż, sądząc po zarysie twojego potwora, przypuszczam, że nikogo by to nie zdziwiło.

Szmer drzwi windy zagłusza mój jęk, ale widzę po uśmiešku, który pojawia się na twarzy Sabriny, że go słyszała.

Wysiadamy na czwartym piętrze. Ledwo wchodzimy do środka, a już przyciskam ją do drzwi, wpycham język w jej usta, a dłonie rozpinają płaszcz, by dostać się do cycków.

Jęczy, ale nie jest to dźwięk namiętności.

Natychmiast opuszczam dłonie.

— Sprawilem ci ból?

— Nie. — Szybko przyciąga mnie do siebie. — Z jakiegoś powodu moje piersi są bardzo wrażliwe.

Przesuwam dłonie po bokach jej ciała.

— Będę dziś superdelikatny. — Pozwalam, by przyciągnęła mnie do siebie po kolejnego całusa, zanim się odsuwam. Sięgając w dół, poprawiam, co trzeba.

— Daj mi minutkę, moja droga. Nie planowałem rzucić się na ciebie od razu, ale do diabła, wiesz, że doprowadzasz mnie do szaleństwa.

— Mam to samo. — Przesuwa dłonią po czole i wydaje mi się, że jej ręka nieco drży.

Zastanawiam się, czy głód ma z tym coś wspólnego.

— Może usiądziesz? — Pokazuję gestem małą kanapę przy ścianie.

Sabrina kiwa głową i wchodzi głębiej do pokoju. Tymczasem przyciskam penisa dłonią i rozkazuję sobie zachowywać się tak, jakbym zaliczył seks wcześniej.

— Ile to kosztowało? — Opada na dwuosobową kanapę i rozgląda się dookoła z niepokojem.

— Nic — zapewniam ją. — Właścicielem tej chaty jest absolwent Briar.

Mamy specjalną stawkę. Ani słowa NCAA.

— A to w ogóle jakieś naruszenie przepisów?

— Nie wiem. Funkcjonuję według zasady: nie pytaj, nie mów.

— Rozumiem. — Ściąga buty i przewiesza płaszcz przez oparcie kanapy, zostając jedynie w swoich małych szortach i staniku.

Boże, ona jest najseksowniejszą osobą na całej planecie.

— A to co? — pyta, a jej spojrzenie ląduje na środku łóżka, gdzie leży elegancko owinięte pudełko.

— Twój prezent. — Zdążyłem zameldować się wcześniej i zostawiłem jej prezent w pokoju. Wyciągam rękę, zsuwam paczkę z narzuty i dołączam do niej na sofie. — Wesołych świąt.

Jej twarz promienieje, gdy bierze ode mnie pudełko. Pochylam się i patrzę. Nie mogę się doczekać, by zobaczyć jej twarz, gdy otworzy prezent.

— Co to jest? — pyta ostrożnie. — Wydaje się drogie.

Chichoczę.

— Jesteś w stanie odgadnąć, czy prezent jest drogi, tylko po wadze?

— Oczywiście. Im cięższy, tym droższy. — Przygryza wargę. — Mam nadzieję, że nie wydałeś na mnie fortuny.

— Przysięgam, że nie. — Kłamię. Z pewnością w życiu nie wydałem tyle na dziewczynę, ale nie mogłem się oprzeć.

Jedna z klientek mamy ma pracownię wyrobów ze skóry, sprzedaje je online i pozwoliła mi kupić prezent dla Sabriny po kosztach, ponieważ w skórze był błąd. Defekt jest po wewnętrznej stronie, ale okazuje się, że przy cenach, które sobie liczy, nawet coś takiego wymaga obniżki. Kupowałem prezent niezwykle podekscytowany. Mama? Nie za bardzo. Uważała, że wybrałem zbyt kosztowną rzecz dla dziewczyny, którą dopiero co poznałem, ale przecież to wypisz wymaluj cała Sabrina.

Teraz siedzi obok mnie, rozdziera papier i podnosi pokrywę. Gdy bogaty

zapach skóry rozchodzi się w powietrzu, jej usta układają się w idealne zdziwione kółko.

— Co ty kupiłeś? — pyta, ale pozostawiam pytanie bez odpowiedzi. Sabrina przesuwa bibułę i odsłania torbę z lśniącej skóry z mosiężnymi sprzączkami.

— O Boże, jaka piękna!

Nie muszę pytać, czy jej się podoba. Zachwyty widzę w każdym westchnieniu i czułym dotyku, gdy ogląda skórzaną torbę. O tak, trafiłem w dziesiątkę.

— Dobrze się spisałem? — uśmiecham się, obserwując, jak podnosi każdą klapę i rozpina każdy zamek. Ogląda torbę ze wszystkich stron, odwraca ją w kółko i kółko. Nawet wstaje, by przymierzyć ją do siebie.

— Spisałeś się doskonale. — W końcu odkłada prezent na bok i rzuca się na mnie. — Doskonale — powtarza, punktując słowo pocałunkiem. — Teraz moja pora, by dać ci prezent.

Oblizując usta, zaczyna posuwać się w dół mojego ciała i rozpina dzinsy.

Mój fiut wyskakuje na zewnątrz, jakby był na sprężynie. Obejmuje go dłonią i raczy mnie najbardziej świńskim, najbardziej diabelskim uśmiechem, a potem znikam głęboko w jej gardle.

Ja pierdolę, ale dobrze. Robi mi loda, a ja obejmuję jej głowę i podziwiam, w jaki sposób jej tyłek wcina się w powietrze, gdy pochyla się do przodu, by wciągnąć mnie jeszcze głębiej. Sięgam do przodu i wślizguję dłoń pod satynowy materiał szortów, aż moje palce trafiają na mokrą cipkę.

I nagle przestaje wystarczać mi jej buzia. Muszę natychmiast znaleźć się w niej.

Unoszę ją i w trzech ruchach kładę na łóżku. Sabrina dopada do mojego ubrania. Ja szarpię za jej. Działamy pospiesznie, trochę nieskoordynowani i pełni żądz.

Wyciągam prezerwatywę z džinsów i jestem w niej w mgnieniu oka. Ona dochodzi trzy pchnięcia później.

— Minęło trochę czasu — mówi jednym tchem.

Czuję krople potu na czole, gdy zwalniam, próbując przedłużyć przyjemność tak długo, jak to tylko możliwe.

Ale jak zwykle Sabrina ma inne pomysły.

— Dalej, Tuck. Rznij mnie mocno.

Wbija paznokcie w mój tyłek i przepadam.

Posuwam ją na tyle mocno, że jeździ z jednego końca łóżka na drugi. Ma kolejny orgazm i w końcu puszczam.

Kocham tę dziewczynę. Kocham ją na zabój. Te słowa tańczą na końcu mojego języka i z ledwością połykam je z powrotem. Ona nie jest mnie jeszcze pewna. Muszę działać powoli, ale póki jestem w grze, nie martwię się o wynik.

— Zajmę się prezerwatywą — mruczę, a ona kiwa sennie głową.

Wychodzę z łazienki, a Sabrina jest zagrzebana pod kołdrą i śpi głęboko.

Uśmiechając się, wczołguję się obok niej, podpieram na łokciu, by popatrzeć na jej piękną twarz. Jej gęste rzęsy opadają na policzki, a na ustach zamarł pełen satysfakcji uśmiech. Na zewnątrz Sabrina James z powodzeniem udaje twardą i obojętną na wszystko, ale w rzeczywistości jest wrażliwa, słodka i kochana.

Wsuwam rękę pod jej szyję i nawet przez sen wtula się we mnie, a nogi przeplata z moimi. Śpimy objęci. Dwie połówki większej, lepszej całości.

*

Budzi mnie dźwięk wymiotów. Ktoś wyrzuca sobie kiszki w łazience. Spoglądam na zegarek — nie ma nawet szóstej rano.

Wyczołguję się z łóżka, nagi i jeszcze nie do końca rozbudzony.

W łazience znajduję Sabrinę na kolanach, zgiętą w pół, jak wymiotuje do ubikacji.

Natychmiast wkraczam do akcji. Ściągam ręcznik z wieszaka i narzucam go na jej ramiona.

— Czego potrzebujesz? — pytam delikatnym głosem.

Potrząsa głową bez słowa, a potem opiera się o moje nogi. Sięgam dłonią, by wygładzić jej włosy. Martwię się. Co, do cholery, powinienem zrobić?

Starając się jej nie poruszyć, sięgam za plecy i napełniam szklankę wodą, a potem pochylam się i podaję ją, by się napiła.

— Dzięki. — Chwyta szklankę drżącą dłonią.

Głaszczę jej plecy, a ona wypija maleńki łyżeczek.

— Nie spiesz się.

W głowie wydzwaniam po lekarzach i wiozę ją na wózku na izbę przyjęć, ale muszę to dobrze rozegrać, bo inaczej wiem, że się sprzeciwi. Zanim w ogóle poruszam ten temat, Sabrina przechyliła się do przodu i zwraca wypitą dopiero co wodę.

Czekam, aż się uspokoi, a potem unoszę ją w ramionach i zanoszę do łóżka.

— Zabieram cię do lekarza — ogłaszam.

— Nie. — Chwyta mnie za nadgarstek, ale jej uścisk jest słaby. — Za kilka godzin będzie dobrze. Po prostu przeholowałam w tym tygodniu. — Łzy jej spływają po jej twarzy. — Boże, co za ohyda. Przepraszam.

— Kurde, kochanie, kto by się przejmował? — Przyciskam ją do klatki piersiowej, odgarniając dla niej kołdrę.

Kładę ją na łóżku, następnie idę po ręcznik do mycia twarzy i szklankę wody. W drodze powrotnej łapię za kubek na śmieci i stawiam go na podłodze obok niej.

Serce mi się kraje, gdy widzę, jak nieszczęśliwie wygląda, i moja opiekuńcza natura rzuca się do działania, gdy kładę ręcznik na jej czole.

— Od jak dawna wymiotujesz codziennie w ten sposób?

— Nie wiem. Jakiś czas. Złapałam wirusa. Nana była pierwsza i ona w końcu jakoś się wykaraskała. Muszę to po prostu przeczekać. Za kilka godzin poczuję się lepiej.

— Masz gorączkę? Mam ci przynieść aspirynę? — Przyciskam dłoń do jej twarzy. Temperaturę ma chyba normalną.

— Żadnej gorączki — mamrocze. — Tylko mdłości i zmęczenie.

W głowie rozlega się alarm.

Przygryzając wewnętrzną stronę policzka, przebiegam w myślach po jej symptomach. Poranne mdłości ustępujące w ciągu dnia, bardzo wrażliwe piersi, ciągłe uczucie zmęczenia. Brak gorączki. Fakt, że nigdy nie miała okresu ani nawet o nim nie wspomniała w przeciągu tych dwóch miesięcy, od których się pieprzyły.

— Jesteś w ciąży? — pytam bez zastanowienia.

Jej powieki otwierają się szeroko.

— Co?

— W ciąży. — Wyliczam symptomy na palcach, kończąc na braku miesiączki.

— Nie. Nie jestem. Dopiero co miałam okres... — Zastanawia się. Blednie. — Jakieś trzy miesiące temu — mówi szeptem. — Ale... zawsze miałam łagodne miesiączki, nawet na tabletkach antykoncepcyjnych. I przez ostatnie kilka miesięcy plamiłam. Myślałam...

Zrywam się na nogi i szukam ubrań.

— Gdzie idziesz? — łąka.

— Kupić test ciążowy. — Albo pięć. Biorę paczkę krakersów z minibarku i rzucam je na łóżko. — Spróbuj coś zjeść, dobrze? Zaraz wracam.

Wciąż protestuje, gdy wychodzę z pokoju.

Osiem przecznic dalej jest apteka czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pędzę w jej kierunku, jakbym brał udział w kwalifikacjach na igrzyska olimpijskie, nie przejmując się w ogóle, że zapomniałem zabrać płaszcz z hotelu.

W aptece znajduję trzy różne testy. Kupuję wszystkie.

Sprzedawca częstuje mnie współczującym spojrzeniem i otwiera usta, by powiedzieć coś głupiego. Moje zabójcze spojrzenie zamyka mu buzię na kłódkę.

Po powrocie znajduję Sabrinę siedzącą na krawędzi łóżka. Je krakersy. Mam wrażenie, jakby na tym etapie testy były kompletnie zbyteczne. Sabrina mogłaby być reklamą lasek w ciąży.

Jestem zaskakująco spokojny, gdy otwieram każde z pudełek.

— Proszę bardzo. Trzy różne testy.

— Zabezpieczaliśmy się — odzywa się nieobecny tonem, jakby mówiła raczej do siebie niż do mnie. — Biorę pigułki antykoncepcyjne.

— Oprócz pierwszego razu.

Wykrzywia się.

— To był tylko koniuszek.

Wymyka mi się mimowolny śmiech.

— Wtedy nasikanie na te płytki tylko nas uspokoi, tak?

Kończy krakersa w ciszy. Nie wiem, czy siadać obok niej, czy iść na kanapę. Wybieram kanapę, by dać jej przestrzeń. Czasami trudno odczytać Sabrinę. W tej chwili mam zerowe pojęcie o tym, co dzieje się w jej głowie.

Wstaje powoli i podchodzi do małych kartoników ułożonych na biurku, jakby zawierały jadowite węże. Ale w końcu zbiera się, chwyta pudełka i znika w łazience.

Nie stoję przy drzwiach z dłońmi opartymi o ścianę, chociaż kusi mnie jak

cholera, by tak zrobić. Włączam jednak telewizor i oglądam reklamę, w której dwie babki próbują mi sprzedać welurowy garnitur w różnego rodzaju zwierzęce wzory za marne 69,99 dolarów.

Wpatruję się w ten otepiający pokaz przez dziesięć nieskończenie długich minut, aż wreszcie otwierają się drzwi łazienki. Twarz Sabriny jest w tym samym odcieniu bieli co hotelowy szlafrok, który ma na sobie.

— Pozytywny? — pytam niepewnie.

Wyciąga puste pudełko.

— Musisz iść i kupić jeszcze z dziesięć.

Klepię poduszkę od sofy.

— Nie kupię ani jednego więcej. Chodź tu i siadaj.

Nicznym zbuntowane dziecko ciężko tupie. Potem opada obok mnie i zakrywa twarz dłońmi.

— Nie mogę mieć teraz dziecka, Tucker. Nie mogę.

Czuję, jak coś zalega mi w żołądku. To dziwne uczucie ulgi i jednocześnie rozczarowania. Słowa „kocham cię” — te, które chciałem powiedzieć wcześniej, gdy byłem w niej — utknęły mi w gardle. Nie mogę ich teraz wypowiedzieć.

— Zrobisz, co będziesz musiała — mówię szeptem do jej głowy. — Rozumiem.

To wszystko, co mogę powiedzieć w tej chwili, i wiem, że to za mało.

Rozdział 19

Tucker

Zawsze myślałem, że jeśli zмайstruję komuś dziecko, będę w stanie porozmawiać o tym z kumplami. Ale wiem już prawie od tygodnia, że moja dziewczyna jest w ciąży, a nie pisałem o tym ani słowa.

Właściwie nikt nie wie nawet, że mam dziewczynę.

Zresztą, nie wiem i ja.

Od chwili, gdy Sabrina nasikała na trzy płytki i otrzymała trzy pozytywne wyniki, unika spotkania ze mną. Piszemy do siebie codziennie, ale upiera się, że jest zbyt zajęta nauką, ponieważ chce być do przodu w nowym semestrze. Próbuję dać jej przestrzeń, której najwyraźniej potrzebuje, ale moja cierpliwość powoli się kończy.

Musimy usiąść i przedyskutować temat. Przecież mowa tu o potencjalnym dziecku. Dziecko! Chryste. Zaczynam świrować. Jestem facetem, którego mało co rusza, przyjmę każdy cios i biję dalej, ale jedyne, co bije w tym momencie, to moje serce — w podwójnym tempie.

Nie mam zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać. Sabrina powiedziała, że teraz nie może mieć dziecka, a ja planuję wesprzeć każdą jej decyzję. Chcę jednak, by w swych planach uwzględniła mnie, do cholery. Serce mi pęka, jak pomyślę, że przechodzi przez to sama.

Potrzebuje mnie.

— Robisz coś do jedzenia, czy tylko gapisz się na kuchenkę dla zabawy?

Głos Garretta wyrywa mnie z mojego nieszczęścia. Mój współlokator wtacza się do kuchni, a zaraz za nim Logan. Obaj pędzą do lodówki.

— Serio — biadoli Logan, zaglądnąjąc do zamrażarki. — Nakarm nas, Tuck. Tu nie ma nic jadalnego.

Fakt, od tygodnia nie robiłem zakupów. A w chacie pełnej hokeistów pominięcie zakupów to zła wiadomość.

Gapię się na pusty garnek, który postawiłem na palniku. Wchodziłem do kuchni bez menu w głowie i z tym skromnym asortymentem składników pod ręką fantazja kulinarna mnie zawodzi.

— Zrobię jakiś makaron — oznajmiam ponuro. Węglowodany o tej godzinie to nie jest najmądrzejszy pomysł, ale trzeba zadowolić się tym, co jest.

— Dzięki, mamusiu.

Wzdrygam się na to słowo. Mamusiu. Równie dobrze mógł powiedzieć: tatusiu. Bo przecież może będę pieprzonym tatusiem.

Biorę uspokajający wdych i napełniam garnek wodą.

Logan rozplýwa się w uśmiechu.

— Tylko nie zapomnij założyć fartucha.

Pokazuję mu palec w drodze do spiżarni.

— Niech choć jeden z was, obiboki zakichane, przyda się na coś i pokroi cebulę — mamrocze.

— Robi się — mówi Garrett.

Logan rozsiada się przy stole i gapi się na nas jak jakiś palant, gdy uwijamy się, przygotowując późną kolację.

— Żeby starczyło dla pięciu — oznajmia. — Dean trenuje dziś z Hunterem jeden na jeden. Może dzieciak tu wpadnie.

Garrett rzuca mi rozbawione spojrzenie.

— E tam, zrobimy tak, żeby starczyło tylko dla czterech — prawda, Tuck? Jeśli Hunter tu wpadnie, zajmie miejsce Logana.

— Wspaniały pomysł.

Nasz współlokator przewraca oczami.

— Powiem trenerowi, że próbujecie mnie zagłodzić.

— Proszę bardzo — odpowiada łaskawie Garrett.

Nastawiam garnek. Czekam, aż zagotuje się woda, a tymczasem przetrząsam dolną część lodówki w poszukiwaniu czegoś zielonego. Znajduję jedną paprykę i dwie marchewki. Co tam. Równie dobrze mogę je posiekać i wrzucić do sosu.

Gadamy o tym i owym, przygotowując kolację. A raczej oni gadają. Jestem zbyt zajęty wewnętrznym zamartwianiem się o Sabrinę. Przypuszczam, że wystawiam świadectwo moim zdolnościom aktorskim, bo żaden z chłopaków chyba nie zauważył, że coś jest nie tak.

Właśnie mam wsypać dwie paczki penne do gotującej się wody, gdy dzwoni telefon Garretta.

— To trener — informuje nas nieco zmieszonym głosem.

Odkładam makaron na blat, a nie do garnka i obserwuję Garretta, jak odbiera telefon. Nie wiem dlaczego, ale uczucie zdenerwowania przetacza się wzdłuż mojego kręgosłupa. Trener Jensen nie ma w zwyczaju dzwonić do nas po godzinach bez przyczyny.

— Witam, trenerze. Co tam? — Garrett słucha przez chwilę. Jego ciemne brwi zbiegają się, a potem znów się odzywa. Ostrożnie. — Nie rozumiem. Dlaczego Pat poprosił, żeby zadzwonić do mnie?

Ponownie zmienia się w słuch. Tym razem na znacznie dłużej.

Cokolwiek trener Jensen mówi, zmienia to twarz Garretta w ciasto. Jeszcze przed końcem rozmowy jest blady jak ściana.

— Co się stało? — pyta Logan. On również zauważył zmianę w zachowaniu Garretta.

Garrett potrząsa głową, wygląda na oszołomionego.

— Beau Maxwell nie żyje.

Co?

Logan zamiera.

Upuszczam łyżkę, którą trzymam w dłoni. Łąduje z brzdękiem na podłodze i w głuchoj ciszy kuchni rozbrzmiewa niczym eksplozja w wojennym filmie. Wszyscy wzdrygamy się na ten hałas.

Nie podnoszę łyżki. Gapię się tylko na Garretta i głupkowato pytam:

— Co?

— Beau Maxwell nie żyje. — Potrząsa nieprzerwanie głową, w kółko, jakby nie rozumiał sensu słów wychodzących z jego własnych ust.

— Co masz na myśli, mówiąc: „nie żyje”? — Logan warczy w oburzeniu.
— To jakiś chory żart?

Nasz kapitan drużyny opiera obie dłonie na blacie. Cały drży. Nie sędzę, bym kiedykolwiek wcześniej widział, że Garrett traci nad sobą panowanie w ten sposób.

— Trener właśnie skończył rozmawiać z Patem Delucą. Trenerem Beau. Pat powiedział, że Beau nie żyje.

Bez jednego słowa wyłączam kuchenkę i, potykając się o własne nogi, podchodzę do stołu. Opadam na pierwsze krzesło, z którym się zderzam, i pocieram pięściami czoło. To się nie dzieje.

— Jak? — mówi ostro Logan. — Kiedy?

W jego głosie słychać złość, ale wiem, że to szok. Logan i Beau blisko się kumplują. Nie tak blisko, jak Dean i Beau, ale — o Chryste. Ktoś musi powiedzieć Deanowi.

— Wczoraj wieczorem. — Głos Garretta jest ledwo słyszalny. — Wypadek samochodowy. Obchodzili w Wisconsin urodziny babci. Trener mówił, że drogi były oblodzone. Tata Beau prowadził samochód i zrobił unik, by nie zderzyć się z jeleniem. Samochód przekoziółkował, wyleciał z drogi i... — Wykrztusza teraz słowa. — Beau złamał kark i umarł.

Och, słodki Jezu.

Przerażenie rozlewa się po moim żołądku niczym trucizna. Naprzeciwnie Logan mruganiem powstrzymuje łzy. Wszyscy po prostu siedzimy. Bez słowa. Zszokowani. Nigdy... wcześniej nie umarł żaden z moich kumpli. Żaden z krewnych. Tato zmarł, gdy byłem zbyt mały, by go opłakiwać. To też był wypadek samochodowy. Boże. Dlaczego kurwa w ogóle jeździmy samochodami?

Gdzieś z tyłu głowy kołacze myśl, że powinienem coś zrobić. Przesuwam dłonią po piekących oczach i zmuszam się, by skupić myśli.

Sabrina.

Kurwa, oto co muszę zrobić. Muszę zadzwonić do Sabriny i powiedzieć jej, co się stało. Kiedyś chodziła z Beau. Jest dla niej ważny.

Zanim ruszam się z krzesła, rozlega się zgrzyt otwieranych drzwi wejściowych. Cała nasza trójka zastyga w napięciu.

Dean jest w domu.

— Kurwa — szepcze Logan.

— Powiem mu — mówi chrapliwym głosem Garrett.

Dean wchodzi do kuchni z pochyloną głową. Jest pochłonięty telefonem, jego palce wystukują wiadomość, pewnie do Allie. Na początku nas nie zauważa, a nawet gdy w końcu uświadamia sobie naszą obecność, nie sądzi, by odnotował nasze miny.

— Co tam? — pyta nieobecny tonem.

Żaden z nas nie odzywa się słowem, więc Dean marszczy czoło i odkłada telefon. Jego wzrok ląduje na Loganie i sztywnieje, widząc łzy przyjaciela.

— Co się dzieje? — chce wiedzieć.

Logan przeciera oczy.

Ja zaciskam usta.

— Kurwa, serio, jeśli w tej sekundzie ktoś mi nie powie, co się dzieje...

— Dzwonił trener — przerywa Garrett niskim głosem. — Właśnie rozmawiał z Patrickiem Delucą i, ech...

Dean wygląda, jakby nie bardzo rozumiał.

Garrett mówi dalej, chociaż wolałbym, żeby tego nie robił. Wolałbym, żebyśmy nie musieli mówić Deanowi o Beau. Wolałbym, żebyśmy w ogóle nie dowiedzieli się o Beau.

Wolałbym... tyle różnych rzeczy. Ale w tej chwili pobożne życzenia gówny znaczą.

— Pewnie Deluca zadzwonił do niego, bo wie, że się przyjaźnimy z Beau. Chodzi o Maxwella? Co z nim?

Logan i ja gapimy się na nasze ręce.

Garrett ma więcej odwagi, ponieważ nie ucieka wzrokiem przed zdenerwowanym spojrzeniem Deana.

— On... nie żyje.

I tak po prostu Dean wpada w trans. Strasznie boli na to patrzeć i nie mam pojęcia, jak go z tego wyciągnąć. Garrett powtarza wszystko, co wcześniej powiedział Loganowi i mnie, ale to oczywiste, że nasz przyjaciel nie słucha. Oczy Deana są zaszkłone, usta lekko rozwarte, gdy wciąga powietrze w nierównych wdechach.

Dopiero na słowa Garretta, że Beau zginął na miejscu, Dean wraca do rzeczywistości.

— Możesz mi to powtórzyć? — pyta chrapliwym głosem. — Co się stało?

— Kurde, czemu?

— Bo muszę usłyszeć to jeszcze raz. — Dean jest stanowczy.

Patrzemy, jak podchodzi do kredensu i zdejmuje whisky z górnej półki. Pociąga głęboki łyk prosto z butelki, a potem wraca chwiejnym krokiem i siada obok mnie.

Garrett znów zaczyna mówić. Chryste. Nie wiem, czy jestem w stanie

wysłuchać tej strasznej historii jeszcze raz. Dean podaje mi whisky i biorę małego łyka, a następnie podaję butelkę Loganowi. Nie mogę się teraz upić. Dziś wieczorem planuję jazdę samochodem.

Gdy tylko Garrett kończy, Dean odsuwa krzesło i wstaje. Trzyma kurczowo butelkę Jacka Danielsa obiema rękami, jakby to była jakaś gwarancja bezpieczeństwa.

— Idę na górę — mamrocze.

— Dean — zaczynam, ale naszego współlokatora już nie ma.

Słyszymy tylko jego kroki, gdy wspina się po schodach. Ciężkie dudnienie. Trzask zamykanych drzwi. W kuchni zalega cisza.

— Muszę wyjść — mruczę do Garretta i Logana, niepewnie stając na nogach.

Żaden z nich nie pyta, dokąd się wybieram.

Sabrina

Gapię się na Tuckera, nie będąc w stanie zrozumieć słowa z tego, co mówi. Kiedy napisał, że jedzie do Bostonu, by się ze mną spotkać wieczorem, spodziewałam się poważnej rozmowy o naszej nieplanowanej ciąży. Spanikowałam, odpisałam, że się uczę, a on jedynie skwitował to tekstem *co za pech*. Myślę, że tak naprawdę miał na myśli: *Jadę. Porozmawiamy*.

Podczas godzinnego czekania serwowałam sobie kolejne mowy dopingujące. Rozkazałam sobie założyć spodnie dużej dziewczynki i uporać się z tą ciążą w taki sposób, w jaki rozprawiam się ze wszystkim w moim życiu — marsz do przodu. Przypominałam sobie, że Tuck powiedział: „rozumiem cię” i że będzie wspierał każdą decyzję, którą podejmę.

Ale nic nie zdołało wyprzeć przerażenia, które ściska moje gardło.

Teraz przerażenie jest jeszcze większe, tyle że z kompletnie innego

powodu.

— Beau nie żyje? — Moje serce wali niebezpiecznie szybko. Boję się, że wyskoczy mi z piersi.

Obawiam się rozpacz, którą widzę w oczach Tuckera.

— Tak. Zmarł, moja droga.

Nie mogę tego zrozumieć. Nie mogę. Beau jest rozgrywającym Briar. Beau jest moim przyjacielem. Dołączki Beau ukazujące się zawsze, gdy częstuje ciebie szczególnie świńskim uśmiechem. Beau...

Nie żyje.

Wypadek samochodowy. Jego ojciec przeżył, ale Beau zmarł.

Łzy, z którymi walczyłam, wyciekają i płyną słonymi strumykami po moich policzkach. Próbuje oddychać pomiędzy szlochami, ale jest mi ciężko, i w końcu wpadam w hiperwentylację. Wtedy Tucker obejmuje mnie ciepłym, mocnym uściskiem.

— Oddychaj — szepcze w moje włosy.

Próbuję, naprawdę próbuję, ale tlen nie wchodzi do środka.

— Oddychaj. — Powtarza, tym razem bardziej stanowczo, i jego dłonie wędrują w górę i w dół moich pleców w pocieszającym geście.

Daję radę wziąć wdech, potem jeszcze jeden i kolejny, aż przestaje mi się tak bardzo kręcić w głowie. Ale łzy nadal ciekną. I mam uczucie, jakby ktoś rozciął mi klatkę piersiową i dźgał ją gorącym ostrzem.

— On jest... — Przełykam ślinę. — ...był. To był taki dobry facet, Tuck.

— Wiem.

— Był dobry, młody i nie powinien umierać — mówię gwałtownie.

— Wiem.

— To nie fair.

— Wiem.

Tucker zacieśnia uścisk. Wtulam się w niego tak mocno, aż w końcu udaje

mi się miarowo oddychać. Jego silne, solidne ciało jest kotwicą, której teraz potrzebuję. Pozwala mi płakać, przeklinać i żalić się na cały świat, ponieważ wiem, że Tuck jest tutaj, słucha mnie i uspokaja, i przypomina, bym oddychała.

Głośne pukanie do drzwi sprawia, że oboje podskakujemy.

— Ciszej tam — rozlega się okropny głos Raya. — Jak mam do cholery oglądać mecz, skoro słyszę twoje wycie aż w pokoju gościnnym? Masz ciotę czy co?

Zdławiony szloch wylatuje z moich ust. O Boże. Nic bardziej niż Ray w akcji nie jest w stanie podkreślić emocjonalnej rozsypki, którą się stałam — emocjonalnej rozsypki, która wcale nie miesiączkuje. Ponieważ jest, do cholery, w ciąży.

Mój oddech znów robi się płytki.

Tucker nie przestaje głaskać mnie po plecach, gdy odpowiada mojemu ojczymowi.

— Jeśli nie słyszysz telewizora, zrób głośniej — woła napiętym głosem.

Następuje chwila ciszy, a potem:

— To ty, mięśniaku? Nie wiedziałem, że Rina ma towarzystwo.

— Mijaliśmy go, kiedy mnie wpuściłaś — mruczy do mnie Tucker.

Tak, dokładnie. Ale Ray jest dziś bardziej pijany niż zazwyczaj. Cały dzień spędził w barze sportowym ze swoimi koleśkami, upijając się podczas wspólnego oglądania popołudniowych meczy futbolowych.

— Z ledwością stawiał prosto kroki, gdy wrócił wieczorem do domu — mruczę w odpowiedzi.

Ray znów się odzywa, bełkocze jak szalony.

— Chyba coś nie teges z twoimi jajami, skoro ta dziwka tak ryczy!

Chwytam Tuckera za ramię, zanim zdąży wstać.

— Zignoruj go — mówię szeptem. Potem podnoszę głos i zwracam się do

Raya. — Idź oglądać swój mecz. Będziemy ciszej.

Po kolejnej chwili ciszy jego ciężkie kroki się oddalają.

Łzy pokrywają moją twarz, gdy ponownie wtulam się w Tuckera.

— Czy... czy... — Odchrząkuję obolałe gardło. — Zostaniesz dziś ze mną na noc?

— Nawet o to nie pytaj — mówi, a potem składa delikatny pocałunek na moim czole. — Zostanę tak długo, jak będziesz mnie potrzebować, moja kochana.

Rozdział 20

Tucker

Stadion zmienił się w czarno-srebrne morze. Na uroczystość żałobną przybyły tysiące ludzi i wielu z nich ma na sobie koszulki drużyny futbolowej Briar pod rozpiętymi płaszczami. Pozostali ubrani są w szkolne barwy.

Na murawie wzniesiono dużą scenę, na której siedzą koledzy z drużyny Beau oraz jego rodzina. Absolwenci zlecieli się z całego kraju, by oddać cześć naszemu zmarłemu rozgrywającemu. Obecne są nawet dzieciaki, które go nie znały. Twarze są poważne, a nastrój przygnębiający.

To kurewsko straszne.

Siedzę na trybunach za ławką gospodarzy, z Garrettem po lewej stronie. Hannah jest obok niego, dalej Logan i Grace, potem Allie — która jest sama.

Dean kompletnie się posypał w tym tygodniu. Jest w destruktywnej spirali, opuszcza treningi i zamyka się w swoim pokoju, pijany do nieprzytomności przez większość czasu. Jednej nocy tak się naćpał, że zemdlał na sofie w dużym pokoju, pół ciała na poduszkach, a reszta rozwalona na podłodze. Logan zaniósł go na górę, a Allie podążyła za nimi, bliska łez. Chciałem pocieszyć Allie, że Dean wyjdzie z tego, ale, szczerze, sam miałem dosyć na głowie.

Powód mojej udręki siedzi przy moim drugim boku. Nie sądzę, by Garrett i inni w ogóle zauważyli, że Sabrina tu jest — ich spojrzenia utkwione są w murawie, gdzie na wielkim ekranie pojawiają się najważniejsze momenty z czterech lat Beau spędzonych na uniwersytecie Briar. Właściwie z pięciu

lat. Beau zaliczył pierwszy rok jako redshirt, czyli głównie brał udział w rozgrywkach, ale mógł trenować i chodzić na zajęcia. Oficjalnie przedłużono mu studia, więc praktycznie to jest jego piąty rok. To był jego piąty rok. Boże, trudno pogodzić się z tym, że on zmarł.

Jest zimno, więc rękaw mojego wielkiego płaszcza ukrywa fakt, że trzymam dłoń Sabriny. Chcę ją objąć ramieniem, pocałować w policzek, trzymać blisko, ale nie sądzę, by uroczystość żałobna Beau była odpowiednim czasem na ogłoszenie światu naszego związku. Ale wydaje mi się to bardzo surrealistyczne, że dziewczyna obok mnie jest ze mną w ciąży i nikt nie ma o tym pojęcia.

O dziecku nie rozmawialiśmy w ogóle. Nie wiem, czy Sabrina planuje umówienie się na zabieg. Kurde, z tego, co wiem, już to załatwiła. Chciałbym myśleć, że uwzględni mnie, jeśli i kiedy przyjdzie czas, ale w tym tygodniu była taka nieobecna. Śmierć Beau mocno ją dotknęła. A że widzę, jak bardzo pogрузzył się Dean, waham się, czy zmuszać ją do rozmowy. Nie w chwili, gdy musi się uporać ze stratą przyjaciela.

Ciche łkanie rozlega się kilka siedzeń dalej. To Hannah. Zdławiony dźwięk uświadamia mi, że skończył się pokaz zdjęć z życia Beau. Jego starsza siostra Joanna podnosi się z krzesła.

Napinam się, ponieważ wiem, że nadchodzą chwile jeszcze bardziej rozdzierające serce.

Joanna to piękna kobieta, z ostrzyżonymi na „boba” ciemnymi włosami i niebieskimi oczyma, tak jak Beau. Te oczy są teraz bez życia. Twarz jest udręczona. Tak samo jak twarze jej rodziców.

W prostej czarnej sukience siada na ławce przy ogromnym ciemnym fortepianie, ustawionym po drugiej stronie sceny. Zastanawiałem się, po co ustawiono tu ten fortepian, i teraz mam odpowiedź. Joanna Maxwell studiowała w Briar muzykę i zaraz po ukończeniu studiów została

zatrudniona na Broadwayu. Hannah mówi, że jest niesamowitą piosenkarką.

Wzdrygam się, gdy na stadionie rozlega się pisk sprzężonego mikrofonu.

— Przepraszam — mruczy Joanna, potem dopasowuje mikrofon i pochyla się bliżej. — Przypuszczam, że niewielu z was wie, że mój brat miał naprawdę niezły głos. Ale publicznie nie odważył się śpiewać. W końcu musiał utrzymać reputację niegrzecznego chłopca.

Śmiech rozchodzi się po trybunach. Dziwaczna mieszanka wesołości i smutku wisi nad naszymi głowami.

— Beau był wielkim maniakiem muzycznym. Gdy byliśmy mali, zakradaliśmy się do gabinetu taty i wygłupialiśmy się przy jego gramofonie. — Spogląda z zakłopotaniem na tatę. — Przepraszam, że właśnie się dowiadujesz, tatusiu. Ale przysięgam, że nie włamywaliśmy się do barku. — Zatrzymuje się. — Na to przyszedł czas później.

Pan Maxwell potrząsa ze smutkiem głową. Kolejna fala śmiechu przetacza się przez trybuny.

— Uwielbialiśmy słuchać Beatlesów. — Dopasowuje ponownie mikrofon i zawiesza palce nad klawiszami z kości słoniowej. — To była ulubiona piosenka Beau, więc... — jej głos załamuje się. — Pomyślałam, że zaśpiewam ją dziś dla niego.

Czuję ból w sercu, gdy pierwsze dźwięki *Let It Be* wypełniają stadion. Sabrina ściska moją dłoń mocniej. Jej palce są jak sople lodu. Ściskam je, mając nadzieję, że ją ogrzeję, ale wiem, że moje są równie zimne.

Gdy Joanna kończy śpiewanie, nie ma jednego suchego oka na trybunach. Gwałtownym mruganiem próbuję cofnąć łzy, ale w końcu poddaję się i pozwalam im swobodnie spłynąć po policzkach.

Po występie Joanna podnosi się z gracją z ławy i wraca do rodziców. Potem zaczynają się przemówienia i łzy płyną jeszcze intensywniej. Trener Deluca staje za podium i opowiada, jakim utalentowanym zawodnikiem był

Beau, o jego oddaniu, sile charakteru. Przemawia kilku zawodników z drużyny, rozśmieszając nas ponownie historiami o wygłupach Beau w szatni. Mama Beau dziękuje wszystkim za przybycie, za wspieranie jej syna, za kochanie go.

Czuję się otępiały, gdy memoriał dobiega końca.

Smutek zagęszcza powietrze. Ludzie wstają z siedzeń i ciężkim krokiem zmierzają ku wyjściu. Sabrina puszcza moją dłoń i idzie przede mną. Hope i Carin biorą ją między siebie i otaczają niczym dwie mamy kwoki; każda obejmuje ją ramieniem, gdy schodzą w trójkę po stopniach.

Na podeście podchodzę do niej i pochylam się, by wyszeptać do jej ucha.

— Chcesz, żebym przyjechał dziś do Bostonu?

Potrząsa nieznacznie głową i rozczarowanie oraz frustracja zalewają mój żołądek. Musi to dostrzec w moich oczach, ponieważ zagryza wargę i odpowiada szeptem:

— Porozmawiamy niebawem, okej?

— Okej — odpowiadam cicho.

Z sercem w gardle obserwuję, jak odchodzi.

— Co to było? — obok mnie pojawia się Garrett, wpatrzony w oddalające się plecy Sabriny.

— Składałem kondolencje — kłamię. — To Sabrina James, kiedyś chodziła z Beau.

— Och. — Marszczy czoło. — Sabrina Deana?

Moja Sabrina.

Połykam kolejną falę frustracji i wzruszam swobodnie ramionami.

— Chyba tak.

Mam tego dość. Kurewsko dość. Chcę powiedzieć przyjacielom o Sabrinie. Chcę im powiedzieć o dziecku i usłyszeć ich rady, ale ona zmusiła mnie, bym obiecał, że nie pisnę słowa, dopóki nie podejmiemy

decyzji. A jeśli rezultatem decyzji będzie brak dziecka, to rozmowa z nimi nie będzie miała większego sensu. Co miałbym im powiedzieć? *Zrobiłem komuś dziecko, ale ona miała aborcję, nie ma o czym gadać.*

Przełykam ślinę, ale moje gardło nagle staje się całkowicie suche. Nie mam pojęcia, jak dotarłem do tego punktu. Moi przyjaciele żartują ze mnie, że jestem Chłopcem Harcerzykiem i, prawdę mówiąc, myślałem, że kwestię „bądź przygotowany” miałem doprowadzoną do perfekcji. Ale jeden nieostrożny ruch i teraz mogę zostać ojcem. Ja pierdołę, mam dopiero dwadzieścia dwa lata.

Nie wiem, czy potrafię.

Panika kłębi się w moim gardle. Jestem cierpliwym facetem. Solidnym jak skała. Z głową na karku. Kiedyś chcę założyć rodzinę. Chcę mieć dzieci, żonę, psa i pieprzony parkan. Chcę tego wszystkiego — kiedyś.

Nie dzisiaj. Nie za dziewięć miesięcy. Nie.

Być może nie będziesz miał wyboru.

Chryste.

— Chodźmy — mówi Garrett, popychając mnie delikatnie do przodu. — Wracamy do domu.

Staram się opanować panikę. Pozwalam przyjacielom wyprowadzić się ze stadionu i zaprowadzić na parking. Jadę na kampus z Garrettem i Hannah, więc wsiadam na tylną kanapę jeepa Garretta. Allie wślizguje się obok mnie. Nikt z całej czwórki nie odzywa się podczas jazdy do domu.

Gdy tylko przechodzimy przez drzwi wejściowe, Allie spieszy na górę do pokoju Deana. Wciąż nie mogę uwierzyć, że odpuścił sobie memoriał Beau, ale coś mi się wydaje, że Dean nie doświadczył zbyt wielu strat w swoim życiu. Myślę, że nie wie, jak sobie z tym radzić, i modłę się, by Allie potrafiła do niego dotrzeć.

Cała reszta porzuca płaszcze i buty, i wlecze się do pokoju dziennego.

Hannah i Grace robią kawę, a my siedzimy przez chwilę w ciszy. Jakbyśmy wszyscy cierpieli na zespół stresu pourazowego czy coś w tym stylu. Straciliśmy przyjaciela i nie potrafimy tego zrozumieć.

W końcu Garrett rozluźnia krawat, ściąga go szarpnięciem i kładzie na oparciu sofy. Wzdychając, jakby był bardzo zmęczony, mówi:

— Absolutorium jest za kilka miesięcy.

Wszyscy kiwają głowami, choć nie jestem pewien, czy to na znak zgodny, czy potwierdzenia, że go słuchamy.

Rozgląda się po pokoju gościnnym, jego mina robi się smutna.

— Będę tęsknił za tym domem.

Ja też. I wciąż nie mam pojęcia, gdzie wyląduję w maju. Pierwotny plan zakładał powrót do Teksasu, ale teraz nie ma o tym mowy, skoro sytuacja między mną a Sabriną jest tak niepewna. Pewne jest tylko jedno: do maja będę miał odpowiedź w kwestii dziecka. Sprawdziłem online, więc wiem, że jeśli Sabrina zdecyduje się na aborcję, ostateczny termin zabiegu przypada na początek marca.

Boże. Okropnie jest nie wiedzieć, na czym stoję. Na czym my stoimy.

— Cieszę się na myśl o polowaniu na mieszkanie — mówi Hannah, ale wbrew tym słowom nie ma śladu radości w jej głosie.

— Znajdziemy coś wspaniałego — zapewnia ją Garrett.

Hannah spogląda na Grace.

— A wy wciąż szukacie czegoś w połowie drogi między Hastings i Providence?

Grace potakuje i przytula się do Logana, który czule bawi się palcami w jej długich włosach.

Czuję buzującą zazdrość. Nie mają pojęcia, jacy z nich szczęściarze, że mogą faktycznie snuć plany na przyszłość. Agent Garretta prowadzi negocjacje z Bruinsami, co oznacza, że Garrett i Wellsy będą mieszkać

w Bostonie, jak tylko on podpisze kontrakt. Grace zostały jeszcze dwa lata w Briar, ale Logan już podpisał umowę z zespołem farmerskim Bruinsów, więc będzie grał w Providence, aż miejmy nadzieję, powołają go na zawodowstwo.

A ja? Kto to, kurwa, wie.

— Wracasz do Teksasu zaraz po absolutorium, czy pokręcisz się tu jeszcze przez lato?

Pytanie Logana zaciska węzeł dyskomfortu na mojej klatce piersiowej.

— Jeszcze nie jestem pewien. To wszystko zależy od tutejszych możliwości biznesowych.

Nie, to wszystko zależy od tego, czy moja dziewczyna urodzi nasze dziecko.

Ale tamto też jest prawdą, jak przypuszczam.

— Nadal uważam, że powinieneś otworzyć restaurację — żartuje Hannah.
— Mógłbyś wymyśleć śmieszne Tucker-nazwy na wszystkie dania.

Wzruszam ramionami.

— Nie. Nie chcę być szefem kuchni. Nie chcę wiązać się z tak stresującym biznesem. Restauracje upadają bez przerwy, to inwestycja wysokiego ryzyka.

Planuję ostrożnie zarządzać pieniędzmi z funduszu taty. Oszczędzam od lat i nie jestem przekonany, czy chciałbym je wszystkie zainwestować w restaurację. Póki co jednak nie mam innych pomysłów w zanadrzu.

Ale lepiej, żebym coś wymyślił, i to szybko. Absolutorium zbliża się wielkimi krokami. Prawdziwe życie już kiwa na mnie palcem. Moja dziewczyna jest w ciąży. Trzeba podjąć milion decyzji, a na razie utknąłem w martwym punkcie.

Nie mogę podjąć ani jednej decyzji. Nie, dopóki Sabrina nie podejmie tej najważniejszej.

Rozdział 21

Sabrina

Luty

Maszeruję ośnieżoną ścieżką przez park Boston Common. Na dworze panuje przenikliwy ziąb. Uzbrojone w rękawice ręce ukryłam w kieszeniach płaszcza, a czerwoną czapkę zrobioną na drutach naciągnęłam na czoło tak nisko, że prawie zakrywa mi oczy.

Ale dziś zimno. Nagle żałuję, że zaproponowałam Tuckerowi spotkanie w parku. Chciał się umówić u mnie, ale zarówno Nana, jak i Ray są w domu i nie mogłam ryzykować, że dowiedzą się o ciąży, podsłuchując naszą rozmowę pod drzwiami. Nie powiedziałam im jeszcze. Nikomu nie powiedziałam.

Przypuszczam, że Tucker na dzień dobry poruszy temat dziecka. Tymczasem, gdy pięć minut później docieram do Brewer Fountain, wita mnie słowami:

— Nienawidzę fontann.

— Aha. Jest jakiś szczególny powód tej nienawiści?

— Bo nie mają większego sensu. — Potem bierze mnie w ramiona i ściska w nich długo, a ja przywieram do niego, wtulając się w to ciepłe, dające poczucie bezpieczeństwa ciało. Nie widzieliśmy się od uroczystości żałobnej Beau. Dwa tygodnie. Dwa tygodnie. Przysięgam, że mogę tylko pomarzyć o byciu tak cierpliwą, jak John Tucker. Nie naciskał na spotkanie. Nie wywierał żadnej presji, byśmy porozmawiali o naszej sytuacji. Jedyne, co

robił, to był przy mnie i podążał za mną.

— Ale są ładne — mruczę w odpowiedzi.

Jego usta omiatają moje wargi w przelotnym pocałunku.

— Nie tak ładne jak ty. — Potem przytula mnie mocniej, a ja staram się ze wszystkich sił nie wybuchnąć płaczem.

Hormonalna huśtawka nastrojów daje mi się ostatnio we znaki. Ciągłe jestem na granicy szlochów i nie wiem, czy to z powodu ciąży, czy może z tęsknoty za Tuckiem.

Bo tęsknię za nim tak cholernie mocno, że pęka mi serce, ale nie wiem, co powiedzieć, gdy się spotykamy.

Nie wiem, do cholery, co robić.

Uścisk w końcu się rozpada i oboje cofamy się niezręcznie o krok. W jego oczach czai się z tuzin pytań, ale nie wypowiada ani jednego. Zamiast tego mówi:

— Przejdźmy się. Jeśli będziemy się ruszać, może nie zamarzniemy na śmierć.

Ponownie się śmieję i pozwalam mu objąć mnie ramieniem. Ruszamy wzdłuż ścieżki, a pod naszymi butami skrzypi cienka warstwa śniegu.

— Jak twoje zajęcia? — pyta szorstko.

— Chyba dobrze. — Kłamię. Wcale nie jest dobrze. Nie potrafię się skoncentrować na niczym innym poza subtelnymi zmianami zachodzącymi w moim ciele.

— A u ciebie?

Wzrusza ramionami.

— Niezbyt. Trudno mi się skupić od chwili... — milknie.

— Od chwili tego? — pokazuję gestem na brzuch.

— Tak. I Beau też. Dean nie radzi sobie najlepiej, atmosfera w chacie jest mocno napięta.

— Przykro mi.

— Wszystko się ułoży — stwierdza krótko.

Boże, tak bardzo chciałabym mieć jego wiarę. I odporność. I odwagę. Brakuje mi teraz wszystkich tych cech. Sama myśl o otwarciu ust i poruszeniu tematu różowego albo niebieskiego słońątka sprawia, że chce mi się wymiotować. A może to poranne mdłości.

Ale jak zwykle Tucker nie naciska, by kontynuować temat. Po prostu go zmienia.

— Przychodziłaś tu często jako dziecko? — pokazuje na piękną przyrodę wokół nas.

— Gdy byłam bardzo mała — przyznaję. — Przychodziłyśmy tu co weekend w czasach, gdy istniałyśmy tylko ja, mama i Nana. Nauczyłam się jeździć na łyżwach na Frog Pond.

Patrzy na mnie z ukosa.

— Nieczęsto opowiadasz o swojej mamie.

— Bo nie ma o czym opowiadać. — Żal i gniew przepełniają mi gardło. — Nie spędzała ze mną zbyt wiele czasu. To znaczy, jak byłam bardzo mała, gdzieś tak do szóstego roku życia, naprawdę się starała. Ale potem mężczyźni w jej życiu stali się ważniejsi niż ja.

Odziana w rękawicę dłoń Tuckera ściska moje ramię.

— Przykro mi, moja droga.

— Jest jak jest. — Spoglądam na niego. — Ty jesteś blisko ze swoją mamą, tak?

Przytakuje.

— To najlepsza kobieta, jaką znam.

Emocje zatykają mi gardło. Tucker może i stracił ojca w bardzo wczesnym wieku, ale najwidoczniej jego matka zrobiła wszystko, co mogła, by zrekompensować mu tę stratę. Z tego co mi powiedział, harowała jak wół, by

zapewnić synowi dobre życie. Moja matka mogłaby wziąć parę lekcji od pani Tucker. Nana zresztą też.

— Mieliśmy zupełnie różne dzieciństwa — słyszę swój głos.

— A mimo to oboje wyrosliśmy na wspaniałych ludzi.

On, może. Ja jakoś nie czuję się wspaniała. Ale zachowuję tę myśl dla siebie.

— Twoja mama chce, żebyś wrócił do Teksasu po studiach?

— Tak. — Zatrzymuje się w połowie ścieżki i wzdycha.

— A ty chcesz tam wrócić? — pytam, a potem wstrzymuję oddech, czekając na odpowiedź.

— Nie wiem.

Przeczesuje dłonią kasztanowe włosy, a ja podążam wzrokiem za ruchem jego ręki. Jego włosy wyglądają na tak miękkie w dotyku. Są miękkie w dotyku — wiem, bo sama zanurzałam w nie palce wiele razy. Znów chcę to zrobić, ale boję się, że jeśli go dotknę, nie będę w stanie przestać.

— Zawsze planowałem powrót po skończeniu studiów. Chcę być blisko mamy, wiesz, opiekować się nią. Ale gdy byłem tam teraz w czasie świąt... — Jęczy cicho. — W Patterson nie mam perspektyw. Żadnych. To maleńkie miasteczko, które od stu lat tkwi w jednym miejscu. Nawet nie byłbym w stanie dojeżdżać do Dallas, bo to czterogodzinna podróż samochodem. Początkowo zakładałem, że będę mieszkać w Dallas w ciągu tygodnia, a na weekendy przyjeżdżać do Patterson, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej męczący wydaje się ten pomysł.

— Co więc zamierzasz zrobić?

— Nie mam pojęcia.

Czekam, aż odbije piłeczkę i zapyta, jaką decyzję podjęłam w kwestii dziecka, ale tego nie robi.

— Chcesz przez chwilę popatrzeć na jeżdżących na łyżwach? —

proponuje.

— Pewnie.

Znów zaczynamy marsz. Wciąż obejmuje mnie ramieniem. Jego znajomy zapach rozchodzi się w moich nozdrzach i sprawia, że cierpię. Chcę go pocałować. Nie, chcę go zaciągnąć do jego samochodu, obojętnie gdzie jest zaparkowany, i wytarosić. Chcę poczuć jego usta na moich wargach, dłonie na piersiach i pulsującego penisa w środku.

Zanim w ogóle dochodzimy do stawku, dobiegają nas radosne piski dzieci. Słodko-gorzkie uczucie ogarnia mnie, gdy zbliżamy się do balustrady. Tuziny ludzi mijają nas ze świstem, sunąc po błyszczącej powierzchni lodowiska. Dzieci zakutane w kolorowe kurtki, szaliki i rękawice. Całe rodziny. Pary trzymające się za ręce.

Tucker sięga po moją dłoń i przeplata nasze palce w rękawiczkach. Stoimy bez słowa, obserwując przez chwilę lodowisko. Czuję radosne bicie serca, bo mam wrażenie, jakbyśmy byli prawdziwą parą. Po prostu dwoje szczęśliwych ludzi spędza ze sobą popołudnie w parku i cieszy się własnym towarzystwem.

— O kurde, widzisz tamtego gościa? — pyta nagle Tucker.

Podążam za jego spojrzeniem w kierunku wysokiego, siwego mężczyzny w niebieskiej parce i czarnych łyżwach.

— Aaa... Znasz go?

Mruży oczy.

— Nie. Przez sekundę wydawało mi się, że tak, ale on jest tylko bardzo podobny.

— Do kogo? — pytam z ciekawością.

— Trenera Śmierć.

Prawie zakrztusiłam się językiem.

— Dobra. Cofnij. Czy właśnie powiedziałeś „trener Śmierć”?

Jego wybuch śmiechu łaskocze mnie po policzku.

— No. I wcale nie żartuję, moja droga. Mój pierwszy trener nazywał się Paul Death. Okazuje się, że to stare brytyjskie nazwisko. A może walijskie? Nie pamiętam.

Odwracam się i opieram się plecami o balustradę.

— Był tak zły, jak sugeruje jego nazwisko?

— Najmilszy gość, jakiego poznałem w życiu — oświadcza Tucker.

— Serio?

— O tak. Jako pierwszy powiedział mi, że mam potencjał. Miałem wtedy pięć lat. Ubłagałem mamę o lekcje hokeja, więc wozila mnie na arenę oddaloną o godzinę jazdy od domu, ponieważ w Patterson nie ma lodowiska. Trener Death przykucnął, uścisnął moją dłoń i powiedział: „Tak, no tak, widzę to, mały. Masz potencjał”. — Tucker chichocze. — To było jego powiedzonko — „tak, no tak”. Zacząłem je powtarzać w domu i doprowadzałem mamę do szaleństwa.

Śmieję się.

— Trener Śmierć był twoim idolem, gdy dorastałeś?

— Dokładnie. — Przekrzywia głowę. — A ty? Kto był twoim idolem?

— Miałam pięć lat. — Szczerzę się do niego. — Nazywali się NSYNC. Jego szczeka opada.

— O nie, moja droga, powiedz, że żartujesz. Kręciły cię boysbandy?

— Tak bardzo, że to nawet nie jest śmieszne. Nana zabrała mnie na koncert NSYNC, gdy miałam dwanaście lat. Przysięgam, że tamtej nocy zaliczyłam pierwszy orgazm.

Tuck zarzuca głowę do tyłu i pohukuje.

— Mówiłam ci, to nie jest śmieszne — gderam. — Miałam obsesję. We wszystkich zeszytach bazgrałam „Sabrina Timberlake”.

— Serio? Nie wierzę.

— Dlaczego?

— Bo jesteś taka poważna przez cały czas. Kiedy wyobrażam sobie ciebie jako dziecko, widzę, jak dla zabawy czytasz podręczniki i wkuwasz na egzaminy SAT z wyprzedzeniem.

Kpiący uśmiech pojawia się na moich ustach.

— Tak, to wszystko też robiłam. Ale zawsze znajdowałam czas dla Justina. Podczas przerw w nauce całowałam się z jego zdjęciem. Z języczkiem.

Tucker gwizdze.

— No nie, Sabrino. Nie wiem, czy mogę się z tobą dłużej spotykać.

I tak po prostu mój humor ulatuje. Nie z powodu tego, co powiedział, wiem przecież, że żartuje — ale z powodu... Z powodu różowego albo niebieskiego słońiatka, cholera jasna.

Tucker i ja spotykaliśmy się zaledwie przez kilka miesięcy, zanim trafiła nas ta dziecięca bomba. Czy w ogóle mielibyśmy jakąś przyszłość? Uwielbiam z nim być. Jest tak spokojnie, na luzie, łatwiej niż z kimkolwiek innym do tej pory. Zaczęłam dostrzegać dla nas przyszłość, ale jak on się na to zapatruje? Co, jeśli będzie miał mnie dość i zechce rzucić?

Jeśli urodzę dziecko, to przyszłość jest ustalona. Zwiążemy się ze sobą na zawsze, bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie. Bez względu na to, czy on tego chce.

— Co się dzieje? — pyta zaniepokojony.

Przełykam grudę w gardle.

— Ja... — Moja twarz załamuje się. — Nie podjęłam jeszcze decyzji.

Jego głos staje się ochrypły.

— Wiem.

— Ja... boję się. — Spuszczam wzrok i wpatruję się w buty. — Naprawdę się boję, Tuck.

— Wiem — powtarza. Potem pociera twarz. — Ja też.

Podnoszę natychmiast wzrok, by spotkać jego spojrzenie.

— Naprawdę?

— Serio pytasz? Jestem cholernie przerażony. — Jęczy. — Staram się być silny dla ciebie, Sabrino. Naprawdę, kurewsko się staram.

Odstraszam mruganiem łzy.

— Zazwyczaj to ja jestem ta silna. Ale teraz wcale nie czuję się silna.

Przyciąga mnie i nagle znów wtulamy się w siebie. Jestem pewna, że wszyscy łyżwiarze gapią się na nas i zastanawiają, dlaczego obściskujemy się ze wszystkich sił jak jakaś para szaleńców, ale mam to gdzieś. Jestem emocjonalnie przeciążona i może właśnie dlatego mówię:

— Myślę, że nie chcę go zatrzymać.

Tucker cofa się nieznacznie. Jego mina jest poważna.

— Jesteś pewna?

— Nie.

— No to musisz dać sobie trochę więcej czasu na zastanowienie — mówi łagodnie. — Okej?

— Okej — mamroczę.

Po długiej chwili ponownie sięga po moją dłoń.

— Chodź, ruszmy się. Opowiem ci więcej o trenerze Śmierć, a ty opowiesz mi wszystko o francuskich pocałunkach z plakatami Timberlake'a.

Wybucham śmiechem. Boże. Ten facet... po prostu... ten facet. Chcę mu podziękować. Pocałować go. Powiedzieć mu, jak bardzo jest niesamowity.

Ale jedyne, co robię, to przeplatam palce z jego palcami i pozwalam mu zaprowadzić się z powrotem na ścieżkę.

Rozdział 22

Sabrina

Mam wrażenie, jakbym trzymała cegłę, a nie telefon. Muszę szybko umówić się na zabieg, bo będzie za późno. Powinnam była zrobić to miesiąc temu, cholera jasna. Jest prawie koniec lutego i to już piętnasty tydzień. Nie wiem, dlaczego tak długo z tym zwlekałam.

To znaczy, wiem dlaczego. Ponieważ nie mogę się zdecydować. Z jednej strony uważam, że będzie mi lepiej bez dziecka. Ale zaraz potem nie mogę sobie wybić z głowy obrazu z trumną Beau.

Moje policzki robią się mokre i zirytowana wycieram łzy dłonią. Wspaniale. Ryczę w miejscu publicznym. Człowiek pomyślałby, że wypłakałam wszystkie łzy na ceremonii pogrzebowej Beau. To było straszne.

Wiedziałam od razu, że pomysł uczenia się dziś w Starbucksie nie był trafiony, biorąc pod uwagę moją hormonalną huśtawkę. Po prostu nie chciałam być w domu, na wypadek gdybym w końcu ogarnęła się emocjonalnie i zadzwoniła do przychodni. Nana nadal nie ma pojęcia o ciąży i nie chcę, by przypadkiem się o niej dowiedziała.

Po raz pierwszy w życiu dryfuję bez celu. Nie widziałam się z Tuckerem od naszego spotkania w parku i przestałam odpowiadać na jego esemesy jakiś tydzień temu. W tych dniach nie mogę skupić się na niczym innym poza nieuchronną decyzją wiszącą nad moją głową.

Unikam nie tylko Tuckera. Od śmierci Beau byłam zaledwie na jednym z naszych cotygodniowych lunchów z dziewczynami. Zasłaniam się zwiększoną liczbą godzin w pracy, ale coś mi się wydaje, że przestały to

kupować.

— Sabrina?

Moja głowa podskakuje. Przed moim stołem stoi Joanna Maxwell. W jednej dłoni trzyma kubek kawy, a w drugiej stylową białą kopertówkę. Owinięta ciemnoniebieskim wełnianym płaszczem wygląda jak gwiazda Broadwayu, którą zapewne zostanie.

— Joanna. — Zrywam się na nogi, by ją uściskać. — Jak się masz? — Jej kości wydają się równie mocne co moje uściski. Zanim ją puszczam, ściskam ją jeszcze raz.

Uśmiecha się blado.

— Okej.

— Co robisz w Bostonie? Jesteście w trasie z przedstawieniem?

— Nie, przedstawienie jest nadal grane na Manhattanie. — Na jej szyję powoli wypełza rumieniec. — Ja... ach... rzuciłam to.

Szok ucisza mnie na sekundę.

— Rzuciłaś?

— Tak. Nadarzyła się okazja, by zająć się czymś innym i postanowiłam z tego skorzystać. — Jej słowa są mieszanką buntu i zawstydzienia, jakby była zmęczona przymusem usprawiedliwiania swoich wyborów, czego z pewnością nie musi robić, rozmawiając ze mną.

— No i dobrze. — Ale jestem zdezorientowana, ponieważ gdy chodziłam z Beau, powiedział, że Broadway był marzeniem Joanny.

— Prawda? Jestem młoda, więc jeśli mam próbować nowych rzeczy, to właśnie teraz.

Próbowanie nowych rzeczy przeraża mnie, ale i tak kiwam głową, ponieważ nie jestem dziewczyną, która straciła ukochanego brata.

Jestem tylko dziewczyną z niechcianą ciążą.

— Dokładnie. Czym się teraz zajmujesz?

— Wydaję demo.

Nie jestem częścią artystycznego świata Briar, dlatego nie mam pojęcia, o czym mówi.

— Och. Fajnie.

Zdziwienie musi być wymalowane na mojej twarzy, bo Joanna dodaje:

— To właściwie taka wizytówka, którą mogę wysłać do różnych ludzi z branży muzycznej. Przesłuchują to i, miejmy nadzieję, ktoś podpisze ze mną kontrakt i nagram płytę. Jeśli mój plan nie wypali, będę śpiewać covery i zamieszczać je na YouTube, może uda mi się wypłynąć w ten sposób. Na razie wszystko się dopiero klaruje.

— Wspaniale — mówię, ale tak naprawdę nic nie rozumiem.

Po jaką cholereę ktoś porzuca płatne wokalne występy dla czegoś, co wydaje się ryzykowne jak diabli? Gdybym miała teraz dobrą pracę, może zatrzymałabym to dziecko. Myślę, że gdybym zaszła w ciążę pod koniec studiów na wydziale prawa zamiast na początku, miałabym inną perspektywę.

— Raczej strasznie. Musiałam zatrudnić się jako kelnerka, czego nigdy wcześniej nie robiłam. Ale nie ma innego sposobu na opłacenie rachunków. A odejście z Broadwayu oznacza, że może nigdy nie będę mogła już tam wrócić.

— Ja, ach, ja... — jąkam się. Możliwość utraty wszystkiego, co planowałam przez całe życie, z powodu ciąży, sparaliżowała mnie. Joanna zaś brzmi tak, jakby z premedytacją zeskoczyła z klifu bez zabezpieczenia.

— Mam nadzieję, że podążasz za swoim marzeniem — mówię bez przekonania.

— Właśnie dokładnie to robię. — Wzdycha. — I wbrew temu, co sądzą rodzice, nie mam egzystencjonalnego kryzysu z powodu śmierci Beau. W zasadzie on by mnie gorąco popierał, nie uważasz?

Beau kochał siostrę, więc tak, jeśli jest szczęśliwa, z pewnością by ją wspierał.

— Chciałby, żebyś była szczęśliwa — zgadzam się.

Joanna przygryza dolną wargę.

— Wiedziałaś, że w głębi serca Beau nie chciał przejść na zawodowstwo? Wiesz, drużyna grała do bani w zeszłym roku i on dostał kilka propozycji, by przejść do innych szkół, może wygrać kolejne mistrzostwo. To postawiłoby go w lepszej pozycji w draftach, ale on kochał swoją drużynę i nie był zainteresowany grą na kolejnym poziomie. Dla Beau najważniejsze to być szczęśliwym. — Jej głos zaczyna się łamać i modłę się do Boga, żeby nie polały się łzy, ponieważ jeśli ona zacznie płakać, ja też nie powstrzymam szlochu.

Ciąża zmieniła mnie w płacziwą, rozhuśtaną emocjonalnie jędzę.

— W takim razie powinnaś to zrobić — stwierdzam stanowczo.

— Wiem.

Wyciera twarz rękawem, a ja grzebię w torebce w poszukiwaniu chusteczki. Znajduję jedną pomietą w narożniku, ale jest czysta i Joanna przyjmuje ją z wdzięcznością.

— Naprawdę cię lubił — mówi cichym głosem. — Stworzylibyście świetną parę, ale może lepiej, że się w nim nie zakochałaś. — Jej twarz załamuje się, gdy rozpacz, którą trzymała na wodzy, wymyka się. — Nie posypałabyś się tak jak ja.

Bez jednego słowa prowadzę ją do stołu, przysuwam puste krzesło do mojego, a potem siadam przy niej, podczas gdy ona płacze. Kilkoro klientów rzuca nam dziwne spojrzenia. Odpowiadam na ich wścibski wzrok zabójczym spojrzeniem.

Na szczęście Joanna szybko się uspokaja. Chwilę później wydmuchuje nos i rzuca mi rozgoryczone spojrzenie spod woalki włosów.

— Kurde, nie ryczałam przez cały dzień — mamrocze. — To był nowy rekord.

— Na twoim miejscu nawet nie wychodziłabym z łóżka.

— Tak robiłam przez pierwsze kilka tygodni, a potem obudziłam się i pomyślałam, że Beau dałby mi kopa w dupę, gdyby widział, jak rozpierdziłam swoje życie. No więc proszę bardzo, próbuję teraz coś nowego i głupiego.

— To wcale nie brzmi głupio według mnie. — I faktycznie już nie. Joanna jest młoda. Jeśli marzy o innej ścieżce muzycznej kariery, lepiej pójść za głosem serca teraz niż później.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Oczywiście, że tak.

Wpycha chustkę do kieszeni płaszcza.

— Beau zawsze mówił, że jesteś taka zdeterminowana i poukładana. Pomyślałam, że na takie przewroty patrzyłabyś z góry.

Marszczę czoło.

— Przez ciebie wychodzę na nieczułą jędzę.

— Nie. Nie chciałam, by to tak zabrzmiało. To był komplement. — Przerywa. — Byłam taka sama. Miałam wszystko zaplanowane: najpierw artystyczny dyplom, potem fantastyczna rola w sztuce na Broadwayu i moje imię rozświetli afisze. Potem Beau zmarł i wszystko wydaje się teraz nieważne, wiesz, o co mi chodzi?

Myślę, że tak.

— W każdym razie czas na mnie. — Pochyla się i znów mnie przytula. Tym razem jej uścisk jest zaskakująco mocny. — Trzymaj się, Sabrino. Mam nadzieję, że ułożysz sobie życie tak, żebyś była szczęśliwa.

Taaak. Gdybym tylko wiedziała, w którą stronę skrócić, by to osiągnąć.

*

Następnego dnia stoję przed drzwiami gabinetu mojej opiekunki. Profesor Gibson siedzi z pochyloną głową nad biurkiem, ocenia prace. Pukam cicho, by jej nie przestraszyć.

— Sabrino, wejdź. — Zaprasza mnie do środka dłonią i szerokim uśmiechem. — Jak ci idzie ostatni semestr?

— Jak po maśle. Nauczyłam się zdawać testy.

— Albo wyćwiczyłaś się w krytycznym myśleniu i jesteś w stanie przesiać gąszcz informacji, by wyłuskać te proste doktryny, które są podparciem dla wszystkich teorii?

— Albo to. — Śmieję się, siadając na krześle.

— Bardziej ekscytuje cię myśl o Harvardzie na jesień czy wakacyjna przerwa?

— Z całą pewnością Harvard. Będę tęsknić za tym miejscem. — Omiotam wzrokiem przytulny gabinet profesor Gibson z tymi olbrzymimi wypchanymi fotelami, które odnawia co cztery lata, i stosami książek straszącymi przewrotną w każdej sekundzie, co nigdy się zresztą nie dzieje. Wszędzie są zdjęcia — ze studentami, z mężem.

I wtedy to mnie uderza. Wiem już, dlaczego nigdy nie myślałam o posiadaniu dzieci. Od chwili, gdy poznałam profesor Gibson, chciałam być taka jak ona. Mądra, odniosła sukces, jest serdeczna, szanowana. Gdziekolwiek idzie, ludzie patrzą na nią z podziwem. I dla dzieciaka takiego jak ja, ze slumsów południowego Bostonu, ten rodzaj podziwu był marzeniem, za którym podążałam nieustępliwie tutaj w Briar.

Nie znam żadnej kobiety z dzieckiem, która odnosiłaby takie sukcesy, jak profesor Gibson. Wiem, że założenie jest błędne, ponieważ tysiące matek zostaje lekarkami, prawniczkami, robią karierę w bankowości i nauce. Nawet Hope i Carin rozmawiają o macierzyństwie, kiedyś. Ale „kiedyś” dla nich

oznacza niesprecyzowaną przyszłość, podczas gdy dla mnie jest już teraz w pieprzonym brzuchu.

— Żałuje pani, że nie ma dzieci? — pytam bez zastanowienia, gapiąc się na jej zdjęcie z mężem, do którego pozwali przed jakimś wiekowym zamkiem.

Profesor Gibson mruży oczy i nie wiadomo jak i skąd, ale wie. Widzę to w jej twarzy.

— Och, Sabrino. — W jej westchnieniu jest ukryte pytanie.

Kiwam potakująco głową.

Zamyka oczy, a gdy je otwiera, znikają wszelkie ślady osądu. Ale dostrzegłam ten początkowy błysk rozczarowania i czuję, jak szczypie.

— Czasami — mówi w odpowiedzi na moje pytanie. — Czasami żałuję, a czasami cieszę się, że ich nie mam. Mam status wyjątkowej cioci dla trojga dzieci mojego brata i one zaspokoili większość moich macierzyńskich instynktów. Mam studentów, i to jest ogromnie satysfakcjonujące, ale nie będę kłamać, że nie zastanawiałam się czasami, jak by to było mieć własne dziecko.

— Myśli pani, że dam radę to zrobić? Mieć dziecko i wytrwać na Harvardzie?

Wydaje cichy, smutny dźwięk gdzieś z tyłu gardła.

— Nie wiem. Pierwszy rok jest czasochłonny i przytłaczający, ale ty jesteś bardzo mądra, Sabrino. Jeśli komukolwiek miałyby się udać, to właśnie tobie. Ale być może coś będzie trzeba poświęcić. Może nie ukończysz studiów *summa cum laude*...

Wzdrygam się, ponieważ zajęcie czołowej pozycji wśród studentów prawa z całą pewnością jest jednym z moich celów.

— Czy publikacjami w „Law Review”.

Staram się nie jęczeć z przerażenia.

— Ale wciąż będziesz absolwentką Harvardu. Co do tego nie mam wątpliwości. — Milknie na chwilę. — A co mówi ojciec dziecka?

— Że to zależy ode mnie. Wesprze każdą moją decyzję.

Uśmiech, który rozpościera się na jej twarzy, jest szczery.

— Ach, to trafiłaś na tego dobrego.

To prawda. Tucker jest dla mnie dobry i to jeszcze bardziej wszystko utrudnia. Jeśli zatrzymam dziecko, wpłynę na jego życie na tysiąc różnych sposobów — i nie wszystkie z nich będą dobre dla niego.

— Jestem pewna, że podejmiesz właściwą decyzję, jakakolwiek by ona była.

— Dziękuję. — Wstaję. — Wiem, że to dziwne, że przychodzę z tym do pani, ale moja mama... — milknę.

— Cieszę się, że przyszedłaś do mnie — mówi stanowczo profesor Gibson.

Ponownie jej dziękuję i wychodzę z gabinetu. Wiem, że powinnam porozmawiać z dziewczynami, ale one powiedzą dokładnie to samo, co profesor Gibson. Tak naprawdę poszłam do niej dlatego, że byłam przekonana na sto procent, że powie mi, bym zdecydowała się na aborcję.

Pięć minut później siedzę w samochodzie i gapię się na deskę rozdzielczą niewidzącym wzrokiem. W tym momencie tęsknię za mamą. Prawie nie była obecna w moim życiu, nie byliśmy sobie bliskie, ale wciąż jest moją mamą i żałuję, że nie ma jej teraz przy mnie. Chcę wiedzieć, dlaczego postanowiła mnie urodzić, skoro wiadomo, że nie chciała mnie w swoim życiu.

Po powrocie do domu wyciągam kartkę papieru i zaczynam robić listę „za” i „przeciw”. W połowie argumentów „za” drę kartkę na pół i wyrzucam ją.

Znam odpowiedź. Przez cały czas. Nie musiałam spotkać Joanny czy profesor Gibson, czy być blisko z wiecznie nieobecną mamą. Fakt jest taki, że nie umówiłam się na aborcję, ponieważ wcale jej nie chcę. Może to nie jest najlepszy wybór, ale... ja przez całe życie czułam się niechciana.

Kładę troskliwie dłoń na wciąż płaskim brzuchu. Mądrzejsza dziewczyna zrobiłaby zabieg, ale ja nie jestem mądrą dziewczyną. Nie dzisiaj.

Dzisiaj zachowuję to dziecko.

Rozdział 23

Sabrina

Czyham na Tuckera po jego zajęciach, które zaczął o jedenastej. Zamiast zapytać o możliwość spotkania, prześledziłam jego aktywność w Internecie i na aplikacji YikYak uniwersytetu Briar znalazłam plan wszystkich zawodników. Tak, wiem, żenada roku.

Studenci wylewają się z budynku pokrytego bluszczem, a ja kojarzę może jednego na trzydziestu, jeśli w ogóle. Mój czas w Briar dobiega końca i nie mam za bardzo się czym chwalić. Niektóre dzieciaki kończą studia z mnóstwem przyjaciół, których zabierają w dorosłe życie. Ja mam dyplom, Carin i Hope. A teraz jeszcze dziecko. Przypuszczam, że dziecko bije na łeb wszystkie siostrzane więzi żeńskiego stowarzyszenia.

Tucker wychodzi na zewnątrz z Garrettem Grahamem. Obaj są zabójczo przystojni, ale to Tucker przykuwa moją uwagę. Nie, żeby Garrettowi czegoś brakowało, po prostu widzę tylko Tuckera. Zgolił brodę. Nie wiem, co o tym sadzę — podobala mi się broda — ale nie mogę zaprzeczyć, że jego gładko ogolona twarz jest równie pociągająca. Ma dołeczek w brodzie, który był schowany pod zarostem. Boże, chcę zbadać ten dołeczek językiem.

Cała reszta prezentuje się równie kusząco. Ma na sobie obcisłą dzianinową bluzę z długimi rękawami, wepchniętą z jednej strony za pasek dżinsów. Na czubku kasztanowej głowy, którą odrzuca do tyłu, gdy śmieje się z czegoś, co mruczy Garrett, widać parę okularów przeciwsłonecznych. Tuż za nimi drepcze pochod głodnych dziewczyn, desperacko spragnionych uwagi tych facetów. Ale oni są bardziej zainteresowani wymianą żartów niż oglądaniem

się za laskami.

Czuję, jak zalewa mnie fala ulgi. Nie spaliśmy ze sobą od tamtej nocy w hotelu. Najpierw było odkrycie ciąży, potem śmierć Beau, uroczystość żałobna, a następnie... nic tak naprawdę. Od Nowego Roku byłam bardzo zakręcona.

Zagryzam wargę. Nie chciałam ciągnąć go w dół za sobą, ale dokładnie to robię.

Oczy Tuckera lądują na mnie i jego śmiech zamiera. Usta ruszają się, artykułują coś w rodzaju: „Zobaczymy się później, stary. Mam coś do załatwienia”.

Spojrzenie Garretta szybuje w moją stronę i pewnie stwierdza: „Ta laska wysysa dusze. Trzymaj się od niej z daleka”.

Na ustach Tuckera widać uśmiech. Albo odpowiada, że da sobie ze mną radę, albo że podoba mu się moje ssanie, a może nawet: „Za późno”. Zaczyna maszerować w moim kierunku, a gniewne spojrzenie Garretta przesuwa się z pleców Tucka na moją twarz.

Uśmiecham się szeroko, odsłaniając trochę zębów.

— Unikasz mnie — mruczy Tucker na przywitanie.

Skupiam się tylko na nim, ignoruję Garretta, pełne uwielbienia dziewczyny i resztę studentów. Oni tylko mnie rozpraszają, a Tucker zasłużył sobie na pełną uwagę.

— Miałam dużo na głowie — przyznaję.

— Ja też.

Unosi w górę brwi, a ja przechylam głowę w stronę tłumu.

— Masz chwilę?

— Dla ciebie zawsze.

Ścisną mnie w sercu. Od tygodni byłam dla niego nieuchwytna, a on wciąż znajduje sposób, by patrzeć na mnie tak, jak bym była jedyną dziewczyną na

tej planecie. Cholernie na niego nie zasługuję.

Chwyta mnie za łokieć i ciągnie w kierunku rzędu ławek stojących wzdłuż dziedzińca.

— Spotykasz się z kimś? — pytam najbardziej swobodnym tonem, jaki potrafię z siebie wydobyć.

Zatrzymuje się tak gwałtownie, że niemal zaliczam skok na główkę na wybrukowanej ścieżce. Przytrzymuje mnie, pomaga złapać równowagę, a następnie kładzie dwie dłonie na moich ramionach i obraca tak, że stoję teraz zwrócona do niego twarzą.

— To ma być jakiś żart?

— Przestałeś do mnie pisać. — Nienawidzę niepewności w swoim głosie. Jego twarz łagodnieje.

— Dawałem ci przestrzeń.

Wymuszam wzruszenie ramion.

— Byłoby w porządku, gdybyś był.

W jego szczęce podskakuje mięsień, a uścisk na moich ramionach staje się niewygodnie ciasny. Okej. Źle to rozegrałam.

W końcu wzdycha i podciąga okulary słoneczne.

— Nie, z nikim się nie spotykam. — Słyszę, jak dodaje półszepem: — Z tobą również nie.

— Przepraszam — mówię bez zastanowienia. — Nie chciałam cię urazić. Po prostu chcę, żebyś wiedział, że to — macham palcami wokół brzucha — nie powinno cię ograniczać.

Jego rysy znów się napinają.

— Muszę coś zjeść, a potem będziemy kontynuować tę rozmowę. Chodźmy.

— Dokąd?

— Gdzieś w ustronne miejsce. — Nie zwalnia kroku, nawet gdy

przekierowuje nas ze ścieżki, która prowadzi na salę wykładową, na drogę wiodącą do parkingu za budynkiem.

Wiele mijanych po drodze osób macha do niego, ale on nie zatrzymuje się ani razu. Do mnie też się nie odzywa. Docieramy do jego wozu, pomaga mi zająć miejsce pasażera i wpatruje się we mnie wyczekująco.

— Co? — mamroczę.

— Pasy.

— Zapnę je, kiedy sam wsiądziesz.

— Teraz.

— Czy to dlatego, że zapytałam, czy spotykasz się z inną dziewczyną?

Mięśnie szczęki ponownie drżą.

— Nie. To dlatego, że jesteś w ciąży. — Brew unosi się nad oprawkami okularów. — Bo wciąż jesteś, tak?

Czerwienię się. Ale coś mi się wydaje, że sama się o to prosiłam.

— Tak. Nie zrobiłabym niczego bez twojej wiedzy.

— Dobrze. Zapnij pasy.

Robię, jak mi rozkazuje, ponieważ to oczywiste, że nie ruszymy się z miejsca, póki nie usłyszy kliknięcia pasów. Potem wyciągam dłonie i mówię:

— Okej?

Kiwa głową i zatrzaskuje drzwi.

Nie odzywamy się słowem, gdy odpala silnik i opuszczamy parking. Wiezie nas jakieś pięć kilometrów dalej i zatrzymuje się przed małym lodowiskiem na świeżym powietrzu. Lód jest roztopiony i zamiast łyżwiarzy na lodowisku ustawiono piknikowe stoły, przy których siedzi niewielu ludzi. Nie widać żadnych studentów.

— Może zajmiesz miejsce? — proponuje Tucker, pomagając mi wysiąść z samochodu. — Chcesz coś do jedzenia? Picia?

— Wodę.

Rusza w kierunku sklepika, a ja zajmuję stolik w odległym narożniku, sadowiąc się tak, bym mogła patrzeć na Tuckera maszerującego po chodniku.

Gdybym miała wybrać ojca mojego dziecka, nie mogłabym trafić lepiej. John Tucker jest boski, wysoki, utalentowany sportowo i mądry. Ale przede wszystkim jest przyzwoity. Bez względu na to, co się stanie w przyszłości, nigdy nie odwróci się od tego dziecka. Nie sprawi, by on czy ona czuli się niechciani. W żaden sposób jej czy jemu nie zagrozi. Bez względu na to, co się stanie — nawet jeśli wszystko spieprzę, a wiem, że tak — Tucker zawsze będzie blisko, by posprzątać cały bałagan.

To dlatego, że jest dobry i przyzwoity, decyzja o zatrzymaniu dziecka była tak cholernie trudna. Gdybym zdecydowała się na zabieg, przypuszczam, że by rozpaczał, ale teraz, gdy zachowam dziecko, jego życie zmieni się na zawsze. I to przeze mnie.

Wciąż powtarzam sobie te słowa. Nie mogę na nim polegać zbyt mocno ani prosić go o zbyt wiele, ponieważ on dałby mi wszystko. Ale ja nie mam w zwyczaju brać czy wykorzystywać. Najłatwiej byłoby po prostu zakochać się w Tuckerze i pozwolić, żeby sam zajął się wszystkim.

Byłoby łatwo. Ale nie byłoby fair.

Minutę później siada na krześle i przesuwając po stole butelkę wody. Dla siebie kupił hot doga i kawę. Nie odzywamy się, gdy pochłania z pośpiechem jedzenie. Na koniec, zwija w kulkę serwetkę i wyrzuca ją do pustego opakowania po hot dogu. Okulary zahacza o dekolt bluzy, owija duże sprawne dłonie wokół kubka kawy i czeka. Czas na moje przedstawienie.

Oblizuję usta raz, dwa razy, a następnie mówię po prostu, jak jest.

— Nie usunę dziecka.

Zamyka oczy, ukrywając wszelkie emocje, które go teraz zalewają. Ulga? Strach? Nieszczęście? Gdy podnosi z powrotem powieki, jego spojrzenie jest

czyste i pozbawione wyrazu.

— Jak mogę pomóc?

Uśmiecham się niechętnie. Odpowiedź totalnie w stylu Tuckera. Co tylko umacnia mnie w postanowieniu, że zrobię wszystko, by nie odczuł żadnego obciążenia i wiedział, że ma pełną wolność w znalezieniu kogokolwiek albo czegośkolwiek pragnie dla siebie w przyszłości. Gdy tylko będzie chciał się wylogować, nie będę oponowała.

— Radzę sobie póki co. Okazało się, że dzięki pracy na poczcie jestem w pełni ubezpieczona. Pracowałam tam od ukończenia liceum. Kiedyś narzekałam, że potracali mi na zdrowotne, skoro nigdy z tego nie korzystałam, ale teraz okazuje się to przydatne.

— Dobrze. Więc opieka zdrowotna jest ogarnięta. A co po urodzeniu dziecka? Nadal wybierasz się na studia prawnicze?

— Tak, absolutnie. — Myśl o rezygnacji nawet nie przyszła mi do głowy. — Będzie podobnie jak tutaj. W ciągu dnia są trzy albo cztery zajęcia. Przez resztę czasu będę się uczyć w domu.

Jego usta zaciskają się i jest to pierwszy objaw jakichś emocji.

— Z twoim ojczymem?

Trudno nie zaczerwienić się ze wstydu.

— To dupek, ale nigdy mnie nie dotknął.

— Kiepska zachęta.

Turlam kilka razy butelkę między dłońmi. Tucker przeczekuje mnie. Ma więcej cierpliwości niż święty.

— Musiałam rzucić pracę w klubie — mówię cicho. — Liczyłam, że te pieniądze pomogą mi opłacić studia prawnicze. Nie stać mnie, by mieszkać gdziekolwiek indziej. Mam też nadzieję, że Nana będzie opiekować się dzieckiem, kiedy będę na zajęciach.

— A ja? Ufasz mi?

Moja głowa podskakuje, by spotkać jego nieco sfrustrowaną minę.

— Oczywiście.

— To dlaczego nie ja będę zajmował się dzieckiem podczas twoich zajęć?

— Ponieważ musisz znaleźć pracę, prawda? Nana nie pracuje. Utrzymuje się z renty.

Tucker pociera czoło dłonią, jakby ogrom przedsięwzięcia, którego mamy się podjąć, w końcu zaczął wsiąkać.

— Masz rację. Muszę znaleźć pracę.

— Nie znalazłeś jeszcze biznesu dla siebie?

— Możliwości jest mnóstwo, ale jeśli nauczyłem się czegokolwiek z zarządzania przedsiębiorstwem, to tego, że jeśli nie kochasz tego, co robisz, biznes jest skazany na porażkę. — Bierze łyk kawy. — Latem będę pracował na budowach. Robiłem to w przeszłości i można dobrze zarobić. W wolnym czasie będę nadal przyglądał się różnym możliwościom, aż znajdę coś dla siebie.

— Do tego czasu więc pomoc Nany ma sens.

Zastanawia się, ale nie wymyśla żadnego lepszego rozwiązania.

— Na tę chwilę. Dopóki nie znajdziemy czegoś lepszego. — Milknie na moment. — Muszę powiedzieć mojej mamie. I współlokatorom.

Ucisk, który zaczynam odczuwać w żołądku, nie ma nic wspólnego z ciążą, za to na pewno ma wiele wspólnego ze wstydem. Co wyzwała przyływ złości na siebie samą, bo zajście w ciążę nie jest jakimś strasznym, hańbiącym zdarzeniem. Jestem dorosła. Będę miała dziecko. Wielka mi sprawa.

— Możesz wstrzymać się ciut dłużej? To znaczy, pewnie, powiedz mamie, ale czy mógłbyś nie mówić jeszcze swoim przyjaciołom? — Waham się, a potem wyznaję. — Sama nie powiedziałam nikomu.

— Nikomu? — pyta z niedowierzaniem.

Kiwam nieszczęśliwie głową.

— Nie jesteś jedynym człowiekiem, którego unikam. Prawie nie spotykam się z Carin i Hope.

— Przyznajesz, że mnie unikasz.

Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Udaję, że jestem skupiona na drewnianych włóknach na stole. Z całego serca chcę mu powiedzieć, jak bardzo za nim tęskniłam. Bo naprawdę tęskniłam. Tęskniłam za całowaniem go, żartowaniem z nim, zwracaniem się do mnie „moja droga” z tym jego południowym akcentem.

Generalnie przez całe życie byłam samotnikiem, unikałam Nany i Raya, jak tylko mogłam. W Briar zaprzyjaźniłam się z Carin i Hope, ale nie miałam potrzeby, by powiększać grono znajomych. Dlatego ta bolesna samotność wywołana przez rozłąkę z Tuckiem zaskoczyła mnie.

Ale jak mogę z nim być ze świadomością, że przeze mnie cały jego świat wywrócił się do góry nogami? Ciężar poczucia winy byłby bardziej przytłaczający niż ciężar samotności.

Biorę głęboki oddech i wyduszam z siebie słowa, których wcale nie chcę powiedzieć.

— Jeśli chcesz spotykać się z innymi ludźmi... to możesz. Ja nie będę. Nie mam na to czasu, ale jeśli ty chcesz, nie mam nic przeciwko.

Zapada cisza.

Jego długi palec znajduje sposób, by dostać się pod moją brodę i unieść ją tak wysoko, że albo mogę zacisnąć powieki, albo spojrzeć w oczy Tuckera. Wybieram to drugie, ale nie sposób odczytać czegokolwiek z jego miny.

Raczy mnie długim, kontemplacyjnym spojrzeniem.

— A może zrobimy tak. Powiem ci, kiedy znajdę kogoś nowego. A ty i ja możemy być po prostu przyjaciółmi. — Łagodni ton. — Jeśli zdecydujesz, że chcesz więcej, wtedy porozmawiamy.

— Przyjaciółmi? — powtarzam cicho. — Niech będą przyjaciele. — A potem, ze względu na jego przyzwoitość, nie wytrzymuję i dodaję: — Nigdy nie miałam stałego chłopaka. Wiem jedynie, jak zaliczać i wszystko spieprzyć.

— Moja droga...

Dźwięk tych dwóch łagodnych słów tylko podsyca moją panikę.

— Nie mogę uwierzyć, że będę matką. Boże, Tuck, przez całe życie myślałam tylko o jednym — wyczołgać się z nory. A teraz mam do niej kogoś zaciągnąć i nie wiem, czy potrafię to zrobić.

Powstrzymywane od tygodni łzy wypływają. Tucker obejmuje mój policzek ciepłą dłonią i wpatruje się pewnie w moje oczy.

— Nie jesteś sama — mówi cicho, ale żarliwie. — I nie ciągniesz nikogo w dół. Jestem tu z tobą, Sabrino. Na każdym etapie tej drogi.

I tego właśnie się boję.

Tucker

W hokeju jest tak, że prawie każdy ma swojego partnera. Przednia linia napastników składa się z lewego i prawego skrzydła oraz środka. Obrona jeździ w parach. Tylko bramkarz jest sam i on zawsze jest dziwny. Zawsze.

Kenny Simms skończył studia w zeszłym roku. Był jednym z najlepszych bramkarzy w Briar i prawdopodobnie dzięki niemu wygraliśmy trzy razy pod rząd Frozen Four, ale ten gość miał najbardziej odjechane przyzwyczajenia. Gadał do siebie częściej niż do kogokolwiek innego, siadał z tyłu autokaru, wolał jadać w samotności. Wychodził z nami rzadko, jeśli już, to zawsze się kłócił. Kiedyś wdąłem się wz nim w dyskusję, czy dzieciaki mają zbyt duży dostęp do technologii. Zamiast pić piwko w knajpie, wałkowaliśmy ten temat przez całe trzy godziny.

Sabrina przypomina mi Simmsa. Nie jest dziwna, ale jest równie zamknięta w sobie. Uważa się za samotnika. W zasadzie nigdy nie miała z kim pojeździć na łyżwach — nawet ze swoimi przyjaciółkami, Carin i Hope. W pewnym sensie to rozumiem. Chłopaki spoza hokejowej drużyny to równi faceci, ale z nimi nie krwawiłem, nie płakałem, nie wygrywałem. Nie wiem, czy w razie czego stanęliby za mną murem, bo nigdy nie byliśmy w sytuacji, gdy taka lojalność zostałaby przetestowana.

Sabrina nie wie, jak to jest mieć kogoś przy swoim boku, a co dopiero kogoś, na kim można polegać. I właśnie z tego powodu nie ulegam pokusie, by wstrząsnąć nią jak pinatą za mówienie bzdur w stylu, że mam wolną rękę i mogę się spotykać z innymi kobietami. Strach w jej oczach jest namacalny i przypominam sobie, że kluczem w tej grze jest cierpliwość.

— Chcesz, żebym pojechał z tobą do domu? — proponuję, zatrzymując się na kampusowym parkingu, gdzie stoi jej samochód. — Posiedzimy trochę razem, zastanowimy się, co i jak?

Potrząsa przecząco głową. Oczywiście, że nie. Ta dziewczyna nie jest w stanie spojrzeć mi w oczy od chwili, gdy wybuchnęła płaczem. Nienawidzi przy mnie płakać. Kurde, przypuszczam, że generalnie nienawidzi płakać. Dla Sabriny łzy są dowodem słabości, a ona nie znosi być postrzegana jako ktoś słabszy niż amazonka.

Tłumię westchnienie i wysiadam z wozu. Odprowadzam ją do samochodu, a potem przyciągam jej sztywne ciało do siebie. Zupełnie jakbym przytulał zamrożony klocek.

— Na następną wizytę do lekarza chcę iść z tobą — oznajmiam.

— Dobrze.

— Tylko nie ekscytuj się tym wszystkim za bardzo. Obudzisz dziecko — mówię oschle.

Błyska zbolałym uśmiechem.

— Dziwne, co? Mówienie, że będziemy mieć dziecko?

— Są dziwniejsze rzeczy. Simmsy, nasz stary bramkarz, przed każdym meczem miał w zwyczaju jeść fistaszki. To jest dopiero zakręcone. Kobieta, która spodziewa się dziecka, wydaje się kwalifikować do całkiem zwyczajnej kategorii.

Jej uszy różowieją.

— Chodzi mi o nas. — Kręci palcem wskazującym między nami. — Że my spodziewamy się dziecka. To jest dziwne.

— E tam. Wcale nie uważam, że to dziwne. Jesteś młoda, superpłodna — jak się okazuje — a ja nie potrafię trzymać łap z daleka od ciebie. — Pochyliłam się i zostawiam mocny pocałunek na jej zdziwionych ustach. — Jedź do domu, utnij sobie drzemkę czy coś. Napisz do mnie, jak tylko będziesz znała datę kolejnej wizyty. Do zobaczenia.

I potem zmywam się, żeby nie zaczęła się ze mną wyklócać. Dziwne? Nie, to nie jest dziwne. Jest przerażające i fantastyczne jednocześnie, ale nie dziwne.

Po powrocie zastaję pustą chatę. I dobrze. Gdyby moi współlokatorzy kręcili się po domu, mógłbym nie wytrzymać i zapodać im newsa, a muszę uszanować życzenie Sabriny. Jesteśmy teraz drużyną, czy jej się to podoba, czy nie. Jest śmiertelnie przerażona, przepełniona poczuciem winy i przytłoczona tym, co ma się wydarzyć. Wydaje mi się, że na tym etapie wszystko, co mogę zrobić, to po prostu być dla niej. Nowi zawodnicy w drużynie nie zawsze ufają ci od samego początku. Będą przetrzymywać krążek, bo są przyzwyczajeni, że w ten sposób zdobywają punkty i osiągają sukces. Wychowywanie dziecka to sport drużynowy. Sabrina musi się nauczyć, że można mi ufać.

Póki co nie pisnę słowa moim współlokatorom, dopóki ona nie będzie gotowa. Ale jest ktoś, kto musi się dowiedzieć.

Pędzę na górę, siadam na brzegu łóżka i piszę do mamy.

Ja: *Masz chwilę?*

Ona: *Za 20 min, kochanie! Kończę farbować panią Nelson.*

Kolejne dwadzieścia minut schodzi mi na googlowaniu pierdół o bobasach. Wcześniej nie pozwalałem sobie na to. Nie wiedziałem, czy Sabrina zamierza urodzić dziecko, i w przypadku, gdyby jednak zdecydowała się na aborcję, nie chciałem przywiązywać się emocjonalnie, a potem cierpieć.

Teraz mogę rzucić się w temat ojcostwa. W odróżnieniu od Sabriny nie czuję już przerażenia. Zawsze wyobrażałem sobie siebie z rodziną. Oczywiście, sądziłem, że mam czas, że poczekam przynajmniej do chwili skończenia nauki, rozkręcenia dobrego interesu i zarabiania konkretnych pieniędzy. Ale życie ciągle się zmienia i człowiek musi się po prostu przystosowywać.

Robię jakieś niedbałe kalkulacje na marginesie zeszytu od mienia służbowego, by sprawdzić, czy stać mnie na kupno domu w Bostonie. Szybko uświadamiam sobie, że z funduszu po tacie nie wystarczy mi na zakup domu i zainwestowanie w biznes. Nieruchomości w Bostonie są niebotycznie drogie. Coś mi się wydaje, że przez jakiś czas będę musiał poprzestać na wynajmie.

No dobra. Będę potrzebował nowego lokum, pracy i muszę wymyśleć, co zamierzam zrobić z moim pieprzonym życiem poza murami uniwersytetu. Nie przykładałem się do poszukiwań biznesu, ponieważ nie było żadnej pilnej potrzeby, ale z dzieckiem w drodze i Sabriną kiszącą się w gównianej norze muszę się konkretnie ogarnąć.

Zamawiam kilka książek na Amazonie o ciąży i rodzicielstwie, gdy dzwoni moja matka.

— Kochanie! Co u ciebie? Jeszcze tylko kilka miesięcy i wracasz do

domu! — śpiewa mi do ucha.

Mój żołądek się skręca. Mama jest jedyną osobą na świecie, której nie cierpię rozczarowywać. Wiadomość, że nie wracam do Teksasu, ją zmiażdży. Ale jeśli mam być szczery, myśl o Teksasie była mi bardzo nie w smak już od jakiegoś czasu. W pewnym sensie dziecko mnie ratuje.

Odnutowuję w myślach, by powiedzieć o tym Sabrinie, ponieważ wiem, że ona głęboko wierzy, iż zrujnowała mi życie.

— Właśnie, jeśli o to chodzi. Moja... — Waham się, ponieważ nie wiem, kim dla siebie jesteśmy po tej naszej porannej pogawędce. — Dziewczyna — kończę z braku lepszego terminu. Nasza relacja jest zbyt skomplikowana, by się w nią teraz zagłębiać w rozmowie z mamą. Poza tym, nie mogę za bardzo zagmatwać tematu, ponieważ mama i tak będzie wystarczająco zdenerwowana. — Pamiętasz, jak powiedziałem ci w czasie świąt, że poznałem pewną dziewczynę?

— Tak... — Brzmi ostrożnie.

Walę prosto z mostu.

— Ona jest w ciąży.

— To twoje dziecko? — mama pyta natychmiast. W jej głosie wybrzmiewa nuta nadziei, którą szybko gaszę.

— Tak, mamo, dlatego do ciebie dzwonię.

Następuje długa, bardzo długa chwila ciszy. Tak długa, że niemal zastanawiam się, czy aby się nie rozłączyła.

W końcu się odzywa:

— Zamierza je urodzić?

— Tak. To już chyba szesnasty tydzień. — Wszystko zdążyłem obliczyć. Data poczęcia to prawdopodobnie nasz pierwszy seks, gdy tak bardzo spieszyłem się, by wejść w jej ciasną cipkę, że zapomniałem o prezerwatywie.

Sabrina James sprawia, że tracę głowę i to w niejednej kwestii.

— Szesnaście tygodni! — Mama krzyczy. — Wiedziałeś w czasie świąt i nic mi nie powiedziałeś?

— Nie, oczywiście, że nie. Dowiedziałem się dopiero później.

— Och, John. Co zamierzasz zrobić?

Wypuszczam powolny, równy oddech.

— Wszystko, co będzie trzeba.

Rozdział 24

Sabrina

Trzy tygodnie później

Po dotarciu do knajpki Della's widzę, że boks w samym kącie jest pusty. To dobry znak. Ciągnę za rąbek płaszcza, by przykryć brzuch. Robi się za ciepło na mój długi płaszcz, ale zaczynam się zaokrąglać. Dzięki niebiosom za spodnie do jogi. Nie wiem, jak długo uda mi się nosić normalne ciuchy.

Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce na temat ciąży. Smutny fakt jest taki, że każdy przypadek jest inny. Na jedną kobietę, która przytyła jedynie o wagę dziecka plus kilka kilogramów, jest pięć, które przysięgają, że połknęły całe pole arbuźów. Wiele z nich przyznało, że w pewnym momencie musiało zrezygnować z prowadzenia samochodu, ponieważ kierownica uwierała je w brzuch, nie wspominając już, że pasy nie są pomyślane dla kobiet w ciąży. Już mogę to poświadczyć.

Dla mnie zmienia się wszystko i cholernie się boję. Nana i przyjaciółki nadal nie wiedzą. Również Tucker nie wtajemniczył swoich przyjaciół, bo tak sobie życzyłam. Wiem, że to brzmi irracjonalnie, ale w pewnym sensie mam wrażenie, że jakaś część mnie wierzy, że jeśli nic nie powiemy, to nasze życie nie musi się zmieniać. Wczoraj wieczorem powiedziałam to Tuckerowi przez telefon, a on roześmiał się łagodnie i powiedział: „Już się zmieniło, moja droga”.

Gdy obudziłam się dziś rano i nie mogłam zapiąć dzinsów, rzeczywistość zaczęła mnie walić po głowie niczym młot Thora. Nie mogę już dłużej

ukrywać tej ciąży. To jest prawdziwe.

Nadszedł w końcu dzień na ogłoszenie sensacyjnej wiadomości o dziecku. Mam nadzieję, że gdy przestanę się ukrywać, odzyskam kontrolę nad swoim życiem i ponownie siądę za sterami statku. Może znów będę w stanie przespać całą noc i nie budzić się zlaną zimnym potem.

— Chcesz poczekać na znajomych, czy mam coś podać? — pyta Hannah, gdy rozsiadam się w kabinie.

Moje spojrzenie mimowolnie pada na jej szczupłą talię i dźga mnie ukłucie zazdrości. Zastanawiam się, czy kiedyś będę tak wyglądać. Moje ciało zaczyna wydawać się takie obce. Żadną dietą nie pokonam tej twardej piłki w brzuchu. Tam w środku jest malutki człowiek. I ten kopiec będzie tylko rósł.

— Mleko — odpowiadam, aczkolwiek niechętnie. Napoje gazowane są na liście rzeczy, które nie służą mojemu organizmowi, razem ze wszystkimi innymi pysznościami i wspaniałościami tego świata.

Gdy Hannah znika, pojawia się Hope.

— Co tam? Twój esemes brzmiał złowieszczo. — Ściąga trencz i zasiada naprzeciwko mnie. — W kwestii Harvardu nic się nie zmieniło, tak?

— Poczekajmy na Carin.

Marszczy głęboko czoło.

— Dobrze się czujesz? Nana nie jest chora, co?

— Nie, wszystko w porządku. I z Harvardem też. — Zerkam na drzwi, pragnąc, by Carin przybyła czym prędzej.

Hope nie przestaje mnie maglować.

— Ray spadł ze skały? Nie, to by była dobra wiadomość. O Boże, złamał nogę i musisz koło niego skakać.

— Zamknij się. Nawet nie chcemy kusić losu takimi sugestiami.

— O, proszę, ona wciąż potrafi żartować. Czyli świat się nie kończy. —

Hope daje sygnał Hannah, zanim zaczyna wpatrywać się we mnie. — Dobra, więc jeśli nie chodzi o babcię i z Harvardem wszystko gra, a Ray nie przestał być chamem, to o co chodzi? Nie widziałyśmy się od tygodni.

— Powiem ci, jak przyjdzie Carin.

Sfrustrowana Hope unosi dłonie.

— Carin zawsze się spóźnia!

— A ty zawsze jesteś niecierpliwa. — Zastanawiam się, jakie będzie moje dziecko? Spóźnialskie, niecierpliwe, zdeterminowane, wyluzowane? Mam nadzieję, że wyluzowane. Ja zawsze jestem tak cholernie spięta. Chciałabym, żeby Tucker przelał we mnie trochę swojej cierpliwości zamiast spermy. Szkoda, że świat nie działa w ten sposób.

— Prawda. — Przesuwa się na siedzeniu. — A co u Tuckera? Między wami to coś na serio?

— Coś jest — mamroczę.

— A co to niby znaczy? Spotykasz się z nim od końca października. Czyli ponad cztery miesiące. W świecie Sabriny równie dobrze mogłabyś być zaręczona.

Faktycznie, osiemnaście tygodni i trzy dni, ale kto oprócz mnie i ginekologa to liczy?

Zanim Hope zdoła wycisnąć ze mnie więcej, Carin wpada z przeprosinami za spóźnienie i ściska każdą z nas.

Pojawia się Hannah, przynosi mleko, dwie karty menu i znika, by obsłużyć kolejny stolik.

Hope chwyta Carin za nadgarstek i pcha ją na siedzenie.

— Wybaczamy tobie — oznajmia. Potem odwraca się do mnie ze srogim wzrokiem. — Wal.

— Carin nie zdjęła nawet płaszcza — protestuję, chociaż sama nie wiem, dlaczego odwlekam to, co nieuchronne. Wstyd do kwadratu, że nie potrafię

właściwie używać środków antykoncepcyjnych, ale już bycie w ciąży jest normalne. Przynajmniej to moja aktualna mantra.

— Pieprzyć Carin i jej płaszcz. Jest tutaj. Zaczynij mówić.

Biorę głęboki oddech i ponieważ nie ma łatwego sposobu na oznajmienie prawdy, po prostu wyrzucam to z siebie.

— Jestem w ciąży.

Carin zamiera ze swoim płaszczem w połowie ramion.

Hope rozdziawia szeroko buzię.

Carin trąca Hope jednym z uwięzionych ramion.

— Czy dziś jest prima aprilis? — pyta, nie spuszczając ze mnie wzroku.

Nawet odpowiadając przyjaciółce, Hope również nie odrywa oczu od mojej twarzy.

— Chyba nie, ale sama mam wątpliwości.

— Nie żartuję. — Biorę łyk mleka. — Prawie piąty miesiąc.

— Piąty miesiąc? — Hope wydziera się tak głośno, że niemal każda głowa w restauracji obraca się w naszą stronę. Pochyla się przez stół i powtarza słowa, tym razem szeptem. — Piąty miesiąc?

Potakuję i zanim dodaję coś jeszcze, pojawia się Hannah, by przyjąć nasze zamówienia. Hope i Carin najwyraźniej straciły apetyt przez mojego newsa, ale ja jestem głodna, więc zamawiam kanapkę z indykiem.

— Widać już coś? — Hope wciąż wygląda na nieco oszołomioną.

— Troszkę. Mieszczę się jeszcze w rozciągliwe spodnie. Ale obcisłych dzinsów już nie założę.

— Byłaś u lekarza? — pyta. Siedząca obok niej Carin nie odzywa się słowem.

— Tak. Jestem ubezpieczona dzięki pracy na poczcie. Wszystko wygląda dobrze.

— Planowałaś powiedzieć nam po urodzeniu dziecka? — nie wytrzymuje

Carin. — Uraza zabarwia jej słowa.

— Nie byłam nawet pewna, czy zachowam dziecko — przyznaję. — A kiedy podjęłam decyzję, to... wstydziłam się. Dziewczyny, nie wiedziałam, jak wam powiedzieć.

— Wiesz, że nie jest za późno — mówi Hope z zachęcającym uśmiechem. Carin rozchmurza się na tę myśl.

— Dokładnie. Aborcja jest dozwolona do trzeciego trymestru.

Ich brak wsparcia boli, ale w jakiś sposób sprawia, że jestem bardziej stanowcza. Całe moje życie polega na udowadnianiu niedowiarkom, że dam radę.

— Nie — mówię z przekonaniem. — Właśnie tego chcę.

— A co z Harvardem? — pyta Hope.

— Będę studiować. Nic się nie zmieniło.

Moje przyjaciółki wymieniają spojrzenie, które mówi, że jestem beznadziejna i jedna z nich musi mi to obwieścić. Przypuszczam, że wygrywa Hope, ponieważ odzywa się pierwsza.

— Naprawdę sądzisz, że nic się nie zmieni? Będziesz miała dziecko.

— Wiem. Ale miliony kobiet rodzi dzieci każdego dnia i wciąż dają radę funkcjonować w dorosłym życiu.

— Będzie ci bardzo ciężko. Kto zajmie się dzieckiem podczas twoich zajęć? Jak się będziesz uczyć? — Sięga dłonią przez stół, by ucisnąć moją słabą rękę. — Po prostu nie chcę, żebyś popełniła błąd.

Moja twarz twardnieje.

— Nie zrezygnuję z Harvardu.

Nie wiem, czy bardziej ton mojego głosu, czy może wyraz twarzy przekonuje je, że podjęłam już decyzję, w każdym razie dociera to do nich. Choć na ich twarzach wciąż widać sceptycyzm, ruszają dalej.

— Chłopiec czy dziewczynka? — pyta Carin. — Czeka, Tucker jest

ojcem, tak?

— Oczywiście, że Tucker jest ojcem. Nie wiem. Jeszcze nie mieliśmy USG.

— Co powiedział, kiedy się dowiedział? — wcina się Hope.

Że nie jestem sama.

— Że dobrze. Nie wybuchnął płaczem ani nie wrzeszczał z wściekłości. Nie przewrócił stołu ani nie żołądkował się, że życie jest niesprawiedliwe. Po prostu przytulił mnie i powiedział, że nie jestem sama. Myślę, że trochę się boi, ale będzie przy mnie na każdym etapie. — Przełykam grudę w gardle. — I choć chcę go chronić, zamierzam trzymać się jego ręki tak długo, jak to możliwe. To cholernie egoistyczne, ale w tej chwili wizja, że miałabym stawić czoła przyszłości sama, nie daje mi zmrużyć oka.

— To dobrze, przynajmniej to — mówi łagodnie Carin.

— On jest niesamowity. Nie zasługuję na niego. — Boże, jeśli moje najlepsze przyjaciółki mają problem z zaakceptowaniem rzeczywistości, nie wyobrażam sobie, co się musi dziać w głowie Tuckera.

Hope marszczy czoło.

— Dlaczego tak mówisz? Przecież sama nie zrobiłaś sobie dziecka.

— Nie miał wyboru.

— Gówno prawda. Ryzyko występuje za każdym razem, gdy uprawiasz seks. Żadna forma antykoncepcji nie jest efektywna na sto procent. Nawet wazektomia. Masz ochotę na jazdę, musisz za to zapłacić.

— Słona cena.

Macha dłonią.

— Płacisz i ty.

— Czy możemy przestać być tak depresyjne? — piszczy Carin. — Porozmawiajmy o ważnych rzeczach. Kiedy będziesz miała USG? Chcę zacząć kupować rzeczy dla maluszków.

Otwieram buzię, by odpowiedzieć, że nie wiem, ale przerywa nam telefon Carin.

— Kurde. — Wygrzebuje go i podnosi się z siedzenia. — To mój doradca. Muszę odebrać.

Gdy znika, idąc w kierunku łazienki, Hope kieruje w moją stronę zasmucone spojrzenie.

— Cholera, S, naprawdę mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

— Ja też. — Wiem, że mnie kocha i przemawia przez nią troska, ale podobnie jak Carin nie chcę rozwodzić się nad negatywami. Podjęłam decyzję i to całe gdybanie tylko mnie dołuje.

— Chcę tylko, żebyś była szczęśliwa — mówi cicho.

— Wiem. — Tym razem to ja sięgam dłonią przez stół. — Boję się, ale chcę właśnie tego. Przysięgam.

Ściska mocno moją rękę.

— Okej. W takim razie możesz na mnie liczyć. W każdej sytuacji.

Wraca Carin i spycha Hope.

— Nauczę się, jak robić na drutach — oznajmia.

— Na drutach? — Powtarzam cierpko.

— Tak, paputki dla dzidziusiów. To piąty miesiąc, tak? Zostały mi jakieś cztery miesiące na naukę robienia na drutach, więc przygotujcie się na pełen zachwyty nad moją nową umiejętnością.

W końcu łamię się i uśmiecham.

— Możesz na mnie liczyć.

Może życie nie wygląda zbyt różowo, ale hej, mam przyjaciółki oraz Tuckera, czyli i tak więcej, niż bym się spodziewała, i prawdopodobnie więcej, niż na to zasługuję.

Ale biorę wszystko.

Rozdział 25

Tucker

W kuchni panuje taka cisza, że czuję się jak w kościele. Nie żebym bywał w kościele zbyt często. Mama zaciągnęła mnie na kilka niedzielnych ceremonii, gdy byłem dzieckiem, aż w końcu przyznała, że woli dłużej pospać w weekendy. Pełna zgoda w tej kwestii.

Ale w tej chwili nie osądza mnie Bóg czy pastor Dave. To moi najbliżsi przyjaciele.

— Dlaczego, do cholery, nie powiedziałeś nam wcześniej? — Garrett.

— Serio, urodzicie to dziecko? — Logan.

— Sabrina pierdolona James? — Dean.

Zaciskam dłoń na butelce piwa i patrzę wilkiem na Deana. Jemu przypisuję winę za tę konferencję. Dwie sekundy po tym, jak podzieliłem się z nim i Allie radosną nowiną, wysłał SOS do Garretta i Logana, rozkazując, by natychmiast zbierali dupy do chaty. Chłopaki urzędowały w akademikach ze swoimi laskami i teraz czuję się jak palant, że zepsułem im wieczór.

— Chłopaki, może zamiast krzyżowego ognia pytań pozwolicie mu mówić — przemawia Allie ostrożnym tonem.

Od razu widzę, że nie ma ochoty w tym uczestniczyć, ale Dean zaciągnął ją z nami do kuchni, chwycił za dłoń i już nie puścił. Nie kumam, dlaczego tak się wkurzył. To nie on ma zostać ojcem. I wiem na sto procent, że Sabrina już go nie kręci, bo patrzy na Allie, jakby była chodzącym pieprzonym ideałem. Po śmierci Beau ta dwójka zaliczyła turbulencje, ale przez kilka ostatnich miesięcy są obrzydliwie zakochani.

— Tuck? — Allie wywołuje mnie, zgarniając jasne włosy za ucho.

Biorę łyk piwa.

— Nie mam dużo więcej do powiedzenia. Sabrina i ja spodziewamy się dziecka. Koniec pieśni.

— Jak długo się spotykacie? — chce wiedzieć Logan.

— Jakiś czas. — Ich pomarszczone miny mówią mi, że taka odpowiedź nie bardzo się podoba, więc dodaję: — Od początku listopada.

Logan wygląda na zaskoczonego. Garrett nie, co sprawia, że spoglądam na niego pytająco.

— Podejrzewałem — przyznaje.

Chłopaki odwracają oskarżycielsko głowy w jego stronę.

— Widziałem, jak trzymałeś jej dłoń na ceremonii Beau.

W oczach Deana pojawia się cień poczucia winy i wiem, że myśli teraz o tym, jak zamiast stawić się na tamtej uroczystości jako jeden z najlepszych przyjaciół Beau, urznął się wtedy w pokoju.

Logan ponownie zwraca się do mnie.

— Więc to coś poważnego między wami?

W gardle bulgocze mi śmiech.

— Będziemy mieć dziecko. Oczywiście, że to coś poważnego.

Albo przynajmniej ja planuję, że tak będzie. Sabrina wciąż potrzebuje czasu. Czasu, by w pełni ogarnąć się z ciążą. Czasu, by się odsłonić i uświadomić sobie, że może mi zaufać. Czasu, by się odsłonić jeszcze bardziej i uświadomić sobie, że mnie kocha, bo wiem, że mnie kocha. Jest tylko zbyt przestraszona, żeby się do tego przyznać, przede mną i przed sobą.

— Dlaczego nie zrobiła skrobanki?

Pytanie Deana wywołuje u Allie gwałtowny wdech, krzywe spojrzenie pozostałych chłopaków i moją gniewną minę.

— Ponieważ podjęliśmy decyzję, że zostawiamy dziecko — odpowiadam

ostro.

Wszyscy się wzdrygają. Jestem całkiem pewien, że w życiu nie słyszeli, żebym na kogoś warknął. Zazwyczaj tego nie robię, ale Dean zbliża się niebezpiecznie do tej granicy, gdzie mogę spuścić mu łomot. Rozumiem, że nie lubi Sabriny, ale będzie jej, kurwa, okazywał szacunek, nawet jeśli nie ma jej w tym pokoju.

— Hej. Wyluzujmy, okej? — Garrett udowadnia, że jest kapitanem naszej drużyny, przyjmując spokojny, pojednawczy ton.

Chociaż, uświadamiam sobie, nie jest już kapitanem Deana, ponieważ jeszcze w styczniu Dean został wykopany z drużyny. Myślę, że zawalenie testu na obecność narkotyków było jednym z przyspieszaczy jego powrotu do świata trzeźwych. To i Allie.

— To życie Tucka — kontynuuje Garrett. — Nie mamy prawa osądzać jego decyzji. Jeśli chce właśnie tego, będziemy go wspierać, prawda?

Logan przytakuje po chwili.

— Prawda.

Szczęka Deana się zaciska.

— Rujnujesz sobie życie, człowieku.

Coraz trudniej kontrolować mi złość. Krew aż się we mnie gotuje.

— Cóż, rujnuję moje życie — odpowiadam zimno. — Nic tobie do tego.

— A co z Harvardem? — ciśnie dalej. — Nadal chce studiować?

— Tak.

Potrząsa głową.

— Czy do niej dociera, jak czasochłonne jest studiowanie prawa?

— Oczywiście.

Kolejne potrząśnięcie głową.

— Dlatego zwala ci na głowę wszystkie obowiązki?

Natychmiast staję w obronie Sabriny.

— Nie, dzielimy obowiązki.

Więcej potrząsania głową.

Przysięgam na Boga, jeśli nie przestanie zachowywać się w ten sposób, wyrwę mu tę jego blond główkę prosto z szyi.

— Dean — ostrzega Allie.

— Przykro mi, ale uważam, że to szaleństwo — oznajmia. — Ta dziewczyna jest bardziej lodowata niż lód. Łatwo ocenia. Jest...

— Matką mojego dziecka — warczę.

Dean odwarkuje.

— Świetnie, niech tak będzie. Idź i rozwalaj swoje życie. Co mnie to?

Dosłownie opada mi szczeka, gdy Dean opuszcza kuchnię. Serio?

Następuje długa cisza i potem wstaje również Allie.

— Pójdę z nim pogadać — mówi, wzdychając. — Zignoruj go, Tuck. Zachowuje się jak kretyn.

Nie odpowiadam. Jestem zbyt wkurzony, by mówić.

— Na tyle, ile to jest warte, masz moje pełne wsparcie. Uważam, że będzie z ciebie wspaniały ojciec. — Kładzie na chwilę dłoń na moim ramieniu, po czym kieruje się do drzwi.

Gdy tylko znika, gapię się na pozostałych przyjaciół.

— Mówiliście prawdę? Mogę liczyć na wasze wsparcie w tej sprawie?

Oboje kiwają głową. Ale wargi Logana drżą, jakby próbował się nie roześmiać.

— Co cię tak śmieszy? — pytam z rezerwą.

— Koleś. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, ile ohydnych rzeczy cię czeka?

Mrugam zdezorientowany.

— Weź sprawdź filmiki z porodów na YouTube — radzi. — Musieliśmy trochę tego obejrzeć na zajęciach z feminizmu, na które chodziłem na pierwszym roku. Masakra. — Logan się wzdryga. — Wiedziałeś, że

osiemdziesiąt procent lasek sra na stołach?

Garrett parska śmiechem.

— Totalna ściema z tymi statystykami.

— No dobra, może nie osiemdziesiąt procent. Ale to się, kurwa, dzieje i jest obrzydliwe. O, a łożysko? Wielki krwisty worek, który ląduje na podłodze po tym, jak wyskakuje dzieciak? Jak to zobaczysz, gwarantuję ci, że już w życiu nie będziesz chciał wsadzić tam fujary.

— Jakoś nagle bardzo mi żal Grace — zauważa Garrett.

— Będę obstawał przy zaplanowanym cesarskim cięciu — stwierdza wyniośle Logan, ale błysk w jego oku mówi mi, że tylko żartuje. Na Logana zawsze można liczyć, jeśli chodzi o poprawę nastroju.

— Słuchajcie — mówię — wiem, że to ogromny szok. I możecie mi wierzyć, sam nadal nie mogę się w tym wszystkim połapać. Ale ko..., zależy mi na Sabrinie. — Poprawiam się, zanim słowo na K wymsknie mi się z ust. Nie ma mowy, by kumple dowiedzieli się o moich uczuciach przed Sabriną. — Dean myli się na jej temat. Fakt, jest zdeterminowana, ale nie jest zimna czy krytykancka. W życiu nie spotkałem nikogo z tak wielkim sercem. Ona jest... cholernie zajebiście niesamowita.

Jakaś gruda staje mi w gardle. Niech to diabli. Tak bardzo bym chciał, żeby Sabrina zobaczyła siebie moimi oczami. Uważa, że ciągnie mnie w dół za sobą do rynsztoka, ale myli się. Daje mi to, co zawsze pragnąłem mieć — rodzinę. Oczywiście może trochę wcześniej, niż planowałem, ale życie nie zawsze idzie według planu.

— Więc ty naprawdę tego chcesz, co? — W głosie Garretta słychać nutę szacunku i podziwu.

— Tak.

— Zostanę ojcem chrzestnym?

— Spierdalaj! — sprzeciwia się Logan. — Wybiera mnie. Oczywiście.

— Gówno prawda. Wiadomo, że jestem lepszym wyborem.

— Wiadomo, że jesteś większym egocentrykiem, tyle ci powiem.

Chichoczę.

— Trzymajcie tak dalej, a nie wybiorę żadnego z was. Ale dobrze wiedzieć, że piszecie się na tę robotę. Chyba wymyślę jakiś konkurs czy coś, zobaczymy, kto wygra.

— Ja! — mówi natychmiast Garrett.

— Spierdalaj!

Kłóćą się, a ja wychodzę z kuchni. Dean może i zareagował na mojego newsa jak ostatni palant, ale dobrze wiedzieć, że mam wsparcie przynajmniej ze strony Garretta i Logana.

Jestem cholernie pewien, że będę go potrzebował.

*

Jestem na miejscu. Gdzie ty?

Wiadomość od Fitzy’ego wyskakuje, gdy parkuję na parkingu przed Malone’s. Przyjechałem tu prosto z chaty, ponieważ ogłoszenie radosnej nowiny przyjaciołom nie jest jedynym punktem rozpisany na dzisiejszy wieczór. Wciąż muszę znaleźć miejsce, gdzie mógłbym zamieszkać, i naprawdę mam nadzieję, że Fitz może mi w tym pomóc.

Szybko wystukuję odpowiedź.

Ja: *Właśnie dotarłem. Wchodzę.*

On: *Boks w kącie z tyłu.*

Odkładam telefon, zamykam wóz i kieruję się do baru. Fitzy sączy piwo, gdy opadam na siedzenie naprzeciwko niego. Zamówił jedno i dla mnie, co przyjmuję z wdzięcznością.

— Hej. Dzięki za spotkanie.

Wzrusza ramionami.

— Żaden problem. I tak dostawałem już świra. Moje mieszkanie jest kurewsko za małe.

No proszę. Nie spodziewałem się, że temat wypłynie tak wcześnie, ale niech mnie diabli, jeśli nie skorzystam.

— Właśnie o tym chciałem z tobą pogadać.

Fitzy unosi brew.

— O moim małym mieszkaniu?

— W pewnym sensie. Wodzę palcem po etykiecie na butelce. — Wspominałeś, że twój najem kończy się w maju, prawda?

— Tak. Dlaczego pytasz?

— Zastanawiałeś się już, co robisz dalej? Podpisujesz kolejny najem? Wyprowadzasz się gdzieś?

Uśmiech rozciąga kąciki jego ust.

— Bawimy się w „dwadzieścia pytań” czy coś?

— Po prostu próbuję się rozeznać, co planujesz w tej kwestii. — Biorę kolejnego łyka. — Nie wracam do Teksasu po absolutorium.

Zerka na mnie znad butelki.

— Od kiedy?

— Odkąd spodziewam się dziecka w sierpniu.

Rozlega się głośne krztuszenie. Pewnie nie powinienem zapodawać takich rewelacji w połowie przęłykania. Źle się czuję, widząc, jak Fitzy się dławi.

— T-ty — krztusi się ponownie. Odchrząkuje. — Będziesz miał dziecko?

— Tak. Sabrina jest w ciąży.

— Och. — Jedna wytatuowana ręka podnosi się i drapie go po skroni.

— Kurde. No cóż. Gratki, co?

Mimowolny uśmiech pojawia się na mojej twarzy.

— Dzięki.

Przygląda mi się ostrożnie.

— Wydaje się, że nie masz nic przeciwko.

— Bo tak jest — odpowiadam po prostu. — Ale z całą pewnością muszę znaleźć jakiś kąt w Bostonie. I pamiętam, jak mówiłeś, że nie masz nic przeciwko poszukaniu czegoś w mieście, więc... — wzruszam ramionami. — Pomyślałem, że nie zaszkodzi zapytać, czy nie rozglądasz się za współlokatorem.

— Ech. — Żal migocze w jego spojrzeniu. — Zdecydowałem się tak nie robić. Myślałem, że dojazdy są spoko, ale gadałem o tym z Hollisem i przypomniał mi, jak kurewsko jeździ się z Bostonu do Hastings w zimie, dlatego postanowiłem zostać na miejscu na ostatni rok.

Przełykam rozczarowanie.

— Och, okej. Ma to sens.

— Głupie pytanie, ale... dlaczego nie zamieszkas z Sabriną?

Głupie pytanie? Nie. Dobre pytanie? Kurewsko tak.

— Jeszcze nie doszliśmy do tego etapu — odpowiadam, ponieważ alternatywna odpowiedź jest zawstydzająca. *Ponieważ ona nie chce być ze mną.*

— Dobra. Jeśli serio chcesz zamieszkać w Bostonie, to właściwie znam kogoś, kto szuka współlokatora.

Rozchmurzam się.

— Kto?

— Nie spodoba ci się — ostrzega.

— Kto? — naciskam.

— Brat Hollisa. Właściciel podwyższył mu czynsz i raczej nie da rady wynajmować mieszkania w pojedynkę.

O kurwa. Brody Hollis, król wszystkich dupków. Facet, który woła na siebie: brachu Brody. Raczej podziękuję. Tyle że nie ma żadnego „raczej”.

Bo trudno powiedzieć, że pływam w tym momencie w morzu możliwości. Brody może i jest... bracholski, ale jego mieszkanie było duże, czyste i miało dwie sypialnie.

I jest pięć minut samochodem od domu Sabriny.

Chociaż ten pomysł bardzo mi się nie podoba, nie mogę zaprzeczyć, że to dobra, wygodna opcja.

Biorę kolejny duży łyk piwa. A potem mówię:

— Dasz mi jego telefon?

Rozdział 26

Sabrina

— Denerwuję się. — Wypowiadam te słowa szeptem do ucha Tuckera, tak by inne ciężarne kobiety w poczekalni mnie nie usłyszały. Wszystkie mają na twarzach ten szczęśliwy podekscytowany blask i nie chcę im tego zepsuć. To, że jestem beznadziejnym przypadkiem, nie oznacza, że powinnam napędzać stracha innym.

Ale jestem przerażona. To pierwsza wizyta, na którą przyszedł Tuck, i akurat dziś mamy poznać płeć dziecka — jeśli dojdziemy do konsensusu w tej kwestii. Ja chcę wiedzieć. On chce niespodzianki. I bardziej perfekcyjnie nie da się zilustrować, jaka z nas para.

Ja lubię mieć kontrolę. Jeśli znam płeć dziecka, mogę się przygotować. Kupować słodkie malutkie rzeczy dla dziewczynki albo słodkie malutkie chłopięce rzeczy. Wymyślać imiona.

Tucker to facet, który płynie z prądem. Uważa, że powinniśmy po prostu kupić żółte rzeczy i po temacie.

— Nie ma się czym denerwować. — Ściska moją dłoń i pochyla się, by pocałować mnie w policzek.

Drzę mimowolnie. Jego wargi są takie miękkie i ciepłe. Chcę je poczuć na ustach, nie na policzku. Chcę całować jego szyję i ssać ją tak długo, aż zacznie jęczeć. Chcę wślizgnąć dłoń w jego spodnie, złapać fiuta i pieścić go, aż wytryśnie na mojej dłoni.

Wspominałam już, że jestem cholernie napalona?

Nie wiem, czy to przez zwiększoną wrażliwość, a może raczej trzy czy ileś

miesiący seksualnej posuchy, ale jasna dupa, naprawdę muszę się bzyknąć. Nawet przypadkowe muśnięcie własną dłonią o piersi od razu mnie nakręca. Czytałam, że kobiety zazwyczaj są bardzo podniecone podczas pierwszego trymestru, ale moja sekschcica włączyła się dopiero w drugim. Za każdym razem, gdy widzę Tuckera, chcę zedrzeć z niego ubranie.

A on o tym wie.

— Jesteś gotowa, byśmy już byli więcej niż przyjaciółmi? — mruczy.

Mierzę go wzrokiem.

— Mówię ci, że się denerwuję, a ty myślisz o seksie?

— Nie, to ty myślisz o seksie. — Szczerzy się. — Twoje oczy błagają mnie, bym cię zerznął.

Pospiesznie rozglądam się dookoła, by upewnić się, że nikt tego nie słyszał, ale inne ciężarne kobiety albo rozmawiają ze swoimi partnerami, albo siedzą zaczytane w magazynach o dzieciach.

— Nie — kłamię. — Moje oczy są zbyt zajęte martwieniem się, co zobaczą na USG. Czytałam, że może będziemy w stanie zobaczyć twarz dziecka i paluszki. — Ponownie zalewa mnie fala paniki. — Co, jeśli ono ma tylko trzy palce, Tuck? Co, jeśli nie ma nosa? — Oddycham z trudem. — O Boże, co jeśli mamy dziecko mutanta?

Tucker zgina się wpół i zaczyna się trząść. Dopiero po sekundzie uświadamiam sobie, że cały zanosi się niemym, histerycznym śmiechem. Wspaniale. Ojciec mojego dziecka nabija się ze mnie.

— Do cholery, moja droga. — Dyszy, gdy unosi głowę. — Wiedziałem, że nie powinienem pozwolić ci oglądać *Wzgórza mają oczy* wczoraj wieczorem.

— Nie było nic innego — protestuję. *A ja nie chciałam, żebyś sobie poszedł.*

Jestem taka żalosna. Przez ten ostatni tydzień wymyślałam powody, by ściągnąć Tuckera do siebie. Na przykład: „musimy przejrzeć oferty lekcji

oddychania” i „plecy mnie dobijają — miałbyś ochotę wpaść i je pomasować?” i „może powinnam mieć poród w wodzie”. Nalegał, bym rozważyła ponownie ostatni pomysł, ale zacznijmy od tego, że wcale nie traktowałam tej propozycji poważnie. Wizja mojego ciążowego tyłka zanurzonego w wannie pełnej wody i porodowych płynów sprawia, że zbiera mi się na wymioty.

A ponieważ mam do czynienia z Tuckerem, przyjeżdżał do Bostonu na każdy telefon. Gdzieś z tyłu głowy mam wyrzuty, że go wykorzystuję, ale on wciąż mnie zapewnia, że właśnie na to się pisał.

— Nie będziemy mieć dziecka mutanta. — Wyśmiał się już i teraz znów trzyma moją dłoń. — On lub ona będą idealni. Obiecuję.

Kiwam słabo głową.

— Sabrina James? — woła głos z otwartych drzwi.

— To ja. — Zrywam się na nogi tak szybko, że przez chwilę się chwieję.

Tucker pomaga mi złapać równowagę, obejmując muskularną ręką moje ramiona.

— To my — poprawia.

Podążamy za odzianą w różowy fartuch pielęgniarką wzdłuż szerokiego, dobrze oświetlonego korytarza. Prowadzi nas do gabinetu i instruuje mnie, bym usiadła na stole. Ultrasonograf stojący obok jest już włączony i czuję w piersiach szybsze bicie serca.

— Naprawdę chcę wiedzieć — mówię jednym tchem, gdy tylko pielęgniarka wychodzi z gabinetu.

Tucker wydyma wargi.

— Ale pomyśl tylko, jakie to będzie ekscytujące, gdy lekarz krzyknie „Chłopczyk”! albo „Dziewczynka!”.

To jego stały tekst. Ale szczerze, w chwili obecnej nie potrzebuję ani grama więcej podniecenia w moim życiu. W domu sytuacja jest już za bardzo

napięta. Nana daje mi codzienne wykłady o zaciężeniu, krytykuje decyzję o zatrzymaniu dziecka i przypomina w kółko, że nie będzie niańką za darmo tylko dlatego, że jestem jej wnuczką. No i oczywiście do tego dochodzi Ray ze swoimi uszczypliwymi komentarzami na temat mojej rozwiązłości, grubego brzucha i głupoty, skoro nie potrafię używać prezerwatywy.

Raya, tego palanta mam kompletnie w dupie. Nana... cóż, jestem pewna, że zmieni zdanie, gdy tylko weźmie w objęcia swoją prawnuczkę albo prawnuka. Zawsze miała bzika na punkcie małych dzieci.

— Chcę wiedzieć teraz — biadolę, nie dbając o to, że brzmię jak pięciolatka mająca humory.

— A co powiesz na to? Zagramy w papier, kamień, nożyce.

Taak, pewnie, będę z nas superrodzice, nie ma co.

— Dobra. — Zaciskam pięść, co go rozśmiesza. — Gotów?

— Gotów.

Liczymy razem. Na trzy odkrywamy ręce. On zrobił papier. Ja kamień.

— Wygrałem — mówi zadowolony z siebie.

— Przykro mi, kotku, ale przegrałeś.

— Papier przykrywa kamień!

Uśmiecham się z wyższością.

— Kamień przytłacza papier, więc ten nie może odlecieć. Jest w potrzasku.

Głośne westchnienie wypełnia gabinet.

— Nie postawię na swoim w tej kwestii, co?

— Nie. — Ale wygląda tak słodko, że proponuję kompromis. — A co powiesz na to? Możesz wyjść z gabinetu, gdy lekarz mi powie, i przysięgam, że nie puszcę pary z ust. Schowam wszystkie zakupy dla dziecka w mojej szafie, żebyś nie widział, co kupuję.

— Zgoda.

Przerywa nam pojawienie się kobiety — technika USG. Wita się ze mną

ciepło, a potem prosi, bym podciągnęła luźną koszulę, bo musi rozsmarować zimną glajdę na moim brzuchu.

— Pęcherz pełen? — pyta.

— Mój pęcherz jest zawsze pełen — odpowiadam sucho.

To ją rozśmiesza.

— Bez obaw. Szybko zleci. Ani się obejrzysz, a będziesz sikać do woli.

— Wspaniale. Będę żyć marzeniem.

Miałam już robione USG, więc nie martwię się, gdy kobieta milknie podczas badania. Co jakiś czas pokazuje różne rzeczy, na przykład, że kręgosłup dziecka przypomina maleńki sznur pereł albo, dzięki Bogu, widać po dziesięć palców u rączek i nóżek.

Tucker stoi tam w niemym zachwycie i obserwuje ziarniste obrazy na monitorze. W pewnym momencie pochyla się, całuje mnie w czoło i ciepłe prądy płyną po moim ciele. Cieszę się, że tu jest. Naprawdę się cieszę.

— Okej. Wszystko. — Ściera żel z mojego brzucha i naciska na jakiś guzik. Maszyna zaczyna trajkotać i wypluwa zdjęcie USG. Nie dostajemy go jeszcze, zamiast tego mówi: — Lekarz przyjdzie za chwilę z wami porozmawiać. Jeśli musisz opróżnić pęcherz, toaleta — drugie drzwi na lewo.

Tucker chichocze, gdy natychmiast zrywam się ze stołu.

— Zaraz wracam — mówię, wyskakując z gabinetu.

Załatwiam co trzeba, myję ręce i wchodzę z powrotem do gabinetu. Doktor Laura już tam jest i gawędzi w najlepsze z Tuckiem. Na pierwszej wizycie nie byłam pewna, co o niej myśleć. Zwracanie się do lekarza po imieniu jest dla mnie dziwne. Pewnie wzięłam to za brak profesjonalizmu, ale okazuje się, że ta kobieta zna się na rzeczy. Ma trzydzieści parę lat i przemawia przez nią rozsądek, co akurat bardzo cenię.

— Pan tata mówi, że kłóćcie się o to, czy poznać płeć dziecka — żartuje, gdy wchodzę do gabinetu.

— Pan tata jest bardzo uparty — burczę.

Szczęka Tuckera opada.

— O nie. To pani mama jest uparciuchą, która nie lubi niespodzianek.

Omiotam dłonią wystający brzuch, który bardzo wyskoczył do przodu w zeszłym miesiącu.

— To nie była wystarczająca niespodzianka dla ciebie? — pytam pruderyjnie.

Doktor Laura prycha, zanim spogląda na skoroszyt w dłoniach.

— No cóż, mamy tu bardzo wyraźne zdjęcie z USG. Ponieważ to Sabrina jest moją pacjentką, zdradzę jej płeć dziecka, jeśli sobie tego życzy.

— Zdrajczyni — mówi Tucker, udając, że rzuca mi zabójcze spojrzenie.

— Chcę wiedzieć — mówię lekarce, a potem obracam głowę w stronę Tuckera. — Pan tatuś może wyjść na korytarz.

— E tam. Zmieniłem zdanie. Też chcę wiedzieć.

Przyglądam mu się z niepokojem.

— Jesteś pewien?

Entuzjastycznie kiwa głową.

— Dobra. Jesteśmy gotowi — mówię do lekarki.

Jej oczy migoczą.

— Gratulacje. Macie córeczkę.

Wciągam powietrze, cały tlen wlatuje do moich płuc, a potem zostaje tam uwięziony. Czuję przyspieszony puls i mam wrażenie, jakby otoczenie i cały mój świat stały się wyraźniejsze. Kolory wydają się jaśniejsze, powietrze lżejsze i to doświadczenie — życie rosnące we mnie — nagle jest takie realne.

— Mamy córeczkę — zwracam się szeptem do Tuckera.

Jego spojrzenie jest niemal nabożne.

— Mamy córeczkę — odpowiada szeptem.

Doktor Laura pozwala nam przez kilka niemych sekund tkwić w tym zdumionym zachwycie, zanim odchrząkuje.

— W każdym razie wszystko wygląda wspaniale. Proszę, żebyś dalej zażywała ciężowe witaminy, odpuszczaj sobie, ile możesz, i widzimy się ponownie za cztery tygodnie.

W drzwiach zatrzymuje się i mruga przez ramię do Tuckera.

— A jeśli chodzi o drugą kwestię, o którą pytałeś, wszystkie systemy są otwarte.

Po jej wyjściu marszczę czoło.

— Jaka druga sprawa?

Wzrusza ramionami to uosobienie tajemnicy.

— Tatusiowe pytanie. — Sięga po moją dłoń. — Chodź, jedziemy. Chcę ci coś pokazać, a potem odwiozę cię do domu.

Moje czoło faluje.

— Pokazać mi co?

— Niespodzianka.

— Czy właśnie nie ustaliliśmy, że nie lubię niespodzianek?

Chichocze.

— Zaufaj mi, ta ci się spodoba.

Rozdział 27

Sabrina

— Co my tu robimy? — pytam piętnaście minut później, przeczesując wzrokiem ulicę, w którą właśnie skręcił Tucker. Sąsiedztwo jest podejrzane. Przecież znajduje się zaledwie pięć minut drogi od mojego domu, więc jakżeby mogło być inaczej.

— Cierpliwości — beszta mnie, parkując na krawężniku przed dziesięciopiętrowym budynkiem z cegły.

Próbuję wykrzesać trochę tej cierpliwości i czekam, aż otworzy mi drzwi. Ten facet nie pozwala mi otwierać sobie drzwi. Jakby nie rozumiał, że mam sprawne ręce.

Na chodniku lądują moje buty na płaskim obcasie, a Tucker bierze mnie za rękę i prowadzi do wejścia budynku. Wstrzymuję się od zadania miliona pytań, ponieważ wiem, że i tak nie usłyszę jednej odpowiedzi, i grzecznie podążam za nim na mały korytarz i do jeszcze mniejszej windy. Jedziemy nią na dziesiąte piętro, przechodzimy przez krótki korytarz i zatrzymujemy się przed mieszkaniem 10c.

Tucker wyciąga z kieszeni brelok z kluczami i otwiera drzwi.

— Kto tu mieszka? — chcę natychmiast wiedzieć.

— Ja.

— Co? Od kiedy?

— Od trzech dni — przyznaje. — To znaczy, technicznie nie wprowadzam się do końca przyszłego tygodnia, ale trzy dni temu doszliśmy do porozumienia.

— Doszliśmy?

— Ja i Brody Hollis, brat kumpla z drużyny.

— Och. — Jestem kompletnie zdezorientowana, ponieważ przez cały tydzień nawet nie wspomniał o przeprowadzce do Bostonu. — A co z twoim domem w Hastings?

— Najem kończy się w czerwcu. I tak musiałbym się wyprowadzić. — Wzrusza ramionami. — Sensowniej było znaleźć coś w Bostonie. Dzięki temu mogę być bliżej ciebie i dziecka. — Wyciąga dłoń. — Masz ochotę na oprowadzenie?

— Eee. Pewnie. — Wciąż jestem nieco oszołomiona.

Tucker przeplata swoje palce z moimi i prowadzi mnie przez mieszkanie. Z zewnątrz budynek robi raczej gówniane wrażenie, ale w środku jest zaskakująco ładny. Mieszkanie ma wspaniałe oświetlenie na zewnątrz, sosnowe podłogi i otwartą przestrzeń. Na końcu korytarza są trzy pary drzwi prowadzących do łazienki i dwóch sypialni.

— Jeszcze nie zwiozłem moich bambetli — mówi.

Wchodzimy do obszernej pustej sypialni z ogromnym oknem, które wpuszcza do środka tyle światła, że żałuję, iż nie zabrałam ze sobą okularów przeciwsłonecznych.

— Serio? — Żartuję, przechadzając się po pustym pokoju. Dochodzę do okna i wyglądam przez nie. — Fajnie. Twój pokój ma schody przeciwpożarowe.

— A jeszcze fajniej, że prowadzą prosto do patio na dachu. Tylko mieszkania z dziesiątego piętra mają do niego dostęp. Jest tam grill, są leżaki.

— Oooch, ale ekstra.

Wracamy do kuchni, gdzie Tucker otwiera lodówkę, żeby zbadać jej zawartość.

— Chcesz coś do picia? Mamy sok pomarańczowy, mleko i wodę.

I hektolitry piwa, ale tego nie dostaniesz.

— Napiję się wody. — Wyciąga dzbanek i nalewa mi szklanę, a ja przesuвам dłonią po idealnie czystym blacie kuchennym. — Ale tu czyściutko.

— Jedną rekompensującą wady Brody'ego zaletą jest to, że lubi czystość. Wiesz, bo laski odrzuca widok rzeczy walających się po podłodze.

— Ma rację.

— Drzewo decyzyjne tego kołesia składa się z „czy dzięki temu zaliczę panienkę?”.

Szczerzę się.

— Przewidywalność może być miła.

— Przeszkadza ci, jeśli napiję się piwa?

— Co ty, śmiało. A gdzie on jest tak w ogóle? Pracuje?

— Pracuje od dziewiątej do piątej w Morgan Stanley. Siedzi w dziale planowania finansowego, co polega głównie, jak się zdążyłem zorientować, na sprzedawaniu rent starym ludziom.

Popijam wodę, a Tucker tymczasem otwiera piwo. Na blacie obok mikrofali leży sterta kolorowych broszurek ułożonych na grubych skoroszytach.

— A to co? — Podążam palcami po okładce, na której widnieje napis „Fitness. Dla ciebie. Dla niej. Zawsze”.

— Perspektywy. A może raczej prospekty? Pozbierałem te rzeczy jednego dnia podczas badania terenu na biznes. — Sięga po stertę i wręcza mi jedną ulotkę. — To na przykład depilacja woskowa i laserowa dla kobiet. Hollis stwierdził, że to jak bycie ginekologiem bez potrzeby zaliczenia studiów medycznych. Cipki przez całe dni.

Drżą mi usta.

— Wie chyba, że woskowanie intymnych części kobiety nie gwarantuje,

że będzie mógł je ponownie dotykać, tak?

— Nie, jestem w zasadzie pewien, że myśli, iż to daje mu wolną rękę do pieprzenia się z nimi.

— Wspaniale.

Przeglądam kilka błyszczących zdjęć długich, gładkich nóg obok wydrukowanego pogrubioną czcionką tekstu, który przekonuje, że ten właśnie laser jest najlepszy na świecie. Hmmm. Jeśli Tucker kupuje gabinet z laserowym usuwaniem owłosienia, może zaproponuje mi usługi za darmo. Już teraz rosnący brzuch sprawia, że proste czynności stają się trudne. Nogi muszę golić na siedząco, ponieważ boję się, że grozi mi utrata równowagi podczas rytualnego tańca na jednej nodze przy dbaniu o siebie.

Tucker przerzuca kartki innej broszury.

— A ta jest o sprzedawaniu łopat. Jako domokrążca.

Robię grymas.

— Brzmi okropnie. Można na tym zarobić?

— Według dokumentów franczyzy tak, ale wątpię.

— Co jeszcze masz?

— Sekszabawki, pralnię, kluby fitness, jakiś milion opcji z jedzeniem. Lokale szybkiej obsługi są najbardziej na topie.

— Słyszę zerowy entuzjazm w twoim głosie.

— Wiem. — Zgarnia prospekty w kupkę i wrzuca je do kosza na śmieci.

— Może franczyza nie jest dla mnie.

Przygryzam dolną wargę, waham się przez moment.

— Co byś robił, gdybyś nie miał tego na głowie? — zakreśliłam koło wokół brzucha.

— Powiesił się na krawacie — mówi. — Mama chciała, bym kupił firmę zajmującą się handlem nieruchomościami...

Przygryzam wargę jeszcze mocniej.

— ...ale wolałbym golić kłaki z dupy jakiegoś faceta, niż sprzedawać domy w Patterson, więc możesz pozbyć się tej zaniepokojonej miny z twarzy.

Jego spojrzenie wędruje ponownie na mój brzuch. Od badania USG nie może przestać się na niego gapić. Zresztą ja nie jestem dużo lepsza. Zawsze trzymam dłoń na wybrzuszeniu albo pod nim i teraz wydaje się to jeszcze bardziej wyjątkowe, ponieważ wiem, że moja córeczka jest dokładnie pod moją dłonią.

Sadowię się na stołku przy blacie i przywołuję go ręką, by podszedł bliżej.

— Chcesz dotknąć?

— Zawsze. — Odwraca się od blatu, by przykucnąć przy mnie, a jego dłonie otaczają piłkę z obu stron. — Hej, piękności. Tatuś tu jest. — Zerka na mnie, kasztanowe włosy potargane, jasnobrązowe oczy pełne uczucia. — Zaczęła już kopać?

— Trochę. — Przyciągam jego dłoń do miejsca, gdzie mała często próbuje wykopać sobie drogę na zewnątrz przez moją macicę. — Spróbuj tutaj.

Czekamy, wstrzymujemy oddech. Dłoń Tucka naciska delikatnie na brzuch, ciepło jego dłoni zanurza się w moją skórę, rozprzestrzenia, aż wszystkie końcówki moich nerwów zaczynają mnie mrowić.

Niestosowne! On komunikuje się z twoim dzieckiem, nie próbuje ciebie pieścić.

Tyle że... tak mi z tym dobrze. Tucker i ja nie spaliśmy ze sobą od miesięcy. A ostatnimi czasy jedyne, o czym mogę myśleć, to pieprzenie się z nim.

Pewnie, właśnie przez to wpakowałam się w ten błogosławiony stan, ale w nocy, gdy dziecko nie daje mi spać, przypominam sobie, jak to było mieć go między nogami. Jego pokryte szorstkimi włosami uda drapały mnie, gdy zanurzał się w środku. Przypominam sobie grubość penisa i to rozkoszne rozciąganie, gdy we mnie wchodził. I jego zęby na piersiach, muskanie

wargami, aż łąpał sutek w usta. Przypominam sobie wszystko i to sprawia, że mój oddech przyspiesza, a ja staję się bardzo wrażliwa.

Palce na moim brzuchu zaciskają się.

— Sabrino — słyszę chrapliwy głos. — O czym myślisz, moja droga?

Widzę rozkojarzone spojrzenie na jego twarzy. Gdy oblizuję wargi, przypominam sobie ciężar jego potężnego kutasa na języku.

— O tobie.

Jego oddech zagęszcza się.

— O mnie jako o przyjacielu, czy o mnie jako kimś więcej?

— Kimś więcej — odpowiadam szeptem.

Powoli przeciąga w dół dłonie, z brzucha na uda. Moje nogi rozszerzają się mimowolnie, a on ciągnie kciukami za gumkę od legginsów.

— A konkretniej? — pyta szeptem.

Nagle przenoszę się myślą do tamtej pierwszej nocy, którą spędziliśmy razem, gdy siedział wygodnie niczym sułtan w swoim wozie i mówił mi — nie, kazał — brać to, co chcę.

— Myślę o twoim fiucie w mojej buzi.

Wbija mi palce w uda.

— Naprawdę? Ponieważ ja myślę, jak bardzo pragnę zerwać z ciebie te spodnie i wylizać ci cipkę, aż te wszystkie zmartwienia wyparują z twojej głowy.

Wspomniana cipka zaciska się na te słowa.

— Jestem... kurde, jestem teraz gruba.

— Nie. Jesteś idealna. — Potem wstaje i unosi mnie.

— Czekał. — Wiję się w jego uścisku. — Jestem za ciężka.

— Bzdury gadasz — odparowuje i zamaszystym krokiem rusza do pokoju dziennego. Nie wypuszczając z objęć, kładzie mnie na czarną skórzaną sofę.

Piszczę w proteście.

— To sofa twojego nowego współlokatora!

— Czego oczy nowego współlokatora nie widzą, tego jego sercu nie żal. A teraz rozbieraj się. Jestem głodny, kobieto.

Cała krew w moim ciele pulsuje pod jego rozognionym spojrzeniem. Gapimy się na siebie przez chwilę, a potem oboje zrzucamy ubrania. Jego koszula zostaje zdjęta i rzucona przez pokój. Za nią lecą moja bluzka i spodnie. Następne są jego dzinsy i bokserki. Kiedy zdejmuję stanik, przeklina.

— O ja pierdołę. — W jego głosie jest nuta zachwytu, gdy podchodzi, by dołączyć do mnie na sofie. Twardy kutas podskakuje z każdym krokiem.

— Wiem. Urosły.

Kłęka między moimi nogami, sięga dłonią, by objąć ciężkie piersi.

— Są zajebiste.

Drzę, gdy kciukami pociera naprężone sutki.

— I bardzo wrażliwe — dyszę.

Bezwstydy błysk rozświecła frywolnie jego oczy.

— Myślisz, że dojdiesz, jeśli będę je ssał?

— Nie wiem. — Przeciagam dłoń w jego włosach. — Przekonajmy się.

Bez chwili zwłoki przywiera wargami do jednej piersi, a drugą pieści dłonią. Silne pieszczoty jego ust sprawiają, że wyginam się na poduszkach. O Boże. Jakby istniało bezpośrednie połączenie między jego językiem a moją cipką. On uwalnia jęk, a ja czuję go wszędzie. Zsuwam biodra z kanapy, szukam sposobu na złagodzenie bólu, ale nic nie znajduję.

— Posuwaj mnie — błagam.

Opada na tyłek i przyciąga mnie na siebie, co mu się jakoś udaje bez utraty kontaktu z moimi piersiami choćby na chwilę. Siadam na nim okrakiem i próbuję ocierać się mokrą cipką o kutasa, ale brzuch zawadza mi i wydaję z siebie jęk.

W odpowiedzi Tucker wsuwa dłoń między nas. Przesuwa na bok moje majtki, odnajduje palcami śliską skórę i zaczyna ją pocierać. Dwa palce ślizgają się wzdłuż cipki, podczas gdy kciuk trąca moją lechtaczkę, jakby to była struna od gitary. I nagle doznania przelewają się. Dochodzę w bezmyślnym przypiływie przyjemności, szepczę jego imię, ale gdy zsuwam się z tego rozkosznego uniesienia, wciąż nie mam dosyć. Sięgam dłonią w dół i głaszczę desperacko fiuta.

— Tego — dyszę. — Tego chcę.

— Tak, pani.

Z błyszczącym głodnym spojrzeniem zrywa moje majtki i pcha mnie na plecy. Potem chwytą kutasa i prowadzi go do mojej szparki. Wciągam powietrze na pierwsze pchnięcie szerokiej główki rozpychającej się we mnie.

Nagle zatrzymuje się w połowie ruchu.

— Wszystko dobrze?

Widzę, jak napina ramiona, gdy żądza napiera na jego samokontrolę. Ale chcę, żeby wziął mnie mocno. Chcę, żeby mi przypomniał, że jestem piękna, pożądana, że wciąż rządzą jego światem.

Zginam nogi wokół jego bioder i próbuję wciągnąć go głębiej.

— Lepiej niż dobrze. Posuwaj mnie. Proszę.

To dzikie spojrzenie, które przechodzi przez jego twarz, zapiera mi dech. Posuwa mnie głęboko, mocno, żarliwie, wypełnia mnie fiutem, aż nie liczy się już nic innego. Tak dawno nie czułam go tak blisko. Mam wrażenie, jakbym... wróciła do domu.

Jego usta odnajdują moją szyję, wrażliwą skórę za uchem. Zostawia ścieżkę z mokrych pocałunków wzdłuż ramienia i obojczyka. Znów ssie mój sutek i gwiazdy błyskają pod moimi zaciśniętymi powiekami. Jedna dłoń wślizguje się pod tyłek, ściągając mnie trochę z kanapy i jego biodra ruszają się, posuwają, posuwają, posuwają, aż uderza w ten jeden punkt i znów

krzyczę.

Nie ustaje ani na chwilę, wpychając się we mnie gwałtownie raz za razem. Główką penisa ociera o ten delikatny zwój nerwów w środku mnie, aż staje się sapiącą, wijącą masą.

— Tęskniłem za tobą — wykrztusza. — I to kurewsko mocno.

Nie odpowiadam tym samym, bo zapomniałam, jak się mówi. Przyjemność jest zbyt intensywna, mąci mi w mózgu. Kontynuuje plądrowanie moich piersi, jednej, a potem drugiej. Następnie siada, przytrzymuje moje biodra i wpycha się we mnie dogłębnie i szybciej niż przedtem.

Czuję obcieranie skóry pod ramionami. Włosy przyklejają się mi do twarzy i z trudem łapię powietrze, ale to bez znaczenia, ponieważ przepadłam w wirze doznań. Jedyne, co czuję, jedyne, co wiem, to on. Jak dobrze go czuć, jak mocno pragnie go moje ciało, jak głośno bije moje serce dla niego.

Jak bardzo jestem w nim zakochana.

— Dojdz dla mnie — charczy. — Dojdz na moim fiucie, Sabrino.

Przyjemność wzbiera we mnie, aż w końcu eksploduje, roztrzaskuje moje opanowanie, roztopia ciało. Tucker odrzuca głowę w tył i z krzykiem uwalnia wytrysk, podczas gdy ja leżę kompletnie wykończona.

Jak zbiera w sobie siłę, by wstać i udać się do kuchni, nie wiem. Jestem zbyt nieprzytomna, by zdobyć się na coś więcej niż wymamrotanie „dzięki”, gdy wraca z mokrymi chusteczkami i delikatnie wyciera to, co kapie po moich udach.

Zanim zdążę zaprotestować, dołącza do mnie na kanapie i zarzuca koc na nasze nagie ciała. Wpycha ramię pod moją głowę i otula mnie swoim ciepłem, a ja modlę się, żeby to nie był dzień, gdy Brody Hollis postanowi wcześniej wrócić z pracy.

Tucker głaszcze mnie po włosach, a tymczasem słowa o miłości walczą,

by wydostać się z mojego gardła. Udaje mi się je połknąć. To był tylko seks. Oboje potrzebowaliśmy ujścia, to wszystko. Nie mogę doszukiwać się w tym czegoś więcej, a już tym bardziej nie wolno mi ufać własnym uczuciom, nie teraz, gdy w mojej krwi szaleją te wszystkie hormony ciążowe.

Zagrzebuję się w jego spoconym ciele. To mi wystarcza. Cokolwiek może mi dać, wystarcza mi. Nie będę prosić o więcej.

— O czym szeptałeś sobie z lekarką? — pytam w końcu.

Chichocze.

— O tym.

— Tym?

— Tak, o tym. — Sięga dłonią pod koc i szczypie jedną z moich brodawek. — Zapytałem ją, czy wolno nam uprawiać seks.

Opada mi szczęka.

— Poprosiłeś moją lekarkę o pozwolenie na zerżnięcie mnie?

— Chciałem się upewnić, że to nie zaszkodzi dziecku — protestuje. — Sorry, że jestem zatroskanym tatusiem.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Oboje burczymy z niezadowolenia, gdy dzwoni jego telefon. Tucker niechętnie przechyla się przez kanapę w poszukiwaniu spodni. Wyławia komórkę i znów leży obok mnie, przesuwając palcem po wyświetlaczu.

Zaciekawiona — dobra — ciekawska — zerkam na wyświetlacz.

I wydaję okrzyk przerażenia.

Zrywając się do pozycji siedzącej, wyrywam telefon z dłoni Tuckera.

— O Boże! — piszczę. — Co to jest?

Rozdział 28

Tucker

Wiem, nie powinienem się śmiać. Matka mojego dziecka jest zdenerwowana. Ostatnia rzecz, jaką powinienem robić, to się teraz nabijać, ale ta przerażona mina na jej twarzy jest bezcenna.

— Tucker! — Dostaję kuksańca w ramię. — Przestań rechotać i powiedz mi do cholery, co to jest.

Spoglądam na zdjęcie i znów pękam ze śmiechu.

— Pocieszanka — wykrztuszam.

Obrywam kolejnego kuksańca.

— Logan — gulgoczę. — Zrobił to dla dziecka. Test na pocieszenie.

— Przysięgam na Boga, Tuck, jeśli nie zaczniesz gadać z sensem, wyślę to zdjęcie na policję i powiem, że jestem ofiarą przestępstwa z nienawiści.

Dostaję niekontrolowanej czkawki.

— Tucker!

Między salwami chichotu, udaje mi się usiąść. Kaszlę przez pełną minutę, by się wyśmiać. A potem gapię się na zdjęcie wypchanego czegoś na wyświetlaczu.

Myślę, że to miał być pluszowy miś, ale coś musiało pójść cholernie nie tak w trakcie procesu tworzenia. Szwy wyglądają jak z filmu Tima Burtona. Jedno oko jest z guzika, a drugie w stylu seryjnego mordercy, czyli X wyszyty czarną nitką. Z boku głowy brakuje trochę futerka, a ręce i nogi są w różnych rozmiarach.

Pod fotką Logan napisał:

Grace uważa, że to przestraszy bobasa. Nie ma racji, prawda?

Ma rację.

— Dlaczego Logan nam to zrobił? — chce wiedzieć Sabrina.

Parskam śmiechem.

— Współzawodniczy o bycie ojcem chrzestnym.

— Zaczynaj mówić z sensem!

Powstrzymując następny ryk śmiechu, objaśniam pospiesznie.

— On i Garrett, obaj, chcą być ojcami chrzestnymi naszego dziecka. No więc z marszu palnąłem dla żartu, że będą musieli stoczyć pojedynek o ten zaszczyt, a oni stwierdzili, że to wspaniały pomysł, więc teraz konkurują.

Sabrina unosi brew.

— A pomyślałeś w ogóle, że może ja nie chcę, by którykolwiek z nich był ojcem chrzestnym dziecka?

— Oczywiście. Wiedziałem, że przedyskutujemy temat w którymś momencie, ale szczerze, uważam, że Garrett i Hannah byłiby wspaniałymi chrzestnymi.

— Będą musieli stoczyć o to bitwę z Hope i Carin. Ale już przekreślasz Logana?

Moje spojrzenie wędruje z powrotem na ekran.

— Eee. Tak.

W końcu Sabrina uśmiecha się nieznacznie.

— Dobra. Na czym polega ten ich konkurs?

Wzdycham.

— Sprawa jest skomplikowana. Głupkowato skomplikowana.

— To ani trochę mnie nie dziwi — stwierdza radośnie.

— Jest chyba pięć kategorii. W każdej chodzi o to, by pokazać niezbędną umiejętność rodzicielską. — Nie wierzę, że w ogóle o tym nawijam. Już raz musiałem wysłuchać absurdalnego tłumaczenia Logana. Mam wrażenie,

jakbym zatwierdzał to szaleństwo przez powtarzanie tych bzdur dalej.

Jednak Sabrina wygląda na zafascynowaną.

— Co to za kategorie?

Skanuję mózg.

— Pocieszenie. Rozsądek w trudnej sytuacji. Wsparcie partnera. Ee... finansowanie. I... kurde, nie pamiętam ostatniej.

— Co ma wspólnego kupienie wypchanego zwierzęcia z pocieszeniem?

— Kupienie? Moja droga, to stworzenie to ręczna robota. Kupili zestawy „Zrób swojego pluszaka”.

Opada jej szczeka.

— O ja cię. To... poświęcenie.

— Hokeiści. Poświęcenie jest w naszym DNA.

— Skąd wiedzą, kto wygrywa? Dostają punkty?

— Mam wybrać zwycięzcę w każdej kategorii. — Ponieważ moi kumple mnie nie znoszą, jak się okazuje.

— Pokazali ci kopie zwrotów podatku, by określić, kto wygrywa w kategorii finansów? — pyta sucho.

— Nee. Ale tutaj akurat jest remis, ponieważ oboje będą grali zawodowo. To samo, jeśli chodzi o partnerskie wsparcie — nie ma mowy, że miałbym wybierać między Hannah a Grace. Chcę, żeby moje jajka zostały tam, gdzie są.

Chichocze.

— Kto więc wygrywa pocieszenie?

— Jeśli Garrett nie uszyje czegoś jeszcze bardziej wywołującego koszmary nocne niż to — celuję kciukiem w telefon — jestem całkiem pewien, że wygra tę rundę.

— Twoi kumple są cholernie zakręceni, Tucker. Wiesz o tym, prawda?

— Jestem tego świadomy. Waham się przez chwilę. — Hej, pracujesz

jutro na pocztę po południu?

— Nie. Dlaczego?

— Miałem nadzieję, że może wpadniesz do domu i pomożesz mi pakować manatki. Będą chłopaki. I Hannah, Grace, może Allie. Wynająłem U-Haul, więc wszyscy pomagają mi załadować meble, które zabieram ze sobą. — Dodaję pospiesznie. — Oczywiście tobie nie pozwolę podnosić nic ciężkiego, ale pomyślałem, że mogłabyś pomóc mi z lekkimi rzeczami, na przykład ciuchami. Zamawiamy pizzę, więc będzie jedzenie... — Pozwalam, by słowo „jedzenie” zawisło kusząco, ponieważ wiem, jak wielki jest jej apetyt ostatnimi czasy.

Ale czoło Sabriny marszczy się niechętnie.

— Jesteś pewien, że nie będę przeszkadzać?

— Oczywiście, że nie. Naprawdę chcą ciebie poznać. Któregoś dnia Wellsy mówiła, że to ją dobija, że nigdy do nas nie przychodzisz.

— Wellsy? — pyta w osłupieniu.

— Hannah. Ma na nazwisko Wells, więc Garrett ochrzcił ją Wellsy. — I ni stąd, ni zowąd martwię się, że jestem z Sabriną od zimy, a ona prawie nic nie wie o moich najbliższych przyjaciółach.

— Nie wiem, Tuck...

— Proszę? — Strzelam moim najlepszym uśmiechem. — To dużo by dla mnie znaczyło.

— Och. — Jej mina topnieje jak masło na słońcu. — Dobra. Przyjdę.

*

Sabrina dotrzymuje słowa i następnego dnia około czternastej pojawia się w chacie. Zaraz po przybyciu omal nie zostaje zmieciona na bok przez materac, który Logan i Fitzy ciągną do ciężarówki. W domu panuje chaos.

Usuwać ją szybko z niebezpiecznej drogi i całuję w usta.

— Hej, kochana. Dzięki, że przyszłaś.

Rumieniec zakwita na jej policzkach, gdy uświadamia sobie, że Hannah i Grace stoją bezpośrednio za moimi plecami i są świadkami pocałunku. Ja z kolei miałbym gdzieś, gdyby były świadkami, jak się rzniemy oparci o pieprzoną ścianę. Sabrina wygląda tak zajebiście pięknie w niebieskiej sukience w kwiatki, z ciemnymi włosami ściągniętymi w niską kitkę. Przez ostatnie kilka miesięcy jej policzki są nieustannie zaróżowione, co przekłada się na tę całą ciężową aurę.

— Hej — mówi, jej ton jest dziwnie nieśmiały.

Przedstawiam ją dziewczynom. Witają się z nią ciepło i Sabrina szybko się przy nich rozkręca. Najwyraźniej zna już Hannah z restauracji, a Grace ma słodki zwyczaj paplania, gdy jest zdenerwowana, więc nawija do ucha Sabriny, zanim kończymy z etapem przedstawiania się.

— Chcesz coś do picia? — proponuję, kierując ją do kuchni, podczas gdy Hannah i Grace suną za nami.

— Nie, dzięki. Po prostu daj mi coś do roboty.

— I tak właśnie mieliśmy zrobić sobie przerwę. Fitzy pojawił się wcześniej, niż zaplanowaliśmy, i musi wyjść za godzinę, więc już wynieśliśmy wszystkie meble z mojego pokoju. Zostaje jedynie opróżnienie szafy i komody. — Popycham ją w kierunku krzesła. — Siadaj. Woda może być?

— Pewnie.

Podczas gdy Hannah i Grace dołączają do niej przy stole, zauważam, że obie zerkają co chwila na brzuch Sabriny. Oczywiście widać, że jest w ciąży, ale nie jesteśmy jeszcze na etapie arbuza. Może piłki nożnej?

W każdym razie moja córka jest tam w środku i za każdym razem, gdy o tym myślę, duma rozpiera mi klatkę piersiową. Moja córka. Chryste. Życie

jest dziwne, nieprzewidywalne i tak cholernie obłądne.

— Jak się czujesz? — Hannah pyta Sabrinę. — Wciąż masz poranne mdłości?

— Nie, skończyły się kilka miesięcy temu. Ostatnio jestem po prostu zmęczona, głodna i muszę chodzić do toalety co minutę. Och i coraz trudniej zobaczyć mi własne stopy. Może to i dobrze, bo przypuszczam, że są opuchnięte i dwukrotnie większe.

— Oj, niefajnie — stwierdza ze współczuciem Grace. — Ale przynajmniej dostaniesz rozkoszny, puciołowaty cud za ten cały ból i cierpienie. To przyzwoita zamiana, co?

— Ha! — szczerzy się Sabrina. — A czy jak zadzwonię do ciebie o trzeciej nad ranem, gdy mój puciołowaty cud będzie się wydierał wniebogłosy, wtedy też mi powiesz, że to przyzwoita zamiana?

Hannah chichocze.

— I tu cię ma, Grace.

Podaję Sabrinie szklankę wody, a potem z uśmiechem opieram się o ladę, podczas gdy dziewczyny kontynuują żarty o wszystkich „wspaniałych” rzeczach, których nie możemy się już doczekać z Sabriną — zero spania, zmiana pieluch, kolki, ząbkowanie.

Szczerze? Mnie to nie przeraża. Jeśli człowiek pragnie nagrody, musi na nią ciężko zapracować, prawda?

Słyszę zbliżające się kroki. Do kuchni wchodzi Garrett i ociera pot z czoła. Na widok Sabriny rozpromienia się.

— O, dobrze. Jesteś. Poczekaj, muszę coś przynieść.

Sabrina odwraca się do mnie, jakby chciała zapytać: *On mówi do mnie?*

Garrett zdążył się zmyć, jego kroki dudnią po schodach.

Przy stole Hannah przeczesuje włosy dłonią i obrzuca mnie błagalnym spojrzeniem.

— Pamiętaj tylko, że on jest twoim najlepszym przyjacielem, okej?

To wcale nie brzmi złowieszczo.

Garrett wraca z notatnikiem i długopisem kulkowym, które kładzie na stole, i zajmuje miejsce naprzeciwko Sabriny.

— Tuck — mówi. — Siadaj. To ważne.

Jestem całkowicie zbity z tropu. Zrezygnowana mina Hannah nie pomaga w złagodzeniu konsternacji.

Gdy tylko sadowię się obok Sabriny, Garrett otwiera notatnik, wszystko bardzo formalnie.

— Dobra. Przejrzyjmy listę imion.

Sabrina spogląda na mnie z uniesionymi brwiami.

Wzruszam ramionami, ponieważ absolutnie nie mam pojęcia, o czym on, kurwa, pieprzy.

— Przygotowałem rzetelną listę. Naprawdę myślę, że będziecie zadowoleni. — Ale gdy spogląda na kartkę, jego twarz pochmurnieje. — Chłopięce imiona trzeba wykreślić.

— Czekaj. — Sabrina podnosi dłoń, jej brwi są ściągnięte. — Wybierasz imię dla naszego dziecka?

Kiwa potakująco, zajęty przerzucaniem kartek.

Matka mojego dziecka gapi się na mnie.

Znów wzruszam ramionami.

— Tak z czystej ciekawości, jakie były imiona dla chłopców? — Wtrąca się Grace. Wyraźnie walczy z uśmiechem.

Garrett znów się ożywia.

— Pierwszym rozgrywającym był Garrett.

Parskam na tyle głośno, by rozkołysać szklanę z wodą Sabriny.

— Aha — mówię, udając, że w to wchodzę. — A kolejny zawodnik?

— Graham.

Hannah wzdycha.

— Ale luz. Dla dziewczyn też mam kilka odjechanych imion. — Stuka długopisem o notatnik, zagląda nam w oczy i wypowiada dwie sylaby. — Gigi.

Opada mi szczęka.

— Jaja sobie robisz? Nie nazwę córki Gigi.

Sabrina jest zadziwiona.

— Dlaczego Gigi? — pyta powoli.

Hannah znów wzdycha.

Nagle to imię styka w mojej głowie. O ja pierdolę!

— G.G. — mruczę do Sabriny. — Jak w Garrett Graham.

Na chwilę milknie. Potem wybucha śmiechem, zarażając chichotem Grace i w końcu Hannah, która wciąż kręci głową na swojego chłopaka.

— Co? — pyta defensywnie Garrett. — Ojciec chrzestny ma coś do powiedzenia w kwestii imienia. — Tak mówi zbiór zasad.

— Jaki zbiór zasad? — wybucha Hannah. — Sam wymyślasz te zasady na poczekaniu!

— No i?

— Poza tym nie zostałeś jeszcze mianowany ojcem chrzestnym — zauważam z uśmiechem w chwili, gdy Fitzy i Logan ładują się do kuchni. Macham kciukiem w stronę Logana. — Ten jełop wciąż ma szansę.

— Właściwie... — Garrett rozpromienia się. — Logan odpadł z wyścigu.

Obracam się na krześle, by spojrzeć na współlokatora.

— Od kiedy?

Mina Logana rzędzie natychmiast.

— Zdecydowałem się wycofać — mruczy. — To duża odpowiedzialność.

Głośne parsknięcie rozbrzmiewa ze strony Garretta.

— Zdecydowałeś się wycofać? Tak będziemy to teraz nazywać?

Logan patrzy na niego złowrogo.

— Tak to nazywamy, ponieważ to prawda.

— Taak? — Garrett zrywa się na nogi. — Zaraz wracam.

Sabrina i ja wymieniamy zdziwione spojrzenia, gdy Garrett wychodzi z kuchni. Słyszę, jak kręci się po salonie. Chwilę później jest już w zasięgu wzroku i rozpościera dłonie przed nosem Logana.

— A jak wytłumaczysz to?

Sabrina krzyczy przerażona.

Ja zaś jestem tylko ciekaw usłyszeć, dlaczego Garrett dzierży w dłoniach małą lalkę newborn.

Lalkę bez głowy, tak przy okazji.

— Zabrałeś ją, kurwa, do chaty? — Logan jest wściekły.

— Oczywiście, że tak, do diabła. Jaki miałoby tam z niej pożytek? Nie ma głowy, brachu.

— Co to jest „tam”? — pytam ostrożnie, chociaż wcale nie jestem pewien, czy chcę poznać odpowiedź.

— Pierwsza pomoc dla niemowlaków — tłumaczy Garrett. — Rano poszliśmy na kurs w kampusowej przychodni.

— Pierwsza pomoc dla niemowlaków? — Sabrina potrząsa głową osłupiała.

— Test na rozsądek w trudnej chwili. — Garrett uśmiecha się z zadowoleniem. — Który on zawałił. Ja, oczywiście, zdałem śpiewająco.

— Czy to moja wina, że nie jestem świadomy własnej siły? — protestuje Logan.

— Tak! — Stwierdza Garrett w salwach śmiechu. — To absolutnie twoja wina. — Podnosi lalkę i macha nią dookoła. — Pokaż mi na tej lalce, gdzie jest twój mózg. O, dobra, nie możesz przecież. Bo, ja pierdołę, zafundowałeś jej dekapitację.

Sabrina odwraca się do mnie.

— Możemy iść na górę i zacząć się pakować?

— Chłopaki, straszycie Sabrinę — gdera Hannah na kłócących się idiotów.

— Kotku, odłóż tę lalkę. A ty, Logan, przypomnij mi, bym nigdy nie pozwoliła ci niańczyć mojego dziecka w przyszłości. — Po tych słowach kieruje uwagę z powrotem na Sabrinę. — Dobra, zakładając, że skreślacie Gigi, jakie inne imiona bierzecie pod uwagę?

Wymieniamy z Sabriną spojrzenie.

— Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy — przyznaję.

— A są jakieś imiona, które się wam podobają?

Sabrina zastanawia się przez chwilę.

— Podoba mi się Charlotte.

— Och, piękne! — Krzyczy Grace. — Charlotte Tucker. Ładnie brzmi.

— Charlotte James — poprawia ją Sabrina.

Mrozę ją wzrokiem.

— Na nazwisko będzie miała Tucker.

— Nie. Tucker.

— A może Tucker-James? — woła Fitzy, gdy wyciąga piwo z lodówki.

— Nie — odpowiadamy zgodnie. Nie dlatego, że mamy coś do łączników, ale ponieważ oboje jesteśmy upartymi osłami.

Nie spodziewałem się, że kwestia nazwiska dla mojej córki była dla mnie tak ważna, ale jest. Gdyby to ode mnie zależało, Sabrina nosiłaby również moje nazwisko. Ale najpierw musielibyśmy wziąć ślub, a wcześniej musiałbym się jej oświadczyć i jestem całkiem pewien, że związałaby na inny kontynent, gdybym to zrobił. Możemy znów się ze sobą przespać, ale widzę przecież, że wciąż walczy z myślą, iż faktycznie tworzymy związek.

Z jakiegoś powodu ta głupiutka dziewczynka uważa, że wszystko musi zrobić sama.

— Dobra. — Hannah się szczerzy. — A może debatę na temat pierwszego imienia odroczy my do czasu, gdy rozwiążecie dylemat z nazwiskiem?

Dobry pomysł. Ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę, to kłótnia z Sabriną na oczach moich przyjaciół.

— Chodźmy na górę i pakujmy się — mówię Sabrinie.

Kiwa głową i pozwala mi pomóc sobie przy wstawaniu z krzesła.

Twarz Garretta pochmurnieje.

— Nie wierzę, że się wyprowadzasz.

Przewracam oczyma.

— Wy też się wyprowadzacie.

— Ale dopiero za dwa tygodnie.

Zauważam, że Logana tak jak i mnie dołuje wizja, że dziś opuszczam chatę. Chcieli urządzać mi pożegnalne przyjęcie, ale nie zgodziłem się, ponieważ z technicznego punktu widzenia to nie jest pożegnanie. Wyprowadzam się tylko do Bostonu, czyli tam, gdzie oboje wylądują za kilka miesięcy.

Za to Dean wyprowadza się do Nowego Jorku. Olał studia prawnicze i dostał posadę nauczycielską w prywatnej szkole. Allie została obsadzona w telewizyjnym serialu kręconym na Manhattanie, więc przypuszczam, że zamieszkają razem.

Jeśli mam być szczerzy, na myśl, że Dean zamieszka w innym stanie, jest mi zarówno smutno, jak i odczuwam ulgę. Nie za bardzo wykazuje się wsparciem dla mojego zbliżającego się ojcostwa, ale to wciąż jeden z moich najlepszych przyjaciół, do cholery.

— A wy chłopaki dogadaliście się już, komu przypadnie sypialnia pana domu?

Garrett zwraca się teraz do Fitzy'ego, który wzrusza wytatuowanymi ramionami.

— Mnie. Rozumie się samo przez się.

— No nie wiem — ostrzega Logan. — Hollis i pierwszak będą próbowali się z tobą o nią bić.

Fitzy podnosi brwi, a potem napina wielkie bicepsy.

— Niech spróbują.

Tłumię śmiech. Taak, Hollis i Hunter nie mają najmniejszych szans z Colinem Fitzgeraldem. Choć, biorąc pod uwagę, jakim jest skrytym człowiekiem, wciąż się dziwię, że zgodził się na wspólny wynajem chaty. Myślałem, że będzie szukać jakiegoś kąta tylko dla siebie, ale coś mi się wydaje, że Hollisowi udało się skutecznie go zachęcić.

Ruszamy z Sabriną na górę i omiatam spojrzeniem pusty pokój. Łóżko jest już spakowane i nie ma na czym usiąść. Zauważam, że Sabrina pociera dolną część kręgosłupa, więc odnotowuję w myślach, by nie pozwolić jej zbyt długo stać.

— Okej — odzywa się stanowczym tonem, gdy otwiera drzwi szafy. — Będziemy wszystko ładnie składać? Czy tylko wrzucamy jak popadnie do kartonów?

— Jakich kartonów? — Przesuwam pojemnik z workami na śmieci po podłodze. — Ciuchy lądują tutaj.

— O Boże. Cały facet.

— Naprawdę? Uśmiechając się pod nosem, przeciągam dłonią po moim kaloryferze i chwytam się między nogami. — Chcesz sprawdzić wyposażenie dla pewności?

— Ściągnąłeś mnie tu, żebyśmy posuwali pakowanie do przodu, czy żeby mnie posunąć?

— Jedno i drugie?

Macha dłonią dookoła pokoju.

— Nie ma łóżka.

— Kto potrzebuje łóżka?

— Moje biedne tłuste ciążowe ciało — odpowiada Sabrina z samokrytycznym uśmiechem.

— A co powiesz na to? — Mam inny pomysł. — Spakujmy się tak szybko, jak się da, a potem pojedę z tobą do Bostonu i możemy się pieprzyć na całego w twoim dużym wygodnym łóżku.

Staje na palcach i zostawia buziaka na moich ustach.

— Umowa stoi.

Sabrina

Denerwowałam się na ten wspólny czas z przyjaciółmi Tuckera, ale naprawdę niepotrzebnie, bo są fajni. Z Hannah i Grace łatwo się rozmawia. Garrett i Logan są zabawni i o wiele bardziej wyluzowani, niż myślałam. Bo przecież mowa tu o bajecznie przystojnych hokeistach. Czy oni przypadkiem nie powinni zadzierać nosa jak...

— Musimy pogadać.

Jak ten facet.

Sztywnieję na widok Deana Di Laurentisa stojącego w drzwiach. Tucker właśnie zszedł na dół, żeby pożegnać Fitzy'ego. Ja zostałam sama, by opróżnić szuflady, ale przerywam to zajęcie, gdy do pokoju wchodzi Dean i zamyka za sobą drzwi.

Już sam jego widok mnie denerwuje. To nie fair, że ktoś tak durnowaty jest tak nieziemsko atrakcyjny. Obiektywnie Dean jest prawdopodobnie najprzystojniejszym facetem, jakiego widziałam poza ekranem w kinie. Ma blond włosy, wyrzeźbione rysy męskiego modela, boskie ciało. I jest czarujący jak cholera — właśnie dlatego zaciągnął mnie do łóżka. To znaczy to i trzy daiquiri, które wypiałam. Może nawet umówiłabym się z nim kolejny

raz, gdybym nie dowiedziała się, że sypiał z asystentką w zamian za dobre stopnie.

— Musimy? — przeciągam samogłoski. — O czym to niby musimy pogadać, Richie?

Krzywi się jak zawsze, gdy używam tego szyderczego przezwiska. Nazwałam go Richie Rich po tym, jak odkryłam, że używa swojego grubego portfela i wdzięków, by iść do przodu.

— Dobrze wiesz, o czym.

Marszczę się.

— Jeśli masz na myśli to — wskazuję gestem na brzuch — to nie mamy o czym dyskutować. Moje dziecko i ja to nie twój interes.

— Tucker to mój interes — mówi chłodno, krzyżując ramiona na muskularnej klatce. — Chodzi mi, kurde, o to, że zawsze wiedziałem, że z ciebie ambitna suka, ale nie miałem pojęcia, że również egoistyczna.

Złość chwyta mnie za gardło.

— Wow. Beau zawsze próbował mnie przekonać, że równy z ciebie gość, ale najwyraźniej się mylił.

Dean ze świstem wypuszcza oddech.

— Nie mieszaj do tego Beau. Rozmawiamy o tobie i Tuckerze.

— Naprawdę chcesz się wdać w kłótnię z ciężarną laską? Bo ostrzegam cię — moje hormony szaleją. Mogę ci wydrapać oczy.

Wygląda na niewzruszonego.

— Rozpierdalasz życie mojego przyjaciela. Naprawdę myślisz, że będę po prostu stał bez słowa i pozwolę ci to zrobić?

Zaciskając zęby, zatraskuję szufladę i naśladowuję jego pozę, zaplatając ciasno ręce na opuchniętej klatce.

— Tucker jest dorosły. I tak się składa, że przy okazji jest ojcem tego dziecka. Jeśli chce uczestniczyć w jego wychowywaniu, to nie bardzo mogę

go powstrzymać.

Widać frustrację na jego twarzy.

— To zrujnuje całe jego życie. Nie dociera to do ciebie? Rzuca w cholere wszystko, do czego dążył, dla laski, która go nawet nie kocha.

Moja szczęka prawie uderza o podłogę. Jakim prawem, do cholery, ma czelność wciskać mi te bzdury?

— Skąd wiesz, że go nie kocham? — odparowuję wyzywająco.

— Ponieważ gdybyś go kochała, już miałabyś pierścionek na palcu. Tuck nie robi rzeczy na pół gwizdka. Kocha cię, nosisz jego dziecko — gdyby choć przez jedną chwilę myślał, że go kochasz, bralibyście ślub w urzędzie miasta, zanim ten dzieciak pojawi się na świecie. A tak zostaje w Bostonie, podczas gdy od pierwszego roku nawijał, że wraca do Teksasu.

Poczucie winy piecze mnie w gardle. Mocno.

— A teraz musi brać pierwszą lepszą robotę, która mu się nadarzy, zamiast otwierać biznes, któremu poświęcił tyle czasu. — Dean potrząsa głową. — Nie widzisz tego wszystkiego?

Trafił. Ma rację. Tucker nie robi rzeczy na pół gwizdka. A mimo to, proszę bardzo, wprowadza się do mało fajnego gościa, rozważa zakup gównianej franczyzy, do której nie ma serca, a wszystko tylko dlatego, że jednej nocy opanowała mnie taka chcica, że zapomniałam, iż „koniuszek” jest równie efektywny w zaciężeniu, jak facet wytryskujący w środku.

Zmienia dla mnie całe życie. Zmienia cele, plany, by dostosować się do tego dziecka. A wszystko przeze mnie.

Pomimo wcześniejszej groźby wydrapania oczu Deanowi bojowy nastrój zniknął. Teraz czuję się... przybita.

Tak przybita, że na próżno próbuję zdławić łkanie, które wydobywa się z moich ust. Tak przybita, że rozklejam się przed samym nosem Deana pieprzonego Di Laurentisa.

Opadam na podłogę, chowam twarz w dłoniach i płaczę tak mocno, że nie mogę nawet złapać oddechu. Z trudem wdycham powietrze, podczas gdy gorące łzy spływają po policzkach i moczą mi dłonie. Jestem roztrzęsioną, żalowaną ciężarówką i dopiero gdy silna dłoń chwytą mnie za ramię, uświadamiam sobie, że Dean siedzi obok mnie na podłodze.

— Kurwa — mamrocze, a jego głos brzmi równie beznadziejnie, jak ja się czuję. — Nie chciałem doprowadzić cię do łez.

— Zasługuję na płacz — wykrztuszam między chlipnięciami.

— Sabrino... — ponownie dotyka mojego ramienia.

— Nie! — Wyszarpuję się z jego uścisku i gapię się na niego oczami pełnymi łez. — Masz rację, tak? Rujnuję mu życie! Myślisz, że rozpiera mnie pierdolone szczęście z tego powodu? Wcale nie! — Przełykam gwałtownie i próbuję przypomnieć sobie, jak się oddycha. — Jest dobry, słodki i tak cholernie niesamowity, i na pewno nie zasługuje, by jego świat stanął na głowie! Powinien teraz realizować swoje plany, ekscytować się zakończeniem studiów i zaczynać nowy rozdział w życiu; miało być tak pięknie, a zamiast tego dostaje pierdolony koniec. Najlepszy facet na całej kuli ziemskiej utknął ze mną — na zawsze — a wszystko przez jeden wieczór, który miał być jednorazową przygodą!

Kończę z zadyszka, brutalnie ścierając łzy. Dean wygląda na totalnie i całkowicie zszokowanego.

— Ja cię kręcę — odzywa się w końcu. — Ty go naprawdę kochasz.

Zwieszam głowę.

— Tak.

— Ale nie powiedziałaś mu o tym.

— Nie.

— Dlaczego, do cholery?

— Ponieważ... — Moja twarz znów się załamuje. — Ponieważ próbuję

ułatwić mu to wszystko na tyle, na ile to możliwe. Miłość komplikuje rzeczy, a to całe gówno jest już dosyć skomplikowane w tej chwili. I...

— I co? — Pyta Dean.

Nie wiem, czy on mnie kocha.

Czasami wydaje mi się, że tak, ale gdzieś z tyłu głowy kołacze powątpiewanie. Z ręką na sercu nie jestem pewna, czy Tucker chce być ze mną, bo mnie kocha, czy raczej ze względu na dobro dziecka.

— Nie ma znaczenia — mówię ochryple. — Masz rację. To dziecko pieprzy mu wszystkie plany. Ponownie wycieram twarz. — Mogę jedynie upewnić się, że nie rujnuje mu życia bardziej niż musi. Wezmę na siebie ogrom odpowiedzialności. To da mu więcej wolnego czasu, żeby mógł otworzyć biznes i robić to, co kocha.

Dean się waha.

— A co z Harvardem?

— Będę studiować. — Gorycz dołącza do smutku ściskającego mnie za gardło. — Nie martw się, będziesz miał trzy kolejne lata, żeby mnie nienawidzić i nazywać suką.

— Właściwie to się tam nie wybieram — wyznaje.

Marszczę czoło.

— Od kiedy?

— Przyjąłem posadę nauczyciela w prywatnej szkole na Manhattanie. — Wzrusza ramionami. — Zdałem sobie sprawę, że studia prawnicze to nie moja bajka.

— Och. — Zastanawiam się, dlaczego Tucker mi o tym nie wspomniał, ale pewnie nie mam się czemu dziwić. Przyznał już, że w kwestii dziecka Dean nie do końca zachowywał się jak przyjaciel.

— Po śmierci Beau — Dean zaczyna, ale jego głos załamuje się i przerywa, by odchrząknąć. — Po jego śmierci można powiedzieć, że na

jakiś czas mi odwaliło. Ale potem wygrzebałem się z dołka, który sobie wykopałem, i naprawdę przemyślałem swoje życie, wiesz?

Kiwam powoli głową. Joanna Maxwell zrobiła dokładnie to samo. I ja również. Śmierć Beau uświadomiła mi, jak ważne jest życie, jak krótkie może być. Zastanawiam się, czy strata Beau była punktem zwrotnym dla każdego, kto go znał i zależało mu na nim.

— Dla mnie też zmieniła wiele rzeczy — wyznaję.

— Teraz to Dean kiwa głową.

— Widzę. — Przerywa ze smutkiem. — Czasami nie mogę uwierzyć, że ty i ja kiedyś się spiknęliśmy. Wydaje się, że to było jakiś milion lat temu.

Udaje mi się roześmiać.

— No.

— Naprawdę kochasz Tucka, co?

— Tak.

Wypuszcza ciężki oddech.

— Powinnaś mu powiedzieć.

— Nie. — Przełykam. — I ty też mu nie powiesz.

— Musi wiedzieć.

— Nie — powtarzam, tym razem bardziej stanowczo. — Mówię poważnie, Dean. Nic mu nie mów. Jesteś mi to winien.

Rozbawienie błyska w jego oczach.

— Niby za co?

Podnoszę podbródek.

— Nie zasłużyłeś na piątkę ze statystyki na drugim roku.

— Oj, więc trzymanie gęby na kłódkę jest karą za niesłuszny stopień?

— Przyznajesz, że był niesłuszny!

— Oczywiście, że tak. — Słyszę boleść w jego głosie. — Uwierz mi, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by przekonać profesora, żeby mnie

oblał.

— Akurat.

— Naprawdę. Po tym, jak dostałem maksa z tego projektu, który robiliśmy razem, a ty tylko czwórkę, zdałem sobie sprawę, że asystentka poleciała w chuja z moimi ocenami. Poprosiłem profesora, by przejrzał wszystkie moje testy i prace. Okazało się, że powinienem dostać laczka.

— O Boże. Wiedziałam. — Chociaż wcale nie czuję takiej satysfakcji z tego powodu, jak się spodziewałam. Mój konflikt z Deanem nagle wydaje się kompletnie nieważny. Tak jak powiedział, mam wrażenie, jakby wydarzył się milion lat temu.

— Cóż, a ja nie — mówi szczerze. — Wiem, że uważasz, że posuwałem asystentkę dla ocen — strzela uśmiechem — ale posuwałem ją dlatego, że miała zajebiste zderzaki i najśłodszy tyłek.

Udaję, że się krztuszę, zanim znów staję się poważna.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?

Parska śmiechem.

— Bo nie jesteśmy przyjaciółmi.

Odpowiadam parsknięciem.

— Prawda. — Rozważam coś. — Ale może powinniśmy zawiesić broń.

— Piekło zamarło czy co?

Wstyd łaskocze mnie w żołądku.

— Jesteś jednym z najlepszych przyjaciół Tuckera. Ja mam urodzić jego dziecko. Może postarajmy się koegzystować. Ma to sens.

— Ma sens — zgadza się.

Dean podskakuje z podłogi i wyciąga do mnie dłoń.

Waham się tylko przez sekundę, zanim pozwalam mu na to, by pomógł mi stanąć na nogach.

— Dzięki.

Niezręczna cisza zapada między nami. Nie staram się jej zapełnić mówieniem. Wciąż nie jestem przekonana, że Dean nie jest powierzchownym playboyem i jestem pewna, że nadal uważa mnie za jędzę. Ale wrogość uleciała i choć nigdy nie będziemy najlepszymi kumplami, wiem, że Tucker doceni, jeśli zdobędę się na wysiłek, by ułożyć się z Deanem.

Mogę zrobić choćby tyle, biorąc pod uwagę, ile Tucker zdążył poświęcić dla mnie.

Rozdział 29

Sabrina

Czerwiec

— Ja pierdziu, dzieci potrzebują mnóstwo bambetli. — Carin wtacza się do mojej sypialni obładowana trzema torbami. — Twoja milusińska ma więcej kłopotów niż Hope.

— Niemożliwe — stwierdza chłopak Hope, którego zwerbowałyśmy do przewiezienia łóżeczka wypatrzzonego na wyprzedazy garażowej w Dunham.

On i Tucker przytaszczyli części do pokoju i rozglądają się po małej przestrzeni.

— Pomieścisz się tu ze wszystkim? — pyta D'Andre z powątpiewaniem.

Pocieram dłonią brzuch. Już w nic się nie mieszczę. Ani w ubrania. Ani w buty. A teraz nie zmieszczę kołyski. Sypialnia jest na tyle duża, by ustawić biurko i łóżko, ale nie biurko, łóżko i łóżeczko.

Wzdycham.

— Coś mi się wydaje, że biurko musi stąd wywędrować.

Tucker nie odzywa się słowem, ale widzę błysk frustracji w jego oczach. Już to przerabialiśmy. Chce, żebym się wyprowadziła, ale ja odmawiam.

W zeszłym miesiącu wypracowaliśmy miłą rutynę, w której trzymałam się dokładnie tego, co powiedziałam Deanowi — próbuję ułatwić życie Tuckerowi na tyle, na ile to możliwe.

Nie zwracam się do niego z byle czym. Nie pozwalam mu płacić ani dzielić kosztów rzeczy kupowanych dla małej. Nie dzwonię do niego

w środku nocy, by poskarżyć się, że dziecko kopie i nie mogę spać, albo że bolą mnie plecy. I z całą pewnością nie zamierzam wiązać się wspólnym mieszkaniem. W życiu nie stać by mnie było na wynajęcie czegoś przyzwoitego, a muszę płacić swoją część albo to się nigdy nie uda.

Mimo wszystko jednak nieproszenie Tuckera o pomoc to jak proszenie słońca, by nie wschodziło. Towarzyszy mi w czasie wizyt do lekarza, masuje plecy i stopy za każdym razem, gdy lądujemy razem na kanapie, czyta tyle książek o maluszkach, ile wpadnie nam w ręce, i zawsze przynosi mi małe przekąski — opakowanie lodów ciasteczkowych, paczkę Oreo z podwójnym nadzieniem, słoik oliwek. Zaczęłam zachowywać ciężowe zachcianki dla siebie, ponieważ jeśli tylko wspomnę, że mam na coś chrapkę, Tucker już jest w samochodzie w drodze do sklepu spożywczego.

— A gdzie będziesz się uczyć? — pyta Carin z przerażeniem w głosie.

D'Andre stęka i próbuje inaczej chwycić element łóżeczka.

— W kuchni — odpowiadam. Wskazuję na drzwi szafy i proszę chłopaków, by tam postawili części.

— Tutaj, a biurko trzeba będzie wystawić na chodnik i miejmy nadzieję, że ktoś je sobie weźmie.

Podczas gdy dwóch mężczyzn manewruje z elementami łóżeczka w pokoju, zabieram się do opróżniania szuflad biurka i wyrzucam papiery na łóżko. Carin przybiega na pomoc.

— Dobry pomysł z Dunham — zwracam się do Tuckera. To on wymyślił, by podjechać do szynowego miasteczka oddalonego dwadzieścia minut od Bostonu.

Wzrusza ramionami, jakby to nie było nic wielkiego.

— Patrzyłem tam na nieruchomości i najtańsze miejsce miało sześć cyfr. Pomyślałem, że znajdzie się tam dla nas parę fajnych rzeczy.

— Co robiłeś w Dunham? — pyta D'Andre.

— Rozglądałem się za biznesami na sprzedaż. Chcę zainwestować pieniądze ze spadku po tacie. — Tucker kuca przy mnie i zaczyna przeglądać elementy łóżeczka.

— Znalazłeś coś interesującego?

— Dużo franczyzy, ale nic mi nie pasowało. Nie widzę siebie robiącego kanapki do końca życia, nawet jeśli rachunek zysków i strat jest dobry. Mógłbym kupić coś pod wynajem. Dobry przepływ gotówki.

D'Andre potakuje.

— Do tego poradziłyś sobie z większością prac konserwatorskich. A inne opcje?

— W zasięgu moich finansowych możliwości? W większości małe firmy. Kilka siłowni, dużo punktów gastronomicznych i parę innych rzeczy, które uważam za wyrzucanie pieniędzy w błoto.

— Musisz znaleźć coś, co polubisz.

— Dokładnie. — Tucker zrywa się na nogi. — Przyniosę resztę gratów z samochodu.

Potakuję głową. W mgnieniu oka biurko zostaje oczyszczone. Hope i ja zaczynamy je przesuwać, ale D'Andre dopada mnie i odpycha na bok.

— Czy tobie zupełnie odbiło? Przejdź tam i siadaj. — Potrząsa głową. — Głupia baba. Wielkości chałupy, a wciąż będzie udawać, że nie jest w ciąży — mruczy, ale na tyle głośno, że słyszą go wszyscy obecni w pokoju.

Po tej naganie udaję się na łóżko i zaczynam sortować rzeczy. Czekają mnie również porządki w szafie i komodzie, ponieważ, jak powiedziała Carin, bobasy potrzebują dużo bambetli. Pieluchy już stoją w kącie szafy — prezent od Hope. Nie mogę sobie wyobrazić, że zużyję je wszystkie, nawet jeśli w książkach piszą, że dziecko można przewijać sześć do dziesięciu razy dziennie.

Książki zakupione w antykwariacie były stare, więc pewnie niektóre

informacje są przestarzałe. Bo sześć do dziesięciu razy dziennie? Kto ma na to czas? Tucker nabył nowsze książki. Później porównam notatki.

Hope dołącza do mnie na łóżku.

— „Najprawdopodobniej Zostaniesz Prawnikiem, ósma klasa”. — Robi minę. — Jako dziecko byłaś beczką śmiechu, co?

Wyrywam głupi certyfikat z jej dłoni.

— Nie szło mi w przedmiotach ścisłych, ale lubiałam mówić ludziom, co dokładnie o nich myślę, więc lekarz przepadł, a został prawnik.

— Myślę, że to bardziej pasuje do gospodarza programu telewizyjnego, a nie prawnika. — Wyciąga dłoń, by pogłaskać mój brzuch. — Jak się dziś ma maleństwo?

— Śpi.

— Chcę poczuć, jak kopie. Obudź ją.

Hope odbiło na punkcie bobasów. Za każdym razem, gdy się spotykamy, chce głaskać mój brzuch, jakbym była posążkiem szczęśliwego Buddy w chińskiej restauracji. Pechowo dla Hope dziecko i ja nie mamy zsynchronizowanego grafiku. Kiedy ja się kręcę, ona śpi. Zaś jak tylko kładę się do łóżka, mała decyduje się obudzić. Doktor Laura powiedziała mi, że to dlatego, że mój ruch lula dziecko do snu. Wszystko pięknie ładnie, ale to nie pomaga mi się wyspać, prawda?

— Jak niby mam to zrobić? Skakać pajacyki?

— Czy od tego dziecko mogłoby wypaść? To znaczy, jakbyś była bliska terminu, byłabyś w stanie je wytrząsnąć? — Carin kręci ramionami, jakby była członkiem grupy tanecznej Taylor Swift w piosence *Shake it Off*.

Gapię się na nią.

— Proszę, przysięgnij, że jakikolwiek przedmiot ścisły przyjdzie ci zgłębiać na studiach magisterskich, to nie będzie nic ważnego.

Carin macha mi środkowym palcem i tanecznym ruchem przemierza

pokój, zanim pochyła się, by podnieść jedną z toreb, którą napełniłyśmy w Goddwill, w sklepie z używaną odzieżą. Wyrzuca zawartość na podłogę i zaczyna oddzielać białe ciuszki od kolorowych. Zgodziłyśmy się jeszcze w sklepie, że wszystko musi być wyprane w możliwie najgorętszej wodzie, biorąc pod uwagę zapach niektórych rzeczy.

— Wiedziałaś, że pierwsze ruchy dziecka nazywają się „quickenig”? — mówi Hope.

Chichoczę.

— Mam się przygotować, że wyskoczy z mojego brzucha z mieczem i obwieści, że „może zostać tylko jeden! ¹”.

— Możliwe. Kobiety umierają w trakcie porodu, tak? Można właściwie powiedzieć, że dziecko to pasożyt. Żywi się twoimi składnikami odżywczymi, czerpie twoją energię. — Klepie się ramiączkiem w usta. — Tak, uważam, że motto z *Nieśmiertelnego* nawet mogłoby tu pasować.

Carin i ja spoglądamy na nią w przerażeniu.

— Hopeless, weź się już lepiej zamknij — rozkazuje Carin.

— Mówiłam tylko, że z medycznego punktu widzenia to możliwa teoria. Nie tutaj, ale może w mniej rozwiniętych krajach. — Sięga dłonią i klepie mój brzuch. — Nie martw się. Jesteś bezpieczna. Powinnaś mieć więcej ciążowych ubrań — dodaje, zmieniając temat, podczas gdy ja wciąż trawię stwierdzenie, że moje dziecko jest pasożytem.

Potrząsam głową.

— Nie. Te ciuchy są obrzydliwe. Wystarczy już, że wyglądam jak łódź. Nie chcę być szkaradną łodzią.

— Myślę, że gdybym ja była w ciąży, zakładałabym hawajskie sukienki albo podomki jak Lucille Ball — popada w zadumę Carin.

— A to są w ogóle ubrania? — pyta Hope.

— No tak.

Kiwam potakująco głową, ponieważ, o tak, do cholery, założyłabym coś takiego zamiast tych okropnych dzinsów i szmat z poliestru z rozciągliwym pasem na rosnący brzuch. Wiem, że docenię je za kilka tygodni, ale w chwili obecnej wcale mi się nie spieszy do powiększenia rozmiaru.

— Próbowałam się dziś pochylić i dotknąć palców u nóg — mówię dziewczynom. — Potknęłam się, uderzyłam głową o biurko i musiałam wołać Nanę, by pomogła mi wstać. Dosłownie jestem w rozmiarze Oompy Loompy.

— Jesteś najpiękniejszą Oompą Loompą na świecie — ogłasza Hope.

— Bo nie jest pomarańczowa.

— Oompy Loompy były pomarańczowe? — Próbuję przywołać w głowie ich zdjęcie, ale przypominam sobie jedynie białe kombinezony.

Carin zaciska usta.

— Czy one nie miały być cukierkami? Jak pomarańczowe galaretki? A może słodki popcorn?

— To były wiewiórki — informuje nas Hope.

— Niemożliwe — zaprzeczamy równocześnie.

— A właśnie, że tak. Przeczytałam o tym z tyłu opakowania Laffy Taffy, gdy miałam jakieś dziesięć lat. Tak brzmiało jedno z pytań na Trivia, a ja właśnie obejrzałam ten film. Straszliwie bałam się później wiewiórek przez wiele lat.

— Kurde. Człowiek każdego dnia się czegoś uczy. — Unoszę ciało do pozycji stojącej, ćwiczenie, które wymaga ostatnio sporo siły, i toczę się w kierunku kołyski.

— Nie wierzę ci — Carin zwraca się do Hope. — Film jest o cukierkach. Ma tytuł *Willy Wonka i Fabryka Czekolady*. Od kiedy wiewiórki są słodyczami? Rozumiem jeszcze zające, bo, no wiesz, czekoladowe zajączki wielkanocne, ale w wiewiórki nie uwierzę.

— Sama sprawdź. Mam rację.

— Rujnujesz mi dzieciństwo. — Carin odwraca się do mnie. — Tylko nie rób tego swojej córce.

— Wychować ją w przekonaniu, że Oompy Loompy są wiewiórkami?

— Tak.

Hope śmieje się.

— Oto moja teoria rodzicielstwa. Zawalimy. Na całej długości. I to wiele, wiele razy. Nasze dzieci będą musiały chodzić na terapię. Celem jest zredukowanie liczby terapii, której będą potrzebować.

— Niewesoła ta perspektywa rodzicielstwa — zauważam. — Jak mamy połączyć te elementy? Brakuje nam czegoś? — Widzę dwie pasujące do siebie końcówki, ale reszta części na podłodze wygląda jak zestaw lego bez instrukcji.

Carin wzrusza ramionami.

— Jestem naukowcem. Potrafię oszacować objętość i wagę tych elementów, ale nie będę ryzykować życiem, by złożyć je w całość.

W drzwiach staje D'Andre, pot błyszczy na jego ciemnej skórze. Wszystkie trzy odwracamy się do niego z błaganiem w oczach.

— Dlaczego patrzycie na mnie w ten sposób? — pyta podejrzliwie.

— Potrafisz z powrotem złożyć łóżeczko? — pytam z nadzieją.

— I jeśli tak, zdejmiesz, proszę, koszulę? — błaga Carin.

D'Andre patrzy na nią gniewnie.

— Musisz przestać traktować mnie jak kawał mięsa. Mam uczucia.

Ale i tak szybko pozbywa się koszuli, a my wszystkie zatrzymujemy się na chwilę w miejscu i chwalimy Boga za stworzenie takiego gatunku jak D'Andre, którego klatka piersiowa wygląda, jakby była wyrzeźbiona z marmuru.

Uśmiecha się z wyższością.

— Macie dosyć?

— Jeszcze nie. — Carin opiera brodę o dłonie. — A może szorty też byś zdjął?

Przyznaję, jestem ciekawa. D'Andre to postawny mężczyzna. Nie mam nic przeciwko, by zobaczyć jego sprzęt.

Hope macha pięścią w powietrzu.

— O nie. Żadnego striptizu. Jesteśmy tu, by pomóc złożyć łóżeczko. Kochanie, co potrafisz z tym zrobić?

— Studiuję rachunkowość — przypomina jej. — Pamiętasz? Jestem dobry w cyfrach i noszeniu ciężkich rzeczy. Tucker to złoży. Przekonuje jakiegoś gościa, by wywiózł biurko. — Spogląda znacząco na mój brzuch. — Poczekamy na twojego mężczyznę.

— Ona nie potrzebuje mężczyzny — mówi Hope. — Ma nas.

— To dlaczego ja tu jestem?

— Ponieważ kochasz mnie i nie chcesz spać na sofie — mówi słodko Hope.

— To nie jest sofa, Hope. To kawał drewna pokryty jakąś pianką.

Chichoczę. Nowe lokum Hope w Bostonie jest pełne rzeczy ze strychu babci, który mieści tyle mebli, że można by nimi zapełnić ze trzy domy.

— To oryginalny Saarinen.

— Co nie czyni z tego sofę — upiera się.

— Siedzisz na tym. Ma trzy poduchy, więc to jest sofa. — Pociąga nosem.

Temat zamknięty.

— Potrzebujemy przyjaciela inżyniera. — Hope celuje palcem w Carin. — Wracaj do Briar i zaprzyjaźnij się z jakimś studentem inżynierem.

— Okej, ale najpierw będę musiała zaliczyć z nim bara-bara, więc spodziewajcie się, że wrócę — udaje, że sprawdza godzinę — około dziesiątej czy coś.

— Wszyscy skończyliśmy studia — ogłaszam. — Sami potrafimy to złożyć.

Klaszcząc w dłonie, zapraszam przyjaciół gestem na podłogę. Po trzech próbach ukłęknięcia i doprowadzenia Hope i Carin do takiego rozbawienia, że omal nie posikały się w międzyczasie w majtki, D'Andre lituje się nad nami wszystkimi i pomaga mi wylądować na podłodze. I w takiej konfiguracji znajduje nas Tucker.

— To jakiś nowy rytuał na płodność? — pyta, przeciągając samogłoski w drzwiach, jednym ramieniem opierając się o framugę. — Bo wiesz, ona już jest w ciąży.

— Włóż do środka, biały chłopcze, i złóż to wszystko do kupy — odparowuje D'Andre. — To jakiś absurd.

— Jaki absurd? — Tucker zatrzymuje się obok mnie i korzystam z okazji, by oprzeć się o jego nogi. Nawet klęczenie jest trudne, gdy człowiek dźwiga dodatkowe piętnaście kilo. — Przecież sami rozłożyliśmy to badziewie. Jak możesz nie wiedzieć, jak złożyć to z powrotem?

D'Andre powtarza wcześniejszą wymówkę.

— Studiuję rachunkowość.

Tucker przewraca oczami.

— Masz klucz imbusowy?

— Nabijasz się z nas? — gderam. — Nie mam żadnych kluczy, a już na pewno nie takich z imionami.

Tucker szczyrzy się.

— Zostaw to mnie, moja droga. Złożę to.

— Chcę pomóc — zgłasza się Hope na ochotnika. — To jak operacja, tyle że na drewnie, a nie na człowieku.

— Jezu, pomóż nam — mruczy D'Andre.

— Dalej. — Carin szarpie mnie za ramię. — Zabierzmy się za pranie

ciuszków.

Tucker chwyta mnie za tyłek i staję na nogach, a potem wytaczam się za Carin.

— Jak to jest nie być kelnerką? — pyta, gdy idziemy do pralni.

— Dziwnie. Trudno jest znaleźć pracę na trzy miesiące, która nie wymaga jakiegoś wielkiego wysiłku fizycznego. Poszłam nawet do agencji pracy tymczasowej, by sprawdzić, czy coś dla mnie mają, ale nie pozostawili mi złudzeń. Wychodzi na to, że kobiety w ciąży nie mają wzięcia wśród pracodawców.

— Tucker naprawdę nie wraca do Teksasu?

— Nie. Chce zostać blisko dziecka. — Marszczę czoło. Ale jego mama... oni są bardzo związani. Coś mi się wydaje, że tam są problemy.

— O Boże. Nie chcesz zadzierać z mamą chłopca z Południa — ostrzega Carin. — Hope bezustannie narzeka na kaszę kukurydzianą.

Ja też. Ale jaki mam wybór?

— Powinnam zostawić Harvard i przeprowadzić się do Teksasu?

— Nie. Po prostu łykaj wszystko, cokolwiek ci oferuje. Nieważne, jak by ci było od tego niedobrze.

— Makabra.

— Myślałaś już, co będziesz robić z małą w czasie zajęć? — pyta, załadowując pralkę.

— Jeszcze nie wiem. Harvard nie oferuje żadnej opieki dla dziecka. Spróbuję znaleźć kogoś do opieki w domu.

Myślenie o tych wszystkich kwestiach stresuje mnie, ale nie chcę narzekać. Carin i Hope już czują się winne, że nie są w stanie bardziej mi pomóc, ale kurde, mają przecież własne życia, o które muszą się martwić.

— A co z babcią?

— Boże. Żałuj, że nie widziałaś jej miny, kiedy ją o to zapytałam.

Powiedziała mi, że wychowała już jednego nie swojego bachora — celuję kciukiem we własną klatkę piersiową — i nie ma zamiaru wychowywać kolejnego.

— Ostro.

Idziemy do kuchni, by zabrać się za butelki.

— Ostro, ale to prawda. Nie mogę jej tego zrzucić na głowę.

— A Tucker? — Carin opłukuje czystą butelkę i odkłada ją na ociekacz na naczynia.

— Co Tucker?

— Jest ojcem. Musi pomagać. Możesz wytoczyć mu sprawę w sądzie i zmusić do płacenia alimentów.

Opada mi szczęka.

— W życiu tego nie zrobię. I on mi pomoże. — Milknę. — Tyle, ile mu na to pozwolę.

Carin wydaje z siebie zniesmaczony dźwięk.

— Jesteś taka uparta. Nie musisz brać sobie tego wszystkiego na głowę, S. Słuchając ciebie, człowiek pomyślałby, że on jest tu tylko na chwilę. Co jest między wami?

Chwytam jedną z pustych butelek, przykręcam smoczek i próbuję wyobrazić sobie, jak karmię nią dziecko.

— Nigdy nie zamierzał tu osiąść. Zostaje tylko ze względu na mnie i dziecko. Czuję się tak, jakbym rujnowała mu życie.

Parska.

— On też ma w tym swój udział. Nie jesteś Dziewicą Maryją. Nie doszło do niepokalanego poczęcia.

— Wiem. Ale mogłam zdecydować się na aborcję. — Szczerze, ta myśl pojawia się za każdym razem, gdy próbuję wykombinować, jak sobie z tym wszystkim poradzę.

— Ale się nie zdecydowałaś, więc przestań oglądać się wstecz.

— Wiem.

— Przecież coś do niego czujesz.

Skupiam się na znalezieniu miejsca na czyste butelki i pozostały dziecięcy sprzęt.

— Lubię go.

— Możesz wymówić słowo na K. Nie zabije cię.

Rozzłoszczona piorunuję ją wzrokiem.

— Jakbyś była lepsza, panienko z fobią na związki. Od kiedy to latasz za chłopakami, z którymi się bzyknęłaś, i klepiesz im o miłości?

— Nigdy, ale nie boję się tego tak jak ty.

— Ja się nie boję. — Boję się?

Carin przewraca oczami.

— Nieważne. To bez znaczenia. Tucker zostaje, bo jest zakochany w dziecku i to mi wystarcza.

Carin otwiera buzię, by mi odparować, ale Tucker ładuje się do kuchni, zanim ona zdąży wydusić słowo.

— Gotowa? — pyta mnie.

Zerkam na zegar na mikrofalni. Za jakieś dwadzieścia minut zaczynają się zajęcia.

— Aha. Będziecie musieli się ewakuować — mówię Carin. — Mamy z Tuckiem zajęcia z oddechu.

Podnosi brwi.

— Po co?

— By pomóc jej w czasie porodu — tłumaczy Hope, wchodząc do kuchni z D'Andre deptającym jej po piętach. Podchodzi i całuje mnie w policzek. — Zadzwoń do nas później, okej?

— Zadzwonię. I dziękuję za dzisiejszą pomoc. Wam wszystkim.

— Podziękowania są zbyt wiele — mówi Hope, a Carin i D'Andre kiwają zgodnie głowami. — Możesz na nas liczyć, S. Teraz i zawsze.

Czuję przypływ emocji w gardle. Nie mam pojęcia, jakim cudem wylądowałam z tak fantastycznymi przyjaciółmi u boku, ale jestem cholernie pewna, że w tej kwestii nie będę narzekać.

*

— Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie — komentuje Tucker dwadzieścia minut później. Przytrzymuje dla mnie drzwi prowadzące do ośrodka zdrowia.

— A ty się niby cieszysz? — Wita nas żółty znak udekorowany balonami. — Czeka mnie tak trudna przeprawa, że muszę się uczyć oddychania? To nie jest normalne.

— Oglądałaś któryś z tych filmików na YouTube?

— Boże broń. Nie chciałam wpędzić się w załamanie nerwowe. A ty?

— Kilka.

— I?

Macha kciukiem w dół.

— Nie polecam. Zastanawiam się, dlaczego używamy określenia „mieć jaja z żelaza”, żeby opisać silnego człowieka, skoro po drugim filmiku moje jajka próbowały zapaść się do środka. Plus, moja historia wyszukiwań na YouTube jest oficjalnie przerypana.

— Ha. Dokładnie dlatego nie obejrzałam ani jednego. — Macham mu ostrzegawczo palcem. — Trzymaj się mojej głowy przy porodzie albo już nigdy więcej nie pozwolę ci uprawiać ze mną seksu.

— E tam, umiem oddzielić jedno od drugiego. — Przeciąga dłoń wzdłuż mojego kręgosłupa, by położyć ją na moim tyłku, który podobnie jak cycki

się powiększa. — Ten tyłek jest stworzony do klepania.

— Po porodzie mogę liczyć tylko na seks analny?

Uśmiecha się szeroko.

— A czemu nie na jedno i drugie?

Zanim zdążę odpowiedzieć, starsza pani z lokami na głowie i w tęczowej falbaniastej spódnicy mknie w naszym kierunku, by nas przywitać.

— Witajcie na warsztatach Poród z Miłości! Jestem Stacy!

— John Tucker oraz Sabrina James. — Przedstawia nas Tuck.

Stacy nie ściska jego dłoni. Zamiast tego składa ręce do modlitwy.

— Proszę, zajmijcie matę na podłodze.

— Czuję, że to będą za bardzo hippisowskie klimaty jak dla mnie — mruczę, gdy posuwamy się w kierunku trzech rzędów mat do jogi rozłożonych na podłodze. Większość jest zajęta, ale znajdujemy jedną pustą w tyle.

— To lekcja oddychania. Myślę, że tak brzmi definicja hippisowskich klimatów. — Tucker pomaga mi usiąść. — Wolisz, żebym zamiast tego poćwiczył, jak się podaje zastrzyki?

— Może? — Żartuję tylko w połowie. Czytałam, że po lekach mogą się pojawić komplikacje i jeszcze nie zdecydowałam, czy będę obstawać przy znieczuleniu zewnątrzoponowym.

Światła są przyćmione i Stacy zagłębia się w pokój, dłonie ma wciąż złożone jak do modlitwy.

— Myślę, że ona wie o czymś, czego my nie wiemy — Tucker szepcze mi do ucha. — Dlatego wciąż się modli.

— Dobrze wie, że żadna dawka medytacji nie uczyni porodu bezbolesnym.

Mężczyzna obok nas odchrząkuje. Tucker chichocze cicho, ale zamykamy się oboje.

Z przodu sali Stacy włącza projektor. Pojawiają się słowa „Witamy na

Porodzie z Miłości”. A potem kontynuuje czytanie slajdu.

— Jesteśmy tu po to, by ułatwić wam przejście przez poród. Media i zdrowotne organizacje karmią was nieskończoną dawką strachu i paranoi, ale prawda jest taka, że poród nie musi być bolesnym doświadczeniem. Dzisiaj zaczniemy naszą podróż do radosnego i przyjemnego porodu. Te trzy zajęcia pomogą wam przeformułować wasze negatywne uczucia, napełnić się spokojem i wypchnąć strach.

— Jesteśmy na zajęciach z oddychania czy zapisaliśmy się do sekty? — pyta szeptem Tucker.

Sekta. Z całą pewnością sekta.

— Partnerzy, osoby pomagające, ustawcie się w pozycji za babeczkami.

— Nienawidzę tej kobiety — świszczę, gdy Tucker kuca za moimi plecami.

— Bo nazwała cię „babeczką” czy dlatego, że twierdzi, iż poród to bezbolesne doświadczenie?

Mężczyzna kilka mat przed nami podnosi rękę.

— Gdzie mamy położyć ręce?

— Świetne pytanie, Mark.

O Boże, pamięta nasze imiona.

— Podczas porodu właściwa pozycja będzie na dolnym odcinku pleców, ale dzisiaj koncentrujemy się na relaksacji, więc, proszę, umieśćcie dłonie na ramionach waszych partnerek.

Obok mnie jedna z ciężarnych kobiet robi pracownicy notatki, jakby Stacy w falbaniastej spódnicy była wyrocznią porodów, wygłaszającą dziesięć przykazań rodzenia.

— Jeśli ona powie „Jedyną rzeczą, której trzeba się bać, jest strach”, wychodzimy stąd — mówię odrobinę za głośno.

Skrupulatna i jej równie poważny partner odwracają się, by zabić mnie

wzrokiem. Muszę powstrzymać śmiech. Czy możemy zostać aresztowani za zakłócanie porządku na zajęciach z oddychania?

Stacy macha dłonią w kierunku ekranu projektora.

— Na początku obejrzymy krótkie filmiki na temat właściwego rytmu oddychania, a potem będziemy ćwiczyć.

Filmik składa się z pięciominutowego pokazu dyszącej kobiety, jej usta układają się w różne kształty, a jej partner głośno odlicza.

— Myślisz, że naprawdę jest w ciąży, czy ma tylko wypchany brzuch? — pyta Tucker, ściskając lekko moje ramię.

— Wypchany — odpowiadam natychmiast. — Nawet się nie poci. Ja jestem spocona jak wieprz od samego ubierania butów.

Po skończonym filmie Stacy przechadza się po sali, by sprawdzić nasze pozycje.

— Oddychaj głębiej, Sabrino. John, proszę masuj trochę mocniej. Ułóż palce bliżej jej szyi. Szyja domaga się większej uwagi.

Tucker zaczyna pocierać mi szyję po bokach, wydobywając ze mnie niski jęk. To naprawdę jest miłe. Pewnie Stacy ma rację. Faktycznie, moja szyja potrzebowała więcej uwagi.

— Dobra robota, John — grucha Stacy. Wyprostowuje się i wraca do sali. — Teraz chciałabym, żebyście odtworzyli w głowach najprzyjemniejsze wspomnienie. Coś bardzo dobrego, co wydarzyło się w waszym życiu. Zamknijcie oczy i przywołajcie to wspomnienie. Przypnijcie je do ściany oka waszego umysłu.

— Wyobrażam sobie, że jedno z nas jest cyklopem. — Oddech Tuckera łaskocze mnie w ucho i zaczynam odczuwać coś absolutnie niewłaściwego tam na dole.

— Może to twój fiut z jednym okiem — odparowuję.

Para obok nas głośno sapie. Tym razem ignorujemy ich.

— Przez to całe uciszanie czuję się jak w bibliotece. — Omiata ustami płatek mojego ucha. — Właściwie jest gorzej niż w bibliotece, bo nie ma stołów, by zasłonić, jak moja dłoń zakrada się pod twoją spódnicę.

Wiercę się.

— Zamknij się.

— Powiedziała, że mam przywołać ulubione wspomnienie. W większości z nich moja duża albo mała głowa znajduje się między twoimi nogami.

— Ważna rzecz — Stacy podnosi głos i rzuca piorunujące spojrzenie w naszym kierunku — to znaleźć spokój. A teraz zamknijcie oczy i wyobraźcie sobie wasze szczęśliwe miejsce.

Tucker nuci.

Muszę przyznać, że moje miłe wspomnienia również wiążą się z Tuckerem, ale to nie czas ani miejsce, by się podniecać. Dlatego wyobrażam sobie szkarłatną tarczę i próbuję połączyć to z euforią, którą poczułam na wieść, że dostałam się na prawo. To też miłe wspomnienie.

— Partnerzy, podczas gdy wasze babeczki oddychają, proszę, zróbcie im dobry masaż wokół szyi i ramion. Dużo babeczek właśnie tam kumuluje napięcie. Niech wasze ruchy nie będą zbyt delikatne. Wasze babeczki to ostoje siły. Następny filmik, który obejrzymy, będzie już z samego porodu.

Stacy klepie coś na laptopie podłączonym do projektora. Na ekranie pojawiają się wielgachne szczypce do gotowania. Okej, może to nie są szczypce do gotowania, ale wyglądają bardzo podobnie. Kamera przesuwa się i widzimy, że szczypce trzyma chirurg w masce. Scena rozwija się, a sala wstrzymuje oddech.

Pojawiają się rozłożone nogi kobiety i nie wygląda to ładnie. Zakrywam oczy. Dłonie Tuckera zaczynają mocniej się zaciskać wokół mojej szyi.

Włącza się radosny komentarz Stacy.

— Pamiętajcie o waszym szczęśliwym miejscu podczas projekcji

kolejnych filmików. Przyrząd, który widzicie, to nie narzędzie tortur, ale kleszcze chirurgiczne. Jeśli nie jesteście w stanie przeć z wystarczającą siłą, wasz lekarz będzie zmuszony do ich użycia, by wyciągnąć noworodka z macicy, co może wpłynąć na kształt główki dziecka i prawdopodobnie doprowadzić do uszkodzenia mózgu. Oddychajcie, babeczki. Partnerzy, masujcie. Oto, co może się stać, jeśli nie pokonacie bólu. Pamiętajcie, że to wasz umysł kontroluje wynik.

Sala ponownie zamiera, bo tym razem na ekranie pojawia się skalpel tnący ciało kobiety.

Tucker zacieśnia uścisk.

— Dusisz mnie — bąkam.

Nie zwalnia uścisku. Jeśli już, tylko go zacieśnia.

— A tutaj mamy cesarskie cięcie. Niemowlę będzie się chowało przed światłem, gdy zostanie otwarta jama brzuszna. Doktor musi sięgnąć i wyciągnąć dziecko. Znów, jeśli nie będziecie w stanie spełnić swojego obowiązku jako matka i wypchnąć dziecka przez kanał rozrodczy poprzez parcie, wasz lekarz będzie zmuszony do rozcięcia brzucha i wyciągnięcia dziecka.

Ciągnę palce Tuckera.

— Dusisz mnie — powtarzam.

Stacy wyświetla kolejną scenę. Mnóstwo płynu i krwi, *czy to srajda?* wylewa się z kobiety na stół.

— Oto najbardziej naturalna rzecz we wszechświecie udokumentowana porodami w naturze — mówi rozmarzonym głosem.

Na ekranie wyświetlają się kolejne zdjęcia krwawych porodów różnych ssaków.

Chwytam środkowy palec Tuckera i szarpię ze wszystkich sił.

— Co się dzieje? — pyta, puszczając mnie natychmiast.

— Dusiłes mnie! — warczę.

— Myślałem, że mówiłaś „kusiłes mnie”!

Gapimy się na siebie, oboje przepełnieni na poły przerażeniem i rozbawieniem.

— Komunikacja to podstawa — śpiewa Stacy.

Wygrywa śmiech. Tucker i ja zwałamy się na siebie. Nie możemy przestać się śmiać i po kilku sekundach przywoływania naszych imion i proszenia o spokój Stacy w końcu wyprasza nas z sali.

¹ *There can be only one!* (ang.) — cytat z filmu *Nieśmiertelny*.

Rozdział 30

Tucker

4 lipca

— Na skali paniki od jednego do „Jestem gotowa wyskoczyć z tego pędzącego auta”, gdzie byś się uplasowała?

Sabrina odwraca głowę od okna w samochodzie. Wpatrywała się w bostoński krajobraz z taką uwagą, jakby nigdy wcześniej nie miała okazji go podziwiać. Nieważne, że mieszka tu od urodzenia.

— Widzisz, że jestem zdenerwowana? — Krzywi się, a jej wydęte wargi się rozplaszczają.

— Twoje palce są tak białe, że albo cierpisz na jakieś poważne schorzenie, które wymagałoby natychmiastowej konsultacji medycznej, albo specjalnie wyciskasz z nich krew.

Kątem oka widzę, jak powoli rozkurcza palce, aż znów są wyprostowane i różowe.

— W życiu nie poznałam rodziców faceta — przyznaje, szukając stacji radiowej.

— Może pocieszy cię fakt, że chodzi tylko o jednego rodzica — żartuję. Potem docierają do mnie jej słowa. — Czeka, nigdy?

Pamiętam, jak mówiła mi, że wcześniej nie miała stałego chłopaka, ale przyjąłem, że chodziło jej o czas studiów. Sabrina jest przepiękna. Gdybym zobaczył ją w liceum, leżałbym przed jej szafką każdego dnia, aż zgodziłaby się ze mną umówić.

Teraz wszystko rozumiem. Już wiem, dlaczego była taka spięta od chwili, gdy powiedziałem jej, że moja mama przylatuje, by ją poznać. Na początku planowaliśmy, że polecimy razem do Teksasu, ale koszt dwóch biletów lotniczych i wynajem samochodu nie miały sensu, mimo że to oznaczało, iż mama musiała przełożyć kilka umówionych klientek. Poza tym okazuje się, że wiele linii lotniczych niechętnie przewozi ciężarne kobiety. Pewnie niespieszno im do przyjmowania porodów na pokładzie samolotów.

Dodatkowy bonus z pozostania w mieście jest taki, że mogę pracować w ten świąteczny weekend i dostanę półtorej stawki, którą zawsze przechwalała się Sabrina. Pracuję w centrum na pół etatu z ekipą budowlaną i zarabiam przyzwoite pieniądze. Dzięki temu nie sięgam do oszczędności, póki naprawdę nie będę musiał.

— Już ci mówiłam — mruczy Sabrina. — Żadnych stałych chłopaków.

Zostawia radio i siada prosto, wzdychając. Jej brzuch jest już na tyle duży, że nie może nawet skrzyżować ramion, chyba że opiera je na szczycie piłki. Która nie jest piłką, jak już wielokrotnie mi wytykała.

— Myślałem, że chodziło ci o czas w Briar. Chłopcy w twoim liceum byli głusi, ślepi i głupi?

— Nie. Uganiali się za mną, ale nie miałam dla nich czasu. — Odruchowo sięga dłonią w dół i głaszcze zaokrąglony brzuch.

Za każdym razem, gdy patrzę na nią, jestem na nowo porażony faktem, że moja mała dziewczynka mieści się w jej ciele. To także sprawia, że się cholernie napalam. Dzięki niebiosom, że znów regularnie uprawiamy seks.

— Cały czas musiałam gonić za stypendium — kontynuuje. — Na poczcie pracowałam na pełen etat, odkąd skończyłam szesnaście lat. Latem wieczorami pracowałam jako kelnerka, a za dnia na poczcie. Chłopcy byli... niepotrzebni. Z wyjątkiem, no wiesz — macha odruchowo w kierunku krocza. — Poza tym w liceum nie wiedzieli, co robić ze sprzętem. Lepiej mi

było samej zadbać o siebie w domu.

Fiut drży w rozporzku. Na myśl, że Sabrina zabawia się sama ze sobą, kręci mi się w głowie i muszę chwilkę odczekać, zanim trochę krwi wraca z powrotem do mojego mózgu.

— A ty? Często umawiałeś się z dziewczynami w liceum? Byłeś królem balu? — nabija się.

— Nie. Miałem trzy dziewczyny. A w Teksasie królami balu zostają zawsze futboliści.

— Nie grałeś w futbol?

— Po dziewiątej klasie już nie. Przez cały rok trenowałem hokej. Lodowisko trenera Śmierć znajdowało się godzinę drogi na północ i generalnie jeździłem tam codziennie.

— To opowiedz mi o tych trzech dziewczynach.

— Tak bardzo jesteś zdesperowana, że chcesz, bym zajął ci myśli?

— Dokładnie — odpowiada z przejęciem.

Stukam palcami o kierownicę, odświeżając zakurzone wspomnienia.

— W siódmej klasie chodziłem z Emmą Hopkins, do czasu, aż została zaproszona na bal przez chłopaka z dziewiątej. Po tym interesowali ją już tylko starsi faceci.

— Fascynujące. Opowiadaj dalej.

Szczerzę się. Mogę ścierpieć trochę osobistego wstydu, jeśli to ją powstrzyma przed zamartwianiem się o spotkanie z mamą.

— W June Anderson zadurzyłem się w dziewiątej klasie. Chodziliśmy razem na prawie wszystkie przedmioty, ale argumentem decydującym był fakt, że potrafiła zawiązać językiem supełek na ogonku czereśni. W dziewiątej klasie to był wyczyn na miarę przejścia po linie przez Wielki Kanion.

Sabrina się śmieje.

— Myślę, że niektórzy nadal uważają to za jedno z największych dokonań w dziejach ludzkości. Założę się, że Brody zalicza to jako wymóg dla kandydatek do jego łóżka.

Zauważam jej pogardliwy ton. Pierwsze spotkanie Sabriny z Brodym nie poszło najlepiej. Zaczęło się od jego uwag, że poród zniszczy jej cipkę i zakończyło się odpowiedzią Sabriny, że bez względu na stan jej ogródka on i tak nigdy nie zostanie zaproszony, by to sprawdzić.

— Ten facet to taki dupek — marudzi. — Mieszkanie z nim musi być beznadziejne, co?

Tak.

— Miałem lepszych współlokatorów. — Z zachmurzonym czołem wracam do tego fantastycznego czasu, jaki spędziłem w Briar z Deanem, Loganem i Garrettem.

Mój problem z Brodym nie polega na tym, że jest wściekle napalony i ugania się za spódniczkami od chwili otwarcia oczu rano aż do zaśnięcia w nocy. Przecież moi poprzedni współlokatorzy regularnie puszczali się na lewo i prawo. Kurde, nawet ja miałem swój udział w tych błazenadach, włączając w nie sownie zakrapiany alkoholem czworokąt jednego szalonego sylwestra. Trochę trudno nie zwariować, kiedy gra się w hokeja na takim poziomie jak my. Do chaty ciągnął nieprzerwany strumień lasek.

A mimo doświadczenia z trzema parami cycków ocierających się o mnie i trzema językami na fiucie, zawsze wybrałbym Sabrinę zamiast pijanej orgii. Tyle że nie bardzo mogę o tym powiedzieć dziewczynie. Nawet Hallmark nie może stworzyć okolicznościowej kartki, która przekazuje wiadomość ukochanej, że kiedyś rypałeś się z trzema laskami jednocześnie, ale żadna z nich nie była tak dobra jak ona.

Problem Brody'ego polega na tym, że nie ma szacunku dla płci przeciwnej.

— Naprawdę odmawia zrobienia sobie selfie z dziewczyną, czy wymyślił to tylko, żeby mnie wkurzyć? — pyta Sabrina.

— Nie, mówił serio. Uważa, że jakiegokolwiek zdjęcie z przyklejoną do niego dziewczyną odstraszy potencjalne laski. Selfie to dowód na zaangażowanie. — Wy tłumaczył mi ten temat treściwie po instruktażu, bym zachował aktywne konto na Tinderze i nie przyznawał się, że mam dzieciaka.

— Blee. Co za oblech.

— Założyłem fałszywe konto na Instagramie, więc mogę go trollować. Kiedy coś publikuje, czekam dzień czy dwa, a potem wyjeżdżam z komentarzem, że ale fajowsko, bo on i mój dziadek wyglądają zajebiście w tej samej koszuli. Zrobiłem tak dwa razy i widziałem, jak wpychał tę koszulę do śmietnika.

Sabrina odrzuca głowę do tyłu i chichocze.

— Nie wierzę ci.

— Hej, wszyscy potrzebujemy trochę rozrywki, co? Ja mam ubaw, zaczepiając Brody'ego na Instagramie i dusząc moją babeczkę na zajęciach z oddychania.

Sabrina śmieje się jeszcze mocniej, a jej brzuch podskakuje w górę i w dół. Sięgam dłonią i głaszczę piłkę. Jak dobrze znów widzieć ją roześmianą.

— Mama cię pokocha — zapewniam ją. — Zobaczysz.

*

Mama nie znosi Sabriny.

Albo przynajmniej bardzo się stara ukryć swoją miłość do niej. Początek spotkania nie był taki zły. Podjechaliśmy po mamę do Holiday Inn i zawieźliśmy ją do mojego mieszkania, które, dzięki Bogu, jest teraz wolne od Brody'ego. On i Hollis świętują czwartego lipca w New Hampshire

z rodziną.

W trakcie jazdy mama i Sabrina wymieniały kwadratowe zdania, ale napięcie było na znośnym poziomie.

W chwili obecnej napięcie sięga zenitu.

— Gdzie mieszkasz, Sabrina? — pyta mama, przeszukując dwupokojowe mieszkanie.

— Z babcią i ojczymem.

— Hmm.

Sabrina krzywi się na tę oczywistą dezaprobatę.

Rzucam mamie rozzłoszczone spojrzenie.

— Sabrina oszczędza pieniądze, by po skończeniu studiów prawniczych nie zostać ze zbyt wysokim długiem.

Mama podnosi brwi.

— A jak wysoki będzie ten dług?

— Za wysoki — żartuje Sabrina.

— Mam nadzieję, że nie oczekujesz, że John będzie go spłacał.

— Oczywiście, że nie — woła Sabrina.

— Mamo! — mówię w tym samym czasie.

— Co? Tylko dbam o ciebie, kochanie. Tak jak ty zostaniesz zobowiązany do dbania o córkę. — Przechyliła głowę w stronę brzucha Sabriny.

Sabrina uśmiecha się przez zaciśnięte usta i postanawia zmienić temat.

— Żałuję, że nie mogliśmy przyjechać do Patterson. Założę się, że to wspaniałe miejsce do wychowywania dzieci. Z Tuckerem spisała się pani na medal.

Szczerłość przebija z każdego jej słowa i nawet mama to słyszy. Na szczęście trochę łagodnieje.

— Tak, to wspaniałe miejsce. A z okazji czwartego lipca wyprawiany jest kapitalny piknik. W tym roku organizacją zajęła się Emma Hopkins.

— Twoja stara dziewczyna, Tuck — przekomarza się Sabrina w drodze do lodówki. — Może trzeba było bardziej się postarać, by tam polecieć.

— Nie wpuściliby nas do samolotu. Poza tym możemy się upić i strzelić korkiem od szampana tutaj i będzie dokładnie tak samo, jakbyśmy byli tam — mówię sucho. — A skoro mowa o piciu, mam, nalać ci wina?

— Tak, czerwone proszę — odpowiada, sadowiąc się na taborecie w kuchni.

Sabrina wyciąga paszteciki z wołowiny, które wcześniej układała z wielką ostrożnością. Wykazuję większe zdolności kucharskie niż ona, ale nie pozwoliła mi ruszyć palcem. Wszystko, począwszy od sałatki ziemniaczanej po pieczoną fasolę, przygotowała sama.

Udaje nam się dobrnąć do połowy obiadu bez żadnej wrogości, ponieważ Sabrina zadaje mamie milion pytań na temat Patterson, zakładu fryzjerskiego, a nawet taty. Temat taty szczególnie leży mamie.

— Powiedział, że zepsuł mu się samochód, ale ja mu nie wierzę — ogłasza między kęsami burgera.

Oczy Sabriny powiększają się.

— Myśli pani, że udawał tylko, żeby mógł się tam zatrzymać i lepiej panią poznać?

Mama uśmiecha się z wyższością.

— Nie myślę. Ja to wiem.

Słyszałem tę historię z tysiąc razy, ale dziś brzmi równie rozrywkowo jak zawsze. A nawet bardziej, ponieważ tym razem to Sabrina jest publicznością, a ona nie wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia. Ale oddanie mamy dla mojego ojca jest ogromne.

— John senior, tata Tuckera, przyznał się do tego, gdy zaszłam w ciążę. Powiedział, że wyciągnął z samochodu świecę zapłonową i że ten pomysł zaczerpnął z filmu *Dźwięki muzyki*, który obejrzał ze swoją mamą. Nawet

zapytałam Billa, naszego lokalnego mechanika, który potwierdził, że w samochodzie Johna szwankowała tylko jedna świeca, a raczej jej brak.

— To najbardziej romantyczna historia, jaką słyszałam w życiu.

Widzę, w jaki sposób Sabrina przesuwa widelec po talerzu z sałatką. Przez większość czasu udawało się jej ukryć zdenerwowanie, ale brak apetytu jest oczywistą wskazówką. Odnotowuję w myślach, by później przygotować dla niej porcję po zmyciu naczyń.

— Przykro mi, że straciła pani męża — dodaje Sabrina, a jej ton jest pełen współczucia.

— Dziękuję, skarbie.

Uśmiecham się do siebie. Mama z całą pewnością odpuściła.

Sabrina odwraca się do mnie.

— Ile miałaś lat, gdy zmarł twój tato? Trzy czy cztery?

— Trzy — potwierdzam, wpychając kawałek ziemniaka do ust.

— Byłaś taki mały. — Przeciąga w zamyśleniu dłonią po brzuchu.

— Nie wiedziałaś? — Wtrąca się mama, chłód powrócił do jej głosu.

— Wiedziałam — wybąkuje Sabrina. — Nie pamiętałam tylko dokładnego wieku.

— Czy wy w ogóle rozmawiacie o ważnych sprawach, czy chodzi jedynie o fizyczny aspekt? Bo z całą pewnością nie wychowacie dziecka jedynie na żądzy.

— Mamo — mówię ostro. — Rozmawiamy o ważnych sprawach.

— Będziecie mieszkać razem? Jak podzielicie się finansami? Kto będzie opiekować się dzieckiem, gdy będziesz na zajęciach?

W oczach Sabriny pojawia się strach.

— Ja... ja... moja babcia nam pomoże.

— John mówi, że nie jest chętna. Nie sądzę, by niechętna niańka była dobrą niańką.

Sabrina kieruje karcące spojrzenie w moją stronę.

— Powiedziałem tobie, że nie wiedzieliśmy, jaką formę pomocy nam zaproponuje. — Odkładam widelec. — Wszystko się ułoży. — Kieruję te słowa do nich obu, ale żadna nie przyjmuje ich dobrze.

— Nie możesz wychowywać dziecka, żyjąc w przekonaniu, że jakoś się ułoży, John. Wiem, że chcesz postąpić słusznie. Zawsze tak robisz, ale w tym wypadku, jeśli oboje nie możecie się nim zająć, powinniście rozważyć inne opcje. Zastanawialiście się nad adopcją?

Twarz Sabriny blednie jak ściana na tę zakamuflowaną obrazę, że nie nadaje się na matkę.

Zwracam się do niej.

— Sabrino, wszystko się ułoży...

Ale ona już wybiega z kuchni, szloch dławi jej gardło, gdy wyrzuca z siebie coś na kształt „łazienka” i „przepraszam”. Jej stopy uderzają o drewnianą podłogę, gdy porusza się szybciej, niż powinna kobieta w ósmym miesiącu ciąży.

Zrywam się z krzesła.

— Sabrino...

— Daj jej trochę czasu — rzuca mama za moimi plecami.

Rozlega się trzaśnięcie drzwiami i wzdrygam się od ostrego dźwięku. Zaczynam iść w kierunku drzwi, a potem zatrzymuję się na środku kuchni i obracam głowę.

— Sabrina to dobry człowiek — mówię szorstko. — I będzie dobrą matką. A nawet jeśli byłaby najgorsza, nadal będziesz musiała ją zaakceptować, ponieważ dziecko w jej brzuchu jest w połowie mną.

Tym razem blednie twarz mojej mamy.

— Czy to groźba? — Jej głos drży.

Wzburzony przeciągam dłonią przez włosy.

— Nie. Ale nie ma potrzeby, byśmy stali po przeciwnych stronach lodowiska. Wszyscy jesteśmy w jednej drużynie.

Mama zadziera wyzywająco brodę.

— To się jeszcze okaże.

Potrząsam głową w rozczarowaniu, a następnie zmierzam przez korytarz, by przekonać się, czy Sabrina zechce ze mną rozmawiać.

Jej oczy są czerwone, gdy otwiera drzwi od łazienki.

— Przepraszam, że wybiegłam w ten sposób.

— Wszystko w porządku, moja droga. — Pcham ją do środka i zamykam drzwi za sobą. Pozwala się przytulić. Blisko — a raczej na tyle blisko, na ile pozwala jej oddzielająca nas piłka. — Będziesz wspaniałą mamą. Wierzę w ciebie.

Jej ciało wydaje się takie drobne pomimo przybrania na wadze.

— Nie złość się na mamę — szepcze na mojej klatce. — Ona się o ciebie troszczy. Chce dla ciebie tego, co najlepsze. Wiem o tym.

— Jeszcze się przekonaj. — Brzmię cholernie bardziej pewnie siebie, niż faktycznie się czuję.

Rozdział 31

Tucker

Sierpień

— O Boże! O Boże! Brody! Tak! Tak, tak, tak! Dokładnie tam, misiaczkule!
O Bożeeeeeeeeee!

Nawet telewizor puszczony na pełen regulator nie może zagłuszyć sekshałasów dobiegających z sypialni Brody’ego. Gdybym miał przy sobie obcęgi, odciąłbym sobie uszy, żeby nie wysłuchiwać tego wszystkiego ani chwili dłużej. Niestety, Brody nie posiada nawet skrzynki z narzędziami, przekonałem się o tym, gdy po wprowadzeniu szukałem czegoś, by naprawić przeciekające baterie w łazience. Brody tylko wzruszył ramionami i powiedział: „Szajs przecieka, stary. A życie nie zawsze daje ci narzędzia”.

Chciałem zauważyć, że owszem, życie daje ci narzędzia — właśnie dlatego mamy pieprzony Home Depot. Ale dyskusowanie z logiką tego palanta to jak walka z wiatrakami.

Nie wiem, jak długo jeszcze tu wytrzymam. Mieszkanie z bratem Hollisa staje się nie do wytrzymania. Każdej nocy sprowadza do łóżka inną panienkę i są to albo gwiazdy porno, albo świetnie im idzie artykułowanie na głos tego, co się im podoba, co uwielbiają i co kochają w łóżku. Brody zostawia na podłodze w łazience mokre ręczniki. Jego pomysł na gotowanie to wrzucanie zamrożonej pizzy do piekarnika, stwierdzenie, że się tym nie najadł, a następnie domawianie kolejnej pizzy na telefon.

— O tak. Mocniej, misiaczkule!

— Tak mocno?

— Mocniej!

— Och, ty mała świntucho!

Jezusie Chrystusie. Nienawidzę tego mieszkania z całego serca.

Podnoszę się z sofy i ruszam do drzwi. Zakładając japonki, wystukuję wiadomość do Sabriny.

Ja: *Hej, kochana, mam wpaść i wymasować ci plecy?*

Musi mieć telefon pod ręką, bo odpisuje natychmiast.

Ona: *Nie dziś. Ray sprosił swoich pokerowych koleśków i wszyscy są pijani.*

Marszczę się do wyświetlacza. Krew mnie zalewa, że wciąż mieszka z tym popaprańcem pod jednym dachem. Ale za każdym razem, gdy poruszam temat znalezienia wspólnego lokum, Sabrina mnie spławia. I od chwili, gdy mama wróciła do Teksasu, trzyma mnie trochę na dystans.

Kocham mamę na zabój, ale jestem na nią wkurzony, jeśli mam być szczery. Rozumiem, że się martwi i uważa, że dziecko w moim wieku jest okropnym pomysłem, ale nie podobało mi się, jak przemaglowała Sabrinę. I nie chodzi jedynie o pierwszy dzień. Cała wizyta była nasycona pasywnie agresywnymi uwagami i zakamuflowanym krytycyzmem. Myślę, że zanim mama wyjechała, Sabrina poczuła się pokonana i chyba jej się nie dziwię.

Wysyłam kolejną wiadomość.

Ja: *Szczerze? Nie podoba mi się, że przebywasz wśród nawalonych koleśków. Masz termin za 4 dni. Powinnaś być z odpowiedzialnymi dorosłymi.*

Ona: *Nie martw się. Nana jest kompletnie trzeźwa. Ona nie pije, zapomniałaś?*

Przynajmniej to. Mimo wszystko bardzo mi się nie podoba, że nie jestem teraz z nią.

— Ooooooch! Doooochooooozę!

Okej. Wystarczy. Nie zostanę tu ani sekundy dłużej, by wysłuchiwać

skomleń Brody'ego w trakcie spuszczenia się.

Wpycham portfel i telefon do kieszeni, wychodzę ciężkim krokiem z mieszkania i zjeżdżam windą na dół. Jest po dwudziestej pierwszej, więc sierpniowe słońce zdążyło zejść i przyjemna bryza łaskocze mnie po twarzy, gdy znajduję się na zewnątrz.

Maszeruję po chodniku bez konkretnego kierunku w głowie, poza jednym — jak najdalej od miejsca, w którym teraz mieszkam. Przez pracę na budowach, wizytę mamy i jeżdżenie do Sabriny nie miałem tak naprawdę okazji, by w pełni poznać okolicę. Teraz mam wreszcie czas i odkrywam, że wcale nie jest tu tak obskurnie, jak mi się początkowo wydawało.

Mijam kilka kafejek z uroczymi ogródkami, parę niskich biurowców, całe mnóstwo salonów manicure i zakładów fryzjerskich dla mężczyzn i odnotowuję w myślach, że muszę odwiedzić jeden z nich w najbliższych dniach. W końcu ląduję przed barem na rogu ulicy; podziwiam fasadę z czerwonej cegły, mały ogródek wydzielony wykutą balustradą i zieloną markizę wiszącą nad drzwiami.

Stary i nieco zniszczony napis mówi „Paddy's Dive”¹ i kiedy przechodzę przez trzeszczące drewniane drzwi, faktycznie znajduję spelunę. Knajpa jest większa, niż wydaje się z zewnątrz, ale wszystko, co widzę w środku, wygląda, jakby zostało zbudowane, zakupione i sklecone w latach siedemdziesiątych.

Oprócz jednego bywalca na końcu długiej lady miejsce jest kompletnie puste. W piątkowy wieczór. W Bostonie. Nigdy wcześniej, dosłownie nigdzie, nie byłem w knajpie, która w piątkowy wieczór nie pękałaby w szwach.

— Co podać? — pyta mnie mężczyzna stojący za barem. Ma sześćdziesiąt lat z hakiem, gęstą siwą czupryną, pomarszczoną opaloną skórą i zmęczone oczy.

— Proszę o... — milknę, bo uświadamiam sobie, że nie jestem w nastroju, by pić alkohol. — Kawę.

Mruga okiem.

— Życie na krawędzi, co synu?

Chichocząc, siadam na jednym z wysokich winylowych stołków i składam dłonie na ladzie. Okej, czekaj, dotykane tej lady to nie był dobry pomysł. Drewno jest tak zniszczone i rozwarstwione, że z pewnością zafundowałem sobie drzazgę.

W zamyśleniu wydłubuję skrawek drewna z kciuka, czekając, aż barman przygotuje mój napój. Gdy stawia przede mną filiżankę, przyjmuję ją z wdzięcznością i rozglądam się po sali.

— Spokojny wieczór? — pytam.

Uśmiecha się cierpko.

— Spokojna dekada.

— Och. Przykro mi to słyszeć.

Ale od razu wiem dlaczego. Wszystko w tym barze jest z innej epoki. Szafa grająca na dwudziestopięciocentówki — kto w dzisiejszych czasach używa jeszcze monet?

Tarcze do gry w rzutki mają tak wielkie dziury, że nie sędzę, żeby rzutka była w stanie jeszcze się wbić. Boksy są wytarte. Stoły poszczerbione. A podłogi wyglądają tak, jakby w każdej minucie groziły zapadnięciem.

Dlaczego nie ma żadnych telewizorów? Bar bez telewizora?

Ale pomimo tych oczywistych wad i mankamentów dostrzegam potencjał tego miejsca. Lokalizacja jest obłędna, a w środku są wysokie sufity z wyeksponowanymi belkami i cudowną drewnianą boazerią. Niewielki remont, modernizacja i można by całkowicie odmienić to miejsce.

Biorę łyk kawy i przyglądam się barmanowi znad filiżanki.

— Pan jest właścicielem?

— Pewnie.

Na sekundę ucisza mnie wahanie. Potem odkładam filizankę i pytam:

— Myślał pan kiedyś o sprzedaniu tej knajpy?

— Właściwie to...

Zanim kończy zdanie, przerywa nam mój telefon.

— Przepraszam — mówię, z pośpiechem sięgając do kieszeni. Na wyświetlaczu widzę imię Sabriny i natychmiast staję w pogotowiu. — Muszę odebrać. To moja dziewczyna.

Starszy mężczyzna uśmiecha się ze zrozumieniem i wycofuje się.

— Rozumiem.

Naciskam na ROZMOWA i przykładam telefon do ucha.

— Hej, moja droga. Wszystko dobrze?

— Nie! Nie jest dobrze!

Od pisku w słuchawce omal nie pękają mi bębenki. Cierpienie w jej głosie sprawia, że mój puls szaleje.

— Co się dzieje? Wszystko dobrze? — Czy ten skurwiel Ray ją dotknął?

— Nie — jęczy, a potem słyszę, jak dyszy z bólu. — Nie jest dobrze. Właśnie odeszły mi wody!

¹ Dive (ang.) znaczy m.in. speluna.

Rozdział 32

Tucker

Nie ma gorszego uczucia na świecie niż to, gdy człowiek widzi, jak ukochana kobieta cierpi z bólu, a sam nie może zrobić ani jednej pieprzonej rzeczy.

Przez ostatnie osiem godzin pomogłem tyle co nic.

Za każdym razem, gdy próbuję zachęcić Sabrinę do tego całego oddychania, mierzy mnie zabójczym spojrzeniem, jakbym zabił jej ukochane zwierzątko. Na propozycję kostek lodu do pożucia słyszę, że mam je sobie wsadzić w dupę. Gdy zerknąłem przez ramię doktor Laury na narządy płciowe Sabriny, zagroziła, że jeśli zrobię to ponownie, połamię mój hokejowy kij, a potem mnie nim zadźga.

Ludzie, oto matka mojego dziecka.

— Rozwarcie cztery centymetry — melduje doktor Laura podczas ostatniego badania. — Jeszcze sporo przed nami, ale posuwamy się ładnie do przodu.

— Dlaczego to tyle trwa? — pytam zaniepokojony. — Wody odeszły wiele godzin temu. — Dokładnie osiem godzin i sześć minut.

— Niektóre kobiety rodzą dzieci w przeciągu kilku godzin od odejścia wód. A inne muszą czekać na skurcze nawet czterdzieści osiem godzin. Każdy poród jest inny. — Klepie mnie po ramieniu. — Nie martw się. Dojdziemy tam. Sabrino, daj znać pielęgniarce, jeśli ból stanie się nie do zniesienia. Podamy ci wtedy znieczulenie zewnątrzoponowe. Ale nie zwlekaj zbyt długo. Jeśli dziecko zejdzie nam za nisko, znieczulenie nic już nie

pomoże. Zajrzę do ciebie za chwilę.

— Dziękuję. — Ton Sabriny jest słodki jak cukier, prawdopodobnie dlatego, że to doktor Laura kontroluje leki.

No i tak, gdy tylko lekarka znika, znika również uśmiech z twarzy mojej kobiety, która patrzy teraz na mnie krzywo.

— Ty mi to zrobiłeś — warczy. — Ty!

Zwalczam śmiech.

— Do zapłodnienia trzeba dwojga, moja droga. Przynajmniej z naukowego punktu widzenia.

— Nawet nie próbuj mieszać do tego nauki! Czy ciebie w ogóle obchodzi, co się dzieje teraz z moim ciałem? Ja — bolesny lęk wylatuje z jej gardła. — Niiieeeee! Och, Tuck, kolejny skurcz.

Zrywam się do działania, masuję dolny odcinek jej pleców dokładnie tak, jak pokazywała hipiska Stacy. Rozkazuję jej oddychać i liczę na głos każdy oddech, a jednocześnie bacznie sprawdzam monitor, do którego jest podłączona, bo mierzy on siłę i czas skurczów.

Skurcz mija szybko i kolejny nie nadchodzi przez jakiś czas, co mnie przygnębia. Poczytałem o akcji porodowej i wygląda na to, że Sabrina jest nadal na wczesnym etapie. Nawet nie doszła jeszcze do fazy aktywnego porodu i modłę się do Boga, żeby ten dzieciak nie zbierał się do wyskoku całymi dniami.

— Boli — jęczy po zakończeniu kolejnego skurczu. Jej twarz pokrywa filtr potu, a usta są tak suche, że stają się białe.

Pocieram kostką lodu spierzchnięte wargi i pochylam się, by pocałować ją w czoło.

— Wiem, moja droga. Ale niedługo będzie po wszystkim.

Kłamię. Upływają kolejne cztery godziny, zanim jej rozwarcie osiąga pięć centymetrów, a potem kolejne trzy, zanim dochodzi do sześciu. To daje

w sumie piętnaście godzin i widzę, że energia Sabriny jest na wyczerpaniu. Do tego ból staje się coraz silniejszy. W czasie ostatniego skurczu tak ściska moją rękę, że czuję przesuwanie się kości.

Gdy bolesna fala odpływa, spocona Sabrina opada z powrotem na łóżko i ogłasza:

— Chcę znieczulenie zewnątrzoponowe. Kurde, wezmę nawet te cholerne kleszcze. Tylko wyjmijcie ze mnie to dziecko!

— Dobrze. — Odgarniam jej wilgotne włosy z czoła. — Powiemy doktor Laurze, kiedy wróci...

— Teraz! — wrzeszczy Sabrina. — Idź i powiedz jej teraz.

— Pojawi się tu lada moment, kochanie. A skurcze są co trzy minuty. Wciąż mamy czas przed następnym...

Zanim zdołam dokończyć, zabójcza dłoń unosi się i ściska moją koszulę. Sabrina syczy niczym zapędzony w kozi róg kot i morduje mnie wzrokiem.

— Przysięgam na Boga, Tucker, jeśli nie pójdziesz i nie znajdziesz jej w tej chwili, odkręcę ci ten głupi łeb z tej twojej głupiej szyi i NAKARMIĘ NIM DZIECKO!

Kiwam głową, odrywam jej palce z kołnierzyka i zostawiam całusa na czole. A potem spierdalałam stamtąd i szukam lekarki.

*

Podbijanie wyników trwa nadal.

Czas porodu: 19 godzin.

Czas między skurczami: 60 sekund.

Liczba morderczych gróźb pod moim adresem: 38.

Liczba złamanych kości w mojej dłoni: kto to wie.

Z dobrych wiadomości: w końcu zbliżamy się do finału. Mimo

znieczulenia zewnątrzoponowego Sabrina nadal cierpi. Jej szkarłatna teraz twarz jest rozpalona i nie przestaje płakać od chwili, gdy doktor Laura zaleca jej parcie. Ale nie jest krzykaczką. W łóżku — tak. W trakcie porodu — nie. Jedyne dźwięki, które wydaje, to udrećzone jęki i niskie stękanie.

Moja kobieta to wojowniczką.

Kilka godzin temu udało mi się wyskoczyć z sali, by się wysikać i napisać do mamy i przyjaciół, ale odkąd weszliśmy w najtrudniejszą fazę, Sabrina nie pozwoliła mi opuścić jej ani na chwilę. Bez obaw, nie zamierzam się stąd ruszyć, dopóki nasza córeczka nie spocznie w naszych ramionach bezpieczna i zdrowa.

— Dobrze, Sabrino, jeszcze jedno pchnięcie — rozkazuje doktor Laura między nogami Sabriny. — Widzę główkę. Jeszcze jedno pchnięcie i spotkasz się ze swoją córeczką.

— Nie dam rady — jęczy Sabrina.

— Dasz radę — mówię łagodnie, zgarniając jej włosy za ucho. — Już prawie. Jedno pchnięcie i będzie po wszystkim. Dasz radę.

Gdy znów zaczyna płakać, chwytam jej brodę i patrzę w te piękne orzechowe oczy.

— Już prawie — powtarzam. — Jesteś największą siłaczką, jaką poznałem w życiu. Zasuwałaś przez całe studia, tyrałaś jak wół, żeby się dostać na prawo i teraz musisz popracować jeszcze odrobinę, by urodzić to dziecko. Dobrze?

Bierze oddech, męstwo spina jej rysy.

— Dobrze.

I wtedy, po niemal dwudziestu godzinach dyszenia, sapania i prawie wydmuchania sobie płuc, Sabrina rodzi zdrową dziewczynkę.

Małeńki, pokryty śluzem noworodek wpada w dłonie doktor Laury, przez ułamek sekundy zalega cisza, a potem przenikliwie żalospny płacz wypełnia

porodówkę.

— No, płucka wyglądają na zdrowe — zauważa lekarka z uśmiechem. Zwraca się do mnie. — Tatuś chce przeciąć pępowinę?

— Kurwa! Tak.

— Nie przeklinaj — beszta mnie Sabrina, a doktor Laura chichocze.

Z sercem w gardle przecinam pępowinę, która łączy moją córkę z jej matką. Przed oczami miga mi coś czerwonego i kleistego, lecz pielęgniarka zmiata ją z widoku tak szybko, że jęczę w proteście. Mała jest ważona, a lekarka zszywa Sabrinę.

Cierpię z powodu wszystkiego, przez co przeszła, ale Sabrina wygląda bardziej błogo niż kiedykolwiek wcześniej.

— Trzy kilogramy dwieście sześćdziesiąt gramów — oznajmia pielęgniarka, gdy delikatnie umieszcza dziecko w ramionach Sabriny.

Moje serce powiększa się trzykrotnie.

— Och — szepcze Sabrina, wpatrując się w naszą córeczkę. — Jest idealna.

Tak, kurwa. Jest tak idealna, że omal nie zaczynam ryczeć. Nie mogę oderwać oczu od maleńkiej twarzy i kępki kasztanowych włosów na malutkiej główce. Już nie płacze i teraz wpatrują się w nas wielkie niebieskie oczy, ciekawe i niemrugające. Usteczka są czerwone, policzki różowe. A paluszki cholernie maciupkie.

— Dobrze się spisałaś, moja droga. — Głos brzmi chropawo, gdy pochylam się, by pogłaskać włosy Sabriny.

Podnosi wzrok z nadzwyczajnym uśmiechem.

— My spisaliśmy się dobrze.

Kilka godzin później leżymy oboje na szpitalnym łóżku, podziwiając maleńkie stworzonko, które razem sprowadziliśmy na ten świat. Minęły dwadzieścia cztery godziny, odkąd Sabrina zadzwoniła do mnie z wiadomością, że zaczęła rodzić. Ma tu zostać na dwie noce, tak by lekarze mogli monitorować ją i dziecko, ale obie wydają się zdrowe.

Ekspertka do spraw laktacji pojawiła się godzinę temu, by nauczyć Sabrinę prawidłowych technik karmienia piersią i nasza córeczka już udowodniła, że jest najlepszym ze wszystkich żyjących dzidziusiów, ponieważ od razu przywarła do sutka i ssała szczęśliwie pierś mamy, podczas gdy my obserwowaliśmy ją w czystym zachwycie.

Teraz jest najedzona, senna i leży w połowie w ramionach Sabriny, a w połowie w moich. Nigdy w życiu nie czułem się bardziej spełniony niż w tym momencie.

— Kocham cię — mówię szeptem.

Sabrina nieco sztywnieje. Nie odpowiada.

Nagle uświadamiam sobie, że prawdopodobnie myśli, że mówię do dziecka, więc dodaję:

— Kocham was obie.

— Tucker... — w jej głosie wybrzmiewa ostrzegawcza nuta.

Natychmiast żałuję, że otworzyłem usta. A ponieważ nieszczęśliwie mam ochotę usłyszeć, że ona mnie nie kocha, albo dlaczego nie może tego powiedzieć, przyklejam radosny uśmiech i zmieniam temat.

— Musimy wybrać imię.

Sabrina przygryza wargę.

— Wiem.

Z delikatną czułością głaszczę kciukiem idealne usteczka naszej córeczki. Pociąga cichutko noskiem i kręci się w naszych ramionach.

— Najpierw uporamy się z pierwszym imieniem czy z nazwiskiem?

Mam nadzieję, że wybierze to pierwsze. Nawet nie przedyskutowaliśmy pierwszych imion, ponieważ zatrzymaliśmy się nad roztrząsaniem dylematu James-Tucker.

Sabrina zaskakuje mnie, mówiąc:

— Wiesz... Tak sobie myślę, że James-Tucker nie jest najgorszym pomysłem.

Oddycham szybciej.

— James Tucker.

— No właśnie to powiedziałam.

— Nie, chodzi mi o to, że powinniśmy ją nazwać James Tucker.

— Zwariowałaś? Chcesz ją nazwać James?

— Taak — odpowiadam powoli. — Dlaczego nie? Będziemy na nią wołać Jamie. A w akcie urodzenia podamy James Tucker. W ten sposób będzie miała równą część każdego z nas, bez łącznika, którego akurat oboje nie cierpimy.

Sabrina śmieje się i pochyla, by pocałować idealny policzek naszego dziecka.

— Jamie... podoba mi się.

I po temacie.

Rozdział 33

Sabrina

Mała James siedzi na tylnej kanapie. Pielęgniarka macha do nas na pożegnanie. Na kolanach mam torbę pełną darmowych pierdół. Dłonie Tuckera leżą na kierownicy. Ale nie poruszają się.

— Dlaczego nie jedziemy?

Tucker kieruje przekrwione oczy na tylne siedzenie.

— Mamy dzidziusia w tym samochodzie, Sabrino.

— Wiem.

Przełyka mocno.

— To jest popierdolone. Nie wolno im tak po prostu wypuszczać nas ze szpitala z dzieckiem. Ja w życiu nie miałem nawet zwierzątka.

Nie powinnam się śmiać z nieszczęścia Tuckera. W zasadzie wszystko, oprócz siedzenia nieruchomo w nieco pochylonej pozycji, trochę boli. Ale ta sfrustrowana, nieco przerażona mina jest tak niepodobna do Tucka, że nie mogę opanować chichotu. Zakrywam usta, by stłumić dźwięk, bo zdążyłam się szybko nauczyć przez te ostatnie czterdzieści osiem godzin od chwili porodu, że sen jest cennym i nader rzadkim towarem dla świeżo upieczonych rodziców.

— Cudownie, że to ty świrujesz. Odpal samochód, Tuck. Rodzina za nami chce jechać.

Obraca się, by zerknąć przez tylną szybę.

— Oni mają już dwójkę dzieci. Jedźmy za nimi do domu.

— Może jednak nie.

Ostrożnie sięgam dłonią do fotelika Jamie i poprawiam kocyk. Mała śpi w najlepsze i z całą pewnością nie powinnam jej przeszkadzać, ale nie mogę się powstrzymać, by nie popatrzeć ponownie na jej piękną, pomarszczoną buźkę. Maleńkie usteczka są troszeczkę rozwarte, piąsteczki ciasno zaciśnięte po bokach.

— Jedźmy do domu — mówię stanowczo. Chcę ją przytulić.

Moje ramiona wydają się takie puste. Tak, Tucker i ja mamy dopiero po dwadzieścia dwa lata. Żadne z nas nie ma stałej pracy. Ja mieszkam w domu z rozzłoszczoną babcią i skretyniałym ojczymem. Tucker mieszka z facetem, który marzy, by zostać statystą na planie *Ekipy*. A teraz mamy razem dziecko.

Ale patrząc na słodką twarz Jamie, jedyne, o czym mogę myśleć, to jak bardzo ją kocham, ją i Tuckera.

Opadam na oparcie fotela i przyglądam się, jak Tuck odpala silnik i powoli wjeżdża na drogę. Maszerowałabym szybciej, niż on prowadzi wóz, ale przynajmniej ruszyliśmy z miejsca. Mimo wszystko dojazd do domu zabiera nam prawie czterdzieści pięć minut, ponieważ Tucker utrzymuje stałą prędkość ośmiu kilometrów poniżej dopuszczalnego limitu.

— Jestem zdziwiona, że nawet trąbiący i pokazujący ci środkowy palec bostoński gliniarz nie zmusił cię do szybszej jazdy.

— Tego kretyna trzeba było spisać i zaskarżyć — odcina się. — Zostań tu, a ja wyjdę z samochodu i pomogę ci wysiąść.

Przez ostatnie dziesięć miesięcy nauczyłam się, że Tucker naprawdę wysiada, by pomóc mi wydostać się z samochodu i, nie będę kłamać, przyzwyczajam się do tego.

Tucker ma we krwi te staroświeckie maniery. Na przykład zawsze przytrzymuje drzwi. Nie mogę iść po chodniku od strony ulicy na wypadek strzelaniny z jadącego samochodu. Nawet przytrzymuje mi płaszcz.

Mama Tuckera wspaniale go wychowała. Mogłabym się od niej wiele nauczyć. I odkąd jesteśmy połączeni tym dzieckiem, z jej synem, podjęłam decyzję, że musimy się dogadać. Nieważne, ile zatrutych strzał pośle w moim kierunku, zamierzam je przyjąć i udowodnić, że jestem wystarczająco dobra, by być matką jej wnuczki.

— Zastanawiam się, czy nie przykleić sobie jednego z tych znaków „Dziecko w samochodzie”. Dzięki temu wszystkie palanty za mną mogą nauczyć się trochę cierpliwości, zamiast cisnąć na klakson, jakbyśmy byli w jakiejś kurewskiej sytuacji awaryjnej — zrzędzi Tucker, gdy pomaga mi wysiąść.

— Co się stanie, jeśli jeden z tych palantów przyjedzie pod twoje drzwi, by wziąć Jamie na randkę?

Tucker zatrzymuje się nagle, przez co zaliczam stłuczkę z jego sztywnymi plecami.

— Ona idzie do szkoły tylko dla dziewcząt.

— Okej, więc co się stanie, jeśli okaże się, że jeden z tych palantów to kobieta, która chce się umówić z Jamie na randkę?

— Nie byłoby takich problemów — odpowiada oskarżycielskim tonem — gdybyśmy zostali w szpitalu, jak sugerowałem.

Chichoczę i odsuwam go na bok, tak by dostać się do mojej córeczki.

— Wciąż śpi.

Jego postawne ciało przyciska się do moich pleców, gdy pochyla się, by zajrzeć do środka.

— Ona jest przepiękna. Nie mogę uwierzyć, że ją stworzyliśmy — szepcze mi do ucha. — Kupuję pas cnoty.

— Chyba trochę za wcześnie.

— Myślę perspektywicznie. — Delikatnie przesuwam mnie na bok, by wypiąć nosidełko z bazy.

Wyginam brew.

— Słyszałam, że zaliczyłeś raz trójkącik.

Prawie potyka się o nieistniejące pęknięcie w chodniku. Ciche kasznięcie poprzedza jego pytanie.

— Trójkącik? Kto ci powiedział?

Ha! Nie zaprzecza. Rozbawiona przemykam obok niego, żeby dostać się do drzwi wejściowych.

— Carin. Słyszała od kogoś.

— Żadnych trójkątów dla Jamie — oznajmia. — Może powinniśmy zorganizować jej nauczanie w domu, aż skończy trzydzieści lat.

— Zmieniamy się w hipokrytów.

Tucker entuzjastycznie przytakuje.

— Tak, i zero poczucia winy. — Tuż przed wejściem do domu dodaje szeptem: — Przy okazji, to był czworokąt.

Zamieram.

— Dwóch chłopaków i dwie dziewczyny?

Uśmiecha się z wyższością.

— Trzy dziewczyny i ja.

— Wow. — Jestem bardziej pod wrażeniem niż zła. — Brawo, ogierze.

Chichocząc, wchodzi na korytarz i ściąga japonki.

W środku dom jest zaskakująco cichy. Ray musi wciąż być w łóżku, ponieważ telewizor jest włączony, ale prawie go nie słychać i zamiast kanału sportowego leci jakiś teleturniej.

— To ty, Sabrino? — woła Nana z kuchni.

— Zabiorę dziecko do pokoju — mówi Tuck, starając się być tak cicho, jak to możliwe.

Kieruję się do kuchni.

— Hej, Nano. Ja, ech, przeżyłam. — Podnoszę dłonie w kiepskiej

zwycięskiej pozie.

Babcia wyciera ręce w ręcznik. Za jej plecami na patelni skwierczy bekon, a zapach jajek i wanilii wypełnia powietrze. Mój żołądek burczy w zachwycie. Szpitalne jedzenie jest okropne.

— Dziecko śpi?

— Tak. — Otwieram drzwi od piekarnika. Grube kawałki francuskich tostów spoczywają w syropie z brzoskwini. Leci mi ślinka. — Ale to pysznie wygląda.

— Powinnaś zjeść, a potem się położyć. Pierwsze tygodnie nie są łatwe. — Popycha mnie w kierunku stołu, jej ton i dotyk są zaskakująco czułe.

— Chcesz zobaczyć Jamie? — pytam, próbując nie wzbudzać w sobie zbyt wiele nadziei. Carin i Hope odwiedziły mnie wczoraj, podczas gdy Nana trzymała się z daleka. Z całą pewnością zraniło to moje uczucia, ale ponieważ Nana jest moją opiekunką, nie chcę się żołądkować z tego powodu.

— Teraz śpi — odpowiada Nana lekceważąco. — Będzie wystarczająco dużo czasu na przytulanki, gdy się obudzi. Noworodki nigdy nie śpią za długo — musisz z tego korzystać, póki możesz. Twój facet? Tutaj?

— Tak jest, proszę pani. W czym mogę pomóc? — Tucker wchodzi zamaszystym krokiem z misją wykonania poleceń, wypełniając małe pomieszczenie swoją wysoką posturą i szerokimi ramionami. Wszelkie obawy, które miał, opuszczając szpital, chyba ustąpiły.

— Ty też siadaj. Zjemy śniadanie. Francuskie tosty i bekon.

— Chciałbym zostać, ale muszę lecieć. Zadzwoił szef i powiedział, że jeden z pracowników zleciał w pracy z drabiny. Obiecał, że zapłaci mi dodatkowo, jeśli przyjadę w krótkim czasie.

— Ekstrapieniądze dobra rzecz — stwierdza Nana, kiwając głową.

Tucker pochyła się, by pocałować mnie w policzek.

— Odprowadzisz mnie?

Wstaję bez zbędnych pytań i podążam za nim do samochodu. Teraz, gdy nie oddziela nas piłka w brzuchu, jest tak dziwnie. Widział mnie w najgorszym wydaniu, a mimo to wciąż się tu kręci.

— Dziękuję za wszystko.

— Za wiele to nie zrobiłem.

— Byłeś tam ze mną. To dużo.

Przebiega kciukiem wzdłuż mojej szczęki.

— Byłaś nieprzytomna w szpitalu. Pamiętasz coś?

Jak powiedziałaś mi, że mnie kochasz?

— Nie za wiele — kłamię. — Byłam totalnie wycieńczona.

Jego twarz wyraża rozczarowanie.

— Okej. Jeśli tak chcesz to rozgrywać, niech ci będzie. — Otwiera drzwi kierowcy. — Do zobaczenia po pracy. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Chcę, żeby powiedział, że mnie kocha, gdy nie wydzieram się z bólu albo szlocham, jak bardzo boję się macierzyństwa.

Tuzin emocji ślizga się i pulsuje pod cienką błoną mojej samokontroli. Czuję, że jestem na krawędzi, więc się wycofuję.

— Poradzimy sobie. Przyjeźdź, jak będzie ci pasowało.

Jego szczęka zamienia się w kamień i od razu wiem, że nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

Macham delikatnie i w pośpiechu uciekam do środka, bo nie chcę widzieć, jak odjeżdża. W pokoju dziennym znajduję Jamie w objęciach Nany.

— Płakała — mówi defensywnie.

— W porządku — odpowiadam, walcząc z uśmiechem. — Mogę wskoczyć pod prysznic? Czuję się obrzydliwie.

— Pewnie. — Jej spojrzenie jest przyklejone do twarzyczki Jamie. — Ta mała kocha swoją babcie, prawda, malutka? Prawda?

Z lżejszym sercem wchodzę pod prysznic. Nana jest już w połowie drogi do zakochania się w Jamie. Zresztą kto by nie był? Przecież to najśłodsze stworzenie na świecie.

Biorę długi, gorący prysznic, na który nie pozwolili mi w szpitalu z powodu znieczulenia zewnątrzoponowego. Dobrze jest być poza szpitalnym łóżkiem. Po wysuszeniu się wciągam stary dres i T-shirt, a potem badam swoje odbicie w lustrze.

Moje ciało nadal jest dziwne i obce. W oczach popękały mi żyłki podczas porodu, więc wyglądam demonicznie, cała czerwonooka i potargana. Mogłabym rywalizować z najbardziej szalonym, dziwacznym wcieleniem Heleny Bonham Carter. Brzuch — nadal duży i okrągły — tyle że teraz jest gąbczasty i miękki. Piersi urosły do olbrzymich, komicznych wręcz rozmiarów.

Dobrze, że nie wolno mi uprawiać seksu przez sześć tygodni. Sama nie mogę patrzeć na te poporodowe kształty bez krzywienia się, a co dopiero gdyby Tucker oglądał mnie w takim stanie.

— Będziesz karmić piersią? Ja zawsze używałam mleka dla niemowląt i zarówno ty, jak i twoja mama przeżyłyście. — Nana przygląda mi się wyczekująco, gdy dołączam do niej w pokoju gościnnym.

— Powiedzieli, że mleko matki jest najlepsze.

— Hmmmm. W „People” też pisali coś takiego. No nic, powinnaś w takim razie nakarmić tego biednego szkraba.

Wręcza mi dziecko, więc ostrożnie przytulam Jamie, a potem zanoszę ją do mojego pokoju. Siadam na krawędzi łóżka, unoszę jedną stronę koszulki, przytrzymuję ją brodą i przykładam Jamie do piersi. Szuka na oślep jak małe zwierzątko, aż znajduje sutek. Na szczęście przywiera do niego.

Oddycham z ulgą i odchylam się do tyłu, aż moje ramiona uderzają o ścianę. Konsultantka do spraw laktacji ostrzegła mnie, że karmienie

piersią jest cholernie trudne — to znaczy, nie użyła dokładnie tych słów, ale taki był sens — więc jestem wdzięczna, że póki co dobrze nam idzie.

Podnoszę telefon i jedną ręką wystukuję kilka wiadomości.

Ja: *Jestem w domu.*

Hope: *Kiedy mogę przyjechać?*

Carin: *NIE!!!!!!! Nie skończyłam bucików. Wracaj do szpitala!*

Ja: *Jakbym słyszała Tuckera. On też nie chciał wychodzić.*

Carin: *Tatus bobaska ma rację.*

Hope: *Ona nie wraca do szpitala, bo ty nie skończyłaś robótek. Szpitale trzymają tylko dwie doby po porodzie. Jak się czujesz?*

Ja: *Zmęczona. Boję się. W szpitalu Tucker powiedział mi, że mnie kocha.*

Hope: *OMG.*

Carin: *OMG.*

Hope: *Co odpowiedziałaś?*

Carin: *Że nie wierzysz w miłość, tak?*

Pokazuję język do telefonu.

Ja: *Udawałam, że nie usłyszałam.*

Hope: *OMG.*

Carin: *Mówiłam!*

Hope: *Najgorsza opcja.*

Czyżby? Naprawdę?

Ja: *To był emocjonalny czas. Nie trzymam go za słowo.*

Hope: *Jesteś głupia. Przestaję się z tobą przyjaźnić.*

Carin: *Nie chce być egoistką.*

Ja: *Dzięki, C.*

Hope: *Jesteś głupia.*

Ja: *Nie jestem głupia. Jego mama mnie nienawidzi. T jest zmuszony do zamieszkania w Bost. Nie chcę go uwiązywać. T powinien balować, chodzić*

po knajpach, klepać tyłki.

Carin: Odwołuję wszystko. Jesteś głupia.

Hope: Właśnie!

Carin: Zabiłabyś każdą laskę, która spojrzałaby na niego dwa razy.

Obraz Tuckera z inną kobietą, z innym obok Jamie dzieckiem w objęciach tworzy się w mojej głowie i tępy ból uwiera mnie w klatce piersiowej. Carin ma rację. Nie jestem gotowa, by puścić Tuckera, nieważne jak nonszalancka i obojętna staram się być.

Jamie nagle wydaje głośny krzyk i spuszczam wzrok, by zobaczyć, że jej cudne usteczka znów szukają sutka.

Ja: Muszę kończyć. Dziecko płacze.

Hope: Powodzenia.

Carin: Nie życz jej powodzenia. To nie są zawody sportowe.

Hope: P.: Jaka jest najgorsza odpowiedź na „Kocham cię”?

Carin: Cisza, a potem „Chciałabym czuć to samo”.

Hope: A może „Dlaczego?”.

Carin: Albo „To miło”.

Hope: Okropność.

Ja: Skończyłam z wami.

Jamie otwiera buzię i siła głosu, która wydobywa się z jej płuc, zadziwia nawet mnie. Jakby w gardle miała wzmacniacz.

— Ciiii. Ciiii. — Okręcam się i chwytam za koc leżący w foteliku samochodowym. Dopiero po kilku próbach mam ją opatuloną niczym burrito. Przez cały czas ją uciszam. Cała masa ludzi w Internecie wierzy w metodę zwaną 5S, pod którą kryje się: spowijanie, stabilna pozycja na boku lub brzuchu, spokój, senne kołysanie i... kurde, nie mogę sobie przypomnieć jeszcze jednej.

Jamie nie podoba się, że zapomniałam. Jej pomarszczona twarzyczka

wykrzywia się i wyśpiewuje głośno opinię na temat moich matczynych umiejętności.

Nucę kilka dźwięków, może to ją uspokoi?

Jamie nie przestaje wyc.

— Jezu Chryste, co tu się dzieje, do cholery? — Ray wstał i wali w moje drzwi.

— Hej, mała Jamie. Przestań płakać. Mamusia tu jest.

Mała Jamie ma to w dupie. Wydziera się jeszcze głośniej.

— Ssanie! — krzyczę tryumfalnie. — Chodziło o ssanie.

Rzucam się na komodę w kącie, gdzie umieszczone są akcesoria Jamie. Otwierają się drzwi i do pokoju wpada Nana.

— Co ty robisz temu dziecku? — wydziera się nad maleństwem.

— Mówiłem, że wszystko spartaczy. — Ray jest tuż za nią i z radością dorzuca swoje trzy grosze.

— Ray, wystarczy. Idź zjeść tost. — Nana przesuwam mnie na bok. — Czego szukasz?

— Smoczka. — Grzebię między maleńkimi śpioszkami, kocykami i pieluchami, aż znajduję smoczek.

— Myślałam, że karmiłaś piersią — komentuje, gdy próbuję wsadzić smoczek do buzi Jamie. Ma silniejszy język niż dziewczyna Tuckera z dziewiątej klasy. Poddaję się, gdy wypluwa go po raz piąty.

— Co mam robić? — pytam desperacko Nanę.

— Chce cyca — rzuca Ray z drzwi.

Czyżby miał rację? W panice podnoszę koszulkę, nie dbając nawet o to, że Ray może zobaczyć moją nagą pierś. Jamie przywiera do niej niemal natychmiast, jej całe ciało drży od płaczu. Mała czkawka przeszkadza jej w ssaniu, ale przynajmniej płacz ustał. Opadam z ulgą na łóżko.

Stojąca na środku pokoju Nana potrząsa głową.

— Nie powinnaś nigdy przyczepiać jej do cycka. Teraz będzie chciała tylko tego.

— Mnie się podoba. — Ray pokazuje mi przymilnie kciuka w górę. — Ładne cyce, Rina.

— Wynoś się — mówię ostro, puszczając bluzkę. Jamie kwili, gdy materiał opada na jej twarz. — Serio, wyjdź stąd. Nana, proszę.

— Powinnaś używać butelki — beszta mnie Nana.

— Powinnaś zdjąć bluzkę — sugeruje Ray.

Zaciskam zęby.

— Potrzebuję trochę prywatności. Proszę.

— Jak będziesz karmić w czasie zajęć? — pyta Nana.

Jamie znów zaczyna płakać. Podciągam bluzkę, mimo że Ray rzuca mi pożądliwe spojrzenia. Kolejny raz spoglądam na Nanę błagalnym wzrokiem i w końcu przesuwa się w kierunku drzwi.

— Rusz się, Ray. Śniadanie ci stygnie.

— To się nie uda, Joy — mruczy. — Ten dzieciak nie może wisieć na cycku Riny cały dzień.

— Zostaw je w spokoju. — Nana patrzy na niego z dezaprobatą i zwraca się do mnie. — Dzieci płaczą.

Jeszcze nie zamknęła drzwi, a ja już zdejmuję bluzkę. Jamie cichnie, gdy kieruję sutek do jej buzi. Gdy znów przywiera, napięcie zaczyna ze mnie ulatywać.

Jasna cholera.

Nie wiem, czy to przeżyję. Małą główkę przytłacza gigantyczna pierś, ale gdy otwiera oczka i zaczyna ugniatać mnie rączkami, czuję taki zalew miłości, że aż mi słabo.

Cały proces karmienia zabiera mniej niż piętnaście minut. To jedyne piętnaście minut spokoju, którego doświadczam przez kolejne dwie godziny.

Nie mogę jej odłożyć. Gdy próbuję, zaczyna płakać, co znów uruchamia lawinę krzyków między Rayem, Naną a mną. Kończy się tym, że noszę ją dookoła, uczę się jeść jedną ręką, zmieniam pieluszkę, zużywając przy tym trzy, ponieważ z pierwszych dwóch udaje mi się zerwać taśmę.

Tucker dzwoni w południe, a ja dosłownie padam ze zmęczenia.

— Twój tatuś dzwoni — mówię Jamie, która gapi się na mnie. Siadam na podłodze, trzymając jej ciasno owinięte ciało w ramionach.

— Jak leci? — pyta, gdy odbieram telefon.

— Miałam lepsze dni. — Podciągam Jamie troszkę wyżej na ramieniu. Jej twarzyczka zapada się w moim policzku. — Ale myślę, że miałeś rację. Nie powinniśmy wychodzić ze szpitala.

— Teraz już nie ma powrotu.

— Nawet nie masz pojęcia, co tu się dzieło.

— Opowiedz mi wszystko.

Czuję taką wdzięczność za jego uspokajający głos, że prawie wybucham płaczem. Jakoś udaje mi się zebrać do kupy i opowiadam mu, jak Jamie wygra medal olimpijski w podnoszeniu ciężarów, bo już jest silna jak cholera, albo że mogłaby zostać magikiem, ponieważ jest w stanie wyswobodzić się z każdego kocyka, w który próbuję ją opatulić.

Tucker śmieje się i mobilizuje mnie. Zanim jeszcze kończymy rozmowę, jestem przekonana, że dam radę.

Rozdział 34

Sabrina

Wrzesień

Macierzyństwo jest trudne. Trudniejsze niż cokolwiek innego w moim życiu. Trudniejsze niż uczenie się do egzaminów SAT. Oraz LSAT. Jest większym wyzwaniem niż praca pisana na zajęcia z feminizmu, która wróciła do mnie i wyglądała tak, jakby dwa czerwone długopisy były zamieszane w morderstwo/samobójstwo na wszystkich wydrukowanych przeze mnie słowach. Bardziej męczące niż praca na dwóch etatach i zapisanie się na wszelkie możliwe zajęcia przez cztery lata studiów.

Mój szacunek dla Nany sięga niebios. Gdybym musiała niańczyć jednego dzieciaka po drugim, też byłabym trochę zrzędliva. Ale dzięki pomocy babci i Tuckera udało mi się wypracować porządek, który wydaje się działać, i gdy zbliża się koniec drugiego tygodnia zajęć, jestem przekonana, że się uda. Jakby nie było, na zajęciach siedzę co najwyżej trzy godziny dziennie. I nie ciągnę dwóch etatów.

To jest łatwe.

Łatwe.

Aż do chwili, gdy wytaczam się z ostatnich zajęć w piątek drugiego tygodnia, obładowana butelkami, rurkami, dwoma kilogramami książek i komputerem oraz z zadaniem przeczytania ponad tysiąca stron przez weekend. Zaczyna mi się tego gromadzić. Gdy profesor Malcolm ogłosił, że mamy przeczytać cały rozdział o winie i intencji, czekałam, by ktoś —

ktokolwiek — zaproponował. Ale nikt nie odezwał się słowem.

Po zajęciach żaden z moich rówieśników nie wydawał się wzruszony faktem, że wymaga się od nas przeczytania w dwa dni lektury, która starczyłaby na cały semestr. Zamiast tego trzy dzieciaki z mojego rzędu decydują się przeprowadzić zażartą dysputę na temat harwardzkiego systemu oceniania, czyli dyskutują o czymś, co powinni byli wiedzieć przed złożeniem papierów na tę uczelnię.

Czekam niecierpliwie, aż skończą debatę, tak byśmy mogli wydostać się z sali. Muszę zabrać się jak najszybciej za czytanie, ale co ważniejsze, moje piersi za chwilę eksplodują. Nie karmiłam Jamie niemal od trzech godzin i jeśli nie dostanę się do pokoju laktacyjnego przy bibliotece, skończy się przeciekami na tej cholernej bluzce.

— Nie podoba mi się, że nie ma stopni. Niestandardowy system oceniania *Honors/Pass/Low Pass* i *Fail*? — psioczy blondynek z długim nosem siedzący obok mnie.

— Słyszałam, że *Low Pass* nie mają uznania. Albo *Honors*, albo *Pass*. Naprawdę trzeba wszystko spieprzyć, żeby zasłużyć na *Fail* — dopowiada dziewczyna obok „Długonosego”. Jej kości policzkowe są tak ostre, że dałyby radę rozciąć cały podręcznik.

Robię wielkie przedstawienie ze zgarniania moich klamotów i upychania ich do torby listonoszki, ale nikt się nie rusza. Zamiast tego wtrąca się inna dziewczyna w falbaniastej spódnicy, która przywołuje złe wspomnienia o zakręconej Stacy.

— Mój kuzyn skończył Harvard w zeszłym roku i powiedział, że BigLaw mają własną kalkulację w oparciu o H, P i LP, więc wychodzi na to samo. H to piątka i tak dalej.

— Moje główne zażalenie, to że tylko jedna osoba może skończyć studia *summa cum laude*. Na każdej innej uczelni prawa, jeśli dostajesz

odpowiednie stopnie, dostajesz też wyróżnienie. A uznanie tylko dla jednej osoby jest do luftu — obwieszcza „Policzkowa”.

„Falbaniasta Spódnica” spieszy z pociechą.

— Ale można jeszcze dostać *Dean's Scholar*.

— Pewnie, ale na *DS* też załapią się tylko nieliczni.

— Za bardzo skąpią tych wyróżnień — dodaje „Długonosy”.

Odchrząkuję. Zostaję zignorowana.

— Ale w końcu to Harvard, więc wielkie ryby i tak ciebie wyłowią — stwierdza „Policzkowa” z nonszalancją kogoś, kto jest pewien swoich perspektyw po studiach. — Kiedy można zapisać się do EIP?

— *Early Interview Program*? — „Falbaniasta Spódnica” uśmiecha się złośliwie. — Wyluzuj, dziewczyno. Dopiero na drugim roku. Najpierw naucz się sporządzać notatki służbowe.

Ona i „Długonosy” wymieniają szydercze spojrzenia, podczas gdy „Policzkowa” pokrywa się lekkim rumieńcem. Niefajnie być przedmiotem żartów, co pcha mnie do niemądrego zabrania głosu.

— Oceny mnie tak bardzo nie ruszają, ale ilość rzeczy do przeczytania już tak. Chciałabym się do tego zabrać dzisiaj po południu. — Aluzja. Aluzja. Ruszcie się, ludziska.

„Policzkowa” unosi brodę, zadowolona, że teraz to ona może znieważyc, zamiast być znieważaną.

— Co w tym niby trudnego? Trudne to może jest wybranie właściwego tematu do artykułu w „*Law Review*”. Przeczytanie i przyswojenie sobie kilku przypadków to bułka z masłem.

Odwraca się z pogardliwą miną, zarzucając włosami, zbiera książki i zostawia mnie z rozdziawioną buzią. Za nią podąża dwójka innych studentów. Chłopak szepcze do „Falbaniastej Spódnicy”.

— Hej, słyszałem, że do grupy naukowej przyjmują tylko z wnioskiem.

Jestem zainteresowany. Wiesz, jak się dostać?

„Falbaniasta Spódnica” pociąga nosem.

— Jeśli musisz pytać, to znaczy, że nie należysz.

Pięknie. Ale przynajmniej ruszyliśmy się z miejsca.

Piersi tak mnie bołą, jakby ciało szykowało się do wylania mleka. Z pośpiechem ruszam w kierunku drzwi, mijając dwóch innych studentów, którzy zatrzymali się, by z kimś porozmawiać. Czy te dzieciaki nie mają nic lepszego do roboty poza staniem i gadaniem o dupie Maryny?

Na zewnątrz jakiś student rozdaje broszury. Chwytam jedną i zatrzymuję się. To zaproszenie do uczestnictwa w kursie, jak odnieść sukces w „Law Review”. Spotkanie zaczyna się za piętnaście minut. Moja klatka piersiowa pulsuje.

— Coś ci cieknie z koszuli — odzywa się rozbawiony męski głos.

Opuszczam brodę, by zobaczyć, o czym on mówi, i blednę na widok dwóch mokrych plam dookoła sutków.

— Nie wiem, co się dzieje, ale może powinnaś iść do lekarza i się przebadać. Paskudnie to wygląda.

Rozpoznaję go natychmiast. Kale czy jakoś, dupek z uniwersyteckiej poradni prawnej. Ma ulizane włosy *à la* lalka Ken, przyklejone z boku twarzy. Wszystko, co ma na sobie, jest drogie i uprzywilejowane. Trąca chłopaka stojącego obok, którego twarz wyraża obrzydzenie.

Ciskam broszurą w jego klatkę piersiową.

— Karmię piersią, ty dupku.

Przysięgam, że słyszę, jak ktoś za moimi plecami ryczy, udając krowę, ale kiedy się obracam, tych dwóch maszeruje w inną stronę.

Przejście przez kampus zabiera mi piętnaście minut. Z każdym krokiem cieknie mocniej. Moje emocje to miks wstydu, wściekłości i frustracji. Wstydu, że przeciekam. Złości, że w ogóle się przejmuję, co ten palant Kale

myśli. I frustracji, że to całe cenne mleko napełnia miseczki stanika i brudzi bluzkę. Skrzyżowanie ramion na klatce w niczym nie pomaga. Ucisk sprawia, że mleko wycieka jeszcze szybciej.

Do biblioteki docieram w opłakanym stanie. Urzędnik referencyjny, który trzyma klucze do pokoju laktacyjnego, podaje mi je ostrożnie, uważając, by w żadnym razie nie dotknąć mojego ciała.

Właśnie mam wejść do pokoju, gdy wychodzi z niego dziewczyna.

— Cały twój — mówi pogodnie.

— Dzięki — odpowiadam kwaśno.

Staje w drzwiach, gdy wchodzę do środka.

— Zły dzień, co?

Przemawia tak miłym i pełnym zrozumienia głosem, że prawie się rozklejam.

— Nawet nie masz pojęcia — odpowiadam, ale zaraz uświadamiam sobie, że akurat ona ze wszystkich ludzi na kampusie ma pojęcie. — A może i masz. Fakt, totalnie dupowaty dzień.

— Zaczekaj chwilę. — Grzebie w torebce. — Proszę. — Wręcza mi małe plastikowe opakowanie. — Mam drugi komplet i nigdy ich nie użyłam.

— Co to jest? — obracam paczuszkę, przyglądając się silikonowym płatkom.

— Przyklejasz je do sutków i przestają ciec.

— Serio? — gapię się na nią.

— Aha. Nie są idealne i jeśli będziesz czekać za długo, mleko w końcu i tak je odklei, ale sprawdzają się.

Zaciskam paczuszkę ciasno w pięści, wypełniona przytłaczającą ulgą. Muszę ponownie zapanować nad łzami.

— Przytulilibym cię od razu, gdyby nie to, że jestem w tym obrzydliwym stanie. Ale bardzo ci dziękuję. — Zauważam charakterystyczny czerwony

podręcznik z czarno-złotymi literami na grzbiecie książki wystający z jej torby. — Pierwszy rok? — pytam.

— Trzeci. Miałam nadzieję poczekać z tym wszystkim do końca studiów. — Macha dłonią na pokrytą izolacją torbę na lunch, którą niesie. Pewnie włożyła tam mleko. — A ty?

— Pierwszy.

Robi minę.

— No to powodzenia, kochana. Pamiętaj tylko, że z każdym rokiem jest łatwiej. Pierwszy to prawdziwa wojna o przetrwanie. — Klepie mnie po plecach. — Dasz radę.

Wchodzę do środka i podłączam się do medycznego laktatora. Do Widener Library z wydziału prawa mam spory kawałek, ale tu jest laktator, co oznacza, że muszę jedynie zabierać z domu butelki, pompkę i wężyk, a do tego nie musiałam wydawać kasy na drogi laktator przenośny. Moje konto już piszczy od spustoszenia, które poczynił na nim zakup podręczników.

Rozpinam jedwabne guziki i ściągam stanik. Powinnam być zniesmaczona, ale jestem zbyt zmęczona. Trochę mnie wkurza, że tej głupiej maszynie ściągnięcie sześćdziesięciu mililitrów mleka zabiera dwadzieścia minut, a Jamie i tak nie chce tego pić.

Kiwając się na krześle, wyciągam telefon, by przeczytać wiadomości. Pisały Hope i Carin, ale omijam je i naciskam imię Tuckera.

Tucker: *Pojechałem zobaczyć się z J w czasie lunchu.*

Pod wiadomością jest zdjęcie Jamie śpiącej na jego ramieniu. Czuję ucisk w sercu, a miejsce między nogami — myślałam, że obumarło od porodu — pulsuje jak szalone. Nie ma nic seksowniejszego niż kochający tatuś.

Tucker sprawia, że wszystkie moje hormony zaczynają svirować.

Ja: *Co za aniołek.*

Tucker: *Nie znoszę od niej wychodzić.*

Ja: *Mleko przeciekło mi przez koszulę. Chciałam się zapaść ze wstydu.*

Tucker: *Ojjjj. Bidulka. Przyjadę później i wymasuję ci plecy.*

Ja: *Mam 1000 stron do przeczytania i wcale nie przesadzam.*

Tucker: *Zajmę się J. Ty nauką.*

Ja: *Chętnie skorzystam z tej propozycji.*

Tucker: *To dobrze. Nigdy nie pozwalasz mi dość pomagać.*

Bo nie chcę, żebyś potem odjeżdżał.

Oczywiście tego nie piszę.

Ja: *J nie mogłaby prosić o lepszego tatę.*

Tucker: *Masz niskie standardy kochanie, ale dzięki.*

Ja: *:)*

Ja: *Zdrzemnę się w trakcie wysysania ze mnie całej krwi. Wyglądam, jakbym była częścią Matriksu, podłączona do maszyny.*

Tucker: *Wzięłaś czerwoną tabletkę czy niebieską?*

Ja: *Od której Jamie by spała? Biorę tę.*

Tucker: *Skombinuję receptę na ambien.*

Ja: *Szkoda, że nie wolno mi tego łykać.*

Tucker: *Moja mama opowiadała, że mama wcierała koniak w jej dziąsła, żeby zasnęła.*

Ja: *Miejmy nadzieję, że Departament Bezpieczeństwa nie szpieguje tych wiadomości. Podziałało?*

Tucker: *Nie wiem. Zostawię butelkę koniaku obok ambien.*

Ja: *Sam widzisz. Najlepszy tata pod słońcem.*

Tucker: *LOL. Kimnij się, moja droga.*

*

Hope i Carin kupiły mi książkę zatytułowaną *Śpij już, kurwa, śpij.*

Przeczytałam ją Jamie ze sto razy. Nie działa. To stek bzdur. Przez weekend Jamie zdecydowała, że ma alergię na sen. Zamyka oczy tylko wtedy, gdy się ruszam.

Jestem w stanie czytać i spacerować w tym samym czasie, ale jednocześnie spanie i spacerowanie jest już ponad moje możliwości, dlatego zaczynam trzeci tydzień nauki na wydziale prawa jakieś osiemset stron do tyłu. Wlokę się do sali wykładowej, nie przeczytawszy nawet jednego słowa na zajęcia z prawa umów. Przebrnęłam przez prawo karne, ale na tym koniec.

Miejmy nadzieję, że profesor Clive zapyta wszystkich, tylko nie mnie.

— W zeszłym tygodniu powtarzaliśmy dwa elementy składające się na umowę. Panie Bagliano, proszę podzielić się z grupą tymi dwoma elementami oraz streścić przypadek Carlill 1898.

Pan Bagliano, który wygląda równie włosko jak jego nazwisko, posłusznie recytuje dwa założenia, o których uczyliśmy się wcześniej.

— Oferta i akceptacja. Przypadek Carlill z roku 1898 poddał pod dyskusję pytanie, czy reklama może być rozumiana jako umowa. Sprawa była rozpatrywana przez Angielski Sąd Apelacyjny, który utrzymał, że tak, to była wiążąca oferta jednostronna, która mogła zostać zaakceptowana przez każdą osobę odpowiadającą na reklamę.

— Wspaniale, panie Bagliano. — Profesor Clive konsultuje się z kartką papieru, na której, jak się domyślam, są wszystkie nasze imiona.

Zamykam oczy i modłę się, żeby moje imię magicznie zniknęło z listy.

— Pani James, proszę nam powiedzieć o trzecim elemencie umowy oraz sprawie Borden.

Podczas gdy moje serce ląduje w żołądku, desperacko skanuję salę, jakbym spodziewała się jakimś cudem przeczytać odpowiedź w oczach pozostałych studentów. Niestety, nad żadną głową nie zapala się pomocna lampka, a najmniej oświetlona jestem ja.

Obok mnie, chłopak, którego imienia nie zadałam sobie trudu zapamiętać, bąka coś półgębkiem. Brzmi to jak „ogrodzenie”. Nijak nie pasuje do kontekstu. Ponownie wykasłuje w dłoń „ogrodzenie”. Nerwowy śmiech obiega salę, a moje policzki płoną niczym dwa słupy ognia.

Tymczasem usta stojącego przy katedrze profesora Clive’a zacieśniają się.

— Pan Gavriel mówi „wynagrodzenie”, pani James. — Przesuwa spojrzenie na biedaka siedzącego obok. — Panie Gavriel, skoro zna pan odpowiedź, to może podzieli się pan z nami wiadomościami na temat tej sprawy?

Pan Gavriel posyła mi współczujące spojrzenie, po czym błyskawicznie streszcza swoje perfekcyjnie zrobione notatki, a następnie przechodzi do omówienia wzajemności oraz iluzorycznych obietnic i innego gówna, o którym nie mam najmniejszego pojęcia.

Otwieram zeszyt z bazgrołami ozdobionymi rozmazanym tuszem i kartkami pofarbowanymi przez ślinę, która mi pociekła, gdy zasnęłam, a także przez mleko z piersi i ulanie dziecka.

Trudno jest cokolwiek usłyszeć z wykładu ze wstydem dudniącym w uszach, ale robię obfite notatki w nadziei, że kiedy później powtórzę te bzdury, uda się mi z nich sklecić jakiś sens.

Po skończonych zajęciach profesor Clive przywołuje mnie gestem do siebie.

Podpiera podbródek palcami.

— Pani James, profesor Fromm naświetliła mi pani sytuację domową i choć rozumiem, jak to musi być trudne, standardy w klasie nie są modyfikowane przez wzgląd na macierzyństwo.

— Nie liczyłam na to — odpowiadam sztywno. — Przepraszam za dzisiejsze nieprzygotowanie i obiecuję, że w przyszłości taka sytuacja się nie powtórzy.

— Mam nadzieję, no ale przecież oceniamy według krzywej i ktoś musi być na dnie.

Unoszę dłoń, by podrapać się w kark, nie dlatego, że mnie swędzi, ale z powodu nieprzepartej pokusy pokazania mu środkowego palca.

— To nie będę ja — zapewniam go.

Przygląda mi się badawczo przez długą, niezręczną chwilę, a potem zwalnia mnie nieznacznym kiwnięciem głowy.

— Zobaczymy.

Rozdział 35

Tucker

Sabrina zjawia się w moim mieszkaniu w piątkowe popołudnie, taszcząc wystarczającą ilość rzeczy, by zapełnić sklep z akcesoriami dla dzieci. Od chwili gdy urodziła się Jamie, nauczyłem się, że nie wyjdę już z domu, trzymając jedynie portfel, telefon i klucze.

Nie. Samo zabranie Jamie na krótki spacer wymaga torby wypełnionej wszystkim, począwszy od chusteczek, przez smoczki po maleńką wypchaną kaczkę, której próba zabrania kończy się tym, że mała drze się wniebogłosy. Do tego wózek, czapeczka i ciuszki na przebranie na wypadek, gdyby ułała na siebie.

I mając ten cały sprzęt pod ręką, przez większość czasu używam jedynie pieluchy i butelki, reszta tego badziewia okazuje się bezużyteczna.

Ale nic nie szkodzi. Uwielbiam być tatusiem. Chciałbym móc widzieć Sabrinę i dziecko codziennie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale na razie muszę się zadowolić kilkoma pełnymi dniami w tygodniu i wieczornymi wizytami w domu Sabriny. Zawsze, gdy tam jestem, proponuję, że zostanę na noc, ale ona potrząsa łagodnie głową. Myślę, że czuje się niekomfortowo, że przebywam pod jednym dachem z jej podejrzanym ojczymem i im lepiej poznaję Raya, tym bardziej nienawidzę tego dziadola. To chamski, prymitywny i sprośny skurczybyk. Nie jest dobrym człowiekiem. Tak, Dr Seuss¹ mógłby napisać serię rymowanek dla dorosłych o tej kreaturze.

— Hej. — Sabrina przepycha wózek przez wąskie drzwi wejściowe, a ja

zauważam cienie pod jej oczami.

Podczas wcześniejszej rozmowy przyznała, że prawie nie zmrużyła oka, ponieważ Jamie budziła ją co godzinę. Nasza córeczka ma ogromny apetyt i wiem na sto procent, że tak jak ja uwielbia cycki Sabriny, ponieważ za każdym razem, gdy próbuje się ją nakarmić ściągniętym mlekiem z butelki, zajmuje to dwa razy więcej czasu niż ssanie z piersi.

— Hej. Jak się dziś ma moja dziewczyna? — pytam z uśmiechem.

— Zdziwiająco radośnie, biorąc pod uwagę, że nie dała mi spać całą noc.

— Miałem na myśli ciebie, moja droga. — Przewracając oczyma, pochylam się, by ją pocałować.

Usta pomalowała jakimś owocowym błyszczakiem — chyba truskawkowym. Tak pysznym, że smakuję ich jeszcze raz. Przesuwam językiem po jej dolnej wardze i jęczę cicho.

Kurwa, chcę tu stać i całować ją bez końca. A nawet lepiej — zedrzeć z niej ubrania i zatracić się w jej ciele przez cały tydzień. Tyle że nie minęło jeszcze sześć tygodni od porodu, a nawet gdyby, nie jestem pewien, czy Sabrina w ogóle chce seksu. Generalnie przez cały czas jest strasznie zmęczona, na najlepszej drodze, by stać się zombi.

Nie mam pojęcia, jak daje radę uczyć się na zajęcia, czytać zadany materiał, pisać prace i jeszcze mieć czas dla naszej córki. To potwierdzenie jej siły i determinacji, jak mi się wydaje, chociaż chciałbym, żeby pozwoliła mi robić więcej, by ulżyć jej w tym stresie. Kurde, nawet poproszenie, by przyjechała tu dzisiaj, gdzie może uczyć się w ciszy, podczas gdy ja zajmuję się dzieckiem, wymagało trzydziestominutowej debaty, zanim w końcu się poddała. Ciężko uczyć się w domu z babcią w kółko nawijającą o tym, co słychać w rodzinie Kardashianów, i Rayem kręcącym się po kuchni, żeby wziąć kolejne piwo.

Mój współlokator pracuje, więc tutaj w ciągu dnia jest miło i cicho. A do

tego ostatnio nie ma za dużo pracy na budowach z powodu fali nieprzerwanych deszczów, dlatego przez ten tydzień siedziałem w domu, objąłem się i przeglądałem różne oferty biznesowe.

Pisk niezadowolenia dobiega z wózka, a ja chichoczę cicho.

— Mała księżniczka nie lubi być ignorowana, co? — Kucam przy wózku i ostrożnie rozpinam przeróżne zatrzaski i sprzączki, które zabezpieczają Jamie. Potem unoszę ją w ramionach, jedną dłonią podtrzymuję małą pupę, a drugą szyję.

Jak zawsze jej widok zapiera mi dech w piersiach. Jest najpiękniejszym dzieckiem na świecie. Nawet moja mama tak mówi. Wysyłam jej codziennie fotki, a ona nieustannie zachwyca się perfekcyjnością James Tucker. Mama bardzo chciałaby poznać Jamie osobiście, ale nie może się wyrwać, dopóki nie nadejdą wakacje, czyli za kilka miesięcy. Codzienna porcja zdjęć na razie wydaje się ją uspokajać.

— Jak się czuje mały aniołek tatusia?

Jamie grucha i posyła mi bezzębny uśmiech. Tak, uśmiecha się. Sabrina upiera się, że ściemniam, ale myślę, że wiem, kiedy moja córeczka uśmiecha się do tatusia.

Całuję jej niemożliwie delikatny policzek, a ona trąca słodką twarzączką mój mięsień sercowy. Ostre ukłucie natychmiast przesywa mój sutek. Krzyczę, gdy jej spragniona buzia próbuje się przyssać.

Kurde, zapomniałem, że nie ubrałem koszuli. Brody nie lubi włączać klimatyzacji, jeśli nie musimy, więc przez większość czasu mamy otwarte okna. Przywykłem do szwendania się po mieszkaniu w szortach i niczym więcej.

— Spokojnie, malutka — besztam ją, odwracając jej twarzączkę.

Jej usta otwierają się i zamykają gwałtownie, jakby próbowałassać powietrze, co rozpuszcza mi serce.

Podnoszę wzrok, by uśmiechnąć się do Sabriny i okazuje się, że jej ciemne oczy są zaszkłone, a buzia szeroko otwarta.

Marszczę czoło.

— Co?

Odpowiada mi dopiero po sekundzie. Trochę ochrypłym głosem.

— Właśnie dostarczyłeś mi materiału na setki godzin fantazji.

Krztuszę się ze śmiechu.

— Sabrino, jarasz się na widok naszej córki próbującej nakarmić się z moich piersi?

— Nie, jaram się tym. — Wskazuje gestem na nas.

Wciąż nie rozumiem.

— Oblędny mężczyzna z gołą klatką trzymający w objęciach maleńkie niemowlę — podpowiada. — To najseksowniejszy obrazek, jaki widziałam w życiu.

Niech mnie, jeśli mój kutas nie sztywnieje w szortach.

— Taak? — mówię wolno.

— O taak. — Wzdycha. — Niech cię diabli, Tuck. W życiu nie będę w stanie skupić się teraz na umowach.

— Włożę koszulkę — proponuję wspaniałomyślnie.

— Lepiej tak. — Sabrina odkłada torbę Jamie, ale nie puszcza listonoszki uwieszanej na drugim ramieniu. Podchodzi do stołu w pokoju gościnnym, kładzie torbę i zaczyna wyjmować książki.

Gwiżdżę pod nosem. Człowieku, w jednej ręce taszczyła tę ciężką torbę Jamie, a w drugiej te wszystkie podręczniki? Ona jest pieprzonym siłaczem Hulk.

— Jak zajęcia dzisiaj?

— Nudy. — Zerka przez ramię. — Mam się uczyć tutaj czy w twoim pokoju?

— Możesz zostać tutaj. — Przesuwam Jamie na drugie ramię, rozkoszując się jej lekkością i policzkiem przyciśniętym do mojego nagiego ramienia. — Myślałem, żeby zabrać księżniczkę na spacer po okolicy.

Sabrina kiwa głową.

— Okej, ale pamiętaj, chroń ją przed słońcem.

Odpowiadam kiwnięciem. Oboje przeczytaliśmy te same książki, więc wiem, że bezpośredni kontakt promieni słonecznych jest groźny dla niemowlaków. Gdy zabieram Jamie, upewniam się, że ma na głowie swój kapelusik i jest bezpiecznie schowana pod budką wózka. Generalnie traktuję ją tak, jakby była wampirkiem.

— Potrzywasz ten cenny ładuneczek, a ja się ubiorę?

Sabrina otwiera ramiona, a ja oddaję w nie Jamie na przechowanie. Moja klatka piersiowa zmienia się w gorącą breję, gdy obserwuję, jak Sabrina pochyla się, by rozsiać drobne pocałunki na policzkach i czole Jamie. W odpowiedzi mała wije się jak robak i macha piąstkami w powietrzu. Jeszcze nie nauczyła się śmiać, przynajmniej nie z użyciem strun głosowych, ale odkryłem, że wijące się ciało oznacza, że dobrze się bawi.

Wpadam do sypialni i narzucam na siebie koszulkę bez rękawów, potem naciągam parę sportowych skarpetek i wpycham portfel i telefon do tylnej kieszeni. Na korytarzu zawiązuję trampki, zanim zabieram Jamie i jej górę bambetli. Gdy tylko jest zapięta w wózku, jadę w kierunku drzwi, a Sabrina macha nam na do widzenia.

— Ucz się pilnie, mamusiu — żartuję.

— Miłego spaceru — odpowiada nieobecny głos. Już coś tam gryzmoli w żółtym notatniku, wzrok skupiła na jednej z książek prawniczych.

Kilka strategicznych ruchów i udaje mi się wepchnąć wózek do ciasnej windy. Parę minut później Jamie i ja wędrujemy sobie wzdłuż chodnika.

Słońce zdecydowało się schować za gęstą, szarą chmurę, zostawiając nam pochmurne niebo, więc podnoszę budkę Jamie kilka centymetrów, by mogła podziwiać krajobraz.

A krajobraz podziwia nie tylko ona. Kolejna rzecz, której nauczyłem się, odkąd mam dziecko. Kobietom zupełnie odbija na widok faceta z dzieckiem.

Za każdym razem, gdy pcham wózek ulicą, dołącza do mnie z tuzin fanek. Laski zatrzymują mnie ni stąd, ni zowąd i zasypują deszczem achów i echów nad Jamie. Prawie zawsze zerkają na moją dłoń, by sprawdzić, czy jest na niej obrączka i jej brak kwitują usatysfakcjonowanym kiwnięciem głowy. Te śmielsze mają zero oporów i od razu pytają, czy mamusia małego aniołka jest wciąż na tapecie.

Zawsze są szczerze rozczarowane, gdy informuję, że owszem, mamusia jest bardzo na tapecie. Potem błyskam uprzejmym uśmiechem, życzę im miłego dnia i maszeruję dalej. Gdy na taki spacer dołączył do mnie Logan, wciąż potrząsał głową w zdumieniu i ubolewał, że żaden z nas nie był wolny, ponieważ Jamie to magnes na laski.

Moi przyjaciele uwielbiają Jamie. Wiem, że chcieliby spotykać się z nią częściej, ale wszyscy mamy za czym ganiać w życiu. Zaczął się sezon hokejowy, więc Garrett ciężko trenuje i jest nieustannie w drodze na wyjazdowe mecze. Logan szkoli się równie mocno w drużynie farmerskiej, a do tego nadal urządza się z Grace w nowym mieszkaniu. A mimo to wszyscy przyjeżdżają, by w każdej wolnej chwili zobaczyć się z Jamie, szczególnie Hannah, która na razie pracuje na pół etatu, a na boku pisze piosenki.

— Hej, spójrz tylko, księżniczko — mówię córce, gdy zatrzymujemy się na przejściu. — To piesio.

Wspomniany piesio próbuje obwąchać wózek, gdy wraz z właścicielką zbliżają się do nas chyłkiem. I kurde, powinienem był trzymać gębę na

kłódkę, ponieważ teraz ściągnąłem uwagę właścicielki psa.

— Co za słodki cukiereczek!

Kuca przy wózku i zaczyna obmacywać Jamie i czuję, jak się najeżam. Czy to normalne? Że obcy ludzie bez przerwy próbują dotknąć twoje dziecko? Jak na mój gust dzieje się to za często.

Kobieta zostawia buziaka na maleńkich paluszkach Jamie i odnotowuję w myślach, by wytrzeć je, jak tylko zniknie nam z oczu. Kurde, polałbym ją z gumowego węża, gdyby nie obawy, że mógłbym wyrządzić jej przy tym krzywdę. Nie chcę tych wszystkich zarazków na moim dziecku.

— Jak ma na imię? — pyta kobieta.

— Jamie. — Gapię się uważnie na światła, pragnąc, by mały zielony ludek wyskoczył, zanim ta laska zacznie flirtować.

— A jak ma na imię tatuś?

Za późno.

— Tucker, ale żona nazywa mnie Tuck.

Moja odpowiedź sprawia, że szybko się zamyka. Normalnie nie jestem tak chamski podczas tych przypadkowych ulicznych spotkań, ale naprawdę nie podoba mi się sposób, w jaki bez pozwolenia dotykała moje dziecko. Pierdolić to.

Gdy tylko światła zmieniają się na zielone, natychmiast pcham wózek do przodu, mruczając pod nosem: „Do widzenia”.

— No nic, przynajmniej piesio był śliczny, prawda, moja droga?

Nie odpowiada, ale to nie ma znaczenia. Przyzwyczailem się do prowadzenia całych konwersacji z dzieckiem. To mnie jakoś uspokaja.

— Widzisz to tam? To huśtawki — informuję, gdy mijamy mały park. — Jak trochę urośniesz, tatuś przyprowadzi cię tutaj i pobuja.

Idę jeszcze dwa bloki dalej, przyspieszając, gdy znajdujemy się w pobliżu sklepu z zabawkami dla dorosłych.

— A tutaj nigdy nie wejdiesz — mówię radośnie. — Ponieważ ty nigdy przenigdy nie będziesz uprawiać seksu, prawda, księżniczko?

Słyszę głośnie parsknięcie.

Odwracam się przez ramię i widzę starszą parę idącą za mną. Trochę przypominają mi Hirama i Doris. Kurde, ciekawe, co u nich słyhać. Szkoda, że nie wzięliśmy od nich numerów po tamtej zajebistej randce z nagim malowaniem.

— Powodzenia — woła do mnie mężczyzna, uśmiechając się krzywo.

— Cztery córki — potwierdza kobieta. — Ten oto biedny Freddie nie zdołał przekonać ani jednej z nich do zachowania dziewictwa.

Szczerzę się.

— Najwidoczniej nie postarał się wystarczająco. Rozważał pan zakup strzelby?

Para zrywa boki ze śmiechu.

Jamie i ja spacerujemy sobie jeszcze kilka minut, aż w końcu dochodzę do ślepego zaułka w znajomym rogu ulicy. Nie zaglądałem do Paddy's Dive od tamtego wieczoru, gdy Sabrina zaczęła rodzić, ale jakoś trafiłem tu ponownie.

A w oknie wisi napis NA SPRZEDAŻ.

¹ Theodor Seuss Geisel — amerykański autor książek dla dzieci, znany jako Dr Seuss.

Rozdział 36

Sabrina

— Przepraszam za spóźnienie — kajam się, opadając na krzesło w Della's.

Carin i Hope już piją swoje drinki i sądząc po zagęszczeniu na stole, jestem później, niż myślałam. Albo one przyszły wcześniej. Odkąd urodziła się Jamie, ciężko mi wyrobić się gdziekolwiek na czas.

— Gdzie dziecko? — pyta Carin, kwitując moje opóźnienie machnięciem dłoni.

— Z Naną. — Chwytam szybko za kartę menu, szukając najbardziej soczystego mięsnego dania, jakie można tam znaleźć.

Obie dziewczyny wydymają wargi.

— Chciałyśmy zobaczyć dziecko! — krzyczy Hope.

— Dokładnie. Chodziło o to, żebyś przyprowadziła dziecko, byśmy mogły z nią pogaworzyć. Prawie skończyłam buciki. — Carin wyciąga płataninę wełny, która w niczym nie przypomina buta czy choćby skarpety.

— Co to jest? — Odkładam kartę, żeby lepiej się przyjrzeć kołtunowi w jej dłoniach. To wełniany odpowiednik przerażającego misia Logana.

— Skarpetka. Za duża czy za mała? — Rozciąga to coś i z płataniny wyłania się coś na kształt statku.

— Jest... to na pewno skarpetka?

Hope chichocze schowana za kartą menu.

Carin patrzy na mnie krzywo.

— Próbowowałaś kiedyś robić na drutach? Strasznie to trudne, dziękuję ci bardzo. — Pociągając nosem, wpycha wełniany kołtun do torebki.

— A poza drutami jak tam na MIT?

Hope się rozjaśnia.

— Carin odhaczyła brodacza z listy do zaliczenia przed śmiercią.

— Fajnie. — Pokazuję jej kciuk. — Opowiadaj.

— E tam, nie ma o czym gadać. — Carin podnosi kartę, by się za nią schować.

— Pan Brodacz jest asystentem dydaktycznym — tłumaczy Hope. — Ona myśli, że się wkurzysz.

— Nie jest moim asystentem — sprzeciwia się Carin.

— Okej, świetnie — ustępuje Hope. — Jest asystentem na innych zajęciach, które Carin najprawdopodobniej będzie miała w przyszłym roku.

— E tam. Spoko. — Podnoszę ponownie kartę i studiuję menu.

Jestem rozdarta między burgerem z pleśniowym serem a kanapką ze stekiem. Czy w ogóle wolno mi jeść pleśniowy ser? Pochylam kartę, by zapytać Hope, a okazuje się, że moje dwie przyjaciółki gapią się na mnie.

— Co? — moje oczy opadają na klatkę piersiową w panice. — Przeciekam? — Nie, bluzka jest sucha, dzięki Bogu. Te dwie silikonowe zatyczki super się sprawdzają.

— Byłyśmy pewne na sto procent, że się o to wściekniesz przez tamtą historię z Deanem — tłumaczy Carin.

— Dean i ja pogodziliśmy się. — Jeśli moje zalenie się łzami i Dean dziwacznie poklepujący mnie po plecach liczy się jako pogodzenie. W każdym razie według mnie. Z tego, co wiem, nie pisnął Tuckerowi ani słowa, że jestem w nim szaleńczo zakochana.

— To dobrze.

Pojawia się kelnerka i zamawiamy. Hope bierze sałatkę, Carin zupę i sałatkę, a ja stek z serem i frytkami, bo umieram z głodu.

— Jak tam medycyna? — pytam Hope.

— W porządku. Mam potąd nauki.

— Dokładnie to samo.

— Medycyna wysysa ze mnie całą energię do tego stopnia, że nie mam czasu dla D'Andre. On w kółko opowiada o jeżdżeniu na nartach od świtu do nocy podczas przerwy świątecznej, a ja tymczasem marzę jedynie, by położyć się przed kominkiem i spać. Nie mam pojęcia, jak ty dajesz radę.

— Nie dałabym rady bez Tuckera. Zawsze jest przy mnie. To znaczy przez większość czasu — poprawiam się. Ponieważ ostatnio jest naprawdę zajęty i zaczynam po cichu panikować.

Hope marszczy czoło.

— O nie. Jakież problemy w raju?

— Nie, tak naprawdę nie. Właściwie robi więcej, niż mogłabym sobie życzyć. Czuję się winna.

— Nie mogę słuchać tego pieprzenia — mówi Carin. — To też i jego dziecko. Miga się od roboty? Bo kopnę go w dupę, że doleci stąd do portu, jeśli trzeba.

— Nie, w żadnym razie. To... — Milknę, wahając się, czy wyartykułować głośno obawy, jakby wypowiedzenie tych słów miało sprawić, że niby-prawda wyjdzie na jaw. Ale to moje najbliższe przyjaciółki, więc ulegam pokusie. — Myślę, że kogoś znalazł.

— Nie. — Hope zaprzecza natychmiast. — Kiedy miałby na to czas? Mówiłaś, że przychodzi prawie codziennie i spotykacie się też w weekendy.

— No tak. Ale przedtem był z nami cały czas, a przez kilka ostatnich tygodni jest bardzo zajęty.

— Może muszą zdążyć z budowami, zanim spadnie śnieg — sugeruje Carin. — Więc każdy dostaje podwójne zmiany czy coś.

— Może. — Tłumię westchnienie. — Ale nie chodzi tylko o to, że rzadziej z nami bywa. Jest nieobecny i cichy, bardziej niż zazwyczaj. Czuję, że chce

mi coś powiedzieć, ale boi się, jak to przyjmę.

— Po prostu ujawnij się i powiedz mu, że go kochasz — rozkazuje Hope, potrząsając widelcem w moją stronę. — Właściwie jestem zszokowana, że nie wymknęło ci się to wcześniej. Choćby w esemesie czy gdzieś.

— Muszę się bardzo pilnować — przyznaję. — Któregoś dnia sięgał po szklankę wody i jego koszula podciągnęła się do góry, a ja omal nie padłam na kolana z żądy. A kiedy jest z Jamie? To było dopiero niemożliwe. Siedział na kanapie któregoś wieczora, karmił ją. I ja już zaczęłam mówić: „Kocham cię” i zanim się ogarnęłam, zdążyłam chlapanąć pierwsze słowo, więc skończyłam: „Kocham te skarpetki”.

— Kocham te skarpetki? — krzyczy Carin.

— Wiem. Paranoja.

— Dlaczego po prostu mu nie powiesz?

— Ponieważ jeśli mu powiem, to on będzie się czuł przywiązany do mnie. Jest taki honorowy i przyzwoity, że nawet nie spojrzy na inną kobietę.

— Po prostu zapytaj go, czy spotyka się z kimś innym. Jeśli powie, że nie, powiedz mu, że chcesz go tylko dla siebie — radzi Carin. — Jeśli powie „tak”, przynajmniej będziesz wiedziała. Lepiej wiedzieć, niż odchodzić od zmysłów z niepewności.

— Pewność jest najlepsza — zgadza się Hope.

Uśmiecham się do nich przez zaciśnięte usta i zmieniam temat, wpytując Carin o tego seksownego brodatego asystenta, którego ostatnio posuwa. Z przyjemnością podejmuje wątek, chociaż to całe gadanie o seksie przypomina mi, jak mało z tego mam ostatnimi czasy. Ciężko było znaleźć wygodną pozycję przed porodem, a teraz, kiedy sześciotygodniowy zakaz dobiegł końca, nie jestem pewna, czy chcę, żeby Tucker oglądał moje ciało. Jest przyzwyczajony do seksownych dziewczyn z college’u z zerową tkanką tłuszczową i mięśniami brzucha ze stali. Ja bardziej przypominam w tym

miejscu galaretkę.

Przybywają w końcu nasze dania. Od razu zabieram się do jedzenia pod pretekstem, że umieram z głodu, ale generalnie chowam się przed przyjaciółkami, ponieważ nie zgadzam się z ich radą. Załamałabym się, gdybym dowiedziała się, że Tucker kocha inną.

Już raczej wolę przeżyć całe życie w zawieszeniu niż ze świadomością, że zakochał się w innej kobiecie.

*

Po powrocie do domu zastaję Nanę i Jamie śpiące razem, co pozwala mi na kilka godzin nauki przed kolacją. Ray rozwalony na sofie wpatruje się w ryczący telewizor, co oznacza, że nie mogę czytać w kuchni. Coraz trudniej jest mi zamykać się w zagraconym pokoju z łóżeczkiem, podwójnym łóżkiem i tysiącem dziecięcych rzeczy, ale nie mam większego wyboru. Wtykam zatyczki do uszu i daję radę przebrnąć przez całą kryminalistykę i delikty, zanim dociera do mnie ciche zawrodożenie głodnego dziecka.

— Jesteś w domu, Sabrino? — woła Nana przez drzwi.

Zrywam się na nogi.

— Tak. Wróciłam kilka godzin temu. Spałyście słodko. — Wyciągam rękę i odbieram Jamie z jej ramion. Moja laleczka kwili i chwytą mnie ustami przez koszulę. — Lepiej ją nakarmię.

— Tak jest. Pobiegnę do sklepu po kilka rzeczy. Prawie nie mamy mleka i sera.

— Dobrze. — Zaczynam zamykać drzwi, ale Nana mnie zatrzymuje.

— Powinnaś się stąd wynieść — mówi, zerkając na ciasnotę przez moje ramię. — Zwariujesz tu.

— Jest okej — odpowiadam, mimo że ma rację. Pokój z każdym dniem

wydaje się mniejszy.

Wzrusza ramionami, ale język jej ciała mówi, że to mój pogrzeb.

Zanim zamykam drzwi, słyszę, jak wydziera się do Raya.

— Ten telewizor jest za głośno, Ray. Szkodzi dziecku na słuch.

Ray odburkuje coś niezrozumiałego. Jestem pewna, że to wariacja czegoś w stylu „Pierdolić dziecko”.

Jeszcze tylko trzy lata. Trzy lata i wyląduję na stanowisku w BigLaw, a wtedy wyniosę się stąd jak najdalej.

Nana i Ray wymieniają kilka dosadnych słów — jej głos jest ostry, a jego wściekły. Energia w tym domu jest cholernie negatywna.

Przytulam Jamie mocniej.

— Wkrótce się stąd wydostaniemy.

Ona płacze, żaloszny, głodny dźwięk. Rozpinam koszulę i podciągam ją na bok, kołysząc ją przy tym w ramionach. Ale Jamie nie przestaje płakać.

Chwilę później Ray zaczyna walić w moje drzwi.

— Zamknij ryj temu pieprzonemu dzieciakowi. Oglądam mecz.

Zamykam oczy i modlę się o cierpliwość. Jamie wykrzykuje swoją złość i gdy spuszczam wzrok, zauważam, że silikonowy płatek przeszkadza jej w jedzeniu. Zrywam go i rzucam na komodę.

Ray znów wali w drzwi.

— Mówię do ciebie, Rina!

Szarpię za drzwi z Jamie uczeponą mojej piersi i stoję twarzą w twarz z dupkiem.

— To dziecko, nie maszyna. Nie mogę jej tak po prostu włączać i wyłączać, rozumiesz? I nie sprawia mi przyjemności słuchanie, jak płacze, ty dupku. Robię wszystko, co mogę, żeby była szczęśliwa.

— Nie wygląda mi na to, żeby wychodziło ci cokolwiek poza byciem zabawką do ssania — burczy. Omiata mnie gorący piwny oddech.

Czuję piekącą w żołądku złość. Pcham z impetem drzwi, ale one odbijają się tylko, bo Ray przytrzymuje je ręką.

— Wynoś się — rozkazuję. Nie chcę tego mężczyzny w pobliżu mojej córki i mam to gdzieś, jeśli będę musiała kopnąć go w jaja, by to do niego dotarło.

Ray nie jest dużo wyższy ode mnie i jest chudy jak patyk, ale udaje mu się otworzyć kopniakiem drzwi i wparować do środka.

Cofam się, moje nogi dotykają materaca.

— Wynoś się — powtarzam.

Moje serce zaczyna bić jak szalone. Ray nigdy nie był agresywny, nigdy nie podniósł na mnie ręki, ale w tym momencie spojrzenie w jego oczach sprawia, że każdy włos na mojej głowie staje dęba. Przyciskam Jamie bliżej do siebie. Ona skomli i zmuszam się, by poluzować zacisk.

— Twoje cyce są ogromne. — Mlaska językiem między ustami.

Obciążam część koszuli. Ale z drugiej strony mam wciąż przyssaną do siebie Jamie.

— Jak smakuje mleko?

Dreszcze przebiegają mi wzdłuż kręgosłupa. Moje mleko jest słodkie, ale na języku czuję metalowy posmak strachu.

— Natychmiast wyjdź z mojego pokoju — warczę.

— Masz dwa cycki i tylko jedną buzię do ssania. — Skrada się do mnie wolno.

Cofam się, chroniąc córkę w objęciach.

— Trzymaj się od nas z daleka, Ray. Mówię serio. Zrób krok do przodu, a przysięgam, że wydrapię ci oczy.

— Dlaczego nie dasz mi spróbować? Wyobrażałem sobie, jaki musi być z ciebie soczysty kawałek. Miałem twoją mamuszkę i babcię. Dlaczego nie i najmłodszą? To będzie *hat trick* w wykonaniu Raya Donaghy'ego.

Sięgam za siebie w poszukiwaniu broni, ale ta potrzeba nigdy nie dochodzi do skutku. Zamiast tego w drzwiach rozlega się ryk, a potem torpeda ponad metr osiemdziesiąt odpala prosto na Raya i obraca nim dookoła.

Tucker posyła pięść w twarz Raya, zanim ten skurczybyk w ogóle uświadamia sobie, że w pokoju jest inna osoba.

Chronię się w kącie i podciągam koc wysoko, by Jamie nie musiała widzieć, co się rozgrywa w pokoju. Tucker rzuca Raya o ścianę, podnosząc mojego cherlawego ojczyrna jedną silną ręką za gardło.

— Ty chory pojebie. Masz szczęście, że moje dziecko i kobieta są teraz w tym pokoju, bo inaczej to byłby twój zaszany koniec.

Jego uścisk zacieśnia się i choć Ray zasłużył sobie na pętlę na szyi, nie chcę, by Jamie musiała odwiedzać tatusia w więzieniu stanowym Massachusetts przez kolejne dwadzieścia lat.

— Naprawdę powinieneś zaczekać z zabiciem Raya, aż skończę prawo — mówię Tuckerowi, osłabła z ulgi.

Zaciska dłoń na gardle Raya jeszcze raz, a potem pozwala, by to ścierwo spadło na podłogę.

— Chodź — szczeka Tucker, obracając się do mnie. Jego źrenice są rozszerzone, a nozdrza falują, gdy walczy, by się opanować. — Wynosimy się stąd.

Nie oponuję.

*

— Jak długo to trwa? — chce wiedzieć Tucker, gdy zjeżdżamy z krawężnika. Odwracam się od gaworzącej, szczęśliwej twarzyczki Jamie i spotykam jego ponurą minę.

— Ray jako dupek? Od zawsze. Ray przystawiający się do mnie, gdy

karmiłam Jamie? Po raz pierwszy.

Chociaż musiało coś być na rzeczy, bo w przeciwnym razie nie czułabym przymusu chowania się w mojej sypialni przez cały czas.

— Nie możesz tam zostać — mówi stanowczo Tucker.

Przeciągam drżącą dłonią po twarzy.

— Nie mam wyboru. Dzieci kosztują, a moje konto aż piszczy. Hope podarowała mi pieluchowe ciasto, które składało się z jakichś dwustu pięćdziesięciu pieluch — śmiałam się, kiedy je policzyłam. No cóż, zużyłam wszystko w ciągu pierwszych trzech tygodni. A ty mieszkasz z Brodym, który udaje, że jego sypialnia to test kwalifikacyjny do Cirque de Soleil, wraz z pełną ścieżką dźwiękową.

— Wiem. — Tucker zagryza wargę. — Nie jestem gotowy, żeby to zrobić jak należy, ponieważ chciałem zaczekać na odpowiedni moment, ale będę musiał.

Nerwowo gryzę się w policzek.

— Odpowiedni moment na co?

Zrywa ze mną?

O Boże.

Zwalczam potrzebę zwymiotowania w czystym samochodzie Trucka.

— Na to. — Zatrzymuje pikapa przed jakimś barem. Budynek to klasyczny bostończyk z fasadą z czerwonej cegły, zieloną markizą i patio wielkości znaczka pocztowego.

— Nie mogę pić, karmiąc piersią — przypominam mu.

— Taak, mam to na uwadze — mówi, a potem wyslizguje się z wozu.

Wypina nosidełko Jamie, a ja wysiadam i spotykamy się na chodniku.

— Nie możemy wnieść dziecka do baru.

— Nie wnosimy. — Kładzie dłoń na moich lędźwiach i kieruje mnie na bok małego budynku. Są tam schody prowadzące na drugie piętro. — Do

przodu — mówi, gdy się waham.

— Wynająłeś mieszkanie? — próbuję wyprzeć zmartwienie z głosu. To jego pieniądze i może z nimi robić, co chce, ale wynajmowanie w pojedynkę mieszkania z powodu moich problemów w domu wydaje się wyrzucaniem pieniędzy w błoto. — Ray wiele mówi, ale mało robi.

— Taak, pewnie. Zaatakowanie ciebie w sypialni faktycznie było częścią gadaniną.

— Był pijany. — Dlaczego w ogóle wymyślam wymówki dla tego psychola?

Tucker ponownie mnie popycha.

— Wtaszczysz na górę swój tyłek, czy mam zanieść was obie?

— Idę — poddaję się. Gałka w drzwiach przekręca się w mojej dłoni i zauważam świeżo zainstalowany elektroniczny monitor.

— Działa przez NFC — informuje mnie Tuck.

— Mów do mnie normalnym językiem.

— Otwiera się, kiedy sparowany sprzęt jest w pobliżu. Dzięki temu nawet z pełnymi rękoma możesz wejść do środka.

— Super — odpowiadam słabym głosem. A to dopiero pierwsza z wielu niespodzianek.

Na górze znajduje się ogromne mieszkanie z dwoma sypialniami. Kuchnia jest mała i wyposażona w stary sprzęt, ale wszędzie są okna. W zakurzonej pokoju widnieje wyeksponowana cegła.

— Zrzucam tynk. — Tucker pokazuje na ściany. — Nie dotykałem sypialni, bo pomyślałem, że będziesz chciała mieć coś do powiedzenia, ale tutaj wszystkogniło. Chodź.

Tym razem to on prowadzi. Na końcu korytarza są dwie sypialnie. Popycha pierwsze drzwi, stawia nosidełko, a potem klęka, by wyciągnąć śpiącą Jamie. Mała zawsze zasypia w samochodzie.

Podchodzę ostrożnie do drzwi, jakby za nimi czaił się seryjny morderca. A jedyne, co znajduję, to pięknie wykończony pokój dziecięcy.

— O Boże — mówię jednym tchem.

Ściany są pomalowane na jasny róż. Białe zasłony zwisają z dużych okien. Łóżeczko w kolorze złamanej bieli stoi przy ścianie, a przy drugiej komoda i przewijak. Pomiędzy nimi tapicerowany fotel, dokładnie ten, nad którym wzdychałam jednego dnia i którego zdjęcie wstawiłam na moim koncie na Instagramie.

Rzucam Tuckerowi zdziwione spojrzenie, ale on jest za bardzo zajęty uwielbianiem Jamie. Boże, ten facet jest zbyt wspaniały, by wyrazić to słowami. Ma bicepsy większe od głowy, ale z Jamie obchodzi się tak delikatnie.

To cały Tucker. Silny, opanowany, który potrafi dotykać tak, by stopić serca swoich dam. Wiem, że moje się topi.

Odrywam oczy od jego pochylonej głowy, tak by nie rzucić się na jego biedne, niczego niepodejrzewające ciało. Po mojej prawej stronie, na końcu pokoju, są lekko otwarte drzwi. Idę tam, by sprawdzić, i znajduję przyległą łazienkę. To za dużo.

— O co chodzi? Wygrałeś na loterii?

Uśmiecha się do mnie krzywo.

— Nie. Kupiłem bar. A to było w pakiecie.

— To? — macham ręką dookoła pokoju. — Różowy pokój, kołyska, elektroniczny zamek?

— Okej, mieszkanie przynależy do budynku. Nie skończyłem remontu. Zejdzie mi jeszcze trochę. Miałem nadzieję zrobić ci niespodziankę w listopadzie z okazji otwarcia baru.

Czuję nagle, że mi słabo, więc opieram się o ścianę.

— Nie wiem, co powiedzieć.

Przechodzi przez pokój i kładzie dłoń pod moją brodą.

— Powiedz, że to dom. Dla ciebie, Jamie i mnie.

Zamykam oczy, by nie mógł zobaczyć kłębiących się w nich emocji — ulgi, wdzięczności, nieprzeparanej miłości. Nie zasługuję na niego. Ani trochę, ale z jakiegoś powodu on chce mnie w swoim życiu.

Przykładam twarz do jego dłoni i przyciskam usta do ciepłej skóry.

— Uwielbiam to miejsce. Jest niesamowite. Ty jesteś niesamowity. — I ponieważ nie mogę się powstrzymać, podnoszę się na palcach i zarzucam ramiona na jego szyję. — Dziękuję ci.

Jedno muskularne ramię przyciąga mnie do siebie, a drugie trzyma nasze dziecko.

— Wszystko się ułoży — mruczy. — Zobaczysz.

Mam nadzieję. Boże, mam wielką nadzieję.

Rozdział 37

Tucker

Listopad

— Ja pierdolę! Ale zarąbiście.

Czerwienię się z dumy na okrzyk Logana. Tygodnie ciężkiej pracy doprowadziły do tego momentu, ale moje katorżnicze wysiłki były absolutnie warte zachodu, gdy widzę reakcje przyjaciół.

Jestem kurewsko wzruszony, że wszyscy pojawili się tu dziś wieczorem dla mnie. Dean i Allie przyjechali pociągiem z Nowego Jorku, a trener Jensen faktycznie odwołał wieczorny trening, tak by kumple z byłej drużyny Briar mogli się pojawić na moim wielkim otwarciu.

Ale najważniejszymi gośćmi są moje dwie dziewczyny. Jamie siedzi w nosidełku uczepona moich piersi. Ma na sobie uszyty ręcznie śpioszek, na którym widnieje wyszyty złotymi literami napis „Bar Tuckera”.

Sabrina stoi obok, ubrana mniej szycownie, w wytarte dzinsy i obcisłą zieloną bluzkę. Jej pełne piersi prawie wyskakują z głębokiego dekoltu w szpic i za każdym razem, gdy patrzę w jej stronę, mój fiut zmienia się w granit. Niemal życzyłbym sobie, żeby wciąż narzekała na niezrzucone jeszcze kilogramy po ciąży i nie pozwalała mi się dotknąć, bo mimo że nie wróciła do kształtów przed ciążą, jestem nagrzany przez dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu.

— Idę do kibla — mówi Logan. — Zaraz wracam.

Znika w tłumie, a Garrett omiata wzrokiem wypełniony bar.

— Nie mogę się nadziwić, jak świetnie to wszystko wygląda po remoncie — zachwyca się.

Rozglądam się i próbuję zobaczyć wewnątrz jego oczyma. Całkowicie odnowiłem drewnianą boazerię i wyeksponowałem belki, następnie ruszyłem na polowanie sportowych pamiątek, które mógłbym powiesić na lśniących ścianach. Formalnie rzecz biorąc, to nie jest sportowy bar, ale hej, jestem hokeistą. W mojej knajpie musi być miejsce na sportowe trofea.

Przyjaciele na wysokich stanowiskach są bardzo pomocni. Garrett załatwił mi podpisane koszulki od kilku kumpli z drużyny — wielu z nich jest tu dzisiaj. Jedna z lasek przy stole bilardowym nie traciła czasu i wrzuciła tę informację na portale społecznościowe. W godzinę od otwarcia drzwi miałem kolejkę ludzi przed barem, mających nadzieję na zdobycie autografu lub pogawędkę z zawodowymi hokeistami.

Groupies, o dziwo, nie rzucają się w oczy i pozwalają Garrettowi i jego kumplom z drużyny pić w spokoju bez nachalnego narzucania się. Doceniam to, ponieważ chcę tu stworzyć klimat „baru z sąsiedztwa”. Miejsce, do którego ludzie mogą wpaść po pracy (albo hokejowym treningu) i po prostu się wyluzować. Gdzie nie jest zbyt głośno i nie ma awantur.

Póki co jest dokładnie tak, jak sobie wymarzyłem.

— Dzięki za pomoc, stary — mówię Garrettowi, który kwituje moją wdzięczność wzruszeniem ramion. Ale w pełni na nią zasługuje. Poświęcił wiele wolnych dni, przychodził tutaj, pomagał mi szlifować podłogę i przepychać rury.

— I tobie też — zwracam się do Fitzy’ego, który przyjeżdżał do Bostonu w każdy weekend po kupnie baru, spał na podłodze w pokoju Jamie i wstawał o nieludzkich godzinach, by mi pomagać.

Do rzeczy, których nie potrafiłem zrobić z chłopakami, wynajmowałem ludzi. Zatrudniłem też obsługę, ponieważ nie mam ochoty stać za barem,

chyba że muszę; bardziej interesuje mnie zarządzanie tym interesem. Samira i Zeke, barmani, którzy pracują dzisiaj, są kapitalni. Już sprzeczą się ze sobą jak stare dobre małżeństwo, a pracują tu dopiero pierwszy wieczór.

— Fajnie było — burczy Fitzy, zanim bierze łyk piwa Coors.

— Brachu — podchodzi Dean i klepie Fitzy'ego po ramieniu. — Ale daliście czadu w zeszły weekend. Rozwaliliście Yale.

Fitzy marszczy się.

— Widziałeś to w Nowym Jorku? Nie wiedziałem, że mecz był w telewizji.

— Nie, ktoś tweetował na żywo. Śledziłem relację.

Ja tak samo zresztą. Chciałem pojechać do Briar, by zobaczyć mecz na żywo, ale Jamie dała nam taki wycisk poprzedniej nocy, że padliśmy z Sabriną na twarz. Ale drużyna gra zajebiście w tym sezonie. Przesrane zeszłoroczne występy poszły w kompletne zapomnienie, teraz gdy Briar wygrało pięć meczów pod rząd.

— Hunter jebnął piękną lutę w trzeciej — mówi Hollis ze swojego stołka. — Prawie się spuściłem w gacie.

— Żadnych prostackich tekstów przy dziecku — reaguję natychmiast.

— Stary, przyprowadziłeś dzieciaka do baru. Ludzie z kamiennych domów nie powinni tłuc szkła. — Gdy wszyscy zaczynają chichotać, robi zmieszaną minę. — Co?

— To przysłowie brzmi inaczej — podpowiada Hannah.

— Wcale nie.

— Wcale tak.

Hollis macha ręką.

— Co ty tam wiesz, Jonie Snow.

Hannah wzdycha i odchodzi do boksu, w którym siedzą Allie, Hope, Carin i Grace.

— Idziesz? — pyta Sabrinę przez ramię.

— Tak. — Moja kobieta patrzy na mnie. — Mam ją zabrać?

— W żadnym wypadku — odpowiada natychmiast Dean. — Nie pozwolimy na to! Prawie nie spędza czasu ze swoimi wujkami! — Wyjmuje Jamie z nosidełka i sadowi ją na swojej klatce piersiowej. — Daj wujkowi Deanowi buziaka, księżniczko.

Sabrina przewraca oczyma, gdy Dean przyciska usta naszej córki do swojego policzka, a następnie wydaje z siebie całusne dźwięki, jakby ona faktycznie go całowała.

— Będę tam z normalnymi ludźmi — obwieszcza Sabrina oschle, a potem kieruje się w stronę stolika dziewczyn.

Przyjaciele podają sobie Jamie z rąk do rąk, aż w końcu mała ląduje w ramionach Fitzy'ego. Ponieważ ma na sobie T-shirt, jego tatuaże są w pełni wyeksponowane i z jakiegoś powodu fascynują dziecko. Za każdym razem, gdy Fitzy ją trzyma, mała gapi się szeroko otwartymi oczami na tatuaże, a jej różowe usteczka układają się w „O”.

— Jezu, ale ona jest cudna — mówi Garrett, potrząsając głową.

Logan wraca z łazienki w samą porę, by usłyszeć uwagę Garretta.

— Prawda? Przysięgam, kurewsko się martwiłem, że mu się przytrafi szkaradne dziecko i będę musiał udawać. Dzień, zanim poznałem Jamie, przez godzinę ćwiczyłem przed lustrem „Ooooooch! Jaki śliczny dzidziuś!”.

Pokazuję mu środkowy palec.

— Serio, zapytaj Grace. I wyluzuj, człowieku. Nie musiałem kłamać, co? Ona jest zajebiście piękna.

— Magiczna sperma Tucka — zgadza się Dean.

Hollis parska śmiechem.

— Nie, Tuck przygruchał sobie cholernie seksowną mamuszkę. Geny, brachu.

— Skoro mowa o mamusce... — Dean wygina brwi, patrząc na mnie.

Marszczę się.

— Co z nią?

— Jesteście oficjalnie razem czy co?

— Mieszkamy razem — to wszystko, co przychodzi mi do głowy.

— Okej. Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Wędruję spojrzeniem na drugą stronę sali. Sabrina zanosí się histerycznym śmiechem z czegoś, co powiedziała Hope. Z przepastnymi ciemnymi oczyma i nieskazitelnie piękną twarzą jest bez dwóch zdań najobłędniejszą kobietą w tym barze. Kurewsko jej pragnę. I tak, kocham ją. Tak bardzo, że to aż boli.

Ale niech mnie, jeśli powtórzyłbym to jeszcze raz po tym, jak totalnie mnie olała po urodzeniu Jamie.

— Jesteśmy razem — mówię w końcu. — Czy to coś poważnego? — wzruszam ramionami. — Chciałbym. Ale to ona dyktuje tempo.

Dean robi zakłopotaną minę, ale nie odzywa się więcej w tym temacie. Zamiast tego zmienia go kompletnie i szczerząc się, odwraca się do Fitzy'ego.

— Hej, wciąż zapominam do ciebie napisać, ale powinienem cię przed czymś ostrzec.

— Ostrzec przed czym?

— Pamiętasz Summer¹?

— Które lato?

— Summer. Moją siostrę Summer.

Skrywam uśmiech, gdy widzę jak Fitzy mruży oczy. To żadna tajemnica, że zeszłoroczna wizyta Summer Di Laurentis go spłoszyła. Nie byłem świadkiem tej sytuacji, ale ponoć niezwykle bezpośrednia siostra Deana dosłownie rzuciła się na tego wielkiego faceta.

— Co z nią?

— Przenosi się do Briar od przyszłego semestru.

Twarz Fitzy'ego robi się tak blada jak ulewajka Jamie. Która zresztą gromadzi się na rękawku jego T-shirta. Jeszcze nie zauważył i mam nadzieję, że ktoś mnie uprzedzi, zanim ja zwrócę mu na to uwagę.

— Dlaczego? — Słysząc wyraźnie, że mówi przez zaciśnięte zęby.

Dean wzdycha.

— Została oficjalnie wylana z Brown. Albo raczej uprzejmie poproszona o złożenie rezygnacji, jak lubi to parafrazować. Ale tak, mój tata jest przyjacielem szefa przyjęć do Briar, więc poprosił o wyświadczenie przysługi. Summer zaczyna od początku stycznia.

— Wciąż chce zobaczyć fiuta Fitzy'ego? — wyskakuje Hollis.

Właściciel wspomnianego fiuta oddaje mi z powrotem dziecko, potem podnosi butelkę piwa i wypija zawartość duszkiem do dna.

Mój uśmiech wypełza na powierzchnię. Biedaczysko. Laski szaleją za Colinem Fitzgeraldem, ale przez te wszystkie lata naszej przyjaźni zdążyłem się zorientować, że jest niewiarygodnie wybredny, jeśli chodzi o to, z kim się umawia. Myślę, że w głębi serca jest równie staroświecki jak ja.

— Tuck! — Zeke woła zza lady. — Mam krótkie pytanie odnośnie do karty drinków!

Wsadzam Jamie z powrotem do nosidełka i pokazuję przyjacielom gestem, że wracam za minutę. Potem pędzę, by zająć się interesem. Moim interesem.

*

— Hej — mówi Sabrina kilka godzin później, uśmiechając się do mnie, kiedy chwiejnym krokiem wchodzę do naszej sypialni.

Leży na środku łóżka z podręcznikiem na kolanach i ten widok wcale mnie

nie dziwi. Sabrina każdą możliwą chwilę wykorzystuje na naukę, a najlepszy czas to ten, gdy Jamie śpi. Przez większość nocy siedzi z nosem w książkach długo po tym, jak ja już śpię.

Teraz, gdy skończyłem z remontem baru i oficjalnie zacząłem biznes, będę w stanie zająć się Jamie w ciągu dnia, gdy Sabrina pójdzie na zajęcia, a potem zrobimy zamianę — ona będzie dyżurować przy małej, podczas gdy ja będę schodził na dół do pracy. Nasze grafiki nie są najłatwiejsze, ale staramy się, jak możemy. I łatwiej pchać to całe gówno do przodu, odkąd zamieszkała ze mną.

To znaczy jest i łatwiej, i trudniej. Wciąż nie jestem pewien, na czym stoimy. Nie kochaliśmy się od trzech miesięcy, mimo że śpimy w tym samym łóżku. Jedno z nas zazwyczaj ma dyżur w pokoju z Jamie, podczas gdy drugie nadrabia zaległości w spaniu. Nie powiedziała mi, że mnie lubi, nie wspominając już o tym, że mnie kocha. Czasem myślę, że tak, ale innymi razy mam wrażenie, jakbyśmy byli po prostu dwojgiem ludzi, którym przyszło wychowywać razem dziecko.

Ale jedna rzecz, której nauczyłem się o Sabrinie to to, że wywieranie presji kończy się rezultatem odwrotnym do zamierzonego. Rozumiem ją. Przez całe życie była sama. Jej ojciec zmył się jeszcze przed porodem. Matka ją porzuciła. Babcia, choć zarzeka się, że ją kocha, zawsze zachowuje się, jakby wychowując Sabrinę, wyświadczyła jej wielką przysługę.

Sabrina James nie jest przyzwyczajona do tego, że ludzie ją kochają. Czasami zastanawiam się, czy ona w ogóle potrafi odwzajemnić miłość, no ale potem, gdy widzę, w jaki sposób jej twarz łagodnieje od miłości i uwielbienia za każdym razem, gdy spogląda na Jamie, wiem, że jest zdolna do głębokich uczuć.

Chciałbym tylko, żeby żywiła głębokie uczucia również do mnie.

— Dlaczego wyglądasz tak poważnie? — naśmiewa się, odkładając na bok

podręcznik. — Dałeś dziś czadu. Powinieneś się uśmiechać od ucha do ucha.

Rozpinam dzinsy i pozwalam im opaść na podłogę.

— Uśmiecham się od środka. — Następnie rozpinam koszulę w szkocką kratę. — Jestem zbyt padnięty, by ruszać mięśniami twarzy.

— Naprawdę? Cholerna szkoda, bo ja wcale nie jestem zmęczona.

Figlarny ton w jej głosie przywraca moje ciało do życia. O kurwa. Proszę, proszę, powiedzcie mi, że ona mówi to, co myślę, że mówi.

— Jamie śpi jak zabita w drugim pokoju — dodaje, machając powabnie na monitor elektronicznej niani. — Ostatnio daje radę wytrwać całe dwie godziny, zanim zaczyna drzeć się wniebogłosy...

Dwie godziny.

Fiut zrywa się i próbuje przebić się przez materiał bokserek.

Sabrina zauważa odpowiedź mojego ciała. Oblizując usta, sięga za rąbek bluzki i przeciąga ją przez głowę.

— Moja droga — zaczynam chrapliwie.

— Hmm?

— Jeśli to jakiś chory kawał i nie planujesz się ze mną pieprzyć w tym momencie, to musisz mi to powiedzieć. Mój kutas nie będzie w stanie poradzić sobie z rozczarowaniem.

Wybuchu śmiechem, a potem przykłada dłoń do ust, żeby stłumić dźwięk. Na szczęście elektroniczna niania siedzi cicho.

— Nie żartuję — zapewnia mnie. Potem rozpiną stanik i... ja pierdolę, jej cycki są wspaniałe. — Cały wieczór marzyłam, żeby na ciebie wskoczyć.

Skradam się do niej jak jakiś drapieżnik.

— Taak?

— Mmm-hmmm. Myślałam o tym przez cały dzień. A dziś wieczorem myślenie przerodziło się w obsesję. Nie masz pojęcia, jaki jesteś seksowny, kiedy wydajesz polecenia swoim pracownikom. — Już zdejmuję legginsy

i majtki.

Wstrzymuję oddech, gdy moje oczy zatrzymują się na jej cipce. Jest kompletnie ogolona. O tak, to nie jest spontaniczny zryw. Przygotowała się bardzo starannie.

Jestem na niej, zanim zdąży mrugnąć okiem, miażdżę ustami jej usta w pocałunku, który pozbawia nas tchu. Ale mimo że uwielbiam jej usta, to nie do nich chcę się dobrać w tej chwili.

Trzy miesiące. Minęły trzy cholerne miesiące tortur, odkąd miałem język w raju. Odrywam usta i ślizgam się w dół po łóżku, aż ląduję twarzą na jej cipce. Bardzo mokrej, bardzo cudownej cipce.

— Otwieraj się, kochanie. Nie ucztowałem od bardzo długiego czasu i jestem kurewsko głodny.

Dłonie Sabriny wędrują w dół i rozchylają jej wargi. Nurkuję i przeciągam język w przód i w tył, delektując się jej smakiem. Obolały kutas pulsuje z żądzą. Boże, ale za tym tęskniłem. Tęskniłem za nią.

— Tucker, proszę — błaga.

Kutas stwardniał tak bardzo, że może pęknąć na pół, ale mam to gdzieś, ponieważ zagrzebałem twarz między nogami mojej kobiety. Jej pięty wbijają się w moje ramiona, poganiają mnie. Sabrina wije się i wydaje najbardziej seksowne dźwięki.

Dalej kochanie. Dojź dla mnie.

— Tak, ach, tak. Dokładnie tutaj. — Krzyczy, a potem znów zasłania dłonią usta.

Oboje zastygamy w bezruchu, czekając na pisk z pokoju obok. Kiedy nic się nie dzieje, oddycham z ulgą, sięgam po poduszkę i rzucam ją w jej stronę.

Uśmiecham się diabelsko.

— Mimo że twoje seksowne jęki doprowadzają mnie do szaleństwa, najlepiej, jak wykrzyczysz się w poduszkę.

Odchyła głowę do tyłu, zarzuca poduszkę na twarz i pokazuje mi kciuk w górę. Śmiejąc się, powracam do cudownego zajęcia, ale jak dotykam ją ustami, mój chichot szybko gaśnie.

Z każdym kęsem robię się bardziej wygłodniały. Jej uda zacieśniają się pod moimi dłońmi, a cipka wibruje pod językiem, sygnalizując, że jest bliska orgazmu. Ssę mocniej. Liżę szybciej. Gryzę i całuję i wylizuję ją aż do chwili, gdy krzyczy w poduszkę i dochodzi na mojej twarzy.

Ale jest, kurwa, cudownie.

Siadam, wycieram usta ręką.

— Prezerwatywa? — pytam.

Odsuwa poduszkę.

— Biorę tabletki. Dostałam receptę na ostatniej wizycie.

Chwytam fiuta i pocieram koniuszkiem mokrą szparkę. Sabrina przyspiesza oddech, gdy szeroka główka dociera do wejścia. Minęło dużo czasu, odkąd siedziałem w niej w środku i mimo że wypchnęła z waginy kulę do kręgli, jest wciąż ciasna jak cholera. Kobiece ciało to jakaś magia.

Wsuwam się i nie mogę powstrzymać jęków. Cholernie mi dobrze. Zanurzam się w pełni i nieruchomieję. Czuję, jak jej wewnętrzne mięśnie pulsują dookoła mnie.

— Kurwa, szkoda, że się nie wytrzepałem przed otwarciem baru — zgrzytam zębami. — Odpalę za mniej niż dziesięć sekund.

— Proszę, nie. Tak mi dobrze. — Jej ton jest lekko zdziwiony.

— A spodziewałaś się czegoś innego? — Podciągam jej nogi na ramiona, bym mógł wwiercać się głębiej.

— Urodziłam dziecko.

— Twoje ciało jest idealne. — Całuję śliczną kostkę. — Odrobinę bardziej idealne i byłoby po mnie. Wciąż jesteś zajebiście ciasna i mokra, jak w raj.

Chichocze.

— W raju jest mokro?

Poruszam biodrami i oboje jęczymy.

— Mój raj jest mokry, seksowny i należy do skarbu zwanego Sabriną.

Uśmiecha się i zaciska na kutasie.

— Przestań. — Jęczę. — Chcesz jeszcze jeden orgazm, czy mam zaliczyć wtopę.

Odpowiada, zaciskając się jeszcze ciaśniej. Zamykam powieki i szukam choćby grama kontroli. Gdy tylko fala pragnienia wytrysku maleje, zaczynam się ruszać w powolnym i miarowym tempie.

Jej spojrzenie przywiera do mojego, a ja telegrafuję wszystko, co czuję, wszystko, czego nie mogę powiedzieć, wszystko, co noszę dla niej w sercu.

Jesteś moją jedyną.

Moje słońce wschodzi i zachodzi na twoim uśmiechu.

Dla ciebie bije moje serce.

Biodra Sabriny unoszą się, witając każde uderzenie.

— Poczekaj na mnie, kochanie. — Kropelki potu pojawiają się na moim czole, gdy wbijam kolano w materac, by wejść w nią mocniej, głębiej.

Przyciąga mnie do siebie, aż jej piersi muskają moją klatkę w rytm gwałtownych pchnięć.

— Już zaraz — szepcze. — Pocałuj mnie. Chcę czuć twój język w ustach, kiedy dojdę.

Ja pierdolę.

Przyciskam do niej wargi. Nasze języki chciwie plączą się ze sobą. To wszystko, czego pragnę w życiu. Jej ciała pod moim ciałem. Jej smaku na ustach. Jej zapachu w płucach.

Krzyczy na moich wargach, gdy dochodzi. Połykam ten krzyk ekstazy, a potem pozwalam, by mój orgazm odpalił we mnie, uderzając w nią tak mocno, że pewnie rozsiewam siniaki. Po tym, jak przyjemność w końcu

opada, zwalam się obok niej. Ledwie jestem w stanie przeczołgać się na bok, by jej nie zgniatać.

— Daj mi jakieś dziesięć minut i będę gotów na powtórkę — mruczę w materac.

Delikatne głaskanie ręki przesuwa się wzdłuż mojego kręgosłupa i chwytam mnie za pośladki, rozsiewając dreszcze w całym ciele. Fiut drży z zainteresowaniem.

— Okej, pięć minut.

Śmieje się.

Odwracam się na plecy i wsuwam rękę pod jej ramiona, by przyciągnąć ją do siebie.

— Rozwaliłaś mnie, Sabrino. Umarłem.

Przebiega palcem po wewnętrznej stronie mojego uda. Jak można się było spodziewać, kutas twardnieje.

— Jeśli tak wyglądasz martwy, to trochę się obawiam, ile będzie trwała nasza kolejna jazda.

— Może zjedz kanapkę. Nie wypuszczę cię z łóżka bardzo długo.

Przeplata nogi z moimi, jakby nie mogła znieść, żeby choć skrawek jej ciała był oddzielony ode mnie. Co mi absolutnie odpowiada.

— Wszystko się jakoś układa — szepcze, jej usta poruszają się z boku mojej klatki. Znów w jej głosie pobrzmiwa zdziwienie.

— A czemu nie miałyby się układać? Oboje chcemy, żeby się udało, co?

Wstrzymuję oddech, czekając na jej odpowiedź. Połowa mnie spodziewa się, że Sabrina zerwie się z łóżka i poleci do drzwi.

Zamiast tego oddycha głęboko.

— Tak, chcemy.

— Czy to oznacza, że mogę przestać szukać innej kobiety?

— To oznacza, że musisz przestać — oświadcza. Jej delikatne palce

zagrzebują się zaborczo w moją skórę i wzdycham z przyjemności.

— To dobrze. Już zdążyłem powiedzieć kilku babkom z sąsiedztwa, że jestem żonaty.

— Dlaczego?

— Jamie to magnes na laski. Nigdy nie miałem takiego powodzenia.

A potem, jakbym przywołał córeczkę, mój telefon ćwierka, by mnie poinformować, że w pokoju obok Jamie zalewa się łzami.

— Co to? — Sabrina siada, odgarniając włosy z twarzy.

— Fitzy mi to zainstalował. W kołysce są monitory, które wysyłają alarm do mojego telefonu, że przestała oddychać albo że płacze. Zainstaluję ci tę aplikację później. — Wyskakuję z łóżka. — Zostań — mówię, gdy Sabrina klęka. — Przyniosę tu Jamie.

W drodze do drzwi odwracam się. Sabrina oparła się o wyściełany zagłówek i układa poduszki na boku, przygotowując się do nakarmienia naszego maleństwa. Podnosi głowę, uśmiecha się i wygląda jak pierdolony anioł.

Nie planowałem, że moje życie będzie tak wyglądało, przynajmniej nie tak szybko, ale za żadne skarby świata nie oddałbym tego.

Z sercem w gardle i rozpierającym poczuciem szczęścia idę po naszą małą córeczkę.

¹ *Summer* (ang.) — lato.

Rozdział 38

Sabrina

Grudzień

Gramolę się do mieszkania po sesji uczenia się z kołem naukowym, godzinę spóźniona i z wielkim poczuciem winy z tego powodu. Od progu wykrzykuję przeprosiny do Tuckera, ładuję się do środka, mając ręce pełne książek i torby z zakupami, w których jest zaledwie połowa rzeczy, jakie miałam przynieść do domu godzinę temu.

— Bardzo przepraszam. Miałam wyłączony telefon i...

Ciąg dalszy usprawiedliwienia zamiera mi w gardle, gdy w kuchni spotykam się z matką Tuckera.

Rzuca w moim kierunku zabójcze spojrzenie i przemawia, nie ruszając się z miejsca.

— John wyszedł po zakupy. Próbował się z tobą skontaktować, by sprawdzić, czy zrobisz zakupy po drodze, ale nie raczyłaś odpowiedzieć.

Jej słowa są zimniejsze niż zimowe wiatry znad zatoki. Wzdrygam się pod płaszczem.

— Myślałam, że pani przylatuje w piątek — jąkam się.

— Ślub, który miałam stylizować, został przełożony, więc zdecydowałam się z tego skorzystać i przyjechałam wcześniej. W ten sposób spędzę więcej czasu z moją wnuczką.

— Och. Fajnie. To... fajnie.

Zmieniłam się w idiotkę. Ale nic na to nie poradzę. Matka Tuckera jest tak

bardzo onieśmielająca. Nie widziałam się z nią od tamtej fatalnej wizyty latem, i choć Tucker pisze do niej codziennie i aranżuje wideoczaty między nią a Jamie, ani razu nie poprosiła mnie do telefonu.

— Dlaczego się spóźniłaś? — To oskarżenie i obie o tym wiemy.

Przełykam ślinę.

— Uczyłam się z grupą. Zbliżają się egzaminy.

Kiwa głową w kierunku dużego pokoju.

— Przypuszczam, że dlatego to mieszkanie nie jest wysprzątane tak, jakbyś sobie tego życzyła.

Podążam za jej głęboko zniesmaczonym spojrzeniem. Ten tydzień umknął mi, nie wiem kiedy, i mieszkanie jest tego absolutnym dowodem. Szafki kuchenne są zawstydzająco puste. Naczynia, przynajmniej czyste, piętrzą się na blacie. Miałam je dziś wieczorem poukładać po nakarmieniu Jamie. W pokoju dziennym podręczniki, notatki, materiały uzupełniające i opracowania zajmują wszelką dostępną przestrzeń. Łazienka Jamie — ta, której będzie używać pani Tucker — wygląda jak po wizycie huraganu. Wszystko straszy opłakanym stanem, ponieważ myślałam, że mam jeszcze dwa dni na ogarnięcie bałaganu.

Co jej zresztą mówię.

— Planowałam posprzątać przed pani przyjazdem.

Jej wygięta brew przekazuje, że moja wymówka jest żałosna.

— Starasz się z całych sił, prawda?

Trafia ostrzem głęboko. Moje najmocniejsze starania nie są wystarczające w oczach pani Tucker.

Ze ściśniętym gardłem ściągam powoli buty i robię krótki trekking przez otwarty pokój w kierunku kuchni, powłócząc stopami odzianymi w rajstopy. To mieszkanie jest większe niż mój rodzinny dom i zazwyczaj aż mi się kręci w głowie od tej przestrzeni, ale pani Tucker znalazła sposób, by wyssać ze

środka całe powietrze.

Nie odzywając się słowem, odkładałam mleko, jajka i masło. Sklep spożywczy miał zawyżone ceny, ale był w pobliżu, a ja czułam się trochę zdesperowana. Teraz? Czuję się mała i niekompetentna.

— Jamie jest z Tuckerem? — pytam. W mieszkaniu panuje taka cisza jak w sali do indywidualnego uczenia się na Harvardzie.

— Śpi w łóżeczku — mówi pani Tucker zwięźle, nie odrywając oczu od cebuli, którą zawzięcie sieka.

Próbuję się uśmiechnąć.

— Pierwsze spotkanie z Jamie sprawiło pani radość?

— Co to za pytanie? Oczywiście, że tak. To moja jedyna wnuczka.

Mój półserdeczny uśmiech gaśnie. Znów przełykam ślinę. O Boże, ta wizyta to będzie męczarnia.

— Pójdę sprawdzić, co u niej. — Chowam karton z sokiem pomarańczowym do lodówki, zanim ulatniam się z kuchni.

W pokoju Jamie straszy mnie niepościelone łóżko, które przytargali tu Tucker i Fitzy w zeszłym tygodniu. Pościel ułożona na jednym końcu tylko podkreśla moją niekompetencję jako matki i gospodyni domowej. Jeśli te cechy pani Tucker ceni sobie w swojej synowej, no to jestem beznadziejna.

Jamie śpi słodko w łóżeczku, owinięta ciasno koczykiem. Odpieram pokusę, by wziąć ją w ramiona, choć wiem, że przytulenie jej słodkiego, nieoceniającego ciała sprawi, że poczuję się o wiele lepiej. Ale ona potrzebuje snu, a ja mam wiele do zrobienia.

Tak cicho, jak to możliwe, robię łóżko i wycofuję się, by dołączyć do pani Tucker w kuchni.

— Zrobić pani coś do picia? — proponuję. Na patelni ma cebulę i mieszkanie wypełnia się wonnym zapachem słodkich ziół i ostrego czosnku.

— Nie. Dziękuję.

— Mogę pomóc w przygotowaniu... — Macham dłonią w kierunku kuchenki.

— Chilli? — kończy. — Nie.

No dobra. Oblizuję wargi i rozważam opcje. Numer jeden to ukrycie się w pokoju i zaczekanie na Tuckera, ale moje spojrzenie pada na stertę naczyń i postanawiam, że najpierw posprzątam. Nawet jeśli muszę rozmawiać z kimś, kto najwyraźniej uważa mnie za leniucha.

— Tucker pokazał już pani bar? — pytam, zaczynając od ustawienia misek. — Wykonał wspaniałą robotę i zarabia przyzwoite pieniądze. — Bar Tuckera pęka w szwach od nocy otwarcia.

— Za wcześnie, by mówić o sukcesie. Większość barów upada w ciągu kilku lat. Nie chciałam, by pieniądze z ubezpieczenia po ojcu inwestował w coś takiego. — Jej usta się zaciskają. — Powiedziałabym mu o tym, gdyby zapytał mnie o zdanie.

Co za szczęście, że tego nie zrobił. Tucker jest zakochany w swoim barze. Już zaczyna przebąkiwać o kupieniu kolejnego, ponieważ przewidywany dochód w ciągu roku pozwoli mu na zainwestowanie w kolejny biznes. On jest przedsiębiorcą, nie barmanem, i każdy, kto go posłucha przez pięć minut, może to potwierdzić. Mówi o zwiększeniu ryzyka, zwrotach w inwestycji, marginesach zysku i ukrytych możliwościach.

— Uważam, że odniesie wielki sukces — oświadczam pewnym głosem.

— Możesz tak myśleć. — Sapie głośno. — Tucker mógł kupić w domu agencję nieruchomości. Powinien być w biurze, a nie w knajpie.

Wymawia słowo „knajpa” tak, jak ktoś inny powiedziałaby „burdel”.

— I teraz z tego żyje. — Ponownie wypuszcza głębokie, rozczarowane westchnienie. — Jego tata nigdy by tego nie chciał.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc zmieniam temat na Jamie, ponieważ z całą pewnością nie będzie krytyczna w stosunku do niej.

— Jamie nie spała, kiedy pani przyjechała? Jest taka mądra. Codziennie jej czytamy. Znalazłam artykuł, w którym twierdzą, że jeśli czyta się bobasowi minimum przez dwie godziny dziennie, to wyrośnie z niego zaawansowany czytelnik.

Zaczynam brzmieć jak Nana, cytując pseudofakty zaprezentowane w artykułach z chwytliwymi tytułami, jakby były prawdami objawionymi.

Matka Tuckera ignoruje moją uwagę.

— Tuck mówi, że karmisz piersią i że Jamie jest zaledwie na piątym centylu. To niepokojąco nisko. W moich czasach wszystkie używałyśmy mieszanek. Wypełniały brzuszki i pomagały im rosnać.

Godzę się z faktem, że nie ma jednej rzeczy związanej z moją osobą, w której pani Tucker nie znajdzie wady.

Zbierając resztki cierpliwości, mówię:

— Większość lekarzy w dzisiejszych czasach zachęca do karmienia piersią. Mleko matki jest dostosowane do potrzeb niemowlaka i są badania...

— Są badania, które mogą udowodnić wszystko — przerywa mi z lekceważeniem. Zmniejsza ogień i przesuwa się w kierunku zlewu, gdzie zaczyna z zapałem szorować ręce. — Słyszałam o badaniach potwierdzających, że dzieci, które dorastają w pobliżu alkoholu, mają w przyszłości wiele problemów. Mam nadzieję, że to nie dotyczy Jamie.

Kładę jedną stopę na drugiej i mocno na niej stoję, mając nadzieję, że ból pomoże mi odciągnąć uwagę, ponieważ ścieranie trzonowców nie działa. Przypominam sobie, że pani Tucker kocha swojego syna i cała jej krytyka, po części uzasadniona, wypływa z miłości. Nie do mnie, ale do jej syna. Powinnam to szanować.

— Nie będziemy tu mieszkać zawsze — mówię z fałszywą radością.

Kończę układanie naczyń i wycofuję się do dużego pokoju. Może ten dystans powstrzyma mnie przed powiedzeniem czegoś głupiego w złości. To

tylko wyrządziłoby więcej szkód w już i tak trudnej relacji, jaką mam z mamą Tuckera.

Jeśli mam być z Tuckerem, muszę jakoś ułożyć się z jego matką.

— Na studiach prawniczych idzie mi dobrze. Dostałam się do świetnej grupy naukowej. To bardzo ważne, ponieważ wszyscy sobie pomagamy, by zobaczyć większą perspektywę. Kiedy zaczynałam, myślałam, że z nikim się nie zaprzyjaźnię, ale okazało się, że na początku wszyscy byli spięci. — Kręcę się po pokoju, sprzątając moje szpargały. — W mojej grupie jest jeden chłopak — Simon — prawdziwy geniusz. Ma fotograficzną pamięć, a do tego niezwykłą zdolność wychwytywania najbardziej ważnych kwestii. Ja często stoję w miejscu, koncentrując się zbytnio na detalach.

— Simon? Uczysz się z innymi mężczyznami?

Wyprostowuję się gwałtownie od jej podejrzliwego tonu.

— Tak, w mojej grupie są mężczyźni — odpowiadam ostrożnie.

— John o tym wie? — Krzyżuje ramiona na klatce piersiowej i patrzy na mnie tak, jakbym jej wyznała, że pieprzę się z innym studentem przed nosem jej syna.

— Tak. Poznał Simona. Uczyliśmy się tutaj. — A właściwie w knajpie. Moja grupa uwielbia tu przychodzić.

Potrząsa głową, a rudozłociste pukle podświetla światło z kuchni za jej plecami. — To jest... — kolejne potrząsanie głową. — Dokładnie to, czego się spodziewałam — kończy.

Marszczę czoło.

— Co pani ma na myśli?

— Mam na myśli to, że wykorzystujesz mojego syna i robisz to od chwili, gdy się poznaliście.

Wstrzymuję oddech.

— C-co?

— Jak szybko po tym, jak się dowiedziałaś o jego spadku, postanowiłaś złapać go w potrzask, Sabrino? — Jej mina jest bardziej lodowata niż lód. — Bardzo wygodnie się urządziłaś — on płaci za wszystko, a ty znikasz, by się uczyć z innym mężczyzną.

Kurwa. Nie. Wierzę. W. To.

Wyprostowuję się, wzburzenie szaleje w moich żyłach.

Jedna rzecz to krytykowanie, w jaki sposób prowadzę dom. Jestem w tym beznadziejna.

Poradzę sobie z jej obiekcjami na temat karmienia piersią. Też się martwię wagą Jamie, chociaż lekarz zapewnia mnie, że niedowaga wśród dzieci karmionych piersią jest zupełnie naturalna.

Mam gdzieś, jeśli po całym Bostonie będzie szydzić z moich umiejętności rodzicielskich czy gospodarskich.

Ale nie będę — kurwa, nie będę — godzić się, by szeptała ohydne i bezpodstawne podejrzenia do ucha Tuckera.

Potrafię przetrwać sama. Nie potrzebuję Tuckera — ja go chcę w moim życiu. Chcę go tak bardzo, że jestem gotowa poświęcić wszystko, by mieć jego i Jamie przy sobie.

Z całą godnością, na jaką mnie stać, zwracam się twarzą do pani Tucker.

— Mam dla pani tyle szacunku. Zajmuję się tym pie... pięknym macierzyństwem dopiero od czterech miesięcy i zapewne już z tysiąc razy popełniłam błąd. Jest trudno i mam Tuckera, pani wspaniałego syna, który mi pomaga na każdym kroku. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak pani dała radę przejść przez to sama. Ale nie pozwolę, by obrażała pani wszystko, co robię w tym miejscu. To jest mój dom. Tak, nie jestem doskonała, ale staram się. Kocham Jamie i kocham Tuckera, i jeśli w którymkolwiek momencie Harvard albo praca, albo cokolwiek innego zagrozi ich szczęściu, zrezygnuję z tego w minutę.

Brązowe oczy pani Tucker powiększają się.

Ale ja nie skończyłam.

— On i Jamie to dla mnie najważniejsze osoby — mówię z zapalem. — I nade wszystko zależy mi na pewności, że zachowam ich w swoim życiu, że wnoszę swój wkład w tę rodzinę i zapewnię Jamie lepsze dzieciństwo niż to, które miałam ja, nawet jeśli oznacza to uczenie się z mężczyzną. Który, tak przy okazji, jest szczęśliwym mężem i ma dwoje dzieci.

Za panią Tucker rozlega się szelest i cień za jej głową nagle się wyostrza. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to Tucker. Stoi w drzwiach.

Opiera się jednym ramieniem o framugę, uśmiech rozciąga się na jego twarzy.

— Kochasz mnie, co?

Rozdział 39

Tucker

Sabrina wygląda, jakby chciała się zapaść pod ziemię. A może wyskoczyć przez jedno z wielu okien w naszym mieszkaniu. Wiem, że nie lubi być stawiana w niezręcznej sytuacji i najpewniej nawet nie miałbym do niej pretensji, gdyby zdecydowała się teraz prysnąć.

Ale cokolwiek moja mama zdążyła jej powiedzieć, zanim wróciłem do domu — a zamierzam dowiedzieć się o każdym jednym słowie, które tu padło — najwyraźniej dodało Sabine odwagi. Marszczy w przelocie czoło na moją mamę, potem odwraca się do mnie i patrzy mi prosto w oczy.

— Kocham cię — potwierdza.

Robię krok do przodu.

— Od kiedy?

— Od pierdolonego zawsze. — Mama wykrzywia twarz, a Sabrina rzuca jej zmieszane spojrzenie. — Przepraszam. Tuck i ja nadal uczymy się wysławiać na nowo. Nie zawsze pamiętamy, by używać takich słów jak „nonsens” czy „kurka”, okej? — Podnosi brew. — Czy w tej kwestii też zamierza mnie pani pouczać?

Usta mamy drżą, jakby próbowała się nie roześmiać.

— Nie — odpowiada słabym głosem. — Nie zamierzam. W zasadzie — robi wielkie show z ubieraniem zimowych butów i zakładaniem płaszcza. — Myślę, że przejdę się na spacer po okolicy. Uwielbiam patrzeć na śnieg.

— Gówny prawda — krztuszę się w dłonie. Mama nienawidzi zimy i oboje o tym wiemy.

Mrozi mnie wzrokiem w drzwiach.

— Proszę, przyspiesz naukę wysławiania się, John. — A potem znika, a ja i Sabrina wymieniamy uśmiechy.

Ale humor nie trwa długo.

— Przepraszam — mówi Sabrina.

— Za co? — Pokonuję dzielący nas dystans i kładę obie dłonie na jej szczupłych biodrach.

— Nie chciałam być niegrzeczna w stosunku do twojej mamy. Tyle że... powiedziała kilka przykrych rzeczy. — Podnosi dłoń, gdy widzi moją pochmurną minę. — Nie są warte powtarzania i mam przeczucie, że w przyszłości nie powie już nic podobnego.

Kiwam powoli głową.

— Chodzi ci o to, że teraz, gdy wie, że mnie kochasz...

— Tak.

Wpatruję się w jej piękną twarz przez chwilę, zanim uśmiecham się ponownie.

— Od pierdolonego zawsze, tak?

— Może nie od zawsze — wyznaje. — Nie będę kłamać, Tuck. To zaiskrzenie, o którym mówiłeś, kiedy się poznaliśmy... Jak nasze oczy spotkały się w barze i poczułeś coś w tamtej chwili... — Sabrina wzdycha. — Ja czułam jedynie pożądanie.

— Wiem.

— Ale teraz to już nie jest samo pożądanie. Już od dawna.

— Od kiedy? — nie mogę się powstrzymać. — Kiedy się zorientowałaś, że jesteś we mnie szaleńczo zakochana?

— Nie wiem. Może na tej idiotycznej podwójnej randce? Może kiedy się mną opiekowałeś podczas choroby? Gdy podarowałeś mi skórzaną torbę? Kiedy przyłożyłeś Rayowi w mojej obronie? — Każde słowo jest pełne

zachwytu. — Nie wiem dokładnie od kiedy, Tuck, ale wiem, że cię kocham.

W gardle rośnie mi gruda.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

— Bo się bałam. I ponieważ nie byłam pewna, czy odwzajemniasz moje uczucie.

— Żartujesz sobie? Straciłem dla ciebie głowę, gdy tylko się poznaliśmy. Wiesz o tym.

Zadziera uparcie brodę.

— Sądziłam, że myślałeś fiutem. Faceci tak robią.

Przyznaję jej rację. Ale ja nigdy nie byłem jednym z takich facetów.

— A potem zaszłam w ciążę i bałam się, że mylisz swoje uczucia do dziecka z uczuciami do mnie. — Przeczesuje dłonią jedwabście ciemne włosy. — Ale najważniejsze jest... było... że ja... ja...

Głaszczę jej biodra.

— Co ty?

Łzy przywierają do jej długich rzęs.

— Nie mogę być osobą, która rujnuje ci życie. Już obarczyłam cię rolą ojca wcześniej, niż planowałeś. Nie chciałam, żeby miłość wszystko dodatkowo skomplikowała. Nie chciałam... — gwałtownie macha rękami. — Nie chciałam, żebyś obudził się pewnego dnia i mnie znienawidził.

Mruczę.

— Znienawidził ciebie? Jezu, kobieto. — Przyciągam ją do siebie, zagrzebuję twarz w jej szyi. — Wciąż tego nie rozumiesz, co?

— Czego? — pyta mnie cicho.

— Ty. Ja. My. To. — Wyrzucam z siebie słowa, które wyskakują w mojej głowie. Ty jesteś tą jedyną, Sabrina. Nikt inny nie istnieje dla mnie na tym świecie, nikt oprócz ciebie. Gdybym jechał samochodem i zobaczył cię na ulicy... Lepiej mi uwierz, że wyrwałbym jedną świecę czy dwie, jeśli to

oznaczałoby, że mógłbym spędzić choćby pięć sekund w twoim towarzystwie. Kurwa, jesteś tą jedyną.

Jej oddech gęstnieje.

— Nawet gdybyś nie dała mi Jamie, co jest najwspanialszym pieprzonym prezentem na świecie, tak przy okazji, wciąż chciałbym być z tobą. Nawet gdybyś nie powiedziała, że też mnie kochasz, wziąłbym każdy jeden skrawek, który zechciałabyś mi podarować tak długo, póki mógłbym być z tobą. I mam to w dupie, jeśli przez to jestem żaloszny.

— Nie jesteś żaloszny. — Jej mina jest teraz żarliwa. — Nigdy nie mógłbyś być żaloszny.

— Miałbym to gdzieś, gdybyś tak myślała. — Obejmuję jej twarz dłońmi i wycieram łzy kciukami. — Najlepsze, co spotkało mnie w życiu, to ty, Sabrino James.

— Nie. — Uśmiecha się. — To ty jesteś tym, co najlepsze w moim życiu.

Zanim pochylam się, by ją pocałować, w mieszkaniu rozlega się krzepki ryk.

— A to — mruczę — jest najlepszy dar dla nas obojga.

Łza uwalnia się z jej rzęs i spływa po policzku.

— Tak.

Jamie wypuszcza kolejny mrozący krew w żyłach pisk i oboje z pośpiechem przemierzamy korytarz prowadzący do sypialni. Tuż przed drzwiami do pokoju Jamie chwytam Sabrinę za rękę.

— Może płakać jeszcze przez pięć sekund — decyduję. — Przecież testujemy ten sposób na samospokojenie się, pamiętasz?

Jej wargi drżą od śmiechu.

— Myślałam, że jesteś przeciwko. — Zniża głos i przeciąga samogłoski, naśladując mnie. — Niedoczekanie, żeby moja księżniczka cierpiała, moja droga. Jaki ojciec by na to pozwolił?

Moja szczeka opada z oburzenia.

— Nie powiedziałem „niedoczekanie”.

— No właśnie, że tak.

Przewracając oczyma, przyciągam ją do siebie i chwytam jej dolną wargę zębami. Sabrina jęczy w odpowiedzi, co budzi mojego fiuta.

— Chciałem buziaka — mruczę na jej ustach. — Nie seksidźwięków.

— Co za pech. Dostajesz oba. — Następnie wpycha mi język w usta i całuje mnie tak żarliwie, że oboje wydajemy seksidźwięki.

Rozłączamy się, śmiejemy i oddychamy ciężko, a Jamie wciąż wykrzykuje swoje niezadowolenie każdemu, kto jej słucha.

— Dalej, chodźmy obsłużyć księżniczkę — mówi Sabrina z uśmiechem.

Daje mi figlarnego klapsa w tyłek, a potem trzymając się za ręce, wchodzimy do pokoju na spotkanie z naszą córeczką.

Epilog

Sabrina

Rok później

Tucker maszeruje przede mną w prywatnej loży hali TD Garden. W ramionach trzyma wijącą się Jamie, ale jej wysiłki, by wymknąć się z uścisku, są daremne, ponieważ jej tatuś jest silny jak cholera. Odkąd zaczęła chodzić, domaga się samodzielnego docierania do każdego celu na dwóch małych nóżkach. I jest przy tym cholernie szybka. Przysięgam, obracam głowę, a dzieciak znika. Ostatnio poddaję pod ponowne rozpatrzenie moją opinię o rodzicach, którzy trzymają swoje pociechy na smyczach.

— Przepraszamy za spóźnienie — odzywa się Tucker, gdy docieramy na miejsce.

Kilka głów obraca się w naszym kierunku. Nie rozpoznaję połowy osób w tej reprezentacyjnej loży, ale te, które znam, przywołują szczęśliwy uśmiech na moją twarz.

— Jesteście! — Grace zrywa się ze swojego siedzenia i pędzi do nas. — Logan dostanie świra, jak się dowie, że się wam udało.

— O mały włos, a byśmy nie dotarli — mówi Tucker żałośnie. Mierzwi rudawo-brązowawe włosy naszej córeczki. — Mała księżniczka nie mogła się zdecydować, którego wujka koszulkę założyć.

— Ha — parszam śmiechem. — Ona nie mogła się zdecydować? — Ściskam się serdecznie z Grace, a potem obracam się, by zrobić to samo

z Hannah, która podeszła się przywitać. — Najbardziej jęczał Tuck.

— I nie wybraliście żadnej — zauważa Hannah, szczerząc się na różową koszulkę Jamie, na której widnieje napis „Córeczka tatusia” doszyty na plecach.

Ręczna robota, oczywiście. Tucker lubi rzeczy robione ręcznie. Prawdopodobnie dlatego, że wszystkie niedorzeczne głupoty, które przychodzą mu do głowy, nie są dostępne dla normalnych konsumentów.

— Będziemy robić zmiany — obiecuje Tucker. — Na jeden mecz będzie zakładać koszulkę Garreta, a na kolejny Logana. Hej, Jean. Miło cię widzieć. — Podchodzi do przodu, by przytulić się z mamą Logana, która pęka z dumy.

Nic dziwnego. Jej syn ma właśnie zadebiutować w zawodowej drużynie po roku grania w czymś, co Tuck nazywa „farmerską drużyną”. Nadal nie zawracałam sobie głowy, by nauczyć się tych hokejowych niuansów. Jestem zbyt zajęta wypruwaniem sobie żył na drugim roku na Harvardzie. Jakimś cudem dałam radę przebrnąć przez pierwszy rok bez załamania nerwowego. Nawet publikowałam w „Law Review”, ku wielkiemu zniesmaczeniu „Kapuścianej Głowy” — zwanej również Kale.

Tucker też dobrze sobie radzi. Bar w pierwszym roku przyniósł większy dochód, niż się spodziewaliśmy. Część pieniędzy została odłożona na fundusz uczelniany dla Jamie, a pozostałą kwotę planujemy zainwestować w drugą lokalizację.

Tym razem w centrum, co może okazać się wielką klapą lub oszałamiającym sukcesem. Wierzę w mojego mężczyznę, więc optuję za tym drugim.

— Kurka — przeklina Tucker, gdy jego spojrzenie przesuwają się do wielkiego okna wychodzącego na arenę. — Mecz już się zaczął?

— Dopiero dwie minuty pierwszej tercji — uspokaja go Hannah. — Logan

jeszcze nie miał zmiany.

— Może w ogóle nie wyjedzie — mówi posępnie Grace. — Ostrzegam
mnie, że być może nie wypuszczą go z ławki.

— Oczywiście, że wypuszczą — ogłasza Jean. — To superstar.

Skrywam uśmiech za dłonią. Tak. Dobrze wiem, co to znaczy być dumną
matką. Jamie powiedziała swoje pierwsze słowo w zeszłym tygodniu —
„buu”. Tak, to się liczy jako słowo — i o mało nie skoczyłam z dumy do
sufitu. Nagrałam, jak wymawia je trzy razy i wysłałam filmik do mamy
Tuckera, która natychmiast do mnie oddzwoniła i przez kolejne trzydzieści
minut zachwycaliśmy się mądrością jej wnuczki.

Mama Tuckera i ja dogadujemy się znakomicie, odkąd ona zaakceptowała,
że kocham jej syna i nie zamierzam się zmywać. Nie jestem pewna, czy nadal
tak będzie po jej przeprowadzce do Bostonu na przyszłą wiosnę. Trochę się
denerwuję, że będzie mieszkać tak blisko, ale po pierwszych urodzinach
Jamie, na których pani Tucker nie była obecna, zdecydowała, że po prostu
nie może już dłużej wytrzymać bez swojej najśłodszej wnusi. Najpierw chce
zaoszczędzić trochę pieniędzy, a potem przeprowadza się na wschód, by
otworzyć tu własny salon. Tucker oczywiście upiera się, że zapewni kapitał
na ten cel.

Mój przyszły mąż to chodzący święty. Kiedy oświadczył mi się po małym
urodzinowym przyjęciu, które zorganizowaliśmy dla Jamie, prawie
powiedziałam „nie”. Czasami przeraża mnie, jak bardzo niesamowity jest ten
facet. Boję się, że uda mi się jakoś to wszystko spieprzyć, ale Tucker bez
przerwy przypomina mi, że mamy właśnie to. On i ja. Na zawsze.

— Gdzie Dean? — pytam, wypatrując jasnej głowy.

— Nie mógł przyjechać tym razem — tłumaczy Hannah. — Trenuje
dziewczęcą drużynę w szkole i treningi wypadają wieczorem we wtorki
i czwartki.

Kiwam głową. Sama musiałam opuścić spotkanie mojej grupy naukowej, żeby przyjść na ten mecz we wtorkowy wieczór. Ale Deanowi i Allie trudniej jest rzucić wszystko, gdy się mieszka na Manhattanie. Przyjechali za to na imprezę Jamie. Dean kupił jej wypchanego jednorożca, którego mała taszczy wszędzie ze sobą.

Hannah, Carin, Hope, Grace i ja spotykamy się raz w miesiącu, bez względu na okoliczności. Użalamy się na szkołę, życie i miłość. Carin rzuciła już swojego asystenta i teraz jest szaleńczo zakochana w wykładowcy z Londynu. Mówi, że wszystko jest seksowniejsze z brytyjskim akcentem. Trudno mi się nie zgodzić. Uwielbiam sposób, w jaki Tucker przeciąga samogłoski i mam nadzieję, że nigdy nie zatraci tego akcentu.

Hope powiedziała mi, że ona i D'Andre rozmawiają o małżeństwie i rodzinie. Zazdroszczą nam Jamie i w kółko opowiadają, że chcą zostać młodymi rodzicami.

Summa summarum, tworzymy szczęśliwą ekipę.

Czasami martwię się, że jesteśmy zbyt szczęśliwi, ale potem odwiedziny w domu Nany sprowadzają mnie na ziemię. Jesteśmy szczęśliwi, ponieważ chcemy być szczęśliwi, ponieważ wlewamy w siebie energię i emocje w możliwie najlepszy sposób.

Kiedyś, dawno temu, moim celem było odnieść zawodowy sukces. Nie zdawałam sobie sprawy, że stopnie i stypendia nie były sukcesem. Sukcesem okazali się ludzie, których miałam szczęście spotkać w swoim życiu.

Rozglądam się po łoży i mam ochotę przytulić się do każdego i mu podziękować. Przytulić się, by wyrazić, jak bardzo ich kocham i podziękować, że odwzajemniają moje uczucia.

Bo miłość to ostateczny cel. Nie ten, do którego dążyłam, ale miałam szczęście, cholernie duże szczęście, by go osiągnąć.

Od Autorki

Nie mogę uwierzyć, że to już czwarta (i ostatnia) książka z serii! To zawsze takie smutne, kiedy muszę pożegnać się z bohaterami, których uwielbiam, ale nie martw się, drogi czytelniku, spin-off w przygotowaniu!

Jak zwykle, nie ukończyłabym tego projektu bez pomocy kilku wspaniałych ludzi, którym niniejszym ogromnie dziękuję.

Wczesnym czytelnikom, Viv, Jen, Sarinie i Vi za nieocenioną opinię i ogólną przyjaźń.

Mojej redaktorce, Gwen, która jest drugim największym miłośnikiem psów na świecie (oczywiście, poza mną), a tym samym wspaniałą osobą.

Mojej „publicystce”, Ninie Bocci, za to, że kochała tę serię tak samo jak ja.

Sarah Hansen (Okay Creations) za wspaniałe okładki!

Nicole i Natashy — moim aniołom wysłanym z nieba.

Kristy, za wszystkie rzeczy, które robi w grupie na FB!

Sharon Muha, za całokształt.

I wreszcie blogerom i recenzentom, którzy nieustannie chwalą moją pracę. Czytelnikom, którzy przysyłają mi najcudowniejsze, najbardziej entuzjastyczne przesłania wyczytane z moich książek. I członkom mojej grupy na Facebooku (Everything Elle Kennedy), którzy codziennie wywołują uśmiech na mojej twarzy.

A na koniec — wam wszystkim. Dziękuję za poświęcenie czasu na przeczytanie moich książek!